

OBRAZKI Z PODRÓŻY

DO

TATRÓW I PIENIN.

Wydanie drugie, przejrzone i pomnożone.

KRAKÓW,

W DRUKARNI UNIwersytetu Jagiellońskiego

pod zarządkiem Konst. Mańkowskiego

1872.

Spis Obrazków.

	Str.
Do Czytelnika.	
Droga z Krakowa do Zakopanego	11
Zakopane	30
Podhalanie	40
Pobyt w Zakopaném	70
Morskie Oko i Pięć Stawów	79
Dolina Kościeliska	107
Pyszna	123
Kuźnice zakopiańskie i źródło pod Kalatówką	133
Doliny: Mało-Ląka, Miętusia i polana Przysłop	137
Kondratowa, Czerwony Wiérch, Krzesanica, Uplaz	147
Nocleg w Tatrach	158
Staw Czarny, Zmarzły i Stawy Gąsienicowe	173
Krywań	182
Dolina Białej wody	210
Krzyżne	225
Tatry od Kieżmarku, Szmeks i Pięć Stawów węgierskich	243
Strążyska	265
Dolina Biała	266

	Str.
Dolina za bramą	266
Dolinka ku Dziurze	267
Jaszczurówka	267
Gubałówka	268
Wołowiec	269
Jaworzyna Rusinowa	272
Koperszady Bialskie	273
Czorsztyn, Pieniny, Krościenko, Sącz Stary i Nowy	278



Odwiecznych Tatrów strażnice Piastowe!
Zdawnaście znane, a wiecznieście nowe!
Choć myśl i oko przy was się upaja,
Myśl i źrenica wiecznie tutaj gością:
Z wami przenigdy myśl się nie oswaja,
Jak nie oswoi się nigdy z wiecznością.

W. P.

Do Czytelnika.

Nie ma nigdzie gór, jako nasze Hale,
Ani górali, jak nasi górale.

S. G.

Poznanie cudów przyrody, któremi Bóg tak hojnie polską ziemię uposażył, jest obowiązkiem każdego, co się na niej urodził, o ile czas i okoliczności pozwolą; i trudno zaiste dobrze trzymać o tych, którzy zwiedzili Alpy, wstąpili na dymiący wierzchołek Wezuwiusza, unosili się nad pięknością brzegów wspaniałego Renu, podziwiali sławną grotę Fingala i t. p., a nie znają Tatrów¹⁾ z ich Morskim Okiem i doliną Kościeliską; nie znają czarujących Pienin, pieczar Ojcowskich, Pieskowej skały i tylu innych zachwycających okolic naszych, których piękność przyrodzoną, podnosi jeszcze często urok wiążących się do nich wspomnień narodowych.

Dzięki Bogu z dniem każdym niemal znika u nas owo uprzedzenie, owo uwłaczające nam samym lekce-

¹⁾ Idąc za słownikiem LUNDEGO, używam w obecnej książce *Tatrów*, zamiast bardzo twardego drugiego przypadku *Tutr*, dodając, że i górale miękczą tenże przypadek mówiąc *Tater*.

ważenie tego co ojcyste; a lubo są jeszcze tacy, co nie wierzą, aby rodzinna ich ziemia mogła mieć piękne góry, buczące wodospady, rozkoszne łąki, czarowne widoki, i tych wszystkich wdzięków przyrody pod obcym biegną szukać niebem, liczba jednak hołdujących tym przesądom codziennie się zmniejsza, cichnie głos zbytęznego uwielbienia dla stron obcych, a coraz głośniej brzmią pochwały dawane powabom naszej krainy. Uczone badania lekarzy naszych, poparte licznemi doświadczeniami, w wielu razach przyznały mineralnym zdrojom naszym pierwszeństwo nad sławoemi zagranicznemi. Zmniejszają się téż corocznie owe liczne emigracyje do obcych kąpieli, a natomiast skuteczne źródła i urocze okolice Szczawnicy, Krynicy, Żegiestowa, coraz liczniejszych ściągają gości, którzy i jednym i drugim przyznawają odmawiane dotąd zalety.

Tatry, ów gród olbrzymi, na granicy ziemi naszej wszechmocną Przedwiecznego wzniesiony ręką, Tatry, owe wspaniałe, piękne góry nasze, przed niedawnemi jeszcze czasy znane tylko geologom i botanikom zwiędzającym je w celach naukowych, co rok więcj wabią miłośników przyrody dzikięj, olbrzymięj, groźnej, ale obok tego pełnej uroku i zachwycających, im tylko właściwych piękności. Kto raz wstąpi w tajemniczą Tatrów głębią, kto raz odetchnie lekkim, ich powietrzem, kto zapozna się z tym poczciwym ludem, pod ich opieką i w ich cieniu wzrosłym, ten niezawodnie zostawi tam połowę serca; bo te wspaniałe szczyty, te czarujące doliny, rozkoszne polany, bystre potoki jakiś niepojęty wpływ wywierają na całą istotę człowieka, wabią i przywiązują do siebie tak silnie, że tęsknimy za nimi jakby za drogą sercu osobą.

Nikt podobno nie odgadł dotąd, w czym spoczywa owa czarodziejska gór władza; jestto zapewne jedna z tajemnic natury, której jednak zaprzeczyć nie można,

bo doświadczenie sprzeciwia się wszelkim rozumowaniom. Nie znam nikogo, ktoby choć raz zwiedził góry, a nie uległ temu niepojętemu ich wpływowi, ktoby nie tęsknił za niemi, nie pragnął ujrzeć je raz jeszcze. Doznałem i ja tego wpływu, i mnie opanował ów nieprzeparty pociąg, jakim one wabią nas ku sobie.

Jużto od dzieciństwa góry miały dla mnie niepojęty jakiś urok. Gdy inni w złotych snach swoich widzą się to na pięknej włoskiej ziemi, wdzięczącej się wiecznej wiosny uśmiechem, to w świetnej niegdyś stolicy płochęj mody, szalonych zabaw i zbytku, to w przepysznych parkach dumnych lordów angielskich, ja marzyłam o Tatrach; ich widoki, ich cuda w czarownych barwach snuły się przed oczyma wyobraźni; do ich też poznania ograniczały się wszystkie życzenia moje. A jednak i te skromne życzenia długo nie mogły być spełnionemi.

Jak już wspomniałam, od niedawnego dopiero czasu Tatry zaczęły być częściej zwiedzane; niedawno temu, jak znikło owo zakłete koło, otaczające te góry, dotąd małej tylko liczbie wybranych znane. I ja też przed kilkunastu dopiero laty byłam tak szczęśliwą, że je zobaczyłam z blizka. Pobył w Tatrach, dziewięć dni zaledwie trwający, i to przy nie bardzo sprzyjającej pogodzie, przelotnie tylko, powierzchownie dał mi poznać te cudnie piękne góry. Jakby we śnie uroczym przesunęły się przed oczyma memi zachwycające widoki Morskiego Oka, Kościeliska, Zakopanego; a co tak rzadko się zdarza, tutaj rzeczywistość przewyższyła wszystkie moje oczekiwania. obok nięj zbladły najcudniejsze obrazy, jakie mi wyobraźnia żywemi malowała barwy. Ale takie powierzchowne zwiedzenie tęg wspaniałęj świątyni, godnęj zaiste wszechuocnęj Stwórcy ręki, nie zaspokoilo mię bynajmniej, owszem rozdrażniło tylko wyobraźnię, wzmogło ów tajemniczy do gór pociąg, i tak żywą za

niemi obudziło tęsknotę, że sama myśl o Tatrach lub w kilkomiłowej odległości dostrzeżone na widnokręgu ich szczyty, jakimś rzewnym przejmowały mię smutkiem, bo nadzieja powtórnego ich zwiedzenia i dokładniejszego rozpatrzenia się pomiędzy niemi, jaką cieszyłam się przez całą następną zimę, słabła z dniem każdym i nareszcie znikła zupełnie. We dwa dopiero lata spełniły się życzenia moje; i więcej niż spełniły! Ja, com pragnęła zwiedzić raz jeszcze Tatry, choćby znowu równie tylko powierzchownie jak pierwszym razem, u stóp ich wraz z rodzicami i siostrą cały przemieszkalam miesiąc, cały miesiąc miałam przed oczami ich zastęp wspaniały; zwiedziłam można powiedzieć wszystkie doliny i polany bliższe miejsca naszego zamieszkania, byłam na kilku znaczniejszych szczytach, oddychałam czystym i wonnym gór powietrzem, zapoznałam się z poczciwymi góralami, przylgnęłam do nich całym sercem i od nich nawzajem najserdeczniejszej doświadczałam przychylności.

Doznając w Tatrach tyle przyjemności, tyle wzniosłych i niezapomnianych wrażeń, pragnęłam aby jak najwięcej rodaków moich poznało piękności swój rodzinnej ziemi, bo wtedy pewno nie tak skwapliwie biegliby pod obce nieba szukać wrażeń, które we własnym znaleźć mogą kraju. Ta obojętność zwłaszcza kobiet na cudne gór naszych widoki, budziła we mnie mimowolne uczucie żalu, a zarazem nasuwała pytanie, jaka być może tego przyczyna? Było nią jeżeli się nie mylę, przesadzone wyobrażenie o trudach i niebezpieczeństwach nieodłącznych od każdej wycieczki w nasze góry, do których nie precisnął się jeszcze przemysł i cywilizacja. Mężczyźni wracający z takiej przejażdżki, czy to dla popisania się z własną odwagą, czy też zbyt mało trzymając o naszych siłach i wytrzymałości, zamiast zachęcać, straszili nas przesadnym opowiadaniem o za-

wrotnych przepaściach, skalistych turniach na które z niebezpieczeństwem życia piąć się trzeba; o zaspach śniegu, o ustawnych słotach, nawet o mrozach i tysiącnych niewygodach na jakie się tam zwiedzający naraża. A gdy nawet pomimo to wszystko, przyszła komuś chęć puszczania się na los szczęścia w te niby niedostępne góry, nie łatwo było wywiedzieć się w jaki sposób najdogodniej i najprzyjemniej odbyć można podobną wycieczkę, bo każdy inną wskazywał drogę, każdy inaczej doradzał, jak to nam samym się zdarzyło przy pierwszej w Tatry podróży. Prócz dzieł opisujących Tatry pod naukowym względem i rzadkich artykułów rozrzuconych po czasopiśmie, a najczęściej z fantazyi raczej niż z natury kreślonych, z wyjątkiem poetycznych opisów Goszczyńskiego¹⁾ nie było żadnego podręcznego dziełka, żadnego opisu któryby dał poznać piękności gór naszych, a zarazem wskazał najwłaściwszy sposób ich zwiedzenia.

Chęć przysłużenia się rodakom podała mi myśl uporządkowania wspomnień i zapisków, kreślonych jedynie dla własnej przyjemności, co dało początek „*Obrazkom*“ które w r. 1858 nieśmiało w świat puściłam, ufając że szczerze moje chęci zjedną im pobłażanie, i niedostatki zasłonią.

Odtąd ledwo nie corocznie bawiąc parę miesięcy u podnóża Tatrów w Zakopaném, z niemałą widziałam radością, że te wspaniałe góry nasze, coraz więcej są zwiedzane i że prawie każdy odjeżdża zachwycony ich pięknnością, unosząc z sobą najmiłsze wspomnienia i postanowienie powrotu na rok przyszły. Z uczuciem wewnętrznego zadowolenia widziałam nieraz książeczkę moję w ręku zwiedzających, co pomimowolnie nasuwało mi myśl, że to może ona zachęciła niejednego do tej

¹⁾ Dziennik podróży do Tatrów. Petersburg 1853.

wycieczki, może ona otwiera drogę w te uroczę góry. Dobrze nad spodziewanie przyjęcie jakie zyskała drobna moja praca, skłania mię do powtórnego wydania „*Obrazków*“ w zupełnym braku pierwszego.

Prawda że w przeciągu tych kilku lat, Tatry niejednokrotnie były opisywane, jużto w pismach czasowych, że tylko wspomnę prześliczny opis K. Łapczyńskiego¹⁾; jużto w osobnych dziełkach²⁾. Ależ i moja książeczka przez ten czas nowemi zbogaciła się obrazkami, corocznie bowiem jak już wspomniałam odbywając wycieczki w Tatry. zwiedziłam kolejno całe to pasmo, od Koperszadów białskich i dzikich dolin u stóp Kolbacha i Łomnicy. na wschodnim jego krańcu, aż do szczytów orawskich stanowiących ostatnie ogniwą Tatrów na zachodzie. Tak więc uzupełnione i pewną całość stanowiące „*Obrazki*“, poprawione przy tém i sprostowane w wielu szczegółach, podaję lubownikom ojezycznych piękności.

Jak w pierwszém, tak i wobecném wydaniu, „*Obrazki*“ nie są przewodnikiem w ścisłym słowa znaczeniu, lubo i pod tym względem starałam się podać niektóre wskazówki z własnego doświadczenia; głównie jednak miałam na celu zapoznanie rodaków z tą najpiękniejszą, a przynajmniej najwięcej malowniczą częścią naszej ziemi, z temi wspaniałemi Tatrami, którym nawet obcy turyści, po zwiedzeniu wszystkich gór europejskich, przyznają prawdziwe ale całkiem odrębne, im tylko właściwe piękności. Chciałam téż zaznajomić czytelników z poczciwym ludem góralskim tak bardzo różniącym się od

¹⁾ Lato pod Pieninami i w Tatrach. Tyg. ilustrowany. Rok 1862. Nr. 157—167.

²⁾ Przewodnik w wycieczkach na Babią Górę, do Tatr, i Pienin przez X. E. Janotę. Kraków. 1860, tudzież Przewodnik ilustrowany do Tatr, Pienin i Szczawnicy W. Eliasza. Poznań. 1870.

mieszkańców równin charakterem, obyczajami, oświatą, a przy niektórych wadach, mających zalety tak piękne, tak ujmujące, że jedna sobie najszczerzą życzliwość i przychyłność każdego kto go pozna bliżej.

W opisach moich pozwoliłam sobie zupełnej swobody; opowiadam wycieczki tak jak je odbywałam, bo sądzę że te rozmaite drobne przygody wędrowców, nie będą bez zajęcia dla czytających, a tém lepiej dadzą poznać przyjemności i niewygody jakich można doświadczyć w górach.

Dla tych którzy już zwiedzali Tatry, taki opis, budzący własne wspomnienia, będzie jak ów kwiateczek górski zasuszony w książce na pamiątkę i wywołujący z zapomnienia owe chwile prawdziwie swobodne, co jak sen uroczy rozjaśniły życie powszednie nieraz tak bezbarwne i ciężkie.

Może też mój opis, choć niewprawném piórem kręślony, zachęci kogo, aby wprzód nim pojedzie podziwiać alpejskie lodowce, zboczył do naszej polskiej Szwajcaryi i w szaleście góralskim wychylił kubek żentycy z ręki gościnnego bacy pierwój, nim w zagranicznym hotelu zabiegliwy Niemiec, z układnym a obłudnym uśmiechem, poda mu po polsku przepłaconą filiżankę kawy.

Jeżeli moje „*Obrazki*“ zajmą przejemnie jaką chwilę przy wspólném czytaniu w kółku rodzianém, a Tatom nowych wielbicieli zjedną, będzie to sowitą nagrodą téj drobnój pracy, której jedyną zaletą sumienność i wierność.

Droga z Krakowa do Zakopanego.

Po gładkim szlaku kryty cieniem chłodu
Pomyka wózek, za nim pyłu chwura;
W mgłę toną wieże, nikną szczyty grodu,
W wspaniałym gmachu wita mię natura!
J. N. K.

Nauczeni własnem doświadczeniem, jak trudno w górach natrafić na kilka dni ciągłej pogody, która jest koniecznym warunkiem powodzenia każdej takiej przejażdżki, wybierając się powtórnie na zwiedzenie Tatrów, umyśliliśmy zamieszkać przez kilka tygodni w Zakopanem, wsi u ich podnóża leżącej i stamtąd dopiero upatrzwszy czas pogodny, odbywać wycieczki w góry.

Położenie tej górskiej osady w rozkosznej podtatrzańskiej dolinie, bliskość gór, czyste powietrze cudownie działające na zdrowie, poczciwość i prostota ludu, jego życzliwość i przychylność dla nas, wreszcie wygoda w mieszkaniu i utrzymaniu, tak nas znęciły a nawet przywiązały do Zakopanego, że prawie corocznie za nadejściem lata spieszyliśmy tam, aby ducha pokrzepić widokiem wspaniałej natury, a sił i zdrowia zaczerpnąć na rok cały.

Najprzyjemniej wyruszyć w drogę jak najranięj, bo poranek rozlewa niezrównany urok na całą okolicę,

a powietrze ochłodzone przez noc, technie orzeźwiająca świeżością którą mu później skwar słońca odbiera. Wózek góralski lekki i zgrabny, najstósowniejszym jest do tój podróży¹⁾.

Minąwszy Podgórze i leżące za niem cegielnie, najcudniejsza okolica roztacza się przed oczami naszymi. Nie zbyt wyniosłe wzgórza, będące wstępnyim szczeblem do lesistych Bieskidów wznoszących się coraz wyżej w oddali, okrywają urodzajne lany dojrzewającym kołyszące się zbożem; kwieciste łąki, ożywione nieraz wężykiem wijącą się strugą, zaścielają dolinki. Gaiki i laski po większej części olszowe, bukietami porozrzucane, urozmaicają tę malowniczą okolicę, zasianą pięknie położonemi wioskami; majowa zieloność stroi gaje i trawniki, na których jakby miliony brylantów błyszczą obfitój rosy kropelki. Skowronek ten luby wiosny śpiewaczek, nuci wesoło swą prostą, serdeczną piosenkę tak dobrze wtórującą uczuciu swobody i niewinnego szczęścia, jakiem widok tój pięknej okolicy napełnia duszę. Zostawiamy na lewo Swoszowice, słynne kopalniami siarki i kąpielami siarczanemi, a przebywszy kilka pagórków, zatrzymujemy się na Mogiłańskiej górze (1273 stóp n. p. m.). skąd na całą okolicę wspaniały przedstawia się widok. Za nami w rozległej dolinie Wisły pozostał stary nasz Kraków z mogiłami przeszłości,

¹⁾ Zwyczajnie przyjeżdżał po nas furman umyślnie przysłany ze Zakopanego; ktoby jednak nie miał sposobności zamówienia go stamtąd, może z łatwością wystarać się o wózek góralski w dzień targowy na Kleparzu lub Podgórze, bo górale od Nowego Targu lub Szczawnicy, podejmują się chętnie dla zarobku zwozić kilka mil drogi. Zakopianie bywają z żelazem we czwartek i sami się wywiadują o podróżnych którychby mogli zabrać z powrotem. Zapłata za zamówiony parokonnny wózek wynosi 12—15 zlr.

z grobami królów, których popielił Wawel w swoich przechowyje murach.

Lubo Kraków nie może się pochlubić tą zewnętrzną świetnością, tym ruchem i życiem, jakim oddycha Warszawa, Lwów, że już nie wspomnę o wielkich Europy stolicach, ma jednak jakiś urok niepojęty, podobny temu, jakim caotliwe życie skroń starca otacza; witamy go zawsze ze czcią i radością, żegnamy z żalem i tęsknotą. I ja nie mogłam się oprzeć temu uczuciu; długo z rozrzewnieniem patrzyłam na to miasto sławne, ostatnie zasyłając mu pożegnanie, bo z Mogilau ostatni raz widzieć je można.

Zwróciwszy się w przeciwną stronę, witamy ów uroczy i tajemniczy świat gór, które stąd tak majestatycznie się przedstawiają. Głęboka dolina, już około 300 st. wyżej położona niż dolina Wisły przy Krakowie, oddziela pasmo wzgórzów po największej części ornemi polami okrytych, nad którymi panuje góra Mogilańska, od coraz potężniejszych grzbietów lesistych Bieskidów. Na południowo-zachodnim krańcu widnokreśgu, rysuje się niepewnie poważna Babia góra; bliżej i więcej ku zachodowi widać sterczące zwaliska zamku Lanckorony i bielejące mury Kalwaryjskiego kościoła. Tajemnicza szarą mgłą zasłona zakrywa najczęściej szczyty Tatrów, wystrzelające wysoko ponad rozłożyste grzbiety Bieskidów, niby wieże tej olbrzymiej strażnicy południowych granic Polski. W mojej jednak wyobraźni rysowały się zawsze Tatry na tle zachmurzonego nieba, a wietrzyk zdawał się szeptać słowami poety:

W góry! w góry! miły bracie!
Tam swoboda czeka na cię:
Na szalasy, do pasterzy,
Gdzie ze źródła woda bieży,

Gdzie się serce z sercem mierzy,
 I w swobodę człowiek wierzy!
 Tutaj silniej świat oddycha,
 Tu się szczerzej człek uśmiecha,
 Gdy się wiosną śmieją góry.

Jakże mi się długimi wydawały te kilkanaście godzin, które mnie dzieliły od upragnionego celu podróży! Jak wielką kilkunastomilową przestrzeń, którą bym była ptakiem przelecieć rada, a którą jednak zwolna trzeba było przebywać.

Na samym wierzchołku góry Mogiłańskiej, tuż obok drogi, stoi kościółek pięknym okolony cmentarzem; tu w cieniu drzew wypocząwszy nieco, puszczaemy się w dalszą podróż.

Pół mili za Mogilanami opuszczamy wyborny gościniec cesarski, a zwracamy się boczną drogą ku Myślenicom. Piękna droga zachwyca nas ciągle. Zpomiedzy wiosek rozrzuconych malowniczo po wzgórzach, wspominaam Głogoczów z murowanym kościołem bielejącym już zdala w wysmukłych topoli wianku, i Jawornik, przy którym boczna droga raz jeszcze nas wyprowadziła na gościniec podkarpacki ku Myślenicom wiodący.

Miasteczko Myślenice dosyć schludne i miłe, leży bardzo malowniczo nad rzeczką Bysinką w dolinie Raby, z trzech stron nie zbyt wysokimi otoczone górami. Obszerny rynek okalają wcale porządne, po części na piętro murowane domy; kościół parafialny, z powierzchowności przynajmniej, piękny; jakim jest wewnątrz, powiedzieć nie umiem, gdyż w nim nie byłam. Drugi kościółek w końcu miasteczka stojący, ocieniają sędziwe lipy, nieodstępne stróże wszystkich kościołów w tych okolicach. Żydostwo tak zgubne dla przemysłu i obyczajów kraju, zagnieżdżone i rozpanoszone w niejednym mieście naszym, do którego mu dawne przywileje przystępu wzbraniały, długo znajdowało opór w tutejszym

mieszcząstwie i z tego względu Myślenice pomiędzy polskimi miasteczkami rzadki stanowiły wyjątek. Dziś i to małe miasteczko już jest zalane tym żywiołem, coraz większą w naszych czasach zdobywającym przewagę.

Za Myślenicami wjeżdżamy w uroczą dolinę Raby. Po obu jej stronach wznoszą się wyniosłe góry, uwieńczone ciemnymi lasami, odziane po bokach najrozmaitszą pól i łąk szachownicą, i przystrojone rozkosznymi gaikami których majowa zieloność temi piękniej odbija od ciemnych jodeł, świerków i sosen, wplatających się gdzieniegdzie w ten wiosenny wianek. Wspaniała góra Strzebel (3087 st.) wznosząc się w głębi i nad całą panującą okolicą, zamyka dolinę, której środkiem płynie bystra Raba, przyjmując w swe kamieniste łóżysko mnóstwo szumiących potoków i strumieni, z pobocznych dolin i wąwozów. Cała ta dolina jest zamieszkałą. W całej jej długości roz-sypane zagrody dwóch rozległych wsi, Stróży i Pcimia. Chaty góralskie małe, niskie, dosyć ubogie, po części, słomą, po części gontami kryte, porozrzucane pojedynczo, czepiają się pochyłości gór. Jedne tulą się pod skalę sterczącą tu i owdzie z pomiędzy zarośli tak wysoko, że się wydają jak szałas pasterskie; inne po brzegach lasów samotne, jak domki pustelnicze; inne wreszcie, nie lękając się często wzbierającej, a wtedy niebezpiecznej Raby, rozsiadły się nad zielonym jej brzegiem w wianku sadów, któremi słynie ta okolica. Tu na wzgórzu bieli się mała kapliczka ocieniona kilką rozłożystemi drzewami; dalej z pomiędzy wysmukłych topoli, poważnych lip i brzoź, wystrela wieżyczka schludnego kościołka w Pcimie. Gdzie okiem rzucić, wszędzie uderzają nas widoki tak malownicze, tak czarujące, że w prawdziwem zachwyceniu przebywamy tę dolinę do dwóch mil długą.

Pod względem rolniczym dolina Raby nie bardzo pocieszający przedstawia widok. Urodzaje w ogólności

liche i późne, nie wynagradzają tutaj dostatecznie mokołu i trudu, z jakim jest połączona uprawa jałowej ziemi w górzystej okolicy. Raba, ta piękna Raba, której szum ożywia i rozwesela tę cudną okolicę, przyczynia się także do nędzy górali, zamieszkujących jej brzegi. Częste i gwałtowne wylewy tej bystrzej rzeki, zamieniając uprawne pola w kamieniste odsepiska, są prawdziwą dla tych okolic klęską. Jakkolwiek nie szczędzono pracy i trudu, aby zapobiedz zniszczeniu, jakie sprawiają tutaj wylewy, jednak w czasie wielkiego wezbrania wszystkie te środki są bezskuteczne. W gwałtownym pędzie woda rozrywa tamy i groble, przełamuje wszystkie zapory, zalewając pola i pastwiska nadbrzeżne.

Droga górzysta wprowadzić, ale dobrze utrzymana, wije się od północy ku południowi zachodnim brzegiem Raby; to wspina się po urwistym jej brzegu, to znów spuszcza się ku rzecce. Za Peimiem była ona dawniej bardzo przykłą, ciągnęła się bowiem niziną ponad samą Rabą; po dłuższych zwłaszcza deszczach, koła grzęzły głęboko w błocie, a do tego parę razy trzeba było w bród przejeżdżać Rabę i wpadające do niej potoki, za każdą nawałnicą bardzo nagle wzbierające. Od kilku lat poprowadzono wygodną drogę znacznie wyższą, co wraz z mocnymi tamami ochroni ją zapewne od uszkodzenia przez częste wylewy.

Pół mili za Peimiem, dojeżdżamy do Lubnia rozległej wsi góralskiej, położonej po części jeszcze w dolinie Raby, po części zaś w dolinie potoku Krzczówki, u stóp Strzebla, owej pięknej góry, którą od Myślenic prawie ciągle mieliśmy przed oczyma, z razu powleczoneą niebieskawą mgłą, zwolna coraz pewniejszemi, wyrazistszemi malującą się barwami, a nareszcie występującą w strojnej szacie pól, łąk i lasów jej wierzchołek okrywających. W Lubniu jest kościół parański z błyszczącą wieżyczką wystrzelającą po nad niskie dachy gęsto około

niego skupionych domków. Piękny cmentarz zacieniony staremi drzewami, otacza ten kościółek wewnątrz dosyć obszerny i schludny. W Lubniu można mieć porządną nocleg w karczmie przy kościele utrzymywanej przez katolików; kto jednak wczas z rana wyjedzie z Krakowa, ten wypocząwszy tutaj może za wieczornego chłodu jechać jeszcze parę mil dalej.

Pożegnawszy w Lubniu małą dolinę Raby, zwracamy się na zachód w wąską dolinę na której dnie, wody potoków Lubieńki i Krzczówki, nagromadziły masę drobnych kamieni naniesionych z gór w czasie wiosennych roztopów i częstych wylewów po nawalnych deszczach. Wygodną, od paru lat dopiero zrobioną drogą, przez nędzną wioszczynę Krzczów, z małym kościółkiem na wzgórzu, dojeżdżamy do grzbietu Małego Lubonia (2747 st.), który niby wał szeroki zaległ przed nami, dalszy zamykając widok. Pół mili na wschód leży Wielki Luboń (3253 st.). Jestto najwyższy szczyt jaki napotykaemy na drodze z Krakowa. Ciemne świerkowe lasy okrywają góry wznoszące się dokoła; tu i owdzie zieleni się polanka lichego owsa z wielkim mrozem na tak przykrych uprawianego pochyłościach; reszta ziemi nikłą porośniętą trawą, leży odlogiem. Takąto smutną, nieurodzajną i bezludną okolicą, prowadzi droga wspinając się coraz wyżej, przebywamy bowiem zachodnie ramię Małego Lubonia. Jeżeli służyła pogoda, całą tę drogę odbywaliśmy pieszo, raz dla ulżenia biednym koniom które dobrze się zapocą ciągnąc pod górę, a potem idąc pieszo, prędkiej stajemy na Lubońcu, skąd poraz pierwszy w tej podróży mamy ujrzeć Tatry w całym majestacie.

Nim jednak ukaze nam się upragniony cel wędrówki, wprzód inny zajmuje nas widok. Po prawej stronie drogi, t. j. na zachód, wystrzela nad lasem szczyt wysmukły, skalisty, odziany błękitną mgłą oddalenia.

Nieznający położenia, szczyt ów wziąć może za jakąś turnię tatrzańską co wybiegła naprzód jakby na powitanie wędrowca. Ale w miarę jak wznosimy się wyżej, szczyt ów wydaje się coraz rozłożystszym, coraz ciemniejszą przybiera barwę i nareszcie staje przed nami w całym majestacie dobra nasza krakowska znajoma królowa Bieskidu Babia góra (5448 st.). Otoczona całą gromadą sióstr swoich, wznosi nad niemi dumne czoło, zwykle aż do św. Jana smugami śniegu świecące. Na wschód i północ legły koło niej miasteczka Jordanów, Maków i Sucha, oraz mnóstwo wiosek rozsypanych po dolinach pod opieką poważnej Tatrów sąsiady, z grzbietu Lubonia $4\frac{1}{2}$ mili odległej. Przejeżdżając tędy, zawsze z szczególnem upodobaniem spoglądaliśmy na tę wspaniałą górę przenosząc się wspomnieniem na jej szczyt, na którym przed kilku laty spędziliśmy parę godzin. Całe to panorama jakkolwiek bardzo malownicze i piękne, jest tylko jakby wstępem do nierównie wspanialszego widoku jaki nam się ma przedstawić z grzbietu Lubonia. Tam zwracamy mimowoli wzrok nasz, przyspieszamy kroku i stajemy nareszcie.

Co za widok! Podobne do masy chmur sinych, groźnie spiętrzonych, białemi smugami śniegu poprzerwanych, do olbrzymiego muru w najdziwaczniejsze poszczerbionego zęby, Tatry rozwijają się przed nami całym łańcuchem. Lekkie tumany mgły i obłoków fantastycznych kształtów, stósownie do pory dnia, oblanych rumieńcem jutrzeńki, ozłoconych jasnym promieniem słońca lub gorejących świetną purpurą zachodu, unoszą się ponad szczytami, czepiają się skalistych iglic i podwyższają jeszcze urok tego czarodziejskiego obrazu. Kto raz tak widział Tatry z Lubonia, ten ich nie zapomni nigdy. Znający dobrze położenie i kształty szczytów tatrzańskich, może stąd rozróżnić dokładnie pojedyncze iglice, a nawet rozpoznać niższe wierchy i grzbiety.

Nie każdy jednak ma szczęście ujrzeć stąd Tatry w całej wspaniałości; bardzo często bowiem, nawet przy najpiękniejszej pogodzie gruba warstwa obłoków zalega na szczytach, gęsta mgła spuszcza się do samych ich stóp i tylko gdzie niedzie przez tę szarą zasłonę prześwieca płat śniegu lub czerni się naga opoka; a czasem we mgłach i chmurach tonie całe pasmo tak, że niktby się nie domyślił co się ukrywa po za tą grubą oponą.

Z Lubonia, gdzie jest licha karczemka, zjeżdża się raz jeszcze w dolinę Raby, tracąc z wolna wspaniały widok Tatrów. Wyborny gościniec prowadzi koło kościółka św. Sebastyjana, przez wieś Skomielną Białą. Okolica ciągle prześliczna. Na prawo, t. j. ku zachodowi, wspaniały krajobraz Babięj góry, na lewo dobrze uprawne pola i malowniczo rozsiane zagrody Skomielnej, wśród gęstych sadów i innych drzew liściastych, których różnaitością tu poraz ostatni oko ubawić się może; w miarę bowiem zbliżania się ku Tatom, ustępują one z wolna miejsca jodłom i świerkom. Tak dojeżdżamy do karczmy zwanęj Zabornia, gdzie można mieć wygodny nocleg lub popas. Przejechawszy po moście tu jeszcze wązką i cicho płynącą Rabę, a zwracając wzrok za jęj biegiem, widzimy w głębokiej dolinie wieś Rabkę z kościołem fundowanym w r. 1570 przez Spytka Jordana z Mielsztyna wojewodę, a później kasztelana krakowskiego, pochowanego w Krakowie u św. Katarzyny. On także zbudował powyżęj wspomniany kościółek św. Sebastyjana. Nieco na wzgórzu widać zabudowania należące do zakładu kąpielowego; w Rabce bowiem są źródła lekarskie jodowo-bromowe.

Droga wznosząca się z wolna pod górę, doprowadza do kościółka św. Krzyża stojącego już bardzo wysoko na grzbiecie Obidowęj (2255). Kościółek ten drewniany szerniały wiekiem, ocieniony pięknymi starami lipami, stoi zupełnie samotny. Dwa razy tylko do roku, t. j.

w dzień Znalezienia i Podwyższenia św. Krzyża odbywa się tutaj nabożeństwo. Wtenczas napływają tłumy okolicznego ludu i gorącą modlitwą wynagradzają niejako to opuszczenie, w jakim zostaje ten starodawny kościółek z powodu osamotnionego położenia. Z cmentarza bardzo rozległy i piękny widok na całą okolicę. Piętrzą się w amfiteatr wyniosłe góry, ciemnymi płatami borów odziane, wśród których zielenią się lichego owsa polanki, lub nikła, spalona szarzeje trawa. W głębokich dolinach i wąwozach widać rozległe wsie, rozsypane jakby mrowisko i ożywiające tę dziką okolicę, nad którą króluje poważna Babia Góra; mianowicie: od zachodu leży Sieniawa, Raba wyżna, Rokiciny, Habówka, a opodal za Skawą bieli się dwór w Wysokiej. Na południe widok mniej jest rozległy, lubo więcej jeszcze obiecujący. Tu wystrzelają to pojedynczo, to w oddzielnych grupach, szczyty Tatrów, dające się domyślać majestatu, jaki uderzy zdumione oko, gdy w jeden łączą się łańcuch. Jakoż jadąc coraz wyżej drogą wijącą się jak biała wstęga po grzbiecie Obidowój, wkrótce mamy przed sobą całe pasmo już nie w mglistej, tajemniczej powłoce, jak z Lubonia, ale olbrzymio, groźnie sterczące tuż przed nami. Wszystko, co bym powiedzieć mogła dla oddania słowami tego widoku, nie da odpowiedniego wyobrażenia o tych ostrych, smugami śniegu okrytych, nagich i poszarpanych szczytach, nurzających się w obłokach. Poetom to jedynie dano, nie tylko czuć żywo wielkość i piękność cudów stworzenia, ale oraz czucie to natchnionem słowem w dusze drugich przelewać. Poeta też w kilku prostych wyrazach lepsze dał wyobrażenie o widoku na Tatry, trafniej je odmalował, niżby to najmiejtniejsza potrafiła proza:

Jak potopu świata fale
 Zamrożone w swoim biegu
 Stoją nagie Tatry w śniegu,
 By graniczny słup zuchwale!

Te słowa „*Pieśni o Ziemi naszej*“ stawały mi zawsze w myśli, patrząc na Tatry z Obidowskiego gościńca; porównywałam je z widokiem, który je natchnął, a dziwiąc się ich trafności, piękności i mocy, wielbiłam je-niusz poety. Jakoż zaiste tylko z rozhukanemi bałwanami oceanu, zlodowaciałemi nagle w swym pędzie, za jedném skiniciem wszechmocnej ręki, można porównać to pasmo skał dziko porozrywanych, wznoszących się prostopadłą ścianą z nowotarskiej doliny; a ten śnieg wielkimi smugami zalegający ich boki, to niby biała piana powstała w starciu się fal olbrzymich.

Z Obidowój, ostatniej góry w pasmie Bieskidów, zjeżdżamy na Podhale¹⁾, w obszerną dolinę nowotarską, Bieskidy od Tatrów dzielącą. W miarę, jak się spuszczaemy na dół, coraz szerzej rozściela się przed nami ta piękna dolina, stanowiąca wielką, niemal czworoboczną, pagórkowatą płaszczyznę, ze znacznem ku północy pochyleniem i trzema głębokimi klinowatemi wyżłobieniami, Czarnego i Białego Dunajca i Białki.

Dolinę nowotarską zamyka od południa olbrzymi łańcuch Tatrów; na zachód przedziela ją od doliny orawskiej nieznaczny wał, ciągnący się od gór bieskidzkich, a mianowicie od Łysój góry (2542 st.) ponad Spytkowicami, na wioski orawskie Piekielnik, Hładówkę i Suchą-Horę ku Magórze tatrzańskiej ponad źródłami Orawicy. Długość tego wału wynosi mil dwie, średnie wyniesienie jego nad poziom morza około 2000 st., a nad średnią wysokość doliny nowotarskiej (1845 st.), około 150 st. Ten niepozorny garb, stanowi oraz dział

¹⁾ Nazwa Hale, w mowie górali, oznacza w ogólności Tatry, stąd okolice u stóp ich leżące, zowią Podhalem, a mieszkańców Podhalanami.

wodny między przyplływami Dunaju i Wisły, mającemi niemal równoległe koryta z przeciwném pochyleniem (Dunajec Czarny i Biały z Białką ku północy, Orawa ku południowi). Na wschód rozciąga się dolina nowotarska po zachodni kraniec Pienin, ku Czorsztynowi, oddzielona od doliny spizkiéj pasmem wzgórzów przypierającym do spizkiéj Magóry, a ciągnącym się od Zdzaru ponad Dunajcem ku Niedzicy naprzeciw Czorsztyna. Od północy dolina nowotarska przypiera do Bieskidów. U ich stóp, przy połączeniu się Czarnego z Białym Dunajcem i zwróceniu się jego pod prostym kątem ku wschodowi, rozłożyło się miasteczko Nowy targ będące główném ogniskiem góralskiego handlu. W północno-zachodniej stronie widać na dolinie Ludźmierz, starodawną siedzibę Cystersów, a dalej gdzie się wije lśniąca wstęgą Dunajec, bieli się pod lasem rozległa wieś Czarny Dunajec. Na wschód u stóp skalistych dziko porozrywanych Pienin, sterczą zwaliska Czorsztyna. Spuszczając się z Bieskidów w dolinę, pociesza widok coraz żywniejszój i lepiej uprawnéj ziemi. Prócz owsa, będącego zawsze najgłówniejszym plonem tych okolic, widać już żyto i jęczmień; ziemniaki, len, groch i kapusta zielenią się na zagonach. Lepszy byt mieszkańców widoczny w porządnym zabudowaniach wiejskich, około których się przejeżdża.

Zjechawszy na nowotarską dolinę, poznajemy najlepiej, jak bardzo się różnią układem i kształtem pasma Bieskidów i Tatrów. Pierwsze będące częścią łańcucha Karpat zatoczonego 120 mil długim łukiem od Brzetyśławy do Orsowy na granicy Wołoszczyzny, składają średniej wysokości góry, których grzbiety okrągłe, rozłożyste, mają kształt falisto pagórkowaty. Wszystkie, wyjąwszy najwyższą z pomiędzy nich Babią górę, której szczyt nagą świeci opoką, do samych wierzchołków okrywają ciemne lasy, lub nikła trawa. Na pochyłościach

ich do znacznej wysokości uprawiają owies i ziemniaki, jedyne plody téj jałowej ziemi.

Łańcuch Tatrów leżący w obwodzie saudeckim, na samej granicy węgierskiej, obszerną doliną nowotarską oddzielony od pasma Bieskidów, ma tylko 6 mil długości. Stanowią go nierównie wyższe, skaliste, dziko poszarpane turnie przez większą część roku okryte śniegiem, który w wąwozach i rozpadlinach nie topnieje nawet w czasie letnich upałów. Boki ich okrywają świerkowe lasy, w wyższych częściach rośnie już tylko kosodrzewina, a wysmukłe, po większej części ostro zakończone szczyty są zupełnie nagie. Od południa, za olbrzymią Tatrów ścianą, rozciąga się komitat liptowski, a po części i spizki. Od zachodu legła Orawa, między zachodniem Tatrów ramieniem czyli tak zwanemi Halami liptowskimi od południa, a Bieskidami aż pod Babią górą od północy; na wschód leży ziemia spizka. W téjto wschodniej części Tatrów, na Spiżu wznosi się Łomnica, Lodowa turnia, szczyt Gerlachowski i inne olbrzymy najwyższe z całego łańcucha. Krywań należący także do rzędu najwyższych szczytów, leży na Liptowie.

Z północnej pochyłości Tatrów od strony Galicyi wypływają Czarny i Biały Dunajec, za Nowymtargiem w jedną łączące się rzekę, do której niemal dwie mile dalej na wschód wpada Białka wypływająca z Morskiego Oka.

Granica Węgier, poczynszy od Wołowca (6533 st.), ciągnie się samemi wierchami tatrzańskimi przez Pyszna, Babie-nogi, Tomanową, Czerwony Wierch, Kondratową, Goryczkową; dalej od Swinnicy, turniami po nad Pięciu stawami, Morskiem Okiem i Czarnym stawem, zwracając się tutaj pod prostym kątem na północ ku Białce. Spuszczając się ciągle w dolinę, napotykamy bardzo rozległą wieś Klikuszowę, której chaty jakby mrowisko rozsypały się nad potokiem Klikuszówką. Da-

lój mijamy osady Niwę i Łasek, zdążając do Nowegotargu, który malowniczo rozkłada się przed nami na tle olbrzymiej ściany Tatrów. Wysoka wieża kościoła świecąca zdaleka pokryciem z białej blachy i murowany ratusz, nadają temu miasteczku powierzchowność o wiele okazalszą niż jest w istocie. Długa ulica zabudowana prostymi drewnianymi chatami, stauowi przedmieście Nowegotargu. Domy te wprawdzie bez kominów, ale porządne; wszędzie przed oknami małe kwiatowe ogródki.

Tuż nad drogą, przy samym wstępie do miasta stoi na wzgórzu bardzo starożytny kościółek św. Anny. Niesie podanie, że w bardzo dawnych czasach, kiedy teraźniejszą Nowegotargu posadę głębokie okrywały bory, zbójcy ukradłszy na Węgrzech obraz, zbudowali w lesie kościółek i w nim zdobyłszy swoje umieścili. Ten tradycyjny obraz przedstawia Przenajświętszą Rodzinę i znajduje się dotąd w wielkim ołtarzu. Nie wiadomo czy dzisiejszy kościółek modrzewiowy jest ową pierwotną zbójcką budową; to tylko pewna że stoi już od r. 1219. Nie ma on własnych funduszków i utrzymuje się jedynie składkami pobożnego bractwa, które w nim odbywa swoje nabożeństwa. Obok tego kościółka jest cmentarz miejski.

Przejechawszy most na Dunajcu, stajemy na obszernym rynku Nowegotargu, którego środek zajmuje ratusz a boki po części niskie domki, po części zaś porządne piętrowe kamienice, których coraz więcej przybywa. Tu jest oberża, sklep korzeenny, apteka, poczta i kilka żydowskich sklepików, w których dostanie rozmaitych towarów. W ulicach i uliczkach miasta wszystkie domy drewniane, a co najgorsza, że prócz rynku mającego bruk jaki taki, wszędzie błoto nawet wśród lata, a cóżto dopiero dźiać się musi na wiosnę lub w jesieni! Kościół parafjalny dosyć obszerny założony

w r. 1343 przez Kazimierza W. stoi nieopodal rynku w ciasnej uliczce.

Prócz urzędników stanowiących arystokracją miasteczka, Nowy targ liczący blisko 4000 ludności przez samych prawie zamieszkały jest górali, pośród których osiedla się i mnoży coraz liczniej handlujące, oszukujące i spekulujące w różny sposób żydostwo. Górale w Nowym targu nie są jeszcze owym ludem dorodnym i dzielnym jaki zamieszkuje doliny u samych stóp Tatrów leżące; ubiór ich nawet przypomina górali bieskidowych. Gunie noszą długie za kolana sięgające, kapełuszki okrągłe z dość szerokimi skrzydłami.

Najdawniejsze wzmianki o osadach w dolinie nowotarskiej, sięgają początku 13 wieku. Roku 1234 założony został klasztor Cystersów w Ludźmierzu o pół mili od Nowego targu, kilka lat później, (1245) dla rozbojów, do Szczerzycy przeniesiony. Są na to dowody historyczne, iż założyciel rzeczono go klasztoru, Teodor hrabia na Ruszczy wojewoda Krakowski 1204 r. otrzymał przywilej na wykarczowanie lasów i osadzanie kolonij w dolinie nowotarskiej. Ludźmierz i Nowy targ mają tu być najpierwszemi osadami. To osadzanie, do którego prawo dostało się później Jordanowi Spytkowi, szybko postępowało, gdyż prócz Nowego targu, Długopole, Klikuszowa, Waxmund, Ostrowsko, Dębno, Szaffary nad Białym Dunajcem wraz z kilkoma wsiami w Bieskidach, (Podobin, Niedźwiedź, Olszówka, dochody słonego źródła w Rabce, Mszana, Kasina i Ogonówka) należały do uposażenia Ludźmierskich Cystersów. Wszystkie te wsie, prócz Ludźmierza i Krauszowa, postradali Cystersi 1380 r., a to z następującego powodu. Opat Begis zbudowany przez Cystersów zamek w Szaffarach, wypuścił w dzierżawę jakiemuś przechrzcie, który tam bił fałszywą monetę. Opat miał sobie poleczone rozkazem królewskim ujęcie tego fałszerza; gdy zaś zwlekał wykonanie tego

rozkazu, sąd wysłał swych ludzi dla pochwylenia zbrodniarza. Ten zbrojny stawiał im opór, aż Sędziwój z Szubina wojewoda kaliski i starosta krakowski, z wojskiem podstąpił pod zamek szaflarski, zdobył go i zburzył do szczytu, a owego fałszerza spalił. W skutek tego wypadku Nowotarszczyzna przeszła na króla i została królewską aż do wypadków po podziale Polski następujących, kiedy częściami w prywatne przeszła ręce.

Dziś mieszkańcy Nowegotargu w ogóle nie są zaможni. Dawniej było daleko lepiej, bo dla podniesienia miasta, był tu ustanowiony skład soli, ołowiu, glejty i innych towarów (przywilejami Zygmunta III z r. 1630 i Jana Sobieskiego z r. 1680), nadto pobierało miasto cło od towarów z Węgier lub do Węgier prowadzonych (według przywileju Zygmunta Augusta z r. 1549). Do zubożenia atoli miasta, przyczyniły się także i pożary 1794 i 1804 roku.

W Nowymtargu dzieli się gościniec bieskidzki; jedno ramię biegnie brzegiem Dunajca na wschód do Czorsztyna, a stąd do Krościenka i Szczawnicy, lub na Starąwieś przez Dunajec na Spiż; drugie na zachód do miasteczka Czarny Dunajec, a stąd na Orawę do Jabłonki, albo na Chocholów i Witów pod Tatry; trzecie brzegiem Białego Dunajca do Zakopanego stąd o $3\frac{1}{2}$ mili odległego. Drogi te są równe i wygodne.

O milkę od Nowegotargu przybywamy do Szaflar. Dwór z obszernymi zabudowaniami gospodarskimi stoi opodal przed wsią zupełnie odosobniony. Po drugiej stronie drogi wznosi się samotna dosyć wyniosła skała, od drogi zupełnie prostopadła, z drugiej strony położysta i ślicznym gaikiem odziana, na której wierzchołku stoi murowana altana. Piękną tę skałę zowią tutaj Skałką; leży ona 73 st. nad drogą, a 1935 st. n. p. m. (Z). Prowadzi na nią wygodna, niegdyś umyślnie widać

zrobiona droga, obsadzona gęstemi krzewami, wśród których rośnie mnóstwo ziół aromatyczną wonią napełniających powietrze. Dosyć obszeray wierzchołek Skałki ogrodzony jest nakształt muru ułożonymi kamieniami, po których czepiają się różne rośliny i rozścielają mchu i rozchodniku kępy. Altana zupełnie teraz zaniedbana stoi otworem; na ścianach mnóstwo napisów różnej wartości. Ze drzwi altany widok bardzo rozległy i piękny na nowotarską dolinę, na olbrzymi wał Bieskidów zachodzących już stąd lekką mgłą oddalenia, i śnieżne tatrzańskie szczyty ponad pięknym wystrzelające lasem. Przecudny stąd widok, wonne powietrze, samotność i cisza jaka tu panuje, wszystko to usposabia do słodkiego dumania i poetyczne budzi w duszy marzenia. Tu jak się domyślać można, stał ów zameczek przez Cystersów zbudowany, a przy końcu 14 wieku zburzony. Następni posiadacze Szaflar już go tu nie odbudowali więcéj, ale pod wzgórzem nowe wzniesli sobie mieszkanie.

Kościółek w Szaflarach, początkowo drewniany, w r. 1799 zmurowany; do r. 1519 parafialny, porządnie i schludnie jest utrzymywany.

Nazwa Szaflary, jak się zdaje, z niemieckiego pochodząca, każe się domyślać, że już pierwsi téj wsi mieszkańcy trudnili się chodowaniem owiec. Ze Szaflary należą do najpierwszych osad w Nowotarszczyźnie, a dla bylego tutaj zamczyska historyczne mają znaczenie. już nadmieniałam; wspomnę jeszcze, że tu i Szwedzi byli, a od poległego tutaj dowódcy szwedzkiego, pobliskie wzgórze wzięło nazwę Raniszbergu.

Ćwierć mili za Szaflarami poczyna się bardzo rozległa wieś Biały Dunajec, położona nad rzeką tegoż nazwiska, której bystrym nurtom dosyć uapatrzyć się nie można.

Dunajec to prawdziwe gór dziecię! Wyrwawszy się ze skalistój kolebki swojój, pieni się, szumi, huczy,

swawoli hałaśnie, nibyto niecierpliwi się, że mu ciasno w kamienistém łożysku; radby użyć zupełnej wolności i pohulać swobodnie po tych kwiecistych łąkach, co jakby przepyszne, różnowzore kobierce ustroiły brzegi jego. I niestety, dosyć często udaje się temu swywolnemu gór synowi zalewać i pustoszyć przyległe mu pola i łąki. Wylewy Dunajca nagłe, gwałtowne, jak te burze i nawałnice, które je sprowadzają, niszczą zasiewy pobliskie brzegom, uprawne pola zaścielają kamieniami i zrywają mosty po drodze. Gdy jednak nie ma powodzi i wody Dunajca w zwyczajnym są stanie, jest on prawdziwą ozdobą okolicy. Piękny, czysty, toczy bystre swe nurty wśród zielonych brzegów i szumi i huczy, niby gwarzy wesoło o cudach kolebki swojej, o sędziwych ojcach swoich, o tych olbrzymich turniach, które zdają się patrzeć z upodobaniem na swobodne płąsy ulubionego dziecięcia twego.

· Nie do uwierzenia jest złudzenie wzroku, jakiego doświadczamy w górzystych okolicach. Wyjechawszy z Nowegotargu, Tatry stoją tuż przed nami, zdaje się że za pół godziny będziemy już wśród nich; a jednak między nami a niemi leży jeszcze trzechmilowa przestrzeń. Jadąc przez Szafłary, Biały Dunajec, Poronin do Zakopanego, mamy je ciągle przed sobą i ciągle, jakby czarodziejska wstęga, wysnuwają się zpod stóp ich łąki, pola, gaje, pagórki, które przebyć trzeba, nim staniemy u celu podróży.

Z Białym Dunajcem styka się piękna wieś Poronin z umeblowanym od pół wieku stojącym kościołkiem, z początku filijalnym do Nowegotargu, dziś parafijalnym¹⁾.

¹⁾ Miejsce na którym stoi kościół nazywa się Bańkówka; stąd nazwa kościoła na Bańkówce. Góral nigdy nie powie kościół w Poroninie, ale na Bańkówce lub na Bańkówkach.

Stąd aż do kościoła w Zakopaném, rachują jeszcze milę drogi; wieś jednak Zakopane, zaczyna się tuż za Poroninem. Jestto najdalej na południe wysuniona i najbliżej Tatrów położona wieś na Podhalu polskiém.



Zakopane.

A jak tu miło, czysto i gładko,
I nic nie dłużne nikomu.
Powiedźcie proszę mi moja Matko,
Czy wam tu dobrze w tym domu?
W. P.

Trudno znaleźć okolicę łączącą wspaniałość z uroczym wdziękiem w równie harmonijny obraz jaki nam przedstawia dolina Zakopanego. Zachodnia część łańcucha Tatrów, stanowi południową ścianę téj doliny. Tuż nad nią sterczy poważny Giewont, ogromna skalista, zupełnie naga góra kształtem swoim różniąca się znacznie od sąsiednich wierzchów. Giewont od strony Zakopanego wznosi się niemal wszędzie zupełnie prostopadle, jakby wspaniała, skalista ściana wapienna. Sam wierzch jego tworzy długi i tak wązki grzbiet, że go do ostrza przyrównać można, a przejść po nim niepodobna. Od zachodu wznosi się najwyższy szczyt Giewontu (5959 st.) od wspomnianego grzbietu głęboką, łukowatą szczyrbą oddzielony, a jedynie od południa dostępny. Giewont jest prawdziwym królem téj okolicy; z całego łańcucha najbardziej naprzód wysunięty, wydaje się téż najwyższym, najwspanialszym ze wszystkich turni. Mieszkańcy Zakopanego nazywają go ojcem, mają dla niego jakieś szczególne poważanie. Szczyrbina jego

służy im za zegar; gdy bowiem słońce nad nią się wzniesie, jest właśnie południe.

Po prawej stronie Giewontu i nieco poza nim, wznosi się *Czerwony wiech*, (6703) znacznie od niego wyższy, na oko jednak, z powodu oddalenia, wydaje się niższym. Dalej, zawsze po tej samej stronie t. j. ku zachodowi, także bardzo wyniosły *Uplaz* (6475 st.); potem skalista masa *Kominów Kościeliskich* (4518 st.), a nakoniec już na Orawie leżąca wspaniała góra *Osobita* (4152 st.). Z lewej strony *Giewontu* widać najpierw szeroki grzbiet *Goryczków* (6324 st.), dalej dziko poszarpaną *Kasprową*, za nią sterczy skalisty szczyt *Swinnicy* (7395 st.), a tuż obok *Kościelce*. Przed nimi o wiele niższa *Magóra* (5205 st.), w której są bogate kopalnie rudy żelaznej; dalej w najdziwaczniejsze zęby poszarpany *Granat* (7090 st.) i piramidalna *Żółta turnia* (6631 st.), za którą wznosi się *Krzyżne* (6846 st.) i rozłożysty, całkiem nagi grzbiet *Wielkiej Koszystej* (7047 st.). Nieco dalej ku wschodowi, widać zupełnie odosobniony, wspaniały szczyt *Murania* (5945 st.).

Wzdłuż całego łańcucha Tatrów ciągną się wzgórze ze skalistymi wierzchołkami, po bokach ciemnymi lasami okryte, dolinami tylko lub niewielkimi polanami oddzielone od tych skalistych turni, które dumnie i groźnie piętrzą się nad nimi, niby baszty i wieże niezdobytą warowni. Wyniosłe te przedgórze, ciemnym pasem rozciągające się u stóp tego olbrzymiego grodu, zowią tu *Regłami*. Pojedyncze wierzchołki regli mają swoje oddzielne nazwy. I tak najdalej na wschód posuniony, patrząc ze Zakopanego, nazywa się *Mały Regiel*, dalej *Nosał*, *Krokiew*, *Mała Swinnica*, *Lysanki* i *Hruby Regiel*.

Prawie zupełnie równoległe do skalistego Tatrów łańcucha, na północ od Zakopanego, wznosi się wyniosłe, piękne wzgórze *Gubałócką* zwane (3540 st.), okryte

najrozmaitszą szachownicą pól, łąk, lasów i gajów. Po między Gubałówką a Tatrami legła dolina zakopiańska, niewielkimi pogarbiona wzgórkami, zasłana kwiecistym łąk kobiercem i zielonemi pól smugami; ocieniona po bokach świerkowemi lasami, przepleciona muóstwem potoków, które z szumem i hukiem w różnych pędzą kierunkach. Na téjto uroczej dolinie leży piękna, więcej niż milę długa wieś Zakopane do 3000 mieszkańców licząca, przez długi czas własność Homolaczyów, przed trzema laty sprzedana obywatelowi pruskiemu Eichbornowi. Kuźnice zakopiańskie leżą o pół mili od wsi w ciasnej dolinie wśród gór i lasów.

Początek Zakopanego dosyć dawnych sięga czasów bo około lat 300. Długo jednak nie była to wieś ale raczej osada pasterska, gdzie gazdowie t. j. gospodarze z okolicznych wsi Podhala, mieli swoje szalasy i pasali owce i bydło po polanach na które otrzymywali przywileje od królów polskich. Cała bowiem Nowotarszczyzna była królewsczą pod władzą starosty urzędującego w Nowymtargu. Królowie za uiszczeniem bardzo małych powinności, wydawali takie przywileje nietylko na polany i hale, ale oraz na karczowanie lasów. Takimto zapewne sposobem z powiększeniem się ludności Podhala, powstała z czasem nowa osada, u samych stóp Tatrów, dzisiejsze Zakopane. Oto miejscowe podanie o początkach stałego osiedlania się tutaj i nazwaniu wsi.

Przed bardzo dawnemi czasy, kiedy jeszcze cała dolina u podnóża Tatrów pokrytą była lasem nietkniętym siekierą, przywędrował w te strony jakiś człowiek z myślą zamieszkania tutaj. Na próbę czy ziemia będzie zdalna pod uprawę, zakopał kilka ziarenek zboża (niewiadomo jakiego) w miejscu zwanem teraz *Gładka*, na pochyłości Gubałówki, tuż za kościołkiem. Ziarna zesły i bujnym strzeliły kłosem, co było dobrą wróżbą dla nowej osady. Ów człowiek zamieszkał więc tutaj,

począł rąbać i karczować lasy, przygotowując tym sposobem ziemię pod uprawę. Od *zakopania* owych ziarn na próbę, powstająca osada otrzymała nazwę *Zakopane*.

Ten pierwszy osadnik miał odzienie odmienne od zwyczajnego, bo w pasy i prążki. Pasterze mieszkający tutaj przez lato, zdziwieni i rozśmieszeni tym osobliwym ubiorem, w którym upatrzyli podobieństwo do gąsienicy, nazwali nowego przybysza *Gąsienicą*. Potomkowie jego rozrodzili się bardzo i wszyscy, t. j. prawie połowa Zakopanego, noszą dotąd nazwę swego protoplasty, wszyscy nazywają się *Gąsienice*. Dla rozróżnienia się zaś pomiędzy sobą, pojedynczy gazdowie, a następnie całe pokolenia, do pierwotnej nazwy Gąsienicy, przybrali inne bądźto od imion chrześniych, bądź od miejscowości. I tak: są Gąsienice *Walczaki*, *Wójciaki*, *Sobczaki*, *Sobonie*, *Rajowie*, *Nędzowie*, *Staszczek*, *Gładczan*, *Sieczkowie*, *Sieroccy*, *Pałkowscy*, *Kasprusie* i t. d. Prócz Gąsieniców, jest jeszcze w Zakopanem kilka innych pierwotnych rodów jak np. *Jarząbkowie*, *Bachlidy*, *Tutary*, *Guly* i inni; nie są jednak tak rozrodzone, a zatem późniejsze zapewne niż Gąsienice.

Najprawdopodobniej pierwszą osadą Gąsieniców było miejsce nie opodal kościółka, gdzie dziś są zabudowania zamożnego, a rzadkiej pocziwości gazdy Wojciecha Walczaka. Nasuwa tę myśl wspaniały, piękny, najmniej trzy wieki liczący modrzew¹⁾ oceniający podwórze. Mógłby on być wprawdzie pozostałością lasów zalegających niegdyś tę dolinę, ale obok stojący, pewnie równowiekowy jesion²⁾, potwierdza w zupełności domysł, że oba te drzewa posadzone były ręką pierwszych osa-

¹⁾ Modrzew ten ma przy korzeniu przeszło 24 cale w średnicy, a wysokość jego około 80 stóp.

²⁾ Średnica jego przy korzeniu ma około 40 cali, wysokość zaś dochodzi 60 stóp.

dników około ich siedzib; nigdzie bowiem pod Tatrami jesiony nie rosną dziko. Kilkadziesiąt kroków dalej stoi jeszcze może wspanialszy chociaż cieńszy jesion¹⁾). Tak starych drzew niemasz nigdzie w Zakopaném.

Osady Gąsieniców nie są rozrzucone po wsi, ale zajmują całą jej południowo-zachodnią stronę ku Kościeliskom. Inne rody rozsiadły się znowu w innej stronie, a rozgraniczenie pomiędzy nimi stanowią potoki.

Tatry i otaczające je zewsząd lasy, były w dawniejszych czasach siedzibą złodziei i rabusiów. Kryjówki w niedostępnych górach i bliskość węgierskiej granicy, bardzo ułatwiały niecne ich rzemiosło. Sami Zakopianie, bez obcej pomocy, srodze karząc łotrów, wytępiłi ich zupełnie. Jedni przenieśli się w strony więcej sprzyjające rozbojom, inni nakoniec zakończyli życie w ręku sprawiedliwości. Żyją jeszcze gazdowie, którzy pamiętają te straszne egzekucyje: włosy stają na głowie słuchając ich opowiadań. Cóżkolwiekbydz, te surowe, a nawet okrutne kary, oczyściły całkiem Zakopane ze złodziei. Na noc nawet nie zamykano domów, nie zapierano bydła w stajni, konie zostawiano bezpiecznie na paszy, a nigdy nie zdarzył się przypadek kradzieży. Chyba że obec włóczęgi zmówili się na zrabowanie jakiego zamożniejszego gazdy, ale i to bardzo rzadko się trafiało.

Takim poznałam Zakopane w pierwszych latach naszego tam pobytu. Ale chętką do złodziejstwa wro-

¹⁾ Ma on przy korzeniu przeszło 30 cali średnicy a wysokości około 50 stóp. Stoi na miejscu otwartém, o kilkadziesiąt kroków od budynków, nie będąc niczém przycienionym, mógł się swobodnie rozrastać. Konary też jego rozpościerają się szeroko, nadając mu kształt foremny i bardzo piękny. Przy ocenianiu wieku drzew, trzeba mieć na uwadze powolny ich wzrost w tutejszym twardym, zimnym i kamienistym gruncie.

dzona, jak się zdaje, górskiemu ludowi, a może téż tradycyjnie przekazana przez przodków, przy sprzyjających okolicznościach, znowu się odezwała. Znalazł się w Zakopaném zuchwały, przedsiębiorczy i nawet morderstwa nie wzdrygający się opryszek, który w towarzystwie podobnych sobie łotrów, z różnych okolic Podhala, o parę a nawet kilka mil odległych, napadał na upatrzoną zdobycz. Przy rabunku dopuścili się nawet parę razy zabójstwa. Nie była to jednak stała i uorganizowana banda, bo tak główny herszt jak i towarzysze jego, siedzieli spokojnie na swoim gruncie, lub pasali owce w Tatrach; dopiero gdy zwietrzyli jakąś zdobycz, zmawiali się i wymykali cichaczem pod różnemi pozorami, a w jakiś czas potóm, rozchodziły się głuche wieści o popełnionym tu lub owdzie rabunku. Nie tylko że domyślano się sprawców, ale nawet bywały pewne dowody ich zbrodni, jednak niedołężna, przewlekła i niepraktycznych formalności pełna procedura sądowa, nie umiała dojść prawdy i zbrodniarzy do wyznania winy przymusić. Kto wie jak długo byłby broił bezkarnie zuchwały opryszek, gdyby nie był się wyprawił na Węgry, gdzie zrabował wiejskiego proboszcza. Tamtejsze władze sądowe z należytą sprężystością przeprowadziły śledztwo i w skutek tego zbrodniarz za popełniony rabunek skazany został na 12 lat więzienia w Lewoczy; jego téż spółnicy stósowną odsiadują karę. Z ich ujęciem, ustaly nie tylko rozboje i rabunki, ale nawet i pomniejsze złodziejstwa które się dosyć były zagęścily w Zakopaném, a dziś ta góraska osada znowu jest tak cichą i bezpieczną jak była przed kilku laty.

Od r. 1847 Zakopane stanowi osobną parafiją. Dawniej należało częścią do Chochołowa, częścią do Poronina. Kościółek tutejszy, niemal w środku wsi stojący. drewniany, maleńki, zbudowany bez żadnych ozdób, bardzo schludny i starannie utrzymany. Ołtarze roboty

prostego górala z pobliskiej wsi Gliczarowa, tak są zgrabne, że podziwiać trzeba zręczność wiejskiego rzeźbiarza. Roboty jego nierównie piękniejsze, mają się znajdować w kilku kościołach w okolicy; tutaj szczupłość miejsca stanęła mu na zawadzie. Organy roboty Sapalskiego z Krakowa 1855 r. po największej części kosztem parafijan, a staraniem ks. proboszcza miejscowego sprawione, mają głos tak piękny, że nie zrobiłyby wstydu niejednemu miejskiemu kościołowi. Tak aparaty jak inne przybory, a nawet kosztowne naczynia kościelne, są pobożnymi darami ubogiego ludu.

Po lewej stronie kościołka stoi plebanija także z drzewa stawiana, z niewielkim od frontu ogródkiem; po prawej jest cmentarz, w ostatnich latach pięknym obwiedziony murem i organistówka, a zarazem szkółka miejscowa.

Wsie podhalskie, a szczególnie Zakopane, nie są zabudowane podobnie jak np. wsie w okolicach Krakowa, gdzie domy postawione szeregiem po obu stronach drogi, tworzą ulicę. Tu przeciwnie, domostwa rozrzucone są w malowniczym nieładzie po pochyłości Gubolówki, nad brzegami potoków i po wzgórzach, któremi pogarbiona jest ta wdzięczna podtatrzańska dolina. Jedynie około kościoła, chaty uszykowały się w pewnym porządku; tu jest karczma gromadzka, tu osiedliło się najwięcej żydów mających sklepiki z trunkami i innymi towarami. Jest to więc jakby rynek zakopiański.

Napatrzywszy się po drodze z Krakowa nędznym lepiankom wieśniaczym, na Podhalu dopiero możemy się pocieszyć widokiem chat dosyć dużych, porządnych, z pięknego drzewa zbudowanych. Domy te pokryte są w górnej części gontami, w dolnej zaś dranicami. Nie ma tu zwyczaju bielienia domów tak zewnątrz jak wewnątrz.

W każdej chacie jest zazwyczaj sieni, dwie izby i komora; w jednej izbie, zwaną *czarną*, gotują i gospo-

darskie odbywają zatrudnienia; w drugiej, porządniejszej, sypiają; tu także stoi warsztat tkacki, w wielu znajdujący się domach. Ściany gładko oheblowane, często całkiem deskami obite; ścianę naprzeciw drzwi ozdabia, u góry pod powalą, gzemsik sztucznie z drzewa wyrzynany, za którym porozstawiane miski, talerze, garnuszki i dzbanuszki różnobarwnie polewane, jako téż liczne obrazy świętych jaskrawo malowane, w zwierciadlanych i szklanych ramach. Gzemsik ten nazywają *listwoq*. Zegar ścienny dość często napotkać można. Powala, pięknie zrobiona, bywa często ozdobiona rzeźbionymi listwami.

W każdej prawie izbie jest podłoga. Dokoła pod ścianami stoją długie ławy, w jednym kącie gładziutki stół jaworowy; znajdzie się czasem i parę stołków bardzo pięknie zrobionych. W szafie, w rogu izby, także różne naczynia symetrycznie poustawiane. Przy drzwiach w kącie czysto obielone ognisko z kapturem, także piec. Takie izby zazwyczaj wysokie, opatrzone dwoma oknami, bywają widne, wesołe i bardzo schludnie wyglądają, zwłaszcza kiedy nowe lub odświeżone. Czystość w nich utrzymać bardzo łatwo, bo całe wymyć można jak skrzynkę.

Chaty góralskie nie mają kominów; pomimo to jednak dym nie rozchodzi się po izbie, nie zaciemnia i nie kopci sieni, lecz wyprowadzony ponad powalę na górę, wychodzi wprost na zewnątrz. Obok domu stoją zabudowania gospodarskie: ohora, stodoła, szopy, wozownia, nie tak jak to zwykle u nas bywa, ladajako z deszczek lub chróstu sklecone, ale zbudowane prawie równie porządnie jak chata. Częstokroć te zabudowania w czworobok postawione, tworzą tym sposobem podwórze, zwykle kamiennymi płytami wyłożone. Gdzie tego potrzeba, nie zbywa prawie nigdzie na małym chodniku, prowadzącym od drogi popod ścianę do sieni.

Nie ma tu przed drzwiami owój niezbędnej u nas po wsiach kaluży, wyziewami swemi zarażającej powietrze, ale często wychodzi się wprost na śliczną łączkę. Każdy prawie dom ocienia kilka wysmukłych jesionów; drzewa owocowego nigdzie nie dostrzeże. Nie sadzą go tu wcale, gdyż długo trwająca zima, jako téż kamienista, mokra i zimna ziemia, zupełnie mu nie sprzyja i żadenby owoc nie dojrzał.

Prawdziwą ozdobą Zakopiańskiej doliny są łąki, których bujna roślinność w połowie lipca w pełnym jest kwiecie. Piękne są nasze łąki, gdy rośliny na nich zakwitną; ale krasa ich zblednie, gdy je porównamy z łąkami tatrzańskimi. Co za rozmaitość kwiatów, jaka żywość barw, jaki zapach napelnia powietrze! Jeżeli kiedy, to w porze kwitnienia łąk, czujemy wyraźnie, że za każdym odetchnieniem przybywa nam sił i zdrowia. Najpiękniejszą tych łąk ozdobą są mieczyki (gladiolus), roślina cebulkowata, którą u nas po ogrodach tylko widzujemy. Na łodydze, mającej często przeszło łokieć wysokości, rozkwita rzędem kilkanaście kwiatów w kształcie dzwoneczków, ślicznego jasnoamarantowego koloru, z blad różową odmianą we środku. Miejscami całe łąki ploną świetną tych kwiatów barwą; gdzieindziej, pomieszane z inném kwieciami, cudnie odbijają jakby bogaty rzut na tle zasłaném najpiękniejszym haftem. Mnóstwo tu także bratków, cokolwiek odmiennych od tych, jakie w równinach po polach widzujemy; zdarzają się odmiany tak piękne, że nie wiele ustępują zwyczajnym ogrodowym. Znane są zbawienne skutki téj skromnej roślinki, tu jednak nikt na nią nie zważa, koszą ją zarówno z inną trawą.

Urodzaje tutaj w ogólności liche; śniegi spadające wcześniej, leżące bardzo długo i grunt kamienisty z cieniutką tylko warstewką urodzajniejszej ziemi, nie pozwalają nic prawie zasiewać prócz owsa, ziemniaków,

lnu, kapusty i niektórych jarzyn po ogrodach, a i te szczupłe plony zawodzą bardzo często nadzieję biednych górali. Ziemiaki, zwane tutaj *grule*, od wielu lat ulegają powszechnej zarazie; owies bardzo często *osiada*, jak mówią górale, to jest nie wysypuje się i chyba na paszę dla bydła przydać się może; wreszcie zasiany późno, często nie dojrzeje i zielony, śniegi przysypią. Góral tutejszy, dopóki nie zwiezie do stodoły, nie może być pewnym swojej chudoby; owies już na pokosie leżący, jeszcze roznieść może gwałtowny wichur. przycho-
dzący od strony Giewontu, najczęściej w końcu października, albo na początku listopada; lubo i w lecie bywają wiatry tak gwałtowne o jakich na równinach nie maamy wyobrażenia. Wichur ten zrywa dachy, rozwala słabsze budynki, wywraca drzewa, wydziera trawę, zrzuca bydło pasące się po wzgórzach, roznosi wszystko, co nie zdoła oprzeć się jego gwałtowności. Górale mają niewątpliwe oznaki tego szalonego wichru; na trzy dni przed tém ukazują się na niebie chmurki tak zwane *wiatrówki*, zwiastujące nadejście uraganu. Umacniają więc dachy, spędzają bydło, koszą i zwożą do domu wszystko, co tylko mają jeszcze w polu, i jak mogą. zabezpieczają dobytek swój od zniszczenia, jakie sprawić może ten gwałtowny wichur.



Podhalanie.

Z Bogiem ludu, z Bogiem w Bogu

Boć ci dobrze w twoich górach,

Na tym owsie i żentycy,

Orły twoi współdziedzicy

I swobodny ów świat w chmurach!

W. P.

Jeżeli wspaniałe cuda górskiej przyrody, na każdym zwiedzającym Tatry silne czynią wrażenie i nieopisanym wabią ku sobie pociągiem, nie mniej zajmować nas winien lud wzrosły pod opieką tych osiwiiałych olbrzymów, lud, który od pierwszego spojrzenia uderza nas postawą, mową, obejściem; wzbudza ku sobie szczególne jakieś współczucie i chęć bliższego poznania charakteru, sposobu życia i stósunków jego. Wiem ja, że na dokładne zbadanie charakteru ludu, nie wystarczy krótki pobyt wśród niego; wiem, że tak ważne zadanie wymaga głębokiej znajomości ludzi, która jedynie może być pewną trafnego sądu rękojmią; nie mając więc ani sposobności ani zdolności do podobnych badań, zamiast lekkomyślnie stanowczo orzekać, opiszę po prostu to, co mię w góralach najwięcej uderzyło, ich cnoty i wady wybitniej wpadające w oko, ich zatrudnienia, ubiór i t. p. Ostrzegam jednak, że to wszystko, co powiem, odnosi się głównie do mieszkańców Zakopanego, których mia-

łam sposobność bliżej poznać. O ile ich przymioty i wady wspólne są wszystkim Podhałanom, nie mogę o tém sądzić, to jednak pewna, że główne rysy charakteru są jedne i te same na całym Podhalu.

Jak już wspomniałam, góral od pierwszego spojrzenia uderza nas postawą. W rysach twarzy ogólnie prawie pięknych, ściągłych i regularnych, mają pospolicie wyraz pewnej szlachetności i powagi; rozum naluje się na otwartém czole; łagodność, a obok tego bystrość i dowcip, jaśnieje w oczach najczęściej błękitnych; otwartość, szczerłość, poznasz od razu w życzliwym uśmiechu. Cera ich zazwyczaj biała, nieco ogorzała, czerstwość jednak i zdrowie oznacza. Zaiste, gdyby można zgodzić się na zdanie jednego z pisarzy naszych, uważającego szlachetność i piękność rysów jako wysokiego rodzaju spuściznę, nie zaś jako naturalny wpływ szlachetności duszy, odbijającej się na twarzy jakby w zwierciadle swoim, lub bezwzględny dar nieba, wspólny zarówno najwyższemu i najniższemu społeczeństwu klasom, Podhałan uważałby można niechybnie za jakąś odrośl książęcego szczepu, burzami losu zawianego w te niedostępne góry. Górale w ogóle są wzrostu słusznego, postawy smukłej i dorodnej. Małego wzrostu, ułomni, bardzo rzadko zdarzają się pomiędzy nimi; przeciwnie często napotkać można prawdziwych olbrzymów.

Ubiór mężczyzn zupełnie zastosowany do miejscowości, lekki i zgrabny, składa koszula krótka do pasa sięgająca, spięta na piersiach mosiężną klamrą, lub związana pod szyją czerwoną wstążeczką. Spodnie opięte krojem węgierskim, z białego sukna, czerwonymi i granatowymi sznurkami na szwach ozdobione. Gunia czyli *czucha* z grubego sukna koloru kawowego lub białego, obszywana sznurkami czerwonymi z białem, krótka, niedosięgająca kolan. Rzadko kiedy kładą ją na ręce,

najczęściej zarzucają tylko na ramiona, spinając pod szyją mosiężną klamrą. Na sukno, własne owce dostarczają im wełny, którą przędą i tkają w domu, dając potem do foluszów, których kilka znajduje się w Zakopanem i wsiach okolicznych. Sukno kawowe nie jest farbowane, lecz zrobione z naturalnej wełny. Biodra ściskają bardzo szerokim pasem, nieraz pod same pachy aż na piersi zachodzącym, zapinanym z przodu na kilka dużych mosiężnych sprzączek; niekiedy dla większej ozdoby nabijają go wielkimi świecącymi guzikami. W tym pasie jest kaleta na *dudki* (pieniądze) i *habrykę* (tytoń). Głowę osłania kapelusz okrągły z wążutkami skrzydłami, ozdobiony opaską z białych muszelek nawleczonych na sznurek, zwanych *kostkami*, lub, u młodych elegantów, pasową wstążką i bukietem kwiatów. Długie włosy spadające na plecy i ramiona, wysmarowane masłem, już tylko u starych gazdów i *juhasów* (pasterzy) widzieć można; młodszy zazwyczaj strzygą głowę. Na nogach uoszą skórzane kierzpce przysznurwane rzemykami; obuwie to lekkie i wygodne do spinania się po górach, jedynie tylko od skaleczenia zabezpiecza nogę, nie chroniąc jej bynajmniej od przemoczenia; o co zresztą górale nie wiele dbają, bo kiedykolwiek zupełnie ubrani przechodzą w bród potoki.

Ubiór *juhasów* nieco się różni od opisanego powyżej. Stanowi tę różnicę koszula napuszczona tłuszczem, jedna na całe lato, zupełnie czarna i połyskująca jak jedwabna. U szerokich otwartych rękawów wiszą kutasy z kolorowych paciorków i inne świecące ozdoby. Pas szerszy jeszcze niż zwyczajny z mnóstwem łańcuszków i rzemyków, a nareszcie *serdak*, t. j. kożuszek krótki do pasa bez rękawów. *Juhasy* nie zdejmują go przez całe lato, na wielkie tylko upały odwracają włosem na wierzch. Przez plecy przewieszają wielką wełnianą torbę z długimi frendzlami. Kapelusz

ozdabiają suto łańcuszkami, paciorkami i piórem z jakiego ptaka. Krótkiej fajeczki góral prawie nigdy z ust nie wypuszcza.

Urodzony wśród gór, nazwyczajony od dzieciństwa do wdzierania się na skały i przebywania najprzykrzejszych miejsc, góral nabiera tój giętkości w postawie, tój lekkości i zręczności w ruchach, jakiej próżnobyśmy szukali u mieszkańców równin. Nic piękniejszego nad widok górala wśród skał, przepaści, urwisk, na oko zda się że chyba kozom dzikim przystępnych. Tu on prawdziwym panem i królem. Z całą swobodą i pewnością przeskakuje z kamienia na kamień, czepia się gładkiej, pochyłej opoki, nieustraszoném okiem zagląda w bezdenną przepaść, a czoło jego promienieje dumą i radością, bo on tu jest w swoim żywiole. Ta dzika natura jest prawdziwą matką jego, on jej synem nieodrodnym, kochającym ją całą miłością poczciwego serca. To tóż pasterstwo jest najulubieńszém ich zatrudnieniem; trudy, niewygody, niedostatki takiego życia, jakie juhasy pędzą przez lato, narażeni na słoty, burze, wichry, nieraz na śniegi i zimna, milsze im, niż spokojność i wywczas, jakich używają w domu.

Gospodarstwo górali co do bydła, całkiem się różni od naszego, co jest naturalnym miejscowości wynikiem. Nieplodne i jałowe grunta tutejszych osad, nie mogą wyżywić licznej ludności osiadłej w dolinach u stóp Tatrów, tego gniazda śniegów i lodów, zimnym oddechem swoim mrozących długo biedną ziemię. Gdy u nas poła zielenią się ozimina, łąki wdzięczą kwieciami, liściami stroją drzewa, tu jeszcze zimno, smutno, nago i odarto. Około połowy Lipca, owies dopiero się wysypuje w Zakopaném; w Bukowinie, wsi znacznie wyżej i bliżej wynioślejszych gór położonej, wygląda tak, jak u nas w parę tygodni po zasiewie. Gdzie więc ziemia nie wystarcza na wyżywienie człowieka, trudno myśleć

o utrzymaniu bydła. Ale Opatrzność, udzieliwszy tak skąpo chleba biednym góralom, nie odmówiła im tak zdrowego i posilnego pokarmu, jakim jest mleko; owszem dała im go w większej obfitości i bez porównania lepsze, niż na równinach. W głębi tych samych Tatrów, których sąsiedztwo tak jest zgubnym dla rolnictwa, rozścielają się *polany* czyli łąki górne w krainie lasów położone, a nad niemi *hale* czyli łąki alpejskie, położone już powyżej górnej granicy kosodrzewiny. Jedne i drugie najwyborniejszej dostarczają paszy. Tamto więc wypasają się przez lato góralskie owce, krowy, a nawet i konie; z polan zbierają siano na zimę, zwykle długą i przykrą. Polany te są albo pańskie, albo należą do możniejszych gazdów czyli gospodarzy, od których nieraz mają nazwiska. I tak: halę należącą do rodziny Królów, zowią *Królową*; rozległą halę za Magórą, a nawet i stawy w jej pobliżu leżące, nazwano *Gąsienicowemi*, od rodziny Gąsieniców, do której wspomniona hala od dawnych czasów należy; polanę będącą własnością Kalatów z Szaflar, zowią *Kalatówką*.

Oto sposób, w jaki Podhalanie użytkują wspólnie z tego prawdziwego dobrodziejstwa Opatrzności. Za nadjeściem wiosny w górach, to jest około Zielonych Świątek, z każdej wsi w Nowotarszczyźnie, choćby o dwie i trzy mile od Tatrów odległej, wybierają gazdę powszechnie mającego zaufanie, i jemu powierzają bydło, szczególnie owce, układając się przy tém, ile ma oddać sera właścicielom. Taki naczelny pasterz zowie się *Bacą*; on układa się z właścicielami polan, przybiera sobie do pomocy pasterzy zwanych *Juhasami*, zwykle najdorodniejszych z młodzieży góralskiej, i na lato wyrusza w góry. Jeden Baca ma zwykle kilkaset owiec sobie powierzonych. Takie karawany, mając z sobą duże psy owczarskie, ciągną wesoło z każdej wsi na przeznaczone sobie polany. Za przybyciem na miejsce, po-

prawiają przeszłoroczny szałas, lub stawiają nowy. Szalas jestto nizka budowa sklecona z okrągłaków, podzielona na dwie części. W pierwszej jest nigdy nie gasnące ognisko, nad którym zawieszają miedziany kocioł do warzenia żentycy; tu także sypiają juhasy na gołej ławie lub na ziemi około ognia. W drugiej przegrodzie stoją czyściuteńkie naczynia potrzebne do nabiału, konewki, skopki, dziezki; tu także obsuszają świeżo zrobione sery.

Owce i krowy (*statek*) przez cały dzień pasą się na polanie lub w hali, spinają się po urwiskach i stromych pochyłościach z dziwną zręcznością i ostrożnością. Owce wychodzą na takie wysokości, że patrząc z doliny, wydają się jakby mrowisko, którego poruszenia zaledwie najbystrzejszy wzrok dostrzedz potrafi. Czasem zdarzają się przypadki, że biedne bydło złamie nogę lub spadnie w przepaść i zabije się na miejscu. Juhasy nie codziennie wszyscy chodzą z owcami, ale *przepasują się*, t. j. pasą kolejno. Na noc owce zostają pod gołym niebem w ogrodzeniach *koszarami* zwanych, a juhasy z psami pilnują, bo wilki czasem zachodzą. Baca rachuje codziennie powierzone sobie owce czy która nie zginęła. Uskutecznia to w następujący sposób: po jednej wypuszcza owce z koszar, rachując do dziesięciu; każdy dziesiątek wykrzykuje głośno a obok siedzący juhaz liczy dziesiątki na koronce. Taki porachunek nazywa się *czytaniem*.

Krowy spędzają do stajenek przystawionych do szałasu, miejscami, a mianowicie w Bieskidach, *kolibą* zwanego. Takie nocne koczowiska bydła posuwają się coraz dalej i tym sposobem nawozi się i użyznia cała polana.

Juhasy doją owce do skopców *gioletami* zwanych, w początkach lata, gdy pasza jest obfitszą, trzy razy na dzień; później już tylko dwa razy t. j. rano i wieczór. Koło krów chodzą dziewczki, *kucharkami* zwane.

Mleko owcze wlewają do wysokości, żelaznemi obręczami pobitej dzieży, zwanój *puczerą* i *klagają*, t. j. wpuszczają do niego troszeczkę *podpuszki*¹⁾, za dodaniem której, ser oddziela się od serwatki, a ta serwatka przegotowana w kotle, jest ową żentycą, której zbawiennych skutków już tylu chorych doznało. Jest ona dosyć gęsta, żółtawa, słodka, bardzo smaczna i tak posilna, że juhasy nią jedynie i mlekiem żyją przez te kilkanaście letnich tygodni. Przeszło kwartowy skopek żentycy, u górali *czerpakiem* zwany, wystarcza na jednorazowy posiłek. Słyszałam jednak w szafasie od juhasów, iż nie wszystkim z pomiędzy nich służy żentycą. W dnie postne, juhasi do południa nic do ust nie biorą i tym sposobem przy tak skromnym i jednostajnym pożywieniu, zachowują przepis wstrzeźliwości chrześcijańskiej. Psy się tu także mają doskonale; razem z panami swymi zajądają mleko i żentycę; wyglądają też jak utoczone. Dla chorych cedzą tę żentycę, przez co oddzielają się drobne gruzetki sera mniej strawne dla słabego żołądka, a zostaje czysta serwatka.

Widząc juhasów w czarnych jak węgiel, tłuszczem naponszczonych koszulach, trudno by się spodziewać téj czystości, jaką znaleźć można w każdym szafasie. Byłam w kilku i wszędzie największy widziałam porządek tak w naczyniach, jak i w robocie około nabiału. Nim bacia do roboty około sera się zabierze, po kilka razy w czystej wodzie jak najstaranniej ręce po za łokcie obmywa i czystą płachtą obciera, włosy na głowie odgarnia i pilnie przestrzega, aby wiatr nie naniósł mu popiołu lub prochu do mleka. Część sera według umowy oddaje bacia właścicielom owiec.

¹⁾ Jest to kwas żołądkowy z żołądka cielęcia w wodzie rozpuszczony, zwany *klagiem*.

Szczególne są warunki téj umowy i sposób jéj zawierania. W parę tygodni po wypędzeniu owiec w góry, gazdowie będący ich właścicielami, przychodzą na polanę i każdy doi swoje owce, po czém mierzy patyczkiem głębokość mleka! w przeznaczoném na to naczyniu; jedna taka miara zostaje w szalasié, drugą zabiera gazda. Na tym samym patyczku wyrznięty jest znak odpowiedni temu, jaki gazda wystrzyga na uchu każdéj ze swoich owiec, dla rozpoznania ich. Po upływie kilku tygodni, mniej więcéj podług umowy, przez które owce zostają na polanie, przystępują do porachunku następującym sposobem. Nalewają w owo naczynie wody do tejsze saméj wysokości, do jakiej dochodziło mleko; waga téj wody służy im za jednostkę, którą nazywają *wodą*. Baca oddaje tyle funtów sera, ile umówiona liczba wód zaważy.

Gdy wiosna jest wczesna i ciepła, pasza obfita, łacowie oddają po 10—11 wód; skoro przeciwnie śniegi i mrozy długo trwające nie sprzyjają wzrostowi trawy, albo lato jest słotne i zimne, zaledwie mogą oddać 8 wód. Reszta sera będąca własnością bacy, jest oraz jego zapłatą, którą dzieli się jeszcze z juhasami, dając im tygodniowo umówioną ilość sera. Prócz tego jak mi powiadano, bierze baca cały podój z trzech dni dowolnych, a każdy z juhasów z dnia jednego. Żentyca sprzedawana dla chorych, lub gdy się gość jaki nawinie, należy do niestałych dochodów bacy.

Ser ugniatają w *bruski* czyli krążki po kilka funtów wążące, albo *oszczyпки* podobne z kształtu do małych baryłek, robione w formach drewnianych rzniętych w różne wzory wyciskające się na serze. Po zrobieniu, moczą serki w wodzie nasyconéj solą, co nazywają *rosoleniem*, a gdy nastonieją, obsuszają je na wolném powietrzu lub nad ogniem. Tak sery jak bryndzę, którą

gazdowie robią w domu ze świeżego sera odebranego od baców, sprzedają na jarmarkach w Nowymtargu i Czarnym Dunajcu.

Gdy już nie staje paszy na jednej polanie, przenoszą się ze statkiem na inną, a w końcu Sierpnia *roz-sadzają się* t. j. rozchodzą się do domów. W dzień n-znaczony, właściciele owiec przychodzą na polanę lub w inne umówione miejsce i każdy odbiera swój statek. Nazywa się to *mięszaniem*.

Piękny, ale zarazem smutny widok przedstawiają doliny, polany i hale tatrzańskie, w porze gdy ucieka z nich życie pasterskie. Ludno tam wtedy i gwarno; brzęczą dzwonkami stada owiec i bydła pędzone do domu; biegną ochoczo psy, rade z powrotu do wsi; na wózkach wiozą naczynia i cały sprzęt szałasowy; juhasy hukają jakby na pożegnanie, budząc raz jeszcze echa które do przyszłej wiosny drzemać będą w osamotnionych górach.

Śmielsi i odważniejsi górale z zapałem oddawali się polowaniu na *dzikie kozy* i *świstaki*¹⁾, przy czém nie-r-raz narażali życie. Zwierzęta te w najdzikszych tylko i najnieodstępniejszych przebywają skałach: około Mor-skiego Oka, Swinnicy, Wołoszyna, Krywania, Łomnicy, tudzież przy Rohaczach, grupie na zachód od poprze-dzających położonej. Lekkość i szybkość pierwszych,

1) Świstak jestto niewielkie zwierzątko okryte włosem do szopów podobném. Zamieszkuje on najdziksze i najnieo-d-stępniejsze miejsca, kopie bardzo długie nory które wy-ściela mchem i trawą i w jesieni zasypia na całą zimę. Z wiosną budzi się zupełnie wychudły. Górale uważają sadło świstacze za lekarstwo skuteczne na różne choroby.

Ciekawych bliższych szczegółów o świstakach i kozach, odsyłam do bardzo zajmujących opisów prof. M. Nowic-kiego.

tajemnicze kryjówki drugich, wymagały równiej odwagi i zręczności jak i przebiegłości. Strzelec wybrawszy się w góry, zaskoczony mgłą lub niespodzianie spadłym śniegiem, nieraz całe tygodnie wśród nich przepędzał zagrożony głodową śmiercią, jeżeli skończył się zapas żywności, a promień słońca nie rozproszył gęstej mgły wszystkie szczyty i doliny zalegającej. A jednak nie zważali oni na te niebezpieczeństwa i z upodobaniem rozpowiadają o podobnych wyprawach. Ta namiętność do polowania, wzrastająca w miarę trudności i niebezpieczeństw, groziła zupełnym wytepieniem kóz i świstaków. Dopiero komisya fizyjograficzna Tow. Nauk. Krak. wzięła w opiekę biedne zwierzęta i po wielu zabiegach i staraniach, uzyskała w r. 1869 ustawę sejmową zabraniającą polowania na kozy i świstaki pod karą pieniężną. Zostawione w spokoju i bezpieczeństwie przez parę lat ostatnich kozy, rozmnożyły się znacznie; zeszłej zimy widziano je już nawet około Czerwonego Wierchu i Giewontu, gdzie dawniej nie ośmielały się przebywać, jako w miejscach dostępiejszych i bliżej ludzkich mieszkań położonych.

Góral posiada w wysokim stopniu poetyczne uczucie piękności przyrody tak olbrzymiej i zdumiewającej w górach. On nie jest obojętnym widzem otaczających go cudów; on sobie w nich lubuje, ceui je, pyszni się niemi jakby dziedzictwem swoim. Piosnki ich pasterskie malują nieraz bardzo żywo i poetycznie wdzięki gór, dolin i polan strojnych kwieciami; urok cudowności otacza jeziora, mnóstwo podań i legend do każdej niemal wiąże się skały, do każdego potoku i źródła. Osnową ich jest zazwyczaj natychmiastowa kara boża za jakiś występki, o której świadczą dotąd dla przestrogi ludzi, bądźto skamieniały jęczmień, bądźto dziwacznych kształtów skały i drzewa, bądź nareszcie duch pokutujący na miejscu dokonanej zbrodni, lub coś podobnego;

dalej skarby ukryte w najniebezpieczniejszych miejscach, lub przygody zbójców którzy przed niedawnymi jeszcze czasami, wałęsali się po górach. Strzygi, Upiory, Boginki, Dziwożony, Wilkołaki, Djaszki (szatany), ważną także grają rolę w tych powieściach, z najgłębszą rozpowiadanych wiarą.

Nie wiadomo skąd urosło pomiędzy Podhalańcami podanie o niezmiernych skarbach ukrytych w Tatrach, gdyż wszelkie dotąd czynione poszukiwania, okazują przeciwnie wielkie pod tym względem ubóstwo tych gór, w których prócz żelaza, inne kruszce w tak małej znajdują się ilości, że nieopłaciłyby kosztów wydobywania. Znam rodzinę w Zakopanem posiadającą jakąś cząstkę *Ornaku*, polany w Kościelisku. Ojciec tej rodziny pracując w Kuźnicach, dowiedział się od pewnego górnika, niemylnego nioby sposobu wynajdywania srebra. Żył srebrna, według jego opowiadania, jestto jakby korzeń rozrosły w łonie skały, wystrzelający na wierzch łodygą i kwiatem. Tym kwiatem jest pewien gatunek kamienia; kopiąc za tą wskazówką, z pewnością natrafi się na żyłę srebra. Taki kwiat znalazł ów gazda na swojej polanie i wziąwszy pozwolenie od urzędu górniczego, rozpoczął nadzwyczaj mozolne poszukiwania. Wśród tej pracy śmierć go zaskoczyła. Na śmiertelnym będąc łożu, zaklinał swoją rodzinę, aby się nie zrażała żadnymi trudnościami i kosztami, ale prowadziła dalej rozpoczętą robotę, gdyż wszystko się opłaci bogactwem srebrnego korzenia. Jakoż pozostała wdowa przenikniona religijną wiarą w obietnice męża, przez kilka lat nie szczędziła znacznego nakładu jakiego wymagało łamanie twardej opoki; sprzedała krowy, zapożyczyła się nawet, a srebra jak niema tak niema. Już się zdawało bliskiem odkrycie skarbu, ale zabrakło pieniędzy, nikt nie chciał pożyczyc na tak niepewną hipotekę i zaprzestano roboty.

Prócz tych naturalnych skarbów, bujane wyobrażenia górali w każdej niemal niedostępnej skale mieści niesłychane bogactwa, których strzegą złe lub dobre duchy. Przystęp do tych skarbów jest zazwyczaj bardzo trudny, wymagający wielkiej odwagi tak fizycznej jak moralnej, oraz spełnienia warunków prawie niepodobnych do wykonania. Wiele podań w tym względzie, jaśniejących prawdziwą poezją, przytoczył Goszezyński w pięknym swoim opisie Podhalan, do którego odsyłam ciekawych bliższych szczegółów. Zeiszner, w przedmowie do „Pieśni ludu Podhalan“, w której bardzo zajmująco skreślił charakter, sposób życia i obyczaje górali, wspomina także o podaniach dotyczących się skarbów w Tatrach ukrytych. Być może, iż udało się komu znaleźć kiedyś pieniądze zakopane w górach przez dawnych zbójników, i stąd podanie o skarbach zaklętych. Dotąd po dolinach i polanach widują górale palące się pieniądze. W takim miejscu należy kopać, a pewno się skarb znajdzie. Znam gazdę w Zakopanem bardzo poczciwego i pracowitego człowieka, który kilka razy szukał skarbów w miejscu tak wskazanem, ale dotąd nie znalazł innych nad te, których nabywa codziennie w kowalskiej kuźni własną pracą i zręcznością.

Wyobrażenia górali o zbójctwie różnią się zupełnie od naszych. *Zbójnik* jest dla nich niejako uosobieniem odwagi, siły, zręczności, dzikiej piękności i szlachetności rycerskiej. Zostać *zbójcą*, czyli jak oni powiadają, *iść na zbój*, uchodziło za coś szlachetnego, za jakieś odznaczenie się przynoszące sławę. Tę ich sympatię do zbójników dowodzą ich piosnki i opowiadania, w których zbójnicy występują jako bohaterowie, będący zbiorem wszelkich zalet i przymiotów tak zewnętrznych jak wewnętrznych. Najcelniejszym takim bohaterem nie tylko u naszych Podhalan, ale i u węgierskich Słowaków jest *Janoszyk*. Olbrzymi wzrost, uroda, siła uad-

ludzka, niezrównana odwaga, rozum, dobroć, szlachetność, a obok tego tajemniczy związek ze światem nadprzyrodzonym, czynią z niego istotę doskonałą, niemal cudowną, ideał zbójcy dla górali. Opowiadają o niej o jego pobożności, miłosierdziu dla biednych, których obdarowywał skarbami zdobytymi na bogatych; sławią jego odwagę, pokazują ślady jego przebywania w Tatrach, skały, na których obiadował, jaskinie, które mu służyły za schronienie. Żył on ku końcowi przeszłego stulecia, miał być rodem ze Spiża, broił najwięcej w Tatrach i przyległych miasteczkach, zapuszczał się na Orawę i Liptów, gdzie nakoniec złapany i w Mikołaszu powieszony został. Podhalanie jednak nie przyznają Janoszykowi tak haniebnego końca; powiadają, że umarł śmiercią naturalną, a olbrzymie kości jego znaleziono w pewnej jaskini w dolinie Kościeliskiej.

Przed niedawnymi jeszcze czasy zdarzali się zbójnicy w Tatrach. Nie trzeba sobie jednak wystawiać, żeby to byli owi zbójcy okrutni, o jakich nam prawią gminne powiastki, lub złodzieje kradnący co się zdarzy. Zazwyczaj obawa kary za jakie małe przewinienie, lub chęć naśladowania owych bohaterów, których sława brzmi na całym Podhalu, skłaniała górali do udawania się na zbój. Pojedynczo lub w kilku napadali oni na szalasy, a nastraszywszy bacę i juhasów, zabierali oszczyпки, gotowali w mleku barana, którąto potrawę za największy uważają przysmak, i wyprawiali wesołą ucztę, w której brali udział i juhasy. Zbójnicy napadali też czasem i podróżnych, zwłaszcza kupców na gościńcach.

W ten sposób opisują Goszczyński i Zeiszner tych rycerskich bohaterów Podhala, o których teraz wcale nie słyhać, tak że podróżny z zupełnym bezpieczeństwem może zapuścić się w góry, nawet sam z przewodnikiem.

Górale, ceniąc i czując piękność i wspaniałość swych gór, bardzo są temu radzi, gdy ktoś obcy równie je podziwia. Ileżto razy pytali nas, po co przyjechaliśmy do Tatrów? Odpowiedź, że dla przypatrzenia się tym pięknym górcom, bynajmniej ich nie zadziwiała; mówili wprawdzie: „I cóż tu widzieć? tu tylko *skale* (kamienie) i nic więcej; w mieście przecież daleko piękniej i weseliej“, ale mówili to widocznie, aby wywołać nowe pochwały dla gór ukochanych. Z jakimże zadowoleniem przysłuchiwali się tym pochwałom, dodając zarazem swoje spostrzeżenia malujące tatrzańskie, a nawet poetycznie górską piękność. „U nas“ mówią „kraj bardzo zdrowy, bo zimny; prawda, że ziemia płona, chleb się u nas kończy, ale za to woda zaczyna. Jużto wody uam Pan Bóg nie poskąpił! Ta téżto woda i powietrze nas trzyma.“ I prawdę mówią; nie ma zapewne okolicy, gdzieby mniej panowało chorób, gdzieby mniejsza była śmiertelność. Przez kilka tygodni zwykłego pobytu naszego w Zakopanem, na 3000 ludności, umierało zaledwie kilkoro i to po większej części podeszłego wieku, albo przypadkową śmiercią, lub nareszcie dzieci na ospę. Cholera i inne epidemie nie znane tu zupełnie; jedyną panującą chorobą bywa czerwonka, pochodząca zazwyczaj z jedzenia zielenin, szczególnie grochu i gruszek. Ale i ta choroba nie jest tutaj tak niebezpieczną, jak bywa u nas po wsiach, z wyjątkiem dzieci, których tu bardzo wiele na nią umiera.

Jak już kilkakrotnie wspomniałam, niepłodność ziemi, tudzież długa zima a krótkie lato, nie sprzyjają rolnictwu. Zamożni nawet gazdowie nie mogą się żywić z własnego pola: jeżdżą po *siacie* (zboże) do Krakowa i Sącza, a najczęściej do Kezmarku. Cóż dopiero mówić o biednych! *Grule* (ziemniaki) jałowe lub z mlekiem, *kluska* lub *bryja* z owsianej mąki, w lecie rozmaite *huby* (grzyby) w kilka minut ugotowane i zaprawione

mąką, wreszcie placki owsiane lub kukurydzane, z kupowanej na Spiżu kukurydzy, w popiele pieczone, zwane *moskalami*, są codziennym ich posiłkiem. Ale góral nie wiele dba o to; ubiór porządny, chata duża i piękna, oto główny przedmiot jego starania.

Jaki taki zarobek znajdowali dawniej w Kuźnicach, jużto pracując w *baniach* (kopalniach), jako *hawiarze* (górnicy), jużto jako robotnicy przy fabrykach, już wreszcie wożąc żelazną rudę z Magóry, Tomanowej, Dziewiątęj i innych gór, w których znajdują się kopalnie tego kruszcu. Teraz fabryki te bardzo podupadły, a zatem i zarobku przy nich mało. Z nastaniem lata udawali się Podhalańcy na koźbę najwięcej do Kongresówki, gdzie rok rocznie miewali w pewnych miejscach robotę. Od paru lat otworzył się im lepszy zarobek na Węgrzech; w zeszłym roku szczególnie, bardzo wielu pracowało przy kolei podtatrzańskiej. Niektórzy Zakopanie trudnią się także furmanką od czasu jak więcej osób jeździ dla zwiedzenia Tatrów lub na żentycę do Zakopanego.

W dawnych czasach nierównie lepszy był kwitnął w podhalskich siolach. Okolice te nie znały srogich klęsk wojny ani ciężaru służby wojskowej. Królowie przywilejami swymi stwierdzali nadania tutejszym wieśniakom czynione. Ze zmianą okoliczności zmieniło się wszystko; zawikłane, trudne do rozstrzygnięcia procesa, po kilkudziesiąt lat trwające, niszczą lud biedny, któremu z dawnych czasów pozostało tylko wspomnienie lepszej doli, i pargaminy królewską opatrzone pieczęcią, które z największym poszanowaniem dotąd przechowuje.

Górale pomimo znanęj skrzętności, zapobiegliwości i przemysłowości swojej, są dosyć leniwi i ociężali, wszystkie domowe zatrudnienia zdają na kobiety. Gazda w jasny dzień leży sobie wygodnie na łóżku, a gaździna

prowadzi konia na paszę, poi go, w nocy nawet pilnuje pasącego się na pastwisku. Ona nieraz wytacza wóz. lub go składa, zaprzęga i tym podobnemi mężkami trudni się robotami. Nie jestto jednak ogólnie przyjętym zwyczajem, i mężczyźni bywają bardzo gospodarni i pracowici.

Wielkie umiarkowanie tak w jedzeniu jak w napojach, chroni lud ten od nędzy i jest źródłem dobrego bytu jaki tu ogólnie widzieć się daje. Trzeźwość jest powszechnym przymiotem zakopiańskich górali; nałogowych pijaków prawie niema, przynajmniej pomiędzy gospodarzami. Karczma w dzień powszedni stoi pusta, w niedzielę dopiero gdy się poschodzą juhlasy i miejscowe *tycaki* (eleganci, tircyki), i trochę sobie podochocą piwem lub wódką, zaczyna się hulanka kończąca się czasem kłótnią i bitką. Wielka żywość i porywczosć są wrodzone góralom: stąd o hyle co przychodzi pomiędzy nimi do kłótni. Ale ten gniew nie trwa długo; jak się prędko wszczyna, tak téż prędko się kończy. Dwaj kmiotrowie poczubiwszy się aż do krwi i guzów, nazajutrz schodzą się w najlepszej zgodzie i najspokojniej rozmawiają o wczorajszej bitce. Nieprzyjaźni, zawiści, a tém bardziej zemsty, całkiem tu uieznają. Przez kilkanaście lat bywania naszego w Zakopaném, ani tu ani w okolicy, nie słyszałam o podpaleniu gdzieindziej tak pospolitém. W ogóle pożary bardzo rzadko się wydarzają, a z podpalenia nigdy.

Jak wielką wagę ma u tutejszych górali nie tylko ślub, ale nawet proste przyrzeczenie wstrzemięźliwości, niech służy za dowód następujący przykład. W jednej z naszych wycieczek w góry. przyszedłszy do szałas, zabraliśmy się do zgotowania herbaty. Wiedząc że niektórzy górale, zwłaszcza przewodnicy chociaż nie piją wódki której się wyrzekali, używają jednak araku, bez pytania nalaliśmy go do herbaty naszemu przewodni-

kowi. Ten za ledwie przytknął do ust szklanę, zawołał prawie z płaczem: „Co ja téż zrobiłem! To herbata z arakiem!“ — Czyście się wyrzekali araku? — „Nie, ja się nie wyrzekałem, ale już od kilkunastu lat nie piję. Na chrzcinach, na weselach, przymuszali mię nieraz, chcieli gwałtem wlewać w gardło, a przecież mię nie skusili, i teraz dopiero trzeba było takiego nieszczęścia!“ Biedny Maciej był prawie w rozpacz. Uspokajaliśmy go wystawiając że w tém niema grzechu, gdyż tego nie zrobił umyślnie, że Bóg czytający w sercu ludzkim, wie że to najniewinniejsza pomyłka, że gdyby nawet było to grzechem, jużby go zmasał tak serdecznym żalem. Wszystko napróżno, Maciej niczem pocieszyć się nie dał. Gdym go przepraszała za to że mimowolnie sprawiliśmy mu tyle zmartwienia, „Wyście nic nie winni, ale mój nos, że on téż nie poczuł pierwej tego araku!“ Długo siedział z głową podpartą na ręku, zafrasowany, jakby go największe spotkało nieszczęście, nareszcie wyszedł z szalasu, a po chwilce powrócił, mówiąc że krew mu się puściła nosem. Nie wiem czy to był naturalny wpływ krwi w skutek gorąca i utrudzenia, czyli téż, co prawdopodobnie, Maciej potężnym kułakiem ukarał winowajcę, aby krwią jego obmyć przewinienie; dość że potém uspokoił się cokolwiek i czasem tylko wśród rozmowy wspominał swoje nieszczęście. Nie wyszło mu jednak z pamięci mimowolne złamanie danej Bogu obietnicy; w rok potém jeszcze z ubolewaniem powtarzał: „Dotąd darować sobie nie mogę, że mi ja nie poczuł tego araku.“

Niestety może niezadługo trudno będzie o podobny przykład w Zakopanem, bo coraz licznie osiedlające się tutaj żydostwo, korzystając z wolności szynkowania trunków, rozpoi lud, a dopomogą mu panowie turyści. Ci to bowiem postępowi ludzie, namawiają a nawet przymuszają przewodników do picia wódki, wybierając im

z głowy przesądły i skrupuły, i biorąc na swoje sumienie odpowiedzialność za złamanie ślubu. Czy zechcą także odpowiadać za skutki pijaństwa?

Głównym i zaiste najpiękniejszym rysem charakteru górali jest ich miłość dla rodzinnéj ziemi, w której nieskończenie przewyższają mieszkańców równin. Nic w świecie nie skłoni górala do opuszczenia dobrowolnie rodzinnego kątku. Zmuszony głodem do szukania zarobku w żyzniejszych okolicach, schodzi na równiny bądźto nad Wisłę, bądź na Węgry, zawsze jednak powraca do wsi rodzinnéj stęskniony za swemi górami, za wyborałą wodą, za czystém powietrzem, nawet za słońcą i burzą. Trzeba ich widzieć gdy w końcu lata powracają do domu z ciężko zapracowanym groszem. Co to za radość w ich twarzach i wesółych śpiewkach, któremi witają swoje Hale! Powracając ze Zakopanego, często spotykaliśmy po drodze takie wesole gromadki. Nieraz poprzedzał je skrzypek, a w takt muzyki przyspiewywali i podskakiwali górale, cboć z kosą i grabiami na ramieniu a tómaczkiem na plecach, bo ich ożywiał widok gór i nadzieja rychłego powitania stęsknionéj rodziny. Kilkadniowe nawet oddalenie, ma już wpływ na ich zdrowie i usposobienie, już tęsknią za swemi stronami. Miasto nie wabi ich bynajmniej wygodami swemi, owszem żałują jego mieszkańców, że uwięzieni w murach, nawet nieba nie widzą tak blisko jak w górach, na których to lazurowe sklepienie wspierać się zdaje.

Własną pracą, przemysłem i rządnością zapewniwszy sobie jaki taki byt na tak niewdzięcznéj ziemi, górale są tém niejako dumni, lekceważą mieszkańców równin cierpiących niedostatek i nędzę wśród najżyźniejszych łanów, bazywają ich z pogardą *Lachami* i o ile możności najmniej wchodzą z nimi w stósunki. Wzięci do wojska, zapędzeni w dalekie strony, tęsknią za ro-

dzinną zagrołą; niejednen ciężko się roznie może i dopiero powrót do gór przywraca mu zdrowie. Ten święty ogień tchnieniem samego Boga w prawych rozniecony sercach, to wzniosłe, szlachetne uczucie, które nas rozrzewnia w góralach i do szacunku naszego nadaje im prawo, jest dla nich drogim talizmanem przeciw skażeniu, na jakie są narażeni, czyto służąc wojskowo, czy też tułając się po obcych stronach wśród ludzi, u których już dawno zaginęła poczciwa prostota. Służba wojskowa, stanie na kwaterach po miastach, gdzie tyle zwodniczych a zgubnych ponęt ciągnie niedoświadczonego prostaczka w przepaść zepsucia, jest dla górali szkołą, w której nabywają znajomości ludzi i świata, doświadczenia, trafniejszego o rzeczach sądu, nie tracąc pierwotnej poczciwości, bo miłość rodzinnej ziemi, rodzinnych zwyczajów, stoi na straży ich serca i wszelkim obcym wpływom broni przystępu. Nie słyhać tu niemieckiego „ja“ tak niemile rażącego, które na powieści galicyjskiem i u bieskidowych górali, szpeci piękną naszą mowę, a jest nabytkiem przyniesionym z wojska, który przez nawyknienie przeszedł do całej ludności.

Znałam kilku wysłużonych żołnierzy w Zakopaném; wszyscy odznaczali się prawością, rzadkim rozsądkiem i żywszém jeszcze przywiązaniem do stron ojczystych; żaden z nich nie tęsknił za uciechami miejskiego życia. Gazda, w którego chacie mieszkaliśmy, dwa lata służył w wojsku; z powodu ciągłej słabości uwolniono go na jakiś czas od czynnej służby i w parę miesięcy powietrze górskie wróciło mu zdrowie, którego dać nie mogły lekarstwa i dobry byt w wojsku. Młody ten człowiek przez cały czas swój służby, postu nie złamał, wódki nie wziął w usta, nie postał na żadnej hulance w karczmie, a za powrotem do domu nietylko że sam był najspokojniejszym, najlepszych obyczajów, ale ganił

i napominał tych, u których dostrzegł najmniejsze uchybienie w tym względzie. Biedak poległ pod Solferino.

Czas téż powiedzieć coś w szczególności o góralkach, lubo niektóre zalety mężczyzn i ich są udziałem. Kobiety tutejsze w ogółności mniej są przystojne niż mężczyźni; zdarzają się jednak pomiędzy niemi prawdziwe i doskonałe piękności. Rysy ich twarzy zazwyczaj drobne, oczy najczęściej niebieskie, czasem czarne, pełne ognia i życia; nad niemi wąziutka brew pięknym zatoczona łukiem. Jedna w drugą mają zęby prześliczne, białe i równe jak perły. Cera ich twarzy zazwyczaj blada, lekkim tylko okraszona rumieńcem, wzrost mierny, kibić smukła i kształtna, noga i ręka małe.

Ubiór ich składa spodnica bardzo faldzista, dłuższa niż u naszych wieśniaczek, bądźto z perkalu w jasne kwiaty, bądź z musliu lub kolorowej wełnianej materji, a czasem uawet jedwabna. Zapaska muslinowa biała, haftowana kolorową bawełną, czasem czarna jedwabna obszywana czerwonymi lub zielonymi wstążkami. Gorset zgrabny i wcięty nieraz z bardzo bogatęj, złotem i srebrem haftowanęj materji, z przodu zapinany na guziczki. Koszula biała i cienka z bardzo szerokimi rękawami, czerwoną wstążeczką związana pod szyją ozdobioną mnóstwem koralu lub paciorków, od których spada na piersi krzyżyk lub medalik, zwany *agnuskim*. Zamożniejsze, a raczêj większe elegantki, noszą u koszuli wielki haftowany kołnierz, wyłożony na ramiona. Włosy z przodu gładko umuskane, dziewczęta spletają w jeden warkocz, bogatą związany wstęgą; męzatki plotą dwa warkocze spadające na ramiona. Jak jedne tak drugie okrywają głowę kolorową chustką wełnianą lub jedwabną, którą więzują pod brodą, a koniec spuszczaają na plecy. Od wielkiego stroju *czepią się* t. j. tlnową suto haftowaną chustkę więzają na sposób wieśniaczek z okolic Krakowa. Obuwie im ich są trzewiki,

lub zgrabne żółte buciki na wysokich korkach. Muslinowy rańtuch, zarzucony na ramiona, lub piękna wełniana chustka w żywych kolorach, dopełnia świątecznego ubioru góralki. Na codzien noszą zazwyczaj szafirowe spodnice, zapaski zaś, najczęściej tego samego koloru, lub zupełnie czarne, zarzucają na plecy. Od ciemnej spodniczki i białej choć grubiej koszuli, pięknie odbija czerwona bawełniana chusteczka, którą osłaniają głowę. Prawie wszystkie noszą *serdaki* także same jak mężczyźni i nie zdejmują ich przez całe lato. Kto zna zmienność powietrza pod Tatrami, nie bardzo się temu zadziwi. W czasie bowiem największego upału kiedy pot kroplami występuje na czoło, powstaje tu nieraz wiatr tak chłodny, że serdak nie jest zbyt cennym. Deszcz także bardzo częstym tu gościem, a czasem tak nagłym i niespodzianym, że lepiej być zawsze gotowym na jego przyjęcie, t.j. zaopatrzonemu w grubsze odzienie. W zimie używają góralki kożuchów za kolana sięgających, a bogate gaździane, noszą sukmanki z ponsowego sukna, podbite i obłożone barankami, a suto ozdobione potrzebami ze srebrnych galonów.

Jak już wspomniałam kobiety tutejsze nierównie są pracowitsze, niż mężczyźni; prócz domowego gospodarstwa, w którym, biorą na siebie często zatrudnienia męskie, każda niemal nietylko przedzie, ale tka płótno na domową potrzebę, a często i na sprzedaż. Nietylko koszule, nieraz bardzo cienkie i białe, ale spodnice i poszwy na pościel, są ich własnej roboty¹⁾. Płótno prze-

¹⁾ Sposób postępowania ze lnem na Podhalu, różni się od używanego w naszych okolicach; opiszę go więc pokrótce. Zaledwie len okwitnie i główki nasienne cokolwiek pożółkną, wybierają go i powiązany w snopki, zwożą do stodoły lub szopy. Tegożsamego dnia *rafają* t. j. obrywają główki za pomocą narzędzia zwanego *rafem*. Są to żelazne zęby wprawione pionowo w deskę; na tych zębach

znaczone na ten użytek, dają do farbierza w Poroninie. Farbuje on je na kolor ciemno-szafirowy, wybijając białe wzorki, niekiedy bardzo gustowne i delikatne. Sukno tkają po największej części także kobiety, gdyż mężczyźni bardzo rzadko trudnią się tkactwem. Niektóre tkają prócz tego bardzo trwale a nawet ładne derki w białe i ciemne kraty.

Prawie każda umie szyć a nawet haftować i prócz gorsetów, wymagających już krawieckiej umiejętności, sama szyje cały swój ubiór, w czém wielką mają wyższość nad naszymi wieśniaczkami, z których część większa nie umie igły wiaść do ręki.

Ubiór ich zaleca się wielką czystością, szkoda tylko, że tej czystości nie utrzymują tak starannie w domu, szczególnie w naczyniu. Stroje lubią niezmiernie; skarby świata oddałyby za parę sznurków *pacierzy* (pacjorków) lub kawałek wstążki. Nietylko młode, ale i starsze są bardzo żywe i wesołe; najmniejszy żart, jedno nie niezbaczące słówko, do serdecznego pobudza je śmiechu. Młode bywają zalotne, lekkomyślne i płochę, co niekorzystnie wpływa na ich obyczaję. Charakter góralek w ogóle jest łagodny; często znaleźć u nich można uczucia tak delikatne i tklive, że zawstydzicby mogły nie jedną z naszych dam salonowych, roztkliwiających się z wyegzaltowaną czułością nad urojonemi nieszczęściami, a na istotne cierpienia bliźnich suchém spoglądających okiem.

przezesują len i tym sposobem oddzielają nie tylko główki, ale po części i chwasty. Główki suszą na strychu, len zaś moczą w czystej, bieżącej wodzie, której tu obficie dostarczają potoki. Po trzech tygodniach wyjmują len z moczysła i rozkładają na trawie dla przesuszenia i przebielenia. Len tak przyrządzony daje włóknonierównie biel-sze i mocniejsze niż wtedy, gdy dojrzewa i czernieje na pniu, a potem gnije w stojącej wodzie.

Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia tu kilku przykładów prawdziwej tkliwości macierzyńskiego serca. Przed kilku laty wybrało na leśnego młodego górala, dla którego ten urząd mógł być bardzo korzystnym. Za ledwie ta wiadomość doszła do jego matki, pobięła na plebanią płacząc i załamując ręce, jakby ją największe nieszczęście spotkało. „Mój Boże, jaby chciała, żeby moi synowie byli tak jak słońce, a tu teraz Kuba może się *zuczy* napijać, będzie krzywdził i obdzierał ludzi, albo znowu panom nie dogodzi!“ Tak zawodziła biedna matka w trwodze o cnotę syna zagrożoną na ślizkim urzędzie. Chciała koniecznie aby podziękował, ale już było zapóźno, Kuba musiał być leśnym przez rok; poczciwy chłopak nie naraził się jednak nikomu, i nie rozpił się wcale. Zaczyna ta kobieta owdowiawszy zawczasie, wychowała trzech swoich synów w największej poczciwości i bogobożności. Jak tylko dostrzegła najłżejszy cień, najdrobniejszy pyłek w tém *swojem słońcu*, póty płakała, lamentowała, póki owęj plamki nie zmyła. To też wszyscy trzej są wzorem nieskażonej prawości, poczciwości i zacności pod każdym względem, a czując co winni matce, prawdziwem przywiązaniem i wdzięcznością odplacali jęj starania. Przed kilku laty, cnotliwa ta matka przeniosła się do lepszego życia; w pół roku potem, najstarszy z jęj synów, ojciec kilkorga dzieci, będąc w Krakowie, przyszedł nas odwiedzić. Po zwykłym powitaniu: „Niech będzie pochwalony!“ pierwsze jego słowa były: „No jużem bez matki!“ Nigdy nie zapomnę tego głębokiego i rzetelnego uczucia z jakim wyrzekł te słowa, a potem długo, długo rozpowiadał nam o matce dla której serce jego zawsze było otwarte, dla której nie miał żadnej tajemnicy, bo w każdym razie ona mu najlepiej poradzić umiała. „Takięj matki jak nasza, nikt jeszcze nie miał“, powiedział w końcu z westchnieniem.

Ta to dobra kobieta wraz z bratową swoją równie pocziwą i zacną niewiastą, najtkliwszém współczuciem otaczała żonę szanownego naszego historyka Augusta Bielowskiego, która przed kilku laty po stracie siedmna-stoletniój a już ostatniój córki, bawiła przez parę tygodni w Zakopaném, dla pokrzepienia nadwątlonego zdrowia. One pocieszały nieszczęśliwą matkę, a słowa ich proste, tętnące gorącym uczuciem religijném, wlewały kojący balsam w serce okropnym ciosem zranione. Ś. p. p. Bielowska nieraz potém wspominała z wdzięcznością te pocziwe kobiety, zasyłając im życzliwe pozdrowienie. One nawzajem, co rok pytały nas z najserdeczniejszą troskliwością jak się ma „ta biedna, strasznie zamartwiona Pani?“

Przed kilku laty bawiła w Zakopanem pani H..... znana z dobroczynności. Chcąc przyjść w pomoc ubogim rodzicom obarczonym liczném potomstwem, oświadczyła, że weźmie na opiekę kilkanaścioro dzieci, którym obowięzuje się dać sposób do życia. Gdy ta wieść rozeszła się po wsi, wiele matek z radością chciało oddać swe dzieci; ale po parodniowym rozmyśle, zapal ostygł. Jakże tu oddać dziecko gdzieś daleko za oczy i może nie zobaczyć go więcej? „Maćka bym nie dała, on już wielki, zdola paść, ale tego próżniaka małą Hankę, to niechby i wzięli; toby imo ciągle jadło, a tu jak przyjdzie przednowek, nie ma co dać“, mówiła biedna góralka głaszcząc jasną główkę kilkoletniój dziewczynki. „Ej i jej bym nie dała, przecieźby mi się bez niej *kwitło*. Żeby to było bliżej, żeby to można czasem zajrzeć na to, ale to jeszcze takie małe, toby się nawet nie umiało domówić o jadło. Niech ta lepiej rośnie w domu.“ I lzy stanęły jej w oczach. Wyszedłszy na przechadzkę, spotykam młodą, znajomą mi kobietę, z dzieckiem na ręku, płaczącą rzewnie. Cóż wam to, pytam, czegóż płaczecie? „A to idę do żyda, kupiłam

trzewiczki dla dziecka, bo ta pani chce go wziąć, a mnie przecież tak żal.“ Tam będzie dobrze waszój małój, pani jej już nie opuści, a jak podrośnie to i do was będzie mogła powrócić i wy na nią zajrzycie. „Kiedy się strasznie boję, żeby się dziecko nie zaterowało.“ Była to biedna wyrobница, żyjąca z dnia na dzień, dla której dziecko prawdziwym było ciężarem. Parę tygodni trwały narady, kilkoro dzieci już z pewnością miano oddać w opiekę pani H., ale w miarę jak się przybliżał dzień ich odjazdu, miłość rodzicielska brała górę nad zimnym rozsądkiem doradzającym korzystać ze sposobności polepszenia losu i dobre chęci pani H. spełzły prawie na niczém; o ile mi wiadomo, zaledwie jedno czy dwoje dzieci wyjechało ze Zakopanego.

A ileżto przykładów małżeńskiego przywiązania, troskliwych starań w chorobie, czulej opieki nad sierotami, delikatności w opatrywaniu ran, i innych tym podobnych dowodów tkliwości serca, ciśnie mi się pod pióro! Nie skończyłam prędko, gdybym chciała wyliczać wszystkie, których naoczny byłam świadkiem. O zaiste jeżeli gdzie, to tu można zawołać ze ś. p. ks. Antoniewiczem: „A to mówią że ci ludzie czucia nie mają! Oj mają, ale wtenczas gdy im potrzeba, nie dla parady, aby się z nié m popisywać; tylko że to uczucie niezrozumiane, boleśnie zawsze zranione, kryje się i tai w sercu, jak potok górski w skałach. Ale w chwilach ważnych, z całą potęgą na jaw się okazuje i wszystkim wykrzyk podziwienia wywołuje. Ktoby się spodziewał iż pod tą lichą siermięgą takie serce!“¹⁾

Uważałam że w Zakopaném związki rodzinne są w ogóle nierównie ściślejsze i serdeczniejsze niż u naszych wieśniaków. Uczynność sąsiedzka w jedną rodzinę wiąże wieś całą. Wyjąwszy najzamożniejszych gazdów

¹⁾ Listy z Zakonu str. 23.

którzy przy wielkiem gospodarstwie nie mogą się obejść bez najemników, wszyscy inni pomagają sobie wzajemnie bez zapłaty. Ten ma konie, więc na wiosnę zorze rolę biednej wdowie, ona mu za to sadi i okopuje grunle. Ów skosi łąkę sąsiadowi, ten nawzajem pomoże mu grabić lub zwozić. Gdy przyjdzie wybierać i rafać len, wszystkie sąsiadki i krewne kolejno pomagają sobie. Rafanie lnu jest tu uważane za pewien rodzaj zabawy i przeciąga się zwykle późno w noc; wesołe żarty, śmiechy, czasem muzyka i śpiewki, towarzyszą robocie. Nie można się dosyć nacieszyć i nadziwić zgodą i poszanowaniem własności jakie tu powszechnie panują. Nie słychać nigdy o tych tak pospolitych kradzieżach w polu, nie widać nigdzie owych budek w których po całych nocach stróżują u nas ziemniaków, grochu lub kapusty; tu wszystko bezpieczne, bo najlepszą strażą jest sumienie poczciwego ludu wiernego moralnej zasadzie: Nie czyni drugiemu, co tobie nie miło. Polany i łąki mają zazwyczaj po kilku właścicieli; gdy przyjdzie pora sianokosu, koszą i suszą wspólnie trawę, i dzielą się dopiero sianem, wiążąc je w płachty. Wszystko odbywa się zgodnie, bez kłótni i zazdrości.

W oświacie wielką także wyższość mają górale nad naszymi wieśniakami. Wszyscy młodszy, a szczególniej kobiety, umieją czytać; wielu oddaje synów swoich do szkół, i żadnych nie szczędzi wysiłeni, byle ich doprowadzić do duchownego stanu, będącego u nich w wielkiem poważaniu. Teraźniejsze jednak urządzenie szkół na zasadzie bezwyznaniowości, i częste lekceważenie, a nawet otwarte szyderstwa z religii i moralności, jakiego sobie pozwalają wobec młodzieży *postępowi* profesoro- wie, odstręcza od nauki lud głęboko wierzący. „Wolę ja żeby mój syn umiał tylko czytać i pisać, niż żeby miał wyjść na takiego niedowiarka, jak ci mądry panowie po miastach“ mówi niejeden poczciwy ojciec.

Podhalanie tak czują potrzebę nauki, że nie przestając na szkołach parafialnych, z których nie wszystkie dzieci mogą korzystać dla bardzo znacznej nieraz odległości od kościoła, z własnej chęci oplacają nauczycieli lub nauczycielki, którzy w najętą na ten cel izbę, przez zimę uczą dzieci czytać, pisać i katechizmu, a oraz przygotowują je do pierwszej spowiedzi. Temi improwizowanymi pedagogami bywają: prosty góral lub góralka, znani z pobożności i dobrych obyczajów.

Bardzo ujmuje do tego ludu, jego serdeczność, gościnność i uprzejmość. Żaden nie przejdzie nie powitawszy przechodnia obyczajem religijnym; czyto przed deszczem schronisz się do jego domu, czyto po jakim wstąpisz interesie, tak ci rad, żeś wszedł pod dach jego, jakbyś mu największą wyświadczył łaskę. Zapytani o drogę, wskażą ją zaraz najdokładniej, poprowadzą chętnie kawałek i jeszcze dziękują, jakby nie nam, ale im się dogodność zrobiła.

Tak mężczyźni jak kobiety są bardzo ciekawi, pogadankę lubią niezmiernie; jestto najlepszy sposób ujęcia sobie ich serca; największą pochwałą, jaką dać mogą obcemu, jest gdy powiedzą, że *gwarny*, t. j. rozmowny. I nie trudno zaiste zasłużyć sobie na tę pochwałę, bo rozmowa z tym ludem bardzo miła, gdyż nie odstręcza od niego ani gburowatość, ani ciemnota i gruba niewiedomość; owszem, tak w obejściu jak w mowie, górale nierównie więcej mają ogłady od naszych wieśniaków, a ich rozsądek i trafny sąd o rzeczach nieraz zadziwia.

Wdzięczność jest powszechnym przymiotem tutejszych górali. Pamiętają oni długo słówko pociechy, współczucia, dobrej rady lub jakiś mały datek w potrzebie i starają się wywdziękzyć przy każdej sposobności. Otwarci, wylani, pełni prostoty, łatwo się przywiązują do każdego, w kim dostrzegą przychylność dla

siebie. Gdyśmy odjeżdżali z Zakopanego, jakże serdecznie nas zawsze żegnali, jak zapraszali, namawiali, aby przyjechać na przyszłe lato! Za przybyciem w następnym roku, witali nas tak radośnie, jakby najlepszych przyjaciół. Wstyd mię było doprawdy tych oznak pamięci i przywiązania pocziwego ludu, dla którego nie uczyniliśmy nic zgoła, bo do tego najmniejszej nie mieliśmy sposobności. Chyba że pocziwi górale odgadli i zrozumieli w sercach naszych tę miłość i najserdeczniejszą życzliwość, jaką dla nich zachowamy na zawsze, bo godni tego.

Jak już wspomniałam wyżej, od dwudziestu pięciu dopiero lat Zakopane stanowi osobną parafiją. Łatwo sobie wystawić, jak smutne było położenie biednego ludu, który oddalony od kościoła, [pozbawiony prawie zupełnie nauki słowa bożego, skutkiem tego zaniedbywał obowiązki religii, których ściśle wypełnienie nie tylko że jest wiecznego szczęścia rękojmią, ale i w troskach doczesnego życia najpewniejszą przynosi pociechę. Górale zakopiańscy bardzo téż umieją cenić szczęście i błogosławieństwo, jakie na nich spływa z ubożuchnego ich kościołka. „Jak zadzwonią, mówiła mi jedna „kobieta, to aż się serce raduje; przecież teraz jakoś „nas bliżej Pan Bóg.“ Zaiste, wielkie Bóg dobrodziejstwo wyświadczył ludowi temu, ubogi wśród niego zamieszkując domek i obdarzając go takim pasterzem, jakim jest obecny ks. Proboszcz tameczny.

Ksiądz Józef Stolarczyk, objąwszy przed dwudziestu pięciu laty zarząd nowo urządzonej parafii, zastał lud prawie dziki, w rzeczach religii w głębokiej pograżony niewiedomości. Były w tym ludzie zarody dobrego, pocziwe skłonności, ale te drzemały w duszy, bo zasady religii, które jedynie mogą je rozbudzić, ożywić, upłodnić i w święty zamienić obowiązek, ledwie powierzchownie były mu znane. Ksiądz Proboszcz, nie zrażony

smutnym stanem biednego ludu. z chrześcijańską miłością, ojcowską dobrocią, a przy tém z rzadkim rozsądkiem i taktem, zajął się rozkrzewieniem, pomiędzy trzódką swoją, błogich religii i moralności zasad, złagodzeniem szorstkich obyczajów tych dzieci surowej przyrody, i rozszerzaniem wśród nich oświaty, o jakiej dotąd nie mieli nawet wyobrażenia. Pobłogosławił Bóg gorliwej pracy; usiłowania szanownego Pasterza pożądanym uwieńczył skutek. Dziś Zakopianie w znajomości religii, w poczciwości, w zewnętrznej oglądzie, w oświacie, daleko zostawili za sobą innych galicyjskich włościan. Z nlatwioném wypełnianiem obowiązków religii i ciąglą do tego zachętlą, wzrasta pobożność Zakopian i wpływ swój błogi na całe ich życie wywiera. Ich zdanie się na wolą Boga, ten najpiękniejszy prawdziwej pobożności owoc, budowało mię zawsze i prawdziwym szacunkiem dla nich przejmowało. Pozwolę sobie przytoczyć choć jeden przykład. Pewnemu gaździe dobrze nam znajomemu, padło w krótkim czasie 30 owiec i zabiła się w lesie dwuletnia jałówka. Gdyśmy rozmawiali o tém nieszczęściu z jego żoną, użalając się nad nią, ta złożyła ręce, uśmiechnęła się i rzekła: „Moi piękni, to wszystko od Boga, dobrze co którego z nas nie zabrał, cośmy wszyscy zdrowi.“ I lzy wdzięczności zabłysły w jej oczach w niebo wzniesionych. I ja także poczułam lzy pod powieką, a na twarz wystąpił rumieniec wstydu, bo jakżeto daleko do téj prostej chrześcijańskiej filozofii, nam, co się chlubimy niby wyższym na rzeczy poglądem!

Co niedziela tłumy ludu, nie mogąc się pomieścić w szczupłym kościołku, oblegają go dokoła. W czasie nabożeństwa, lud wyuczony przez Proboszcza, śpiewa przy towarzyszeniu organów. Nigdzie w naszych stronach nie zdarzyło mi się słyszeć tak miłych, czystych, zgodnych głosów. Nie wiem, jak komu, ale dla mnie śpiew ten

pobożny, prosty, złączony z poważną organów harmoniją, daleko silniej do duszy przemawia, niż cwe uczone śpiewy i huczna muzyka, jakie słyszemy po kościołach naszych. Śpiew ludu jest serca odgłosem, chwała boża jedynym celem jego; tamten ma zawsze w sobie coś teatralnego, wywołuje pochwałę lub naganę artystów, budzi krytykę wykonanego dzieła; ku sobie więc nie ku Bogu zwraca myśli i uwagę słuchacza, znającego się na muzyce, innych w nabożeństwie tylko rozrywa.

Szanowny Pasterz nie tylko z kazalnicy wpływa zbawienie na parafian swoich, ale nie mniej korzystnie działa na nich w codzienném przestawianiu z nimi. Wyższe wykształcenie naukowe, wesoły i miły humor, szacunek, jaki sobie umiał zjednać powszechnie, nie przeszkadzają mu bynajmniej, iż obecuje najchętniej z poręczonym swój pieczy ludem, z którym w prawdziwie patriarchalnych zostaje stosunkach. Zna doskonale każdego ze swoich parafian; ich kłopoty, zmartwienia, rodzinne stosunki, znane mu najdokładniej. Posiada zupełne ich zaufanie; słowa jego są dla nich wyrokiem; bez jego rady i przyzwolenia nie skojarzy się żadne małżeństwo; a jeżeli gdzie zaszło jakie zwaśnienie, za jego nastawieniem spory się godzą. W każdej potrzebie spieszą do ks. Proboszcza po radę, z tém zaufaniem, śmiałością i uszanowaniem, z jakim dzieci przystępują do ojca. Nawet i bez żadnego interesu przychodzą na plebaniją często tylko na pogadankę.

Ks. Proboszcz odwiedza także ubogie ich chatki, a te rozmowy są dla nich z wielką korzyścią, bo tym sposobem z łatwością nabywają różnych użytecznych wiadomości, o czém przekonać się można przy bliższém zetknięciu się z tutejszym ludem. W jednej z naszych wycieczek w góry, nocując w szałasie, byliśmy prawdziwie zdumieni dobrém pojęciem obrotu ziemi, planet, słowem całej gwiazdzistego nieba budowy, jakie miał

nasz przewodnik, prosty góral. Pytamy go, skąd wie o tém wszystkiém? „O my to ta z ks. Proboszczem nieraz do północy o tych gwiazdach radzimy“ odpowiedział. Nie są im obce krajowe, a nawet europejskie stosunki o ile zrozumieć je mogą; znają powody toczących się wojen, nazwiska monarchów, znakomitszych wodzów, ministrów i dygnitarzy szczególnie krajowych. Miły to i pocieszający widok jak w czasie sejmów galicyjskich górale zebrani w niedzielę przed kościołem, czytają z największém zajęciem protokoły sejmowe, ciekawi obrotu spraw krajowych i głosu posłów, których znają nie tylko z nazwiska ale nieraz ze sposobu myślenia.

Ks. Stolarczyk przywiązuje szczerze do tego ludu, od niego nawzajem jest kochany. Nie wspomną o nim bez pochwał płynących z wdzięcznego serca, bo górale pochlebstwa nie znają. „Takiego księdza jak nasz, to nigdzie niema; on jak spojrzy na człowieka, to zaraz zgadnie, co myśli; przed nim zmyślić nie można“ i t. p. W czasie wyboru posła na sejm, odbywającego się przed kilku laty w Nowymtargu, wdzięczni Zakopianie oddawali publiczne pochwały swemu czcigodnemu Pasterzowi. Gdy przed dwoma laty Ks. Stolarczyk odbywał pielgrzymkę do Ziemi świętej,¹⁾ ksiądz zastępujący go przez ten czas, ledwie nie codzień odprawiał mszę św. zamówioną przez parafjan na intencją swego proboszcza. Dzieci przy wieczornym pacierzu odmawiały zawsze modlitwę o szczęśliwy jego powrót.

¹⁾ W podróży tej blisko cztery miesiące trwającej, ks. Stolarczyk był w Aleksandryi, Kairze i na szczycie najwyższej piramidy Cheops; a przepłynąwszy kanał suezki, zwiedził najdokładniej wszystkie miejsca uświęcone tradycją biblijną w Palestynie, jako to: Jerozolimę, Betleem, Nazaret, górę Tabor, Liban, Karmel, Damaszek i w. i., a w powrocie Konstantynopol i Rzym.

Tym obrazem kończę opis Podhalan, nad którym może za nadto się rozszerzyłam; powinna mię jednak usprawiedliwić chęć obznajomienia z ludem godnym zaiste bliższej uwagi, zwłaszcza że zwiedzając Tatry, w ciągłej będziemy z nim styczności.



Pobyt w Zakopaném.

Gdzie miło tam człowiek i rad się przysiedzie,
A dobrze, jak mówią, z dobremi jest wazędzie.

W. P.

Każdemu kto wybiera się na zwiedzenie Tatrów, życzę zamieszkać, chociaż parę tygodni w Zakopaném i stąd dopiero o ile sprzyjać będzie pogoda, odbywać wycieczki. Na całym Podhalu nie znajdzie piękniejszego, zdrowszego, dogodniejszego miejsca na mieszkanie: czyto dla chorych przybywających na żentycę, czy dla zdrowych szukających jedynie rozrywki i świeżego powietrza, a chcących zarazem poznać Tatry. Przemawia za Zakopaném, bliskość miejsc godnych zwiedzenia, jakoto: Kondratowój, Czerwonego Wierchu, Kalatówki, stawów Gąsientcowych, doliny Kościeliskiej, Mało-Łąki i t. d. Do wielu z tych miejsc byłoby jeszcze bliżej z Kuźnic, ale mieszkanie tam jest bardzo smutne, głównie z tego powodu, że jako głębiej w górach położone, daleko częściej bywają nawiedzane deszczem, niż wieś Zakopane. Wreszcie nieustanny stukot młotów, warczenie kół, huk wody, brzęk żelaza, słowem cały ten hałas fabryczny, wcale nie jest przyjemny.

Chcącym odbywać kuracyję żentyczną, radzę przyjeżdżać wcześniej, t. j. jeżeli wiosna ciepła, w połowie

Czerwca, a najpóźniej w końcu tego miesiąca lub na początku Lipca; w tym bowiem czasie żentycy bywa najwięcej i najlepsza; dobrzeby też było uprzedzić żydów, którzy zjeżdżają się jak najwcześniej, bo mieszkania i żentycy tańsze. Później, gdy się zjedzie więcej osób i żentycy na szafasach zabraknie, zdarza się że juhasy dolewają pokryjomu wody. Zresztą, około połowy Sierpnia, już zazwyczaj spędzają owce do domu; chcąc zatem odbyć paromiesięczną kurację, trzeba ją rozpocząć zawczasu.

Nie tylko dla używających żentycy, ale dla wszystkich wybierających się na dłuższy pobyt w Zakopaném, z zamiarem zwiedzania gór, najstósowniejszą porą jest druga połowa Czerwca, do połowy Lipca, gdyż wtedy właśnie roślinność jest tutaj w pełnym rozkwicie, łąki i polany w najstrojuiejsze przybrane szaty, ożywione ludźmi i bydłem; po dolinach wśród dzikich gór brzmią wesołe śpiewki i hukanie juhasów, życie pasterskie rozwija się na łonie Tatrów z całym wdziękiem i poezją sielanki, wreszcie dzień właśnie najdłuższy, sprzyja dalszym wycieczkom.

Jak już wspomniałam, chaty Zakopian są w ogólności obszerne, pięknie zbudowane, bardzo więc łatwo o mieszkanie, zwłaszcza że w ostatnich kilku latach, stanęło tutaj bardzo wiele porządnych domów. Nie znajdziemy tu wprawdzie tych wygod jakich mieć można podróżując w Alpach, ale w izbie schludnej, wesołej, często z najpiękniejszym na góry widokiem, wśród poczciwego ludu, któryby wszystko z pod serca wydobyl byle tylko nam dogodzić, łatwo zapomnieć o zagranicznych wygodkach. Izba, obok której jest czasem komora mogąca służyć za spiżarnię, wraz z posługą, którą najczęściej podejmuje ochotnie sama gaździna lub jój dzieci, kosztuje miesięcznie 8—10 złr. Mieszkanie składające się z dwóch izb, płaci się naturalnie drożej.

Kto nie chce przestać na posłaniu ze słomy ow-
sianej, ten powinien przywieźć z sobą pościel, gdyż jak
się łatwo domyślić, nie dostanie tu gościnnych łóżek.
Trzeba także zaopatrzyć się w cieplejsze ubranie, bo
bywają tutaj dni słotne i zimne jak u nas w późnej
jesieni.

Co do żywności, nie trzeba się lękać że będziemy
zmuszeni żyć po góralsku owsianemi plackami, bo i o
inne artykuły nie tak tu trudno. Jużto leguminy, kawę,
cukier, herbatę i tym podobne zapasy, trzeba przywieźć
z domu, bo jakkolwiek tego wszystkiego dostanie w No-
wymtargu, a nawet w Zakopanem u żyda w sklepie,
jednakże po znacznie wyższych cenach. Szczególniej
dobry zapas herbaty jest tutaj niezbędnym, gdyż ten
rozgrzewający napój, do którego przywykliśmy w mie-
ście, bardzo się przyda tak na wycieczkach, jak i w cza-
sie chłodnych zazwyczaj wieczorów. Mięsa dostanie dwa
lub trzy razy na tydzień w karczmie u żydów trudnią-
cych się rzezią. Czasem także góral z Poronina przy-
nosi baraninę lub cielęcinę. O drób dosyć trudno, bo
wykupują go żydzi zjeżdżający się coraz liczniej na
żentycę. Bułki białe i smaczne piecze prawie codzien-
nie żydówka ze sklepu. Chléb nie bywa dobry i daleko
lepiej kupować go w Nowymtargu.

Goście bawiący w Zakopanem utrzymują zwykle
posłańca, który trzy lub cztery razy w tydzień idzie do
Miastu (Nowogotargu) po sprawunkach. Kupuje on chléb,
bułki, mięso, włoszczyznę, drożdże, wino i t. p. Każdy
płaci mu za drogę 10 cent. mniej więcej, a biedny gó-
ral byle zebrał 50 cent., biegnie ochoczo trzy mile i
tegosamego dnia powraca, roznośząc sprawunki po do-
mach. Taka poczta jest bardzo dogodna, a *Kuba*, który
już od kilku lat pełni wesolo urząd *poczciarza*, nigdy
nie zawiódł zaufania i nie przeniemierzył się w niczem.

O masło w samém Zakopaném dosyć trudno, bo tu nie wiele go robią; ale poznawszy się z gaździnami, można dostać wybornego masła ze wsi poblizkich, jak z Cichego lub Dzianisza i to daleko taniej niż w Krakowie. Mleko tu wyborne, tak kwaśne jak słodkie; o to ostatnie jednak nie tak łatwo, gdyż jak mówiłam poprzednio, bardzo mało bydła trzymają przy domach, ale wysyłają na paszę w góry. Do bliższych szalasów posyłają konno po mleko z *obońkami*¹⁾. Na gorąco jednak trudno utrzymać mleko słodkie; to też najczęściej przywożą już zsiadłe które ma tę szczególną własność, że nawet w cieple nie podbiega serwatką. Mleka słodkiego nigdy nie zbierają, nie znają nawet śmietanki, nie umieją jej zbierać; albo będzie tak gęsta, że się zaraz zwarzy, albo też nie wiele się różni od mleka. Ale i o bardzo dojrą śmietankę wystarać się można, chociaż przy tak wyborném mleku łatwo się bez niej obejść, lub zbierać ją sobie kupując mleko prosto od krowy. Aromatyczna i obfita pasza, jaką bydło znajduje w górach i na wyrębiskach, nadaje mleku ów smak wyborny, zapach i gęstość, jakiej nie ma nigdy mleko od naszych krów, choćby najlepij karmionych.

Dodajmy teraz mnóstwo grzybów, poziomek, maślin, często i pstrągów, z któremi się proszą kobiety, dziewczęta i dzieci, a przyznać musimy, że kto nie jest wymagającym i do wykwentów przywykłym, nie dozna głodu w Zakopaném.

Dla mężczyzn nie umiejących prowadzić gospodarstwa i nie znających się na kuchni, dłuższy pobyt tutaj dosyć był niedogodnym, bo góralki prócz bryi i ziemniaków nic ugotować nie umieją. Od paru lat atoli,

¹⁾ Są to płaskie naczynia drewniane mające dwa dna, podobne do tych, w jakich olej na sprzedaż do nas przynoszą. Po parze takich oboniek zawieszają na koniu.

bywa tu przez lato restauracyja, o której wprawdzie nie powieźdie nie umiem, sądzę jednak że znany z przyszłowa najlepszy kucharz głód, lub przynajmniej pomocnik jego, dobry apetyt, przyprawi smacznie każdą potrawę.

Jeżeli gdzie, to tutaj wobec téj przyrody tak majestatycznej, tak cudnie pięknej, która poi duszę niewymowną rozkoszą, w pośród ludu który tak lichą żywi się strawą, powinnyby zamilknąć owe wymagania, owa wybredność tak niezgadająca się z rozsądkiem, że nie powiem, ponizająca człowieka, istotę duchową, która powinna mieć na pierwszym względzie, zaspokojenie potrzeb szlachetniejszej połowy swojej, nie zaś dogadzanie zachceniom drugiej, będącej jedynie mieszkaniem, służą owego boskiego tchnienia. Prawda, że o głodzie trudno podziwiać nawet takie cuda, jakie tutaj nas otaczają, a powietrze i woda góraska wielki budzą apetyt; ale czyż koniecznie z potrzeby robić zbytek? Kto uważa, że nie potrafi się obejść bez przysmaczków, że bez téj przyprawy góry i ich widoki nie potrafią go zająć i nasycić, niech nie wyjeźdża z miasta i niech zostawi Tatry tym, którzy o kawałku chleba z owczym serem i szklance mleka lub żentycy, gotowi całodzienne odbywać wycieczki, wracając z nich odświeżeni na duchu, przejęci uczuciem uwielbienia i wdzięczności dla Stwórcy wszechświata, z większym zapałem do cnoty, z gorętszą dla bliźnich miłością.

Mówiąc o mieszkaniu i gospodarstwie przez czas pobytu w Zakopaném, nie mogę pominąć zarzutu jaki spotyka nieraz tutejszych górali, t. j. łakomstwa i chciwości. Ta wada powinna się pokazać właśnie w takich stósunkach, jakie miewaliśmy z góralami, bawiąc po parę miesięcy w Zakopaném. Tymczasem mogę sumiennie powieźdie, że bardzo rzadko zdarzyło nam się napotkać brzydkich łakomców, tak że możnaby ich policzyć do wyjątków, a przeciwnie zadziwiała nas nieraz

bezinteresowność tych poczciwych ludzi. Nie przeczę że zwłaszcza pomiędzy bogatszymi są chciwi bez miary, skąpcy i spekulanci, trochę przecież uczciwsi i sumienniejsi niż wśród cywilizowanego świata; ale żeby ta wada miała być ogólną i tak rażącą jak twierdzą niektórzy, tego nigdy nie przyznam.

Do obudzenia chciwości w góralach, przyczyniają się po części goście coraz liczniej nawiedzający Zakopane; jedni przez źle zrozumianą hojność, dziwią się głośno taniości, inni znowu przez zbytę oszczędność i wyrachowanie, chcą wszystkiego dostać za pół darmo. W każdym razie miejmy to na uwadze, że Zakopanie pomimo [pozornie dobrego bytu, powiększej części są biedni; te parę letnich miesięcy w których goście przyjeżdżają, to prawdziwe dla nich żnwo, można im więc darować jeżeli czasem chcą skorzystać choćby trochę za dużo, żeby się poratować w biedzie; lubo i w tym względzie dziwił mię nieraz ich rozsądek i wyrozumienie. W ostatnich latach bywały w Zakopanem różne znakomite osoby, które naturalnie z własnej chęci, płaciły wszystko w dwójnasób. Górale rozumieli to dobrze że nie każdy może tak płacić jak książę lub biskup i błogosławiąc ich hojność, nie podnosili bynajmniej ceny mieszkań lub nabiątu. Na dowód bezinteresowności a zarazem rzadkiej poczciwości i prawości górali, niech mi wolno będzie przytoczyć tutaj jedno tylko zdarzenie.

Za pierwszą naszą bytnością w Tatrach, będąc w Kościelisku, zaraz na wstępie do téj doliny, spotkaliśmy chłopaka, który podjął się zaprowadzić nas do *Pisanéj*. Był to jeden z juchasów mających ształasę w dolinie. Deszcz zrazu drobny, tak że nie zważaliśmy nawet na niego, gdyśmy powracali od *Pisanéj*, zamienił się w ulewę. Nasz przewodnik rozłączył się z nami i poszedł na swoje polanę po żentycę i serki, które

miał nam przynieść do karczmy. My zaś nie mając się gdzie schronić, brnęliśmy po kostki w wodzie i błocie przemokli do nitki, ale pomimo to dobrej myśli, szczęśliwi, że nam się przy najmniej udało dojść bez deszczu do źródła Dunajca i powziąć jakie takie wyobrażenie o czarownej Kościeliskiej dolinie.

Skoro stanęliśmy w karczmie, deszcz naciął i nasz furman naglił, aby się nie ociążać, ale co prędkiej ruszać w drogę. Żał nam było żentycy, a więcej jeszcze chłopaka, który nic nie dostał za swoje przewodnictwo; ale nie było rady, należało korzystać z szczęśliwej chwili. Zostawiliśmy wprawdzie dla Jędrka kilkanaście groszy u karczmarza, prostego górala; ale ten człowiek tak nam się jakoś nie podobał, iż byliśmy prawie pewni, że albo nie da chłopcu, albo się przy najmniej z nim podzieli. Wybierając się w Tatry we dwa lata potem, wspominaliśmy często Jędrka, ale nie mieliśmy nawet nadziei dopytania się o niego, gdyż nie wiedzieliśmy, ani jak się nazywał, ani z którego był szalasu. Tymczasem traf szczęśliwy wszystko ułatwił.

Będąc w Kościelisku, wstąpiliśmy na mleko do jednego z szalasów; wtém, !gdy zajadając smaczno, rozmawiamy z Bacą, zbliża się do nas młody juhas; z kilku słów jego pokazało się, że nas zna. I my poznaliśmy w nim naszego Jędrka, i z niemałym zadziwieniem dowiedzieliśmy się, że karczmarz nie skrzywdził go ani na szeląg. Zawstydziliam się prawdziwie naszego niedowierzania i nie wiedziałam, co więcej podziwiać, czy sumiennosc karczmarza, czy téż rzadką poczciwość juhasa, któremu nadarzała się wyborna sposobność wyłudzenia od nas kilku groszy, a jednak nie korzystał z niój i prawdę nad zysk przełożył. Jakżeto trudno o podobną sumiennosc u nas, gdzie często cywilizacja zależy jedynie na zręczném wyzyskiwaniu drugich.

Darują mi czytelnicy to wyboczenie, ale prawdziwie czułam się w obowiązku oczyszczenia górali z zarzutu, który czyni ujmę ich charakterowi, a choć może słuszny co do jednostek, bynajmniej do ogółu zastosować się nie da. Tak więc wypowiedziawszy co mi leżało na sercu, powracam do przerwanego przedmiotu, t. j. do pobytu w Zakopaném.

Nie zapominając nigdy o słotach które po parę dni zatrzymywać mogą w mieszkaniu, radzę wziąć kilka dobrych książek i ręczną robotę jako środek przeciwko nudom. Co do pogody, nie można się spuszczać na przepowiednie górali, bo oni nie znają się na tém, wyjąwszy byłych strzelców, którzy przebywając w górach po parę tygodni, lepiej są obznajomieni z oznakami wróżącemi deszcz lub pogodę.

Ale i ich doświadczenie często zawodzi, gdyż nie zmienniejszego jak pogoda w górach. Wszystkie oznaki deszczu, a więcéj jeszcze pogody, niezawodne w równinach, nie dadzą się tutaj zastosować. Nie widząc, trudno nawet mieć wyobrażenie jak nagle, jak niespodzianie chmury się zbierają, i wśród najpiękniejszej pogody, *deszcz robi*, jak mówią Zakopianie. Główną tego przyczyną jest wielka zmienność wiatru i bliskość olbrzymich turni, o które rozdzierają się chmury i zmieniają niespodzianie swój kierunek.

Niema więc rady, każdy wybierający się na dłuższą zwłaszcza wycieczkę, musi być przygotowanym na zmoknięcie, które jednak, jakkolwiek nie bardzo miłe, nie szkodzi zdrowiu w tutejszóm prawdziwie cudowném powietrzu.

Co do kolei jaką najlepiej odbywać wycieczki, oraz w tém wszystkiém, co Tatrów dotyczy, najlepiej zasięgnąć rady ks. Proboszcza, który zna i kocha góry, jak zapewne nikt drugi; był niemal na wszystkich wiérchach, od Łomnicy, szczytu Gierłachowskiego i Lodowego

aż do niedostępnego Giewontu, i każdemu najchętniej udziela potrzebnych objaśnień.

Tak więc rozgościwszy się w Zakopaném wraz z czytelnikami memi, ruszajmy w góry, do których rwie się dusza z niepohamowanym zapałem; ruszajmy śmiało, bo wszystkie trudy wynagrodzą nam hojnie doznane wrażenia, które na zawsze w duszy pozostaną¹⁾.

Każdy zapewne zapragnie najprzód poznać *Morskie Oko*, miejsce najwięcej zwiedzane w całych Tatrach, kilka razy opisywane i zaiste godne dawanych mu pochwał. Wycieczka do Morskiego Oka jako téż wyżej jeszcze położonych *Pięciu Stawów* z wodospadem *Siklawej Wody* jest rzeczywiście jedną z najprzyjemniejszych, jeżeli sprzyja pogoda, i to nie jeden, ale przynajmniej dwa dni, gdyż ta podróż ze Zakopanego dniem jednym odbyć się nie da. Ponieważ dwa razy byłam przy Morskiem Oku, wiem z doświadczenia, jak najwygodniej i najprzyjemniej odbyć można tę wyprawę; opis więc mój posłuży zarazem za wskazówkę każdemu, kto się wybiera na zwiedzenie tych czarownych okolic.

¹⁾ Każdemu, wybierającemu się w góry, radzę zaopatrzyć się w wygodne i mocne obuwie, gdyż obcisłe i cienkie nie wystarczy ani na jedną wycieczkę.

Wycieczki w góry najprzyjemniej wprawdzie odbywać w dobraném towarzystwie; gdyby jednak nie było do tego sposobności, można śmiało puścić się w drogę, choćby tylko we dwie osoby wraz z przewodnikiem, bo rozboje w górach żyją jeszcze chyba w pamięci i podaniach ludu; teraz zaś, choćby w najdzikszych stronach, można być zupełnie bezpiecznym.



Morskie Oko i Pięć Stawów.

Czasem się do nas zbłąka panisko;
Czasem i kilku — toć z nimi chodzim
I do Morskiego Oka ich wodzim

A gdy ich wiedziem za kozią drogą
Kędy na górach Bóg chmury złożył,
Tam to wydziwić już się nie mogą
Jaki góralom Pan Bóg świat stworzył.

W. P.

Korzystając z ustalonéj na dni kilka pogody, postanowiliśmy odbyć niezwłocznie ułożoną od dawna wycieczkę do Morskiego Oka i Pięciu Stawów. W tym celu (d. 24 Lipca 1856 r.) wyruszyliśmy po południu z Zakopanego do wioski Bukowiny, leżącój już na samym wstępie do Tatrów od strony Spiża, aby tam przemocować i nazajutrz raniuteńko w dalszą puścić się drogę. Dwumilowa droga z Zakopanego do Bukowiny, bardzo przyjemna i piękna. Przecudne łąki jeszcze kosą nietknięte, jaśniały w całym przepychu różnobarwnych kwiatów; na polach zielenił się owies, len i ziemniaki, miejscami bujny groch koralowym osypauy kwiatem, wił się wysoko po tykach. Prócz Dunajca, który w szerościem, kamienistém łożysku toczy spienione swe wody, mnóstwo bystrzych potoków i strumieni ożywia tę oko-

licę, w której leży Poronin, wieś porządnie zabudowana, jak wszystkie na Podhalu. Każdemu z przejeżdżających wpadnie niechybnie w oko piękny tutejszy cmentarz. Białe okrągłe kamienie, których mnóstwo w czasie wezbrania stacza z gór Dunajec, ułożone równo jak mur, stanowią ogrodzenie; na środku stoi wielki krzyż z wizerunkiem Zbawiciela; mnóstwo drzew, krzaków i kwiatów posadzonych na grobach, w rozkoszny ogród zamieniają to posępne śmierci siedlisko.

Od kościoła w Poroninie, droga zwraca się na wschód, prowadząc brzegiem Porońca, wpadającego pod Poroninem do Białego Dunajca. Ślicznąż to okolica Podhala, którą przebywamy jadąc do Bukowiny! Wśród wzgórzów umajonych świeżą zielonością wiosny, przystrojonych świerkowemi laskami, leżą malowniczo rozsypane wsie *Mur*, gdzie są kuźnice żelaza, *Zasichtle*, *Gliczaróm*, *Bukowina*. Leśniczówka i karczma bukowińska, stoi na wzgórzu bardzo wyniosłym (2975 st.). Z téj to zapewne różnicy położenia pochodzi, że gdy w Zakopaném owies już się wysypuje, tu dopiero cokolwiek podnosi się nad ziemię. Stąd bardzo piękny widok na dolinę Białki od wschodu i północy, a od południa na Tatry, gdy słońce pięknie zachodzi lub wschodzi.

Zaledwie rozgościliśmy się w przeznaczonéj dla nas stancyjce, zaczęli się schodzić górale stręczący nam się za przewodników w jutrzejszój wyprawie. Zamówiliśmy jednego z nich, który z powierzchowności bardzo nam się podobał, ale jak się później okazało, w niczem nie był podobnym do poczciwych zakopiańskich górali¹⁾. Lud w Bukowinie i sąsiedniej wsi Białce, le-

¹⁾ Ostrzegam że nie można się spuszczać na pierwszego lepszego górala który się podejmuje przewodnictwa. Każdy wprowadzie doprowadzi na miejsce, ale jaką drogą, o to nie pytaj, bo dla górala każda dobra. Prócz tego zwie-

zając na samej granicy spizkięj, w ogóle nie jest tak uczciwy i trzeźwy jak w Poroninie, Zakopanem, Chochołowie i innych wsiach podhalskich; do złodziejstwa szczególniej wielką ma skłonność¹⁾.

Słońce jeszcze dosyć było wysoko, niepodobna było tak wczesnie zabierać się do spoczynku, a potem jakież to widok wabił nas za wrota karczemne! Cały łańcuch Tatrów rozciągał się przed nami, na oko bardzo mało oddalony. Z Zakopanego widzimy tylko niższą część tego pasma; tu występują owe olbrzymy spizkie, nad które wznoszą się dumne czola Łomnicy, Lodowego szczytu, Gierlacha, Ganku i innych turni najwyższych w całym Tatrów łańcuchu. Pomimo że najczystszy błękit sklepił się nad nami, grube mgły leżały na najwyższych szczytach, i z nadchodzącym zmrokiem coraz niżej spuszczały szarą zasłonę swoją.

Siedząc przed karczmą, śledziliśmy zachwyconém okiem precudnej gry promieni słońca, które zniżając się ku zachodowi, świetną purpurą oblewało Tatry, jakby odbłaskiem tysiąca pochodni, gorejących po nawach, kopułach, wieżach, krużgankach tój wspaniałej, godnej

dzając góry, radzibyśmy przecież dowiedzieć się nazwisk, otaczających nas turni, dolin, potoków i jezior; tymczasem niektórzy tylko górale znają dobrze Tatry, inni na domysł powiedzą co im przyjdzie do głowy. Radzę zatem każdemu, aby wybierając się na jaką wycieczkę, wziął ze Zakopanego przewodnika sumiennego, przezornego i poczciwego. Jako takich polecić mogę: Jędrzeja Wałę, Macieja Sieczkę i Szymka Tatara. Ci jako dawniejsi strzelcy, znają Tatry najlepiej, ale prócz nich jest jeszcze wielu innych, którym można zupełnie zaufać.

- ¹⁾ Od kilku lat górale w Bukowinie, gdzie pijaństwo było powszechném, wyrzekli się wódki i wkrótce skutkiem wstrzemięźliwości, zakwitł pomiędzy nimi lepszy byt który spostrzegaliśmy z pociechą, przejeżdżając tędy w parę lat później.

wielkości Stwórcy świątyni. A wśród téj złotoróżanej powodzi blasku, jakim jaśniały nagie opoki i rumieniły się śniegu smugi, jakże tajemniczo czerniły się głębokie przepaści, w których paszczę nie dojdzie nigdy słońca promyczek! To jakby zaklęte siedliska owych istot z wyższego świata, które według podań ludu zamieszkują te góry, i z zapadającym zmrokiem wysuwają się zwolna z tajemniczych kryjówek swoich w postaci leciuchnych, mglistych obłoczków, czekając, rychło zgasną ostatnie dnia blaski, i ciemna noc zgubnym albo téż zbawionym ich wpływom otworzy pole działania. Zwolna jedna po drugiej gasty pochodnie, zmrok coraz szerzej rozpościerał pauowanie swoje; już tylko gdzieniegdzie drzał mdlejący światła promyczek; wnet i ten zagasł, ciemność zaległa całą świątynię, i niby ostatnia lampa w przysionku, poważny tylko Giewont przyświecał jeszcze czołem, zorzą zachodu oblaném. Coraz słabiej, coraz niepewniej migotał ten ostatni promyczek i..... skonał. Zazdrosne mgły, czekające widać niecierpliwie na to uroczyste pożegnanie króla światłości, otuliły teraz góry ciemną oponą swoją, niby troskliwa piastunka, kołysząca ulubione dziecię do snu nocnego.

Zaledwie się zmierzchno, udaliśmy się na spoczynek, aby nie zaspać i wstać jak najraniiej, gdyż chcieliśmy wyjechać przed świtem. Niebo wypogodzone i miły chłód wieczora, nie pozwalały nawet przypuszczać najmniejszej wątpliwości o jutrzejszej pogodzie. Spokojni więc zupełnie, szczęśliwi nadzieją jutra, zasnęliśmy smaczno na świeżém i wonném sianie, przy blasku księżyca, który srebrzystą twarzą zaglądał w okno naszej stancyjki, jakby czuwał nad snem naszym i czekał tylko chwili obudzenia nas w porę. I nie zawiódł nas poczciwiec; około trzeciej po północy, uderzeni w naszą stancyjce jasnością, którą wzięliśmy za światło dzienne, zerwaliśmy się z pościeli, a chociaż poznaliśmy wkrótce,

że to księżyc takiego wyplatał nam figła, nie guiewaliśmy się wcale, ale zbudziwszy furmanów, wybieraliśmy się spiesźnie. Cudny to był ranek! Księżyc już pobladł i nachylił się do zachodu, brzask dzienny jeszcze nie rozpędził nocnych ciemności; tajemnicza szata zmroku odziewała całą okolicę, Tatry jakby współsenne, rozmarzone, jakoś niepewnie rysowały się na widnokręgu, a mgły szare niby duchy i widma krążyły nad niemi, to rozplływając się w powietrzu, to uciekając w doliny i wąwozy, skąd je znowu zmrok wieczorny wywabi.

Z Bukowiny do Morskiego Oka rachują trzy mile. Droga wprawdzie niewygodna, jak zwykle leśna; tu i owdzie lasem wyboje, bagaa, w niejednym miejscu przykry zjazd, a od Roztoki bardzo kamienista; stąd więc lepiej iść pieszo. Z tém wszystkiém jednak droga ta nie jest tak okropna, jakby wnosić można z niejednego przesadzonego opisu; trzeba bowiem znać leciuchne wózeczki góralskie i koniki tamtejsze, zwinne i do takich dróg dziwnie wprawne; zresztą pomimo niewygodnej jazdy, droga ta jest tak piękną, iż nieledwie wszelkich zapomina się trudów¹⁾. Z początku szczególniej

¹⁾ Skutkiem nadzwyczaj obfitych śniegów w zimie 1871 roku, jakich najstarsi niepamiętają górale, a następnie nadzwyczajnego także wzbierania potoków tak na wiosnę jak w lecie, droga do Morskiego Oka stała się teraz o wiele przykrzejszą do przebycia. Porobiły się nowe wyboje w lesie, a od Roztoki, która zmieniła łożysko, nie tylko przejechać, ale nawet przejść trudno, bo ogromne bryły skał, zawałiły drogę. Pomimo to wiele osób bawiących przeszłego lata w Zakopanem, odbywało tę podróż, bo tu niema wyboru; czy pójdziemy przez Zawrat, czy przez Waksmundzką, czy przyjedziemy z Bukowiny, w powrocie przynajmniej nieominimy najprzykrzejszej części drogi, t. j. od Roztoki do Morskiego Oka, bo innéj niema. Mogę jednak zaręczyć że nikogo ze zwiedzających, Morskie Oko, nie spotkał żaden przypadek i wszyscy powrócili zdrowo, niezalutując podjętych trudów.

jestto wyraźnie angielski ogród; na najpiękniejszym trawniku rosną klombami młode świerki, jakby umyślnie sadzone. Kto nie widział świerków tutaj, w prawdziwej ich ojczyźnie, i zna je tylko z tych, które napotykamy pojedynczo w ogrodach i lasach naszych, szerniałe, zbiedzone, ledwie ku wierzchołkowi mające kilka smutnie zwieszonych gałęzi, ten nie ma wyobrażenia o tém piękném drzewie. Nasze świerki słusznie ktoś nazwał żałobą lata, tutejsze są jego prawdziwą ozdobą. Zieloność ich ciemniejsza wprawdzie od téj, w jaką wiosna stroi liściaste drzewa, ale jak świeża i piękna! To téż lasy tutejsze, prawie wyłącznie świerkowe, nie są wcale tak smutne, jak bywają zwykle nasze bory, iglastymi drzewami zarosłe. Szczególniej młode świerki są prześliczne; pień ich wysmukły; prosty, od wierzchołka do dołu okrywają coraz szerzej rozpościerające się gałęzie. Na tle połyskujących skał, ciemnozielone świerki tém piękniej odbijają.

Może w pół godziny po wyjeździe, powitaliśmy wschodzące słońce. Na niebie nie było ani jednej chmurki; nie towarzyszyły królowi światła owe obłoczki, które on jasnością oblicza swego opromienia, i które płynąc zwolna w przezroczu błękitu, rydwan jego ciągnąć się zdają. Bukiety róż nie uścielały drogi jego; prócz zorzy, rumieniającej zlekka wschodnią stronę nieba, nic nie zapowiadało zbliżającego się wschodu słońca. W tém niespodzianie na krańcu widnokregu ukazał się złoty brzeżek i wkrótce ognista tarcza wzbija się nad poziom, i płynąc zwolna po czystym lazurze, oblala uroczym blaskiem Tatry, które całym łańcuchem roztoczyły się przed nami, od skalistego Murania i Lodowego szczytu, wznoszącego się majestatycznie tuż przed nami, do Giewontu i gór orawskich. Ani jedna chmurka nie zasłaniała smugami śniegu okrytych turni; czasem tylko lecina chna mgła, niby tkanka pajęczna, czepiała się

nagich szczytów, ale i ta rozplywała się wkrótce w ciepłych promieniach słońca.

Zachwycając się ciągle tym niezrównanie wspaniałym widokiem, jechaliśmy gęstym świerkowym lasem, który rozsuwał się miejscami i śliczna polanka z szaląsem i pasącą się trzódka owiec, lub przepaścista dolina, w głębi której huczał bystry potok, rozweselała jednostajność boru. Tak jadąc wciąż z północy ku południowi, minęliśmy polany Klinkówkę i Głodówkę, a ciągle spuszczać się na dół, zjechaliśmy nareszcie w uroczą dolinę Białki. Tu dopiero wstąpiliśmy do wnętrza Tatrów. Po obu stronach tej obszerniej doliny, piętrzą się skaliste olbrzymy; boki ich okrywają bujne lasy, rosnące w amfiteatr na spadzistych ścianach, jakby najstaranniej przyszyrywane szpalery; wyżej rozściela się płaczący kosodrzew¹⁾, dalej już tylko mchy szarzeją, a nareszcie nagie, skaliste iglice z płatami śniegu w szczelinach, który oświecony blaskiem słońca, olśniewa oczy świetną białością, pną się pod obłoki tak dumnie i groźnie, że słowa podziwu konają na ustach, a dusza przejęta do głębi uwielbieniem dla Stwórcy, wzbija się wyżej jeszcze, przenika to lazurowe sklepienie i u stóp tronu Przedwiecznego składa w pokorze uczucia wdzięczności i szczęścia jakie ją przepelniają. W tęto dolinie szumi bystra Białka wypływająca z Morskiego Oka, której szmaragdowe, przejrzyste wody, w bystrym pędzie cudnie odbijają wśród białych, czerwonym pachną-

¹⁾ Jestto czolągająca się sosna (*pinus mughus*), właściwa górnym strefom; rośnie bowiem w wysokości 4600 do 5600 st. n. p. m. Nie jestto drzewo, ale krzak, którego gałęzie okryte igłami bardzo podobuemi do sosnowych, rozpościerają się szeroko po ziemi, a płacząc się z sobą, nieprzebytą prawie stanowią zaporę dla wędrowca zabłąkanego przypadkiem w takie zarośla.

cym porostem okrytych kamieni¹⁾, brzegi jój zalegających.

Na zachodnim brzegu Białki, w połowie drogi między Bukowiną a Morskiem Okiem, leży polana zwana *Eysą*, która pięknością swoją w prawdziwe wprawia zachwycenie. Najpiękniejsza łąka rozścielająca się kwiecistym kobiercem, szałas stojący na pochyłości wzgórza, stada pasącego się bydła, pasterze i pasterki uganiający za niemi i zwołujący rozpierzchłe owieczki dźwięcznym głosem, który dalekie powtarzają echa, to wszystko ujęte w ramy splecione z olbrzymich opok, z ciemnymi lasami u dołu i kryształowej wstęgi potoku, opromienione słońcem porannem, tworzy obraz tak wdzięczny i czarujący, że nic nie zdoła zatrzeć go w pamięci. Z tym pięknym widokiem tchnącym życiem i świeżością wiosenną, smutną stanowią sprzeczność sterczące pnie lasu, który niegdyś okrywał pochyłości gór po lewej, t. j. wschodniej stronie Białki, a przed kilkudziesięcią laty pożarem został zniszczony. Na stosach powalonych pni, sterczą jeszcze tu i owdzie jakby kościotrupy zeschłe, popalone drzewa, nieme świadki owego dnia pełnego zgrozy, kiedy rozhukany żywioł wtargnął w ten gród odwieczny, szerząc okropne zniszczenie.

Okolo godziny siódmej, przybyliśmy do ujścia *Rostoki*, która dwoma ramionami wypada z przepaścistej

¹⁾ Nad brzegami niektórych potoków w Tatrach, n. p. w dolinie Białki, w Kościelisku, w dolinie Zakopanego i t. d. widać mnóstwo kamieni czerwona powleczonej barwą. Jestto niezmiernie delikatny porost, który chyba przez mikroskop rozpoznać można. Kamienie takie w potarciu wydają woń podobną do zapachu fijołków lub malin. Po deszczach, w czas wilgotny, nawet i bez potarcia, rozlewa się w powietrzu ów miły zapach. Kilka takich kamieni przywieźliśmy z sobą do domu. Wkrótce zniknął czerwony porost, kamienie jednak trzymane na wolnym powietrzu, do drugiego roku woń zachowały.

doliny otwierającej się po zachodniej stronie drogi i łączy się z Białką. Ta to dolina miała nas doprowadzić do wodospadu Siklawej Wody i Pięciu Stawów; Roztoka miała być naszym przewodnikiem w tej przeprawie i w zamian za trudy nasze, obiecywała ukazać cuda kolebki swojej. Tu miał złączyć się z nami X..., który dniem przedtóm wyruszywszy z Zakopanego przez Zawrat do Pięciu Stawów, spuścił się na wieczór do Morskiego Oka, tam przenocował i obiecał nazajutrz rano przyjść do ujścia Roztoki, odległego o milę od Morskiego Oka, aby wraz z nami odbyć powtórnie wycieczkę do Pięciu Stawów, do której on jeden nas zachęcił i ośmielił, gdyż wszyscy odradzali nam tę wyprawę, jako bardzo męczącą a nawet niebezpieczną. Trzeba być tak rozkochanym w górach, tak niezmordowanym w chodzeniu po nich, jak jest X..., aby tyle podejmować trudów. Nie zastaliśmy wprawdzie w umówioném miejscu towarzysza podróży naszej; pewni wszakże, że wkrótce za nami zdaży, odesłaliśmy nasze wózki prostą drogą do Morskiego Oka, a sami z przewodnikiem zapuściliśmy się w dolinę Roztoki.

Wyznam szczerze, że spojrzawszy na te dzikie opoki piętzące się tak stromo i groźnie, z pomiędzy których wypada spieniony potok, przypomniałszy sobie wszystkie opisy i opowiadania o strasznych przepaściach nad którymi z niebezpieczeństwem życia przechodzić trzeba, straciłam na chwilę odwagę, wątpiłam o własnych siłach¹⁾. Gdy jednak zapuściliśmy się w głąb lasu, gdy dała się słyszeć piszczałka X... a wkrótce nadbiegł i on sam, nie zmęczony bynajmniej wczorajszą

¹⁾ Przypominam że tę wycieczkę odbywaliśmy w r. 1856. Od tego czasu tyle osób zwiedziło dolinę Roztoki i Pięciu Stawów, że niepodobna wystawiać te miejsca jako nieprzystępne i niebezpieczeństwem grożące, ale przed kilkunastu

przeprawą i milową drogą już dzisiaj odbytą, uszczęśliwiony z pogody, zniknęła i nasza obawa, nowy ożywił nas zapał, naobraliśmy nowych sił i odwagi; zapomniawszy o czekających nas niebezpieczeństwach, przyspieszaliśmy kroku, byle ujrzeć się co prędzej w owym zaczarowanym Tytanów grodzie, którego opis skreślony piórem Wieszcza *Sobótki* od dawna mnie zachwycał.

Droga kamienista prowadziła nas ciągle nad samą Roztoką w kierunku zachodnim, najprzód po lewym czyli południowym, potem po prawym, wreszcie znowu po lewym brzegu tego dzikiego potoku. Po lewej stronie doliny wznosi się wyniosłe skaliste pasmo zwane *Opalona*, po prawej wspaniały *Woloszyn*, jedna z gór najrozleglejszych w Tatrach, niby olbrzymi mur poszczerbiony u góry, nigdzie jednak nie rozdarty do dołu, poorany łożyskami potoków, dziś po większej części wyschłych, lub sączących się zaledwie, które jednak w czasie ulewnych deszczów wzbierają nagle i z nieopisaną gwałtownością rzucają się ku Roztoce. Granitowych ścian Woloszyzna gdzieniegdzie tylko czepia się kosodrzewina, mchy rozmaitych gatunków rosną kępami w załamkach skały, a wyżej już tylko naga piętrzy się opoka i białe płyty śniegu, którego nie stopiło jeszcze skwarne letnie słońce.

Wąskie dno tej głębokiej doliny zalegają ogromne odłamy głazów, pomiędzy którymi z ogłuszającym szumem przewala się rozbukana Roztoka, zasilana ciągle spływającymi z obu boków wodami. Po brzegach Roztoki rośnie bujna świerczyna, teraz bardzo przerzedzona wypalaniem na węgle do kuźnic i pieców zakopiańskich,

laty, były one prawie nietknięte stopą zwyczajnych wędrowców, zwłaszcza kobiet, a témsamém przedstawiały obszerne pola do przesadzonych opisów które wpływały na moje wyobraźnię.

tudzież mnóstwo rozmaitych krzewów, między którymi wspominam krzaki maliuowe tak pięknie i bujne, jakich nie łatwo gdzieindziej w Tatrach napotkać. Im dalej atoli zapuszczaliśmy się w tę dziką dolinę, tém uboższą stawała się roślinność. Pożegnały nas świerki i inne krzewy, znikły prześliczne poziomki i różnobarwne alpejskie kwiaty, została tylko płącząca się kosodrzewina i gruba, bujna trawa w miejscach wilgotnych.

Nagie olbrzymy coraz ciaśniejším obstępują nas kołem, śnieg już nietylko na szczytach, ale po bokach i u stóp ich leży; już tylko kilka minut dzieli nas od wodospadu, już słychać huk jego, a jeszcze nie odślania się oczom naszym, jeszcze urwista opoka kryje Szttaubbach polski! Wspinając się po płytach kamiennych, dostaliśmy się na trawnik rozestawny na pochyłości skały nad głęboką przepaścią i nagle ujraliśmy wodospad.

Są zjawiska, są widoki, które wielkością i pięknością swoją, tłumią w piersi wykrzyk podziwu. Przyciśnieni niejako siłą doznanego wrażenia, nie możemy przez chwilę owaćdnać własnych myśli, zapominamy, gdzie się znajdujemy, myślimy o wszystkiém, nie myśląc właściwie o niczém; chcemy objąć wzrokiem ów przedmiot podziwu, ale ten jest za wielki, za nadto rozmaity i niespodziany, tak, iż zmysł i myśl potrzebują chwili czasu, aby się wyplątać z chaotycznego wrażenia i nabyć uporządkowane rzeczy wyobrażenie. Nigdy jeszcze w takim stopniu nie doznałam podobnego wrażenia, jak na widok wodospadu *Siklawej Wody*. Jakże blade, jak niedostateczne wydały mi się teraz wszystkie opisy tego wspaniałego dzieła przyrody! Bo zaiste, tu nie opisywać, ale tylko podziwiać trzeba, a korząc się, wielbić Boga, którego wszechmocna ręka siejąc po ziemi piękności kwiaty, nie pominęła najustronniejszego zakątka i tę dziką, nagich skał pustynię ustroiła snu-

jąca się bez końca brylantową wstęgą, głuchą ciszę ożywiła szumem i hukem, który tak jest miłym dla ucha wędrowca, jako jedyny głos życia przerywający to ponure milczenie. Ja też nie myślę nawet silić się na opis widoku, którego wspaniałość nigdy w słowach oddać się nie da; nie chcąc jednak przerywać ciągu opowiadania, w kilku wyrazach nakreślę jakby szkic wodospadu, mogący dać jakiekolwiek o nim wyobrażenie.

Z grzbietu nagięj, zupełnie pionowej opoki, rzuca się do dwóch sążni szeroki potok zwany *Sikławą Wodą*. Może w trzeciej części spadku, napotyka na wystającą skałę, rozdziela się na dwa ramiona równej prawie objętości i spada w przepaścistą głębią. Spadek tak jest gwałtowny, że woda traci zupełnie swą kryształową przejrzystość, i wydaje się jak bałwan śnieżnej piany przesypanej milionami brylantów. Około wodospadu do znaczniej odległości, tworzy się deszcz kroplisty, w którym odbite promienie słońca tworzą tęczę. W czasie naszej bytności, dwie takie siedmiobarwne wstęgi przepasywały śnieżne fale. Najwspaniałej wydaje się wodospad stanąwszy u spodu jego, bo wtenczas dopiero można doskonale objąć okiem całą olbrzymią jego wysokość około 160 st. wynoszącą. Dojście jednak do dna tej głębi, w którą się rzuca, jest trudne.

Siedząc z boku nad brzegiem tej przepaści, z pomimowolnym uczuciem zgrozy, spoglądałam w tę głębią jakby łożę, olbrzymią siłą wykute w litym granicie, o które rozbijają się z nieopisaną gwałtownością spienione wody, tworzą wiry, fontanny, wrą, kipią, niby w kotle, podziemnym ogniem rozpalonym, a wszelkie przeciężając przeszkody, wpadają w dolinę i pod nazwiskiem Róztoki, szalonym pędem spieszą do Białki, która lubo niezmiernie bystra, wydaje się spokojną obok tego rozhukanego potoku. Na wiosnę, gdy wody górskie, zasilone topniejącymi lodami i śniegiem, gwałtownie wzbio-

ra, wodospad Siklawej Wody jest nierównie wspaniałszym; wtenczas bowiem już nie podzielony na dwa strumienie, ale jako jedna rzeka i jednym łukiem spada w otchłań. Oprócz głównego strumienia Siklawej wody spada tu jeszcze kilka potoków; te jednak nierównie są węższe i nie tak gwałtowne, nie zwracają więc nawet na siebie uwagi.

Droga do wodospadu, lubo nie bardzo trudząca, jednak trzy ćwierci mili długa, zmęczyła nas dosyć. Oblani potem, strudzeni i spragnieni, usiedliśmy na kamienistym upłazie, okrytym grubą trawą i rozszonym ciągle deszczem wodospadu. Zaspokoiliśmy pragnienie i niepospolity apetyt, który wzbudziła niemal dwugodzinna podróż i powietrze górskie, pokrzepieni na siłach, mając przed sobą jeszcze długą i przykrą drogę, pożegnaliśmy Siklawą Wodę.

Od wodospadu dopiero rozpoczyna się podróż rzeczywiście mozolna i trudząca, zwłaszcza dla nieprzywykłych do podobnych wypraw. Wspinając się dosyć stromo po płytach skalistych, oślizłych od wody, stanęliśmy wkrótce w dolinie *Pięciu Stawów*, najdzikszej na północnej stronie Tatrów. Żeby jednak opisem moim nie dać powodu do przesadzonego wyobrażenia o trudach, z jakimi doliną Roztoki i obok wodospadu Siklawej Wody dochodzi się do doliny *Pięciu Stawów*, winnam tu nadmienić, iż węgle wypalane w dolinie Roztoki, na wózkach stamtąd wywożą; niemniej, iż tą samą drogą, którą dążyliśmy do *Pięciu Stawów*, z tamtejszego szałasus pieszyło dwóch juhasów z koniem, obładowanym obońkami z mlekiem i serem, do Jurgowa na odpust św. Anny. Gdyby nie naoczne przekonanie, nigdybym nie była uwierzyła, iż obok wodospadu Siklawej Wody koń zdoła wyjść i zejść. Stąd więc wnosić można, iż gdzie koń przejdzie, tam dla człowieka żadnego niema niebezpieczeństwa.

Pasma skał dzikich, nagich, pokrytych gdzieniegdzie zielonawym porostem i smugami zlodowaciałego śniegu, górami *Miedzianemi* zwanych, obiega obszerną dolinę zawaloną złomami kamieni, w której leży pięć jezior, zwanych zwyczajnie Pięciu Stawami. Dolina ta najwyżej z tatrzańskich położona bo 6120 n. p. m., przeszło pół mili długa, ma kształt łuku nieco wygiętego ku południowi. Dno jęj nie jest płaszczyzną, ale wznosi się jakby piętrami coraz wyżej. Na tych piętrach niby na skalistych terasach, leżą owe Pięć Stawów w następującym porządku. Najwyżej, pod samą ścianą *Zawratu*, leży staw tak zwany *Zadni* lub *Zmarzły*, z powodu że prawie zawsze jest lodem okryty; ma on przeszło 11 morg. powierzchni. Na niższym stopniu położony staw *Czarny*, zajmuje przeszło 22 morg. Następny, leżący znouwu niżej od poprzedniego, jest największym, nawet z pomiędzy jezior tatrzańskich, zajmuje bowiem przeszło 60 morgów powierzchni i zowie się *Wielkim*. Ma on kształt podłużnego czworoboku, zaokrąglonego po rogach. Woda w bliskości brzegów przezroczysta jak kryształ, dalej, gdzie wielka głębia, wydaje się ciemnosiną. Z Wielkiego Stawu wypływa ów potok, który rzucając się w straszną głębię doliny Rostoki, tworzy przepyszny wodospad *Siklawej*. Czwarty stawek zaledwie 716 sąż. kw. mający i *Mały* zwany, leży jeszcze niżej; ostatni zaś najniżej położony *Przedni*, jest znouwu dość wielki, bo ma przeszło 13 morg.

Idąc od wodospadu, stajemy od razu nad brzegiem *Wielkiego* stawu, a zmierzając ku Morskiemu Oku, przechodzimy następnie około *Małego* i *Przedniego*. Przystęp do dwóch ostatnich jest trudny, bo trzeba się przeprawiać po ogromnych bryłach skał zalegających całą dolinę, a szczególniej część jęj północną.

Poprzestaliśmy więc na widzeniu trzech stawów około których wypadła nam droga.

Dolina Pięciu Stawów, przedstawia obraz okropnego zniszczenia, martwoty i dzikości czyniący nieopisanie posępne wrażenie. Zdaniem Staszycy, cała była niegdyś zalana wodą; dopiero gdy olbrzymia jakaś siła rozwaliła północnowschodnią ścianę otaczających ją granitów, wody ogromnego jeziora rzuciły się w dolinę Roztoki, a na obszerniej płaszczyźnie, którą zalewały, pozostało tylko owe Pięć Stawów. Przedziały pomiędzy tymi stawami, zalegają ogromne odłamy głazów, oderwane widocznie od tych granitowych olbrzymów, które w potężne swoje ramiona objęły tę głuchą pustynię. Zieleniejąca miejscami nad wodą kosodrzewina, mchy czerwone, białawe, brunatne, rosnące kępami, karłowata borówka i kilka roślin alpejskich, oto cała roślinności wieniec. Grobową ciszę przerywa tylko głuchy huk wodospadu, podobny do odgłosu dalekiego grzmotu.

Kiedy tak postępując zwolna po złomach kamieni, śledziłam pilnie każdy objaw życia, tu już tak blisko graniczącego z zupełną martwotą, nagle z zarośla kosodrzewiny zerwała się mała ptaszyna, tak zwany *siwarnik*, spłoszona naszymi krokami, i wydając głos jednostajny, przerywany, smutny, przeleciała na drugą stronę stawu. Biedna pustelnico! jój nie tęskno wśród tych skał nagich za wesołymi współrodakami, którzy bujają swobodnie z drzewa na drzewo, z gałązki na gałązkę, gdy ona na twardym chyba spocznie głazie lub na kolącej kosodrzewiny gałęzi. Nikt tu piosenki jój nie posłyszysz wśród grobowego martwych głazów milczenia. Nie słyszana od żadnej żyjącej istoty, wzbije się ona w górę, w niebo, jako jedyny głos uwielbienia i chwały dla tego Pana, którego wszechmocna ręka dźwignęła te granitowe opoki. O jakże ochotnie zawtóruje jój wędrowiec, w tę dziką zabłąkany ustron, bo i jego serce wezbrane uwielbieniem dla Stwórcy, którego moc i potęgę tak wymownie te skaliste opowiadają tur-

nie! On Go czei jako Pana tego olbrzymiego grodu, on Go kocha jako najlepszego Ojca, który czuwa nad nim w trudnej przez puszcę świata pielgrzymce, jako nie zapomina o biednej ptaszynie wśród głuchej olbrzymich skał pustyni.

Przeprawa przez ogromne zwaliska kamieni, zalegających dolinę, jest trudząca. Z ostrożnością i zręcznością przestępować trzeba z kamienia na kamień, aby się nie pośliznąć i nie upaść niebezpiecznie. Po przebyciu dwóch takich przestrzeni, zawałonych gruzami, które wydają się jakby wyschłe łożyska jezior, pozostawała jeszcze osławiona z niebezpieczeństw ścieżka nad przepaścią, na której bojaźliwszych przeprowadzają z zawiązanymi oczami. Pokazał nam ją zdaleka X... i doprawdy nie mogłam sobie wyobrazić, jak ścieżka tak wygodna za tak niebezpieczną uchodzić może. Jest ona wryta na wschodnim boku stromej góry, okrytej gęstą, twardą, a zatem śliską trawą, tak szeroka, że nie tylko najwygodniej po niej postąpić można, ale nawet wymiąć się z drugą osobą. Prawda, że przepaść doliny Roztoki, nad którą prowadzi, okropna; z tego więc powodu dla osób, cierpiących zawrót głowy, przeprawa ta niebezpieczną być może. Szczęściem nikt z nas nie był skłonny do zawrotu, śmiało więc zbliżyliśmy się do tego osławionego miejsca, i odetchnęliśmy dopiero na owej ścieżce, która prócz sąsiedztwa przepaści, nie ma rzeczywiście żadnej innej niedogodności. Każdemu też radzę naśladować nas i nie spoglądać w otwierającą się obok niego głębią, nie myśleć o niej, a ręczę, że owa przeprawa, okrzyczana za tak niebezpieczną, będzie dla niego wypoczynkiem po trudzącej około Pięciu Stawów podróży. Udawanie śmiałka, zaglądnąc w tę okropną przepaść, jest prawdziwie niedorzecznym i dowodzi raczej braku rozsądku niż odwagi.

Wspomniona ścieżka, wznosząc się coraz wyżej, doprowadziła nas wkrótce na grzbiet skalistej *Świstówki* po której ubocznie się wije. Tu zatrzymaliśmy się na chwilę dla wypoczynku. Teraz, stojąc na bezpiecznym i dość obszernym miejscu, śmiałym okiem mogliśmy zmierzyć przebytą drogę i rozpatrzeć się w olbrzymich cudach otaczającej nas natury. U stóp naszych przepaść głęboka, straszna! To dolina Roztoki którą przebywaliśmy przed kilką godzinami; długa na trzy ćwierci mili, patrząc z tej wysokości zdaje się nie mieć więcej nad parę set sążni. Wołoszyn dziki, nagi, podarty, ale obok tego wspaniałe i piękne, przedstawił nam się w całym prawie ciągu. U stóp jego, na dnie przepaści, wije się owa szalona Roztoka, jakby wąziutka biała wstążeczka. Nie wiedząc, trudnoby nawet rozpoznać że to potok, gdyż ruchu wody najbystrzejsze nie dostrzeże oko. Na lewo, to jest na zachód, otwiera się rozległa dolina Pięciu Stawów, dzika, odarta, straszna. Dokoła piętrzą się nagie, skaliste turnie, dźwigające w niebo dumne, śniegiem świecące iglice. Stąd majestatycznie przedstawia się *Lodowa* turnia (8324 st.), szczyt *Gierlachowski* (8414 st.), *Ganiek* (8021 st.) i inne spizkie olbrzymy. Od ciemnych opok, rażąco odbija białosc śniegu leżącego obficie po wszystkich wierzchołkach. Przewodnicy pokazują stąd zwykle i *Łomnicę*, dogadzając ciekawości podróżnych; mogą jednak zaręczyć że jej tu wcale nie widać, gdyż zasłania ją *Lodowy szczyt*. Ku wschodowi rozstępują się granitowe ściany olbrzymów i w głębi najcudniejszy przedstawia się krajobraz, niby ogród nadobny, którego wdziękiem natura tak tutaj groźna, dzika, zmartwiała, łagodni nieco surowość swego oblicza. Ujęta w skaliste ramy, rozciąga się w dali część spizkiej i wschodniopółnocny brzeg doliny nowotarskiej; niepewnymi barwami rysują się na widnokręgu od północy grzbiety Bieskidów, stąd wyglądające jakby nie wielkie

pagórki. Dalej sterczą skaliste Pieniny, a' na ich zachodnich stopniach, zwaliska Czorsztyna i bielejące mury węgierskiego zamku *Dunajca* (Niedzicy).

Ale na co te wszystkie opisy! Cóż nudniejszego, cóż jednostajniejszego nad widoki malowane słowami? Zabierając się do pisania, postanawiam sobie zawsze, że tylko w krótkości wspomnę o ważniejszych wycieczki naszej szczegółach, zapiszę tylko niektóre silniejsze wrażenia jakich w ciągu podróży doznałam, a nie będę się zajmowała opisem miejsc, które widzieć koniecznie trzeba, aby poznać cały urok ich dzikiej piękności lub czarownego wdzięku. Gdy jednak z kolei wypada mi mówić o podobnych miejscach, zaraz roztacza się przed oczyma memi czarodziejski obraz tak wyraźnie i żywo, że zdaje mi się, iż potrafię oddać go tak wiernie, że i przed okiem czytającego stanie urocze zjawisko, że i on dozna wrażeń podobnych do tych, jakie na mnie sprawiły cuda przyrody. Prawda, że nim pierwsze nakreślę słowa, poznaję, że zbyt śmiało mi ludziłam się nadziejami, bo te urocze obrazy, jakkolwiek ryją się głęboko w pamięci tego który na nie z zamiłowaniem spogląda, nigdy jeduak słowami oddać się nie dadzą. Pomimo to, trudno mi zupełném milczeniem pominąć miejsca, które mi szczególnie zachwyciły i choć kilku rysami nie zwrócić na nie uwagi czytelników.

Wypocząwszy nieco, ruszyliśmy dalej; ścieżka równie wygodna jak dotąd, prowadziła nas teraz wciąż w kierunku południowo-wschodnim samym grzbietem przepaścistój po obu stronach *Swistówki*; na lewo otwiera się dolina Roztoki, na prawo inna, ale już nie tak głęboka, nie tak dzika i straszna. Niebawem spuściliśmy się w dolinę znowu zawałoną złomami kamieni, przez które przeprawa trudząca i przykra. Nieuwaga przewodniczącego nam górala, przyczyniła nam jeszcze utrudzenia. Poprowadził nas niepotrzebnie przez ogro-

mną lachę zlodowaciałego śniegu tak ślizkiego, że ledwie można było utrzymać się na nim; nasz przewodnik ślizgał się jeszcze bardziej od nas. Ta droga zmęczyła nas więcej, niż cała dotychczasowa podróż.

Dostawszy się na wązki grzbiet *Opalonej*, trzeba było spuścić się na dół, chcąc dojść do Morskiego Oka, leżącego blisko 2000 stóp niżej od Pięciu Stawów. Nigdy wychodzenie pod górę, lubo na pozór trudniejsze, nie umęczy tyle, jak spuszczenie się na dół po stromej pochyłości zasłanej ślizką trawą, pod którą kryły się kamienie usuwające się pod nogami. Zmęczeni tą przeprawą, najmniej godzinę trwającą, upadający prawie z gorąca i utrudzenia, ochłodziliśmy się cokolwiek w cieniu lasu, a woda z napotkanego przy drodze źródła orzeźwiła nas tak, że dość spiesźnie mogliśmy złązać kamienistą drogą prowadzącą wprost do Morskiego Oka. W szalacie stojącym już w dolinie Białki, może na kwadrans drogi przed Morskiem Okiem, zmówiliśmy wioślarzy do pływania po jeziorze i kupiliśmy konewkę kwaśnego mleka.

Była już godzina druga z południa, słońce ognistym żarem sypało w dolinę zamkniętą olbrzymimi opokami. Szczęściem nie brakło nam teraz ochłody; tuż przy szalacie było obfite źródło, jedno z najzimniejszych w całych Tatrach (+ 3^o,3 R.). Napiliśmy się do woli tej wyborniej wody, a jednak pomimo zmęczenia nie nam to nie szkodziło. Z jakimże utęsknieniem spieszyłam na powitanie Morskiego Oka, którego obraz najlepiej utkwił mi w pamięci z pierwszej naszej wycieczki, które nietylko zachwyciło mię swoją pięknnością, ale jakąś niepojętą władzą przywiązało do siebie, jak żadne z miejsc dotąd widzianych! Zaiste, trudno wystawić sobie coś wspanialszego, coś równie czarującego, jak to jezioro. Widziałam kilka innych jezior tatrzańskich, a jednak Morskie Oko nie straciło nic na poró-

wnaniu. Lubo powierzchnia jego obejmuje przeszło 57 morgów, nie tak jednak wielkością, jak raczej niezrównaną wspaniałością położenia, silne na wędrowcu czyni wrażenie. Wystawmy sobie łańcuch skał nagich, dzikich, prostopadłych, wznoszących się do 2000 stóp nad powierzchnią jeziora, w olbrzymie zatoczony koło, tak, że z jednéj tylko strony od wschodu, t. j. od doliny Białki, gdzie rozstąpiły się granitowe opoki, jest wolny i obszerny przystęp. Skały te nigdzie nie rozdarte do dołu, piętrzą się niby mur odwieczny, w górze dopiero dziwacznie poszczerhiony, porozrywany. Obszerną przestrzeń zamkniętą temi potężnymi rypami, zalewa jezioro owalnego kształtu, którego wody zdają się zupełnie przypierać do otaczających je ścian granitowych. Z południowój strony, w ustępie skał otaczających Morskie Oko, o 500 stóp wyżej, leży *Czarny Staw*, z którego wypływa szeroki potok i z téj wysokości spływa w jezioro. Na krawędzi skalistego łoża Czarnego Stawu utkwiony krzyż, zwraca ku Bogu duszę upojoną widokiem tylu cudów i święty urok na ten amfiteatr skał i wód rozpacza. W północno-zachodnim kącie Morskiego Oka, prawie zupełnie naprzeciw wspomnianego wodospadu, sterczy stroma, piramidalna, zupełnie naga skała zwana *Mnichem*, poza którą jest także przejście do Pięciu Stawów. Na wiosnę lub po nawałnych deszczach, gdy wzbiorą górskie wody, widok spadających żlebami do Morskiego Oka potoków, a mianowicie owych z Czarnego Stawu i zpoza Mnicha, musi być bardzo wspaniały; za naszój bytności nie były one bardzo obfite i gwałtowne.

Górale zowią zwykle Morskie Oko *Rybiém Jeziorém*, a to dla znajdujących się w niém pstrągów nieco odmiennych od innych, dotąd znanych gatunków. Na obejście jego, które nie ma być tak trudném jak się na oko wydaje, potrzeba dwóch godzin. Każdy, komu

znana z opisu wielkość tego jeziora, stanąwszy nad brzegiem jego, dozna zawodu; Morskie Oko wyda mu się wcale nie wielkiem. Dopiero rozpatrzywszy się lepiej, pozna, że to tylko złudzenie, którego powodem są olbrzymie granitowe masy piętrzące się dokoła, obok których wszystko maleje, niknie. Jeżeli nie ma sposobności przepłynienia na tratwie jeziora, co najlepiej prawdziwą jego wielkość poznać daje, można się o niej przekonać i z brzegu, przypatrując się spadkowi potoku wypływającego z Czarnego Stawu. Na oko, jest on za ledwie o pół godziny odległy od szalasu stojącego na brzegu Morskiego Oka; leży może w czwartej części jego obwodu, a jednak najbystrzejszy wzrok nie dostrzeże ruchu wody i cały wodospad wydaje się jakby smuga śniegu bielejącego na pochyłości urwistej opoki. Nie słyhać nawet huk, jaki powstawać musi przy nagłym spadku z tak znacznej wysokości, bo ten szum głuchy, jaki obija się o uszy, pochodzi z wypływu potężnego strumienia, który wypływając z Morskiego Oka, wylewa się w dolinę i pod nazwiskiem *Białki* toczy dalej rozhukane nurty.

Zbyt przesadzone są opisy dzikości i zupełnej martwoty natury, jaka tu zgrozą przejmuje; uważałam to już za pierwszą bytnością naszą w tém miejscu; teraz zaś po zwiedzeniu Pięciu Stawów, gdzie rzeczywiście dogorywa już ostatnia życia iskierka, a glaz martwy, zimny, nagi, rozpościera panowanie swoje, okolica Morskiego Oka wydała mi się zieloną oazą, co jest naturalnym skutkiem położenia znacznie niższego; leży ono bowiem na wysokości 4460 st., a zatem niżej górnej granicy lasów. Prawda, że olbrzymie turnie strzegące cichych wód tego jeziora, których nagość osłaniają jedynie ogromne płaty śniegu, nie ustępują w dzikości urwistym rypom okrążającym dolinę Pięciu Stawów, ale nierównie wyższe od tamtych, tak są przy

tém wspaniałe, tak poważne i piękne, że wrażenie zgrozy ustępuje tu jakiemuś wznioślejszemu uczuciu, podobnemu do tego, jakiego doznajemy wchodząc w progi Pańskich przybytków. I ta nawet cisza, jaka tu panuje, to nie cisza zalegająca pomurą śmierci dziedzinę, ale raczej uroczyste milczenie świątyni Pana nad pany, które, niby cichy szmer modlitwy, przerywa daleki szum potoku, kwileuie ukrytej w gęstwinie ptaszyny, lub pluskanie pstrąga żeglującego w zwierciadlanych jeziora falach. Nad brzegiem Morskiego Oka rośnie bujny kosodrzew, zieleni się borówka, wdzięczy alpejski kwiateczek tulący się w trawie, która rozściela się wszędzie, gdzie nie zaległy złomy granitu, świadki okropnych wstrząśnień, które je zerwały z tych potężnych szczytów sterujących tak dumnie dokoła, i strąciły na duo obszerniej jeziora kotliny. Równinka na wstępie do Morskiego Oka, gdzie stał szałas zbudowany umyślnie dla wygody gości, ustrojona także zielonym murawy kobiercem; przy wypływie Białki wśród gęstych zarośli kosodrzewia i świerków, limby (*pinus cimba*), tak zwane cedry tatrzańskie, dzieci sfer alpejskich, podnoszą śmiało wysmukłe wierzchołki swoje. Jednym słowem, oko wędrowca strudzone nagich skał widokiem, ma na czém spocząć z przyjemnością.

Nie tracąc chwili czasu, weszliśmy zaraz na tratwę przy brzegu stojącą; była już bowiem godzina druga z południa, a chcieliśmy jeszcze zwiedzić Czarny Staw i zdążyć na noc do Zakopanego. Obiad nawet, to jest konewkę mleka, przenieśliśmy na tratwę, aby nasycając oczy niezrównanym widokiem, zaspokajać zarazem głód, który po tylogodzinnéj podróży dobrze nam się czuć dawał. Tratwa dopiero właśnie zrobiona dla gości sproszonych do Zakopanego na uroczystość odsłonięcia pomnika arcyksięcia Ludwika, którzy przy téj sposobności zwiedzali Morskie Oko, była bardzo wygodna; po bo-

kach miała poręczę i ławki do siedzenia¹⁾). Powierzchnia jeziora zupełnie była spokojna, wiatru prawie żadnego; bez najmniejszej więc obawy puściliśmy się na te ciche tonie.

O! cóż to za rozkosz ta żegluga! cóż to za widok niezrównany czaruje duszę! Woda przy brzegach jasnozielonego koloru, ciemnieje, w miarę, jak się zapuszczamy dalej; na środku, gdzie znaczna głębia, wydaje się zupełnie czarna. O ile się dotąd przekonano, głębia jeziora dochodzi do 150 stóp. Łagodny powiew wietrzyka fałdował zlekka te ciemne fale, a promienie słońca złotą na nie zarzucały siatkę; krople rozpryskujące się za każdym poruszeniem wiosel, wydawały się jakby złoto i brylanty, rzucane ręką czarodziejki w czarną paszczę otchłani. Dopiero wypłynąwszy na środek jeziora, poznajemy znaczną jego rozległość, wtenczas dopiero piękność jego w całym występuje blasku.

W miarę jak zbliżamy się do przeciwnego brzegu, olbrzymieję piętrzące się tam turnie; najwyższa z nich *Mięguszowska*, pyszni się całym majestatem ogromu i dzikości. A na środkowym stopniu tego kowanego w granicie amfiteatru, gdzie, niby gladiatory w Kolosseum rzymskiem, rozhlukane żywioły występowały do walki z potężnymi olbrzymami, i granitowemi przeciwników trupami, zasłały brzegi jeziora; wśród dzikięj pustyni, rozpostarł błogosławiące ramiona ów krzyż, który odniósł zwycięstwo nad twardszemi niż te głązy sercami ludzkiemi i nie orężem, lecz niepojętą siłą miłości pod panowanie swoje podbił świat pogański.

¹⁾ Obecnie jak słyszałam, tratwa jest w bardzo złym stanie; ponaprawiana jako tako przez górali mających zysk z wiosłowania, nie daje żadnej rękojmi bezpieczeństwa. Nie radzę zatem puszczać się na nią.

Zwróciwszy oko na brzeg który pożegnaliśmy przed chwilą, jakże odmienny, jak wdzięczny czarował nas widok. Zdawało nam się, że cudem jakimś przenieśliśmy się z téj odludnej ustroni w zamieszkaną dolinę alpejską, której przejrzyste wody jeziora, za zwierciadło służą. Szalas stojący na zielonym brzegu, łatwo widać można za chatkę rybacką, ostatnią zagrodę wioski rozsypanej po dolinie, której strzegą osiwiiałe olbrzymy wznoszące dumnie sędziwe czoła z łona ciemnych lasów okrywających ich barki. Gdyby jeszcze, co zresztą bardzo łatwo zdarzyć się może, rozsypała się po zielonej równinie trzoda owiec z pasterzami i dużemi owczarskiemi psami, złudzenie byłoby zupełne.

W pół godziny przybiliśmy do brzegu pod skałami, wśród których leży Czarny Staw, w bliskości ujścia wypływającego z niego potoku. Miły chłód orzeźwił nas cokolwiek i pokrzepił siły, które nas opuszczały w skutek upału i zmęczenia; wybruliśmy się więc na zwiedzenie Czarnego Stawu. Dojście do niego jest wprawdzie dosyć przykre, gdyż trzeba piąć się nieco stromo pod górę po złomach kamieni; nam jednak po przeprawie około Pięciu Stawów, droga ta wydała się wcale wygodną. Po półgodzienném wdzieraniu się pod górę, przybyliśmy do owego krzyża, który widzieliśmy zdaleka. Jest on żelazny, utkwiony w ogromnym odłamie granitu, na pamiątkę bytności tamże biskupa tynieckiego potem tarnowskiego, *Grzegorza Zieglera*, z napisem: *Hic non plus ultra, non supra, nisi in cruce D. N. J. Christi. 1823.* Od tego krzyża postąpiwszy jeszcze kilkanaście kroków, stanęliśmy nad brzegiem ogromnego kotła, na którego dnie zwierciadli się ciemna Czarnego Stawu powierzchnia.

Jest zaiste coś dreszczem przejmującego w téj dzikości, jaka nas tutaj otacza. Olbrzymie skały, zwane *Rysy* (7309 st.), których szczyty najdziwaczniej poszar-

pane, a prostopadłe ściany nigdzie zielonością nie przystrojone, i lekko smugami zlodowaciałego śniegu okryte, obstały półkolem jezioro, z północnej tylko strony, to jest od Morskiego Oka, wolny zostawiając przystęp. Czarny Staw, znacznie mniejszy od Morskiego Oka, obejmuje przestrzeń przeszło 37 morgów, ma być jednak głębszym. Wody jego przypierają zupełnie do prostopadłych, otaczających je opok, tak że obejść go na około niepodobna. Żaden krzaczek, żadne drzewko nie rozwesela ponuręj miejsca tego dzikości; nad samym tylko brzegiem rośnie rzadka trawa, żółte kwiatki alpejskie, karłowata kosodrzewina i krzaczki borówek. Nie obija się tu o uszy żaden odgłos życia, żadna rybka nie pluśnie w tych spokojnych wodach, gładkich jak szklana tafla, ciemnych jak paszcza otehlani, którą napełniają; słychać tylko szum potoku, który stąd wypływa i spada na dół, po grauitowych roztrzając się złomach.

Zerwawszy kilka kwiatków na pamiątkę, spuściliśmy się od Czarnego Stawu, i nie mając już czasu na obejście Morskiego Oka, wsiedliśmy zaraz na tratwę. W powrocie zachwycalam się jeszcze ciągle czarującym widokiem, jaki nas otaczał, poiłam się rozkoszą żeglugi po tych wodach cichych, przejrzystych, o których tyle dziwnych podań krąży pomiędzy okolicznym ludem.

Prócz dwóch wyżej wspomnianych potoków, Morskie Oko nie ma znikąd widocznego przypływu, korytem zaś Białki odpływa nierównie więcej wody, niż jój dostarczają oba wodospady; muszą więc zasilać to jezioro ukryte na dnie jego źródła. Lud prosty, który nie jest tak obojętnym widzem cudów przyrody, jak się może niejednemu zdaje, uderzony tém zjawiskiem, a nie umiejąc go sobie wytłumaczyć naturalnym sposobem, tajemniczym urokiem otoczył to wspaniałe Tatrów

zwierciadło. Górale rozpowiadają o tajemnym związku jego z morzem, o bezdennjéj jego głébi, w którą przed wiekami zapadło zakléte miasto, o dziwacznych rybach i potworach morskich, ukazujących się tu niekiedy i porywających owce, pasące się nad brzegiem, i t. p.

Wkrótce stanęliśmy na przeciwnym brzegu; nadeszła smutna chwila pożegnania Morskiego Oka, które tak dziwnie przywiązało mię do siebie. Żadne dotąd miejsce nie wywarło na mnie w tym stopniu owego tajemniczego wpływu, nigdzie mi dotąd nie było tak rzewnje i błogo. To téż stanąwszy po raz może ostatni nad brzegiem jego, żegnałam z takim żalem ów cel marzeń dziecinnych, jakby przyjaciela, jakby istotę wyższą, która pojmuje uczucia i myśli moje, a błogim wpływem swoim umie koić smutki. Smutno mi było, bardzo smutno, gdy się oddalałam od Morskiego Oka, gdy już znikły mi z oczu przejrzyste jego wody; ale przytém byłam spokojna, szczęśliwa, i żal mieszał się z radością i wdzięcznością dla Boga, iż mi dozwolił oglądać tyle cudów wszechmocy swójéj.

Idąc zwolna kamienistą drogą do wózków naszych, które stały opodał, oglądałam się ciągle na owe poważne olbrzymy, które w otwarte ramiona swoje objęły kryształowe głébie. Wsiedliśmy na wózki i zaczęła się podróż prawdziwie męcząca. Daleko lepiej iść piechotą, niż trząść się po tych kamiennych progach, po tych dylach pokładzionych na poprzek drogi. Za każdym podskokiem wózka, a w takich podskokach ciągle się jedzie aż do ujścia Roztoki, zdaje się jadącemu, że wypadnie pod koła; najwygodniejsze siedzenie popsuje się i uplezie.

Jeszcze ostatnie słońca promienie błąkały się po śnieżnych szczytach otaczających dolinę Białki, lekkie mgły obłoczki na najwyższych turniach zwycięzki swój ztandar zatknęły; Łysa polana, niby w obłoku bengals-

skiego ognia, jaśniała w świetnej łunie zachodzącego za turnie słońca, Białka miliony iskier toczyła na swych szmaragdowych fałach, czarodziejski blask jakiś opromieniał te miejsca. Nie spuszczałam oczu na chwilę z tego cudnego widoku, wpatrywałam się w każdą skałę, w każdy bukiet świerków, w każdy zakręt szumnej Białki, bo chciałam, aby ten uroczy obraz wyrył się na zawsze w pamięci mojej.

Już słońce zachodziło, gdy zatrzymaliśmy się na popas w Bukowinie. Wczorajsze widowisko zachodu powtórzyło się znowu na olbrzymim Tatrów teatrze, nie tak jednak czarująco, nie tak wspaniale, jak wczoraj, bo mgły grubsze, czarniejsze, zaległy wcześniej górszczyty i nim zagasły ostatnie słońca promienie, do samych stóp ich zapuściły oponę swoją.

Wkrótce ściemniło się zupełnie, na pogodnym niebie zaiskrzyły się miliony gwiazd, wieczór był ciepły i cichy. Zrazu zachwycała mnie piękna pogodna noc, która, okrywszy cuda ziemi tajemniczą szatą, roztaczała nad uśpioną ów wspaniały namiot, owo gwiaździste sklepienie, poza którym wyobraźnia nasza mieści mimowolnie krainę błogosławieństwa i szczęścia, mieszkanie przedwiecznego Ojca, czystych aniołów i tych dusz wybranych, które przez morze łez i ucisków dobiły nakoniec do portu zbawienia. Wkrótce jednak przemogło znużenie, sen kleił powicki, a do domu było jeszcze daleko! Około jedenastej w nocy, stanęliśmy nakoniec przed miłym domkiem naszym. Nie potrzebuję podobno dodawać, że po takiej wyprawie spaliśmy smaczno, a we śnie snuły się przed oczyma widziane wczoraj cuda i straszyły urwiste przepaście, w których głębią na jawie bez trwogi patrzyłam.

Nazajutrz, nad wszelkie spodziewanie, najmniejszego nie czuliśmy zmęczenia, nie żałowaliśmy poniesionych

trudów, bo sowitą ich nagrodą były doznane w téj wycieczce wrażenia, których nic nie zdoła zatrzeć w pamięci¹⁾.

-
- 1) Ktoby się obawiał, że wycieczka do *Siklawej* i *Pięciu Stawów* będzie dla niego zanadto trudną, może poprzestać na zwiedzeniu Morskiego Oka, do którego na góralskich wózkach dojechać można. I w takim jednak razie radzę wybrać się na noc do Bukowiny, gdyż, jak już mówiłam, podróż ta z Zakopanego dniem jednym odbyć się nie da. Wypadaloby więc nocować przy Morskiem Oku, co zwłaszcza dla kobiet nie jest bardzo wygodnym i naraża na przeziębienie, bo szalas gościnny stojący niegdyś nad brzegiem jeziora, zupełnie jest zniszczony; nigdzie więc nie można się schronić przed wieczornym chłodem, jaki na takiej wysokości i w pobliżu wody zawsze czuć się daje. Wprawdzie piękną noc letnią możnaby przepędzić w lesie przy ognisku, co jest bardzo przyjemnie, ale w przypadku deszczu o który w górach nie trudno, nigdzie niema schronienia; lepiej więc nie narażać się bez koniecznej potrzeby.

Dolina Kościeliska.

Rozkoszna, jedyna
Pochmurna dolina
Dla całych Tatrów ponęta;
Lecz lasy i skały
W krąg ją opasały
I brama z glazów zamknięta.
S. G.

Opisawszy Morskie Oko, długo biłam się z myślami, gdzie mam teraz zaprowadzić czytelników moich. Tyle cudnych okolic, tyle miejsc godnych widzenia mieszczą w sobie Tatry, że nie wiedziałam prawdziwie, któremu dać pierwszeństwo. *Wierch Czerwony*, bliski sąsiad Zakopanego, nęcił niezrównanym widokiem, jaki z jego szczytu na całą przedstawia się okolicę; wabiła wdziękami swemi urocza *Mało-Ląki* ustron; olbrzymi *Krywań* zachęcał do podjęcia trudów trzech-dniowej podróży, w zamian których obiecywał nowe a cudne widoki. Ale gdy w rzędzie tych okolic, przesuwających się przed oczyma mieni jakby najwspanialsze panorama, stanęła urocza *Dolina Kościeliska*, prawdziwy cud piękności, arcydzieło Stwórcy, wypieszczone Tatrów dziecię, gdy obraz jój wywołany siłą pamięci, odnowił wszystkie wrażenia, jakich zwiedzając ją doznawałam, nie wahając się dłużej, dałam jój pierwszeństwo. Obok niezrównanej

piękności téj doliny, kierowała wyborem moim: łatwość odbycia téj wycieczki bez żadnych niemal trudów, tak, że zwiedzenie Kościeliska można uważać jako wypoczynek po wyprawie do Pięciu Stawów i Morskiego Oka.

Dolina Kościeliska leży o milę od kościoła zakopiańskiego, w południowo-zachodniej stronie. Droga do niej wygodna i dobrze utrzymana, prowadzi z razu przez wieś, potem wije się wśród łąk różnobarwném zasłanych kwieciami, napełniającém powietrze balsamiczną wonią, łatwo więc na miejsce dojechać można. Dokoła otacza nas krajobraz pełen różnaitości i czarownego wdzięku. Na lewo czyli od południa piętrzy się wspaniałe Giewont, wznoszący się prostopadłą ścianą z łona ciemnych, podnóże Tatrów opasujących lasów, na prawo wyniosłe wzgórze Gubałówki strojne tą cudną szatą, w jaką matka natura obleka na wiosnę ulubione dzieci. Ale wśród łąk i gajów, których krasa téj matki darem, widać tu pola uprawne ręką człowieka. Ten nie pozwala ziemi samém stroić się kwieciami, przyglądać się swym wdziękom w czystych wodach strumienia i na téj płochéj rozkoszy, pełną nadziei, przemarnić wiosnę: ale ostrym pługiem rozdarłszy jój łono, rzuca w nie ziarno, które, gdy kwiaty zwiędną pod letniego słońca skwarem, odpłaci trudy rolnika plonem, na jaki stać jałową skibę tutejszą.

Na zielonéj równinie rozścielającéj się między Gubałówką a Regłami, środkiem której droga się wije, widać malowniczo rozsiane góralskie zagrody, lub samotnie stojące szalasy pasterskie; gaiki świerków, kręte potoki przesuwające się po tym zielonym kobiercu jakby połyskujące węże, urozmaicają i ożywiają tę precudną okolicę. Zachwycając się ciągle temi malowniczymi widokami, coraz to nowe odkrywając w nich piękności, dojeżdżamy niebawem do miejsca, gdzie droga rozchodzi się na dwie strony. To już połowa drogi do Ko-

ścieliska. Zwracająca się na lewo w las, prowadzi brzegiem potoku w głąb gór do doliny *Mało-Ząki*; udawszy się na prawo w piękny las świerkowy, dojedziemy do doliny Kościeliskiej. Miły cień i chłód lasu, przyjemnia nam drogę, która lubo górzysta, jest jednak wcale wygodną. Niebawem wyjeżdżamy na otwarte miejsce, skąd wspaniały widok na Babią górę rysującą się na dalekim widnokręgu, a spuściwszy się na zieloną równinę, skręcamy nagle na lewo, w małą dolinkę¹⁾ zamkniętą dwiema ogromnemi skałami, stojącemi po obu stronach drogi i tworzącemi wspaniałą naturalną bramę bez łuku.

Za tą bramą prześlicznie uwieńczoną mchem i świerkami roztacza się obszerna dolina owalnego kształtu, otoczona górami wznoszącemi się w amfiteatr, które okrywa gęsty las świerkowy. Lasy te tak są piękne, zieloność ich tak świeża, że najstaranniej pielęgnowane szpalery nie wytrzymałyby porównania z niemi²⁾. Nad temi lesystemi górami, po lewej czyli wschodniej stronie doliny, sterczą niby baszty, wieże, lub rozwalonych murów cdlamy, wyniosłe skały, strojne wieńcami świerków czepiających się na każdym załamku szarej opoki. Po-

¹⁾ Na samym wstępie do tej dolinki, po lewej stronie, wznosi się nie wielka lecz godna uwagi skała. Składa się ona z małych muszulek skamieniałych, zwanych *nummulitami*, najwięcej podługowatego kształtu, podobnych do jęczmienia. Podhalanie też powiadają, że góral wiozący jarzec t. j. jęczmień, w tym właśnie miejscu, zsklął na konie i natychmiast jarzec zamienił się w kamień, który dotąd świadczy o boskiej karze.

²⁾ Dzisiaj już tego powiedzieć nie można. Lasy te przeznaczone na materiał, są w wielu miejscach wyrąbane. Jakkolwiek rozum powiada że lasy powinny służyć na użytek człowieka, jednakże uczucie estetyczne oburza się na to zniszczenie jakie tu sprawia siekiera.

między temi skalami odznacza się foremnym ostrosłupowym kształtem piękna skała zwana *Kończystą*. Wyniosłe szczyty *Uplazu* i *Czerwonego Wierchu*, na których bieleją płaty śniegu, panują nad tą uroczą doliną zasłaną najbujniejszą murawą, ożywioną bystrym nurtem Dunajca płynącego u podnóża gór po prawej stronie. Kilka szalasów pasterskich rozrzuconych po tej pięknej łące, mnóstwo pasącego się bydła, dźwięk dzwonek, głosy pasterzy, rozweselają tę dolinę przypominającą nam wdzięki dolin szwajcarskich, których widoki przeniesione na płótno tak nas nieraz zachwycały.

Jeszcze nie rozpatrzyliśmy się w tym cudnym obrazie, który tak niespodzianie roztoczył się przed nami wśród ciemnych lasów, jeszcze nie wyszliśmy z podziwienia i zachwytu, w jaki nas to czarujące miejsce wprowadziło, a już czekają nas nowe, silniejsze wrażenia, bo ta piękna dolinka to dopiero wstęp, przysionek najwspanialszej świątyni. Gdzie ona się kończy, zamknięta wyniosłemi skalami, z pomiędzy których rozłukany wypada Dunajec, tam dopiero zaczyna się właściwa Dolina Kościeliska, cud piękności, jakby senne wyobraźni widziadło. Snać uważał przedwieczny Architekt, że nagły wstęp do gmachu będącego zaiste arcydziełem wszechmoeniej Jego ręki, olśniłby za nadto wózek śmiertelnych, nie przywykły do podobnej piękności i dla tego przeprowadza nas przez ten przysionek, aby przygotować z wolna oczy nasze do oglądania coraz większych cudów.

W końcu powyżej opisaniej dolinki, napotykamy małą kapliczkę, a nie opodal za nią, w cieniu pięknych lip, nawpół zwaloną leśniczówkę, służącą dawniej za mieszkanie gościom przybywającym tutaj na żentycę. Stąd poraz pierwszy ukazuje nam się majestatycznie szczyt *Pysznej* (7230 st.), ubielony smugami śniegu. Minawszy zwaliska karczmy do niedawna jeszcze mie-

szkalnej, stajemy przed skalistą bramą wyższą, okazalszą niż pierwsza, odpowiednią zupełnie wspaniałości miejsca do którego wstęp nam otwiera. Nim jednak przestąpimy ten próg zaczarowany, warto zobaczyć nadzwyczaj obfite źródło, a zarazem orzeźwić się wyborną wodą na dalszą wędrówkę. Źródło to leży tuż za zwaloną karczmą po drugiej stronie potoku, który przechodzimy po kładce. Bije ono z pod ziemi z taką siłą, że pomimo znacznej głębokości, widać na powierzchni poruszenie wody podobne do wrzenia. Woda zimna jak lód (3°3 R.), niezrównanej przezroczystości, odpływa do Dunajca trzema strugami wijącemi się wśród bujnych porostów, gęstej trawy i pięknych akonitów rosnących tutaj kępami. Miłoby było odpocząć dłużej przy tem źródle, ale czas i ciekawość nagli, więc dalej w drogę na zwiedzenie doliny.

Na samą myśl, że mam opisać dolinę Kościeliską, pióro wypada mi z ręki, gdyż zupełnie nie zdolną się czuję do oddania w słowach uroku i wspaniałości tego miejsca; czuję, że wszystko, co bym powiedzieć mogła, będzie mdłym, bladym i niegodnym tej cudnej doliny. Tu żaden nie wystarczy opis; tu trzeba być koniecznie, trzeba własnymi oczami oglądać to czarodziejskie ustroenie i rozpiływać się, unosić, podziwiał za każdym krokiem.

Po obu stronach doliny piętrzą się strome opoki najdziwaczniejszych, najpiękniejszych kształtów. Tu wznoszą się jakby mury obronnej twierdzy, tam nawpół rozwalone gotyckie baszty i wieże, dalej niby ołtarz z posągami świętych po bokach, lub wspaniałego zamku zwaliska, to znowu starożytny, warowny gród, gdzie niby czujne strażę na wałach, samotne stoją świerki, a podobieństwo tak jest ludzające, że mimowolnie nadstawiamy ucha, czy się nie ozwie wojenny okrzyk, dźwięk trąb lub odgłos wrzawy biesiadnej.

Po prawej stronie sterczy skała mająca podobieństwo do sowy, grobowego stróża tych ruin, co jakby wypłoszona z ukrycia szczękiem oręża, skamieniała na miejscu. Ale tu każdą skałę opisywaćby potrzeba, bo każda godną jest pióra poety, lub pędzla biegłego malarza, każda do wyobraźni przemawia. Wysmukłe świerki wieńczą te urwiste opoki, stroją każdy załamek, każdy zakątek. Gdzieniedzie splatają z niemi konary swoje klony i jarzębina, których majowa zieloność z ciemniejszą barwą świerków, piękny odcień tworzy. Mnóstwo krzewów i różnobarwnych alpejskich kwiatów, pomiędzy niemi pachnące białe goździki, i prześliczne astry, czepiają się tych skał nieraz prostopadłych jak ściana, tak że często nie możemy wyjść z podziwienia, jak się tam mogą utrzymać owe roślinki, w co zapuścić korzonki, skąd pożywne ciągnąć soki. Miejscami rozsuwają się nieco skały, a wtedy wśród ciemnej lasów zieleni, ukazuje się jaka rozkoszna polanka, lub głęboki przepaścisty wąwóz, z którego bystry potok wypada. Nie raz zdaje nam się, że dzikie, wyniosłe skały zamkną już dolinę, gdy tymczasem rozwija się ona dalej jak czarodziejska wstęga, coraz nowe ukazując nam widoki. Tu nie ma dwóch skał, dwóch drzew do siebie podobnych, wszędzie czarująca różnaitość zachwyca. W głębi wznosi się wspaniały szczyt Pysznej zamykającej Kościeliską dolinę¹⁾.

Dno doliny tak jest wąskie, że obok Dunajca który w niezliczone wijąc się zakręty, huczy, pieni się, szumi, przewala się już nie po drobnych kamykach, ale po potężnych, skalistych progach, ledwie przeciska się droga popod samemi skalami; niekiedy nawet wspina się na

¹⁾ Dolina Kościeliska ma 1 1/2 mili długości, rachując od wstępu do stóp Pysznej.

ich pochyłości. Swawolny potok jakby dla igraszki, przerzuca się ciągle z jednej strony doliny na drugą, a droga nie mając się gdzie ucześcić, co chwila ustępować musi z jednego brzegu na przeciwny, i w ten sposób Dunajec wije się zakręty. Droga ta kamienista, jak wszędzie w górach, popsuta się bardzo skutkiem niezwykłego wzbierania górskich wód w roku przeszłym. Miejscami woda uznosiła masę kamieni, pozrywała mosty, a nawet całkiem drogę zalala tak, że chcąc przejść, trzeba się czepiać po uboczu skały.

Uszedłszy kawał drogi tą precudną doliną, przychodzimy do miejsca, gdzie ona znacznie się rozszerza. Przed nami wznosi się pięknym lasem uwieńczona skała *Pisaną* zwana; na lewo sterczy *Saturnus* jakby zwaliska jakiego olbrzymiego grodu; ściany prostopadłe, zupełnie nagie, dzikością swoją rażąco odbijają od skał strojnych zielonością wznoszących się po drugiej stronie. U stóp Saturnusa rozściela się rozkoszna polana ocieniona gaikami świerków; na przeciwnej stronie widać także zieloną polanę położoną na stromiej pochyłości góry; na obu stoją pasterskie szałas; obie noszą nazwę *Pisanéj*. Gdyby w dolinie Kościeliskiej, gdzie wszystko najdoskonalszą odznacza się pięknnością, można wybór uczynić, miejsce powyżej opisane, nazwałabym jednem z najpiękniejszych. Dzikość, wspaniałość, wdzięk nierównany, splatają się tutaj w jedną harmonijną całość, w jeden zachwycający łączą się obraz.

Po lewej stronie drogi, nieco w bok, widać kamieniste, wyschłe łóżysko potoku, prowadzące do miejsca zwanego *Krakowem*. Jestto jakby szczelina pomiędzy skałami niezmiernie kręto idąca pod górę, zaledwie na kilka kroków szeroka, miejscami zwężająca się tak, że dwie osoby obok siebie z trudnością przecisnąłby się mogły. W skałach wznoszących się po obu stronach, pełno rozpadlin, dziur, zakrętów, uliczek; drzewa i krze-

wy wieńczące skał tych szczyty, tworzą jakby zielone sklepienie. Skąd ten wąwóz, mogący być wyborném schronieniem dla zbójców, otrzymał nazwę Krakowa, jakie tu podobieństwo upatrzyli górale do starodawnego Piastów grodu, dowiedzieć się trudno, gdyż za całą odpowiedź dają, że się tak oddawna nazywa. Wązką tą szczeliną dojść można na Czerwony Wierch; nie życzę jednak nikomu zapuszczać się dalej, jak do miejsca, gdzie wąwóz rozszerza się, tworząc jakby rynek w tym skalistym Krakowie, gdyż potem znowu wchodzimy w ciasnotę, gdzie niema nic osobliwego, a przeprawa przez ogromne kamienie zawałające dno wąwozu, dosyć jest trudną. Nie można miejscu temu odmówić jakiegś niezwykłej, jemu tylko właściwej piękności; będąc kilka razy w Kościelisku, warto zajrzeć do tego Krakowa; gdyby jednak zwiedzenie téj uroczej doliny miało się ograniczyć na jednę tylko bytność, lepiej nie tracić czasu i spieszyć do miejsc nierównie godniejszych widzenia.

Jednym z takich miejsc jest źródło Czarnego Dunajca pod skałą *Pisaną*. Z otworu podobnego do czełści piecowych, wybucha gwałtownie szeroki strumień, a niezmierny pęd powietrza dający się czuć w bliskości otworu, każe się domyślać, że rozciąga się on daleko pod górą. Ten strumień uważają powszechnie za źródło Dunajca; rzeczywiście jednak jestto tylko przepływ podziemny, czego dowodem, że o sto kroków wyżej, część potoku ginie w przedziurawionych skałach, niemniej zmienna temperatura wody (5,1° C. aż do 7,4° C.); a wreszcie, iż w zimie ustaje, gdy strumień zamarźnie. Właściwe źródło Dunajca leży nierównie dalej pod skałami i już jako znaczny potok wypada na dolinę, łącząc się zaraz z innym płynącym z pod Pysznej.

Mnóstwo napisów okrywa skałę, z pod której wypływa Dunajec; tu bowiem zwiedzający Kościelisko zwy-

kli zapisywać nazwiska swoje; stąd téż ta skala otrzymała nazwę *Pisaněj*.

Źródło Dunajca bywa zwykle kresem podróży dla zwiedzających Kościelisko; każdemu jednak zyczę nie szczędzić trudów i zapuścić się dalej w tę cudną dolinę, która co krok to nowe przedstawia nam widoki, a nigdy nie spowszednieje, nie znuży jednostajnością, bo im lepiej się rozpatrujemy, tém więcej dostrzegamy w niej piękności.

Od Pisaněj skały, dolina znowu się zwęża; droga wije się ciągle brzegiem potoku, który przewalając się po ogromnych głazach, najpiękniejsze tworzy wodospady. Woda tego strumienia tak jest przejrzysta, że nawet w miejscach więcej niż na sążeń głębokich policzyłby można leżące na dnie kamyczki. W takich głębiach woda wydaje się ciemnozieloną, a przy téj barwie tym piękniej odbija śnieżna piana powstająca w gwałtownym pędzie potoku.

Zwolna zmienia się postać doliny, skały coraz bujniejszym okrywają się lasem, zpośród którego coraz rzadziej nagie wychylają się opoki. Po prawej stronie drogi, ciągnie się także lasek świerkowy i strudzonych podróżnych miłym osłania cieniem. Tu stoi krzyż prosty, drewniany, utkwiony w wielkim, mchem porośłym głazie¹⁾. Na krzyżu wyrżnięty napis: „Nic nad Boga!“

¹⁾ Ogromny kamień w którym utkwiony jest krzyż, ma wielkie podobieństwo do młyńskiego kamienia, jest on gładki, jakby ręką ludzką obrobiony. Drugi podobny leży nie opodal nad brzegiem potoku. Podanie miejscowe mówi że bardzo dawno, zapewne w czasach wielkoludów, pewien młynarz niósł oba te kamienie z pód Pyszněj i tu upadł przywalony ich ciężarem. Pochowano go na miejscu śmierci. Naprzeciw krzyża przy drodze, leży stós suchych gałęzi; jestto grób biednego młynarza, na który każdy przechodzień rzuca gałązkę. Co rok, zapalają ten stós i póki nie

Krzyż ten postawił i napis położył wieszcz nasz ulubiony W. Pol. On sercem odgadł potrzebę każdego serca i na straży najpiękniejszej w Tatrach doliny postawił to godło świętej wiary naszej, aby myśli obojętnych nawet, zwrócić ku Bogu i nie dać im opuścić tego miejsca bez złożenia hołdu kornej modlitwy, czci i uwielbienia Temu, którego wszechmocne słowo wywołało z nicości te cuda¹⁾.

Idąc dalej, dolina rozszerza się znowu, a droga rozchodzi się na dwie strony; nieco w bok na lewo, prowadzi na polanę *Smytnię*, wprost zaś na *Ornak*. Nie widać tu już tych skał dziwacznych, a tak rozmaitych kształtów, ale natomiast coraz wyższe góry, okryte u dołu lasem, wyżej kosodrzewiną, wznoszą się po obu stronach. Niebawem przychodzimy na polanę *Ornak*, której położenie jest bardzo malownicze. Od południa objęły ją w potężne ramiona wyniosłe góry, wśród których odznacza się majestatycznie kształtem i wysokością olbrzymi wierzch *Pysznej* zwanéj także *Bystrą* (7230 st.). Na lewo wznosi się siodłem²⁾ z Pyszną połączona turnia *Babie nogi* (6882 st.), łącząca się znowu z wyniosłym także *Wierchem Smreczyńskim* (6954 st.). Obok widać wspaniałą i piękną górę *Tomanową polską* (6908

splonie, odmawiają pacierze za duszę nieboszczyka, na grób zaś znowu przez cały rok składają gałęzie. Kto i kiedy dopełnia tego obrządku, nie mogłam się dopytać.

¹⁾ Krzyż postawiony przez W. Pola spruchniał i upadł; takżsam i na tém samym miejscu, postawił przed czterema laty p. W. Eliasz, znany malarz i autor Przewodnika illustrowanego do Tatr.

²⁾ Nie trzeba sobie wystawiać, że turnie stoją odosobnione jedna od drugiej, gdyż przeciwnie łączą się one w jeden łańcuch za pośrednictwem nieraz bardzo rozległych grzbietów. Grzbiet taki niby olbrzymia grobla łączący dwie góry, nazywa się *siodłem* lub *przełęczą*.

st.), z wierzchołkiem na dwa rozdzielonym szczyty. Ku wschodowi, t. j. na lewo od tego olbrzymiego za-
 stępu zatoczonego w półkole, piętrzy się nieco głębiej
 prostopadła, skalista, dziko poszarpana ściana; są to
 tak zwane *Rzędy*. Tuż nad polaną po tejże samej stro-
 nie, stoi jakby na straży, o wiele od poprzednich niż-
 sza, lasem okryta *Smytnia*, na której w bardzo znacznej
 wysokości, widać zaniebane kopalnie rudy żelaznej¹⁾.
 Na przeciwniej stronie t. j. na prawo, wznosi się rozło-
 żysty *Ornak* (4146 st.), nadający nazwę pięknej polanie
 u stóp jego rozestanej.

Ma ona kilku właścicieli, mianowicie gazdów ze
 wsi *Ciche*, którzy tu mają swoje szałas. Bywając pra-
 wie corocznie na tej polanie, spędziwszy niejedną przy-
 jemną chwilę na rozmowie z juhasami i gazdami przy-
 jeżdżającymi po mleko, lub do roboty w porze sianokosu.
 Jednego z nich szczególnie, nazwiskiem Józef Michniak,
 nigdy nie zapomnę; jego rozsądek, zdrowe zdanie o
 rzeczach, prawdziwie mię zaskoczyło, a rozrzewniało
 przywiązanie do rodzinnej ziemi, malujące się w pro-
 sty, ale z serca płynących wyrazach. Życzę każdemu
 zwiedzającemu Tatrę nie zaniedbywać sposobności zbli-
 żenia się do górali, poznania ich charakteru i sposobu
 myślenia, gdyż zapewne rzadko gdzie u ludu naszego

¹⁾ W wielu miejscach doliny Kościeliskiej napotkać można
 ślady robót górniczych, które tu przed kilkudziesiąt jeszcze
 laty na wielką prowadzono skalę; prócz żelaza wydobywa-
 no miedź a nawet srebro. Na samym wstępie do doliny
 stała kuźnica, której rozwaliny widać dotąd naprzeciw
 karczmy; w miejscu, gdzie teraz widzimy kapliczkę, wznosił
 się kościółek zbudowany dla wygody górników tutaj
 pracujących. Od kilkudziesiąt lat, zaniebano prawie zupełnie
 kopalnie w Kościelisku, gdyż nie opłacały kosztów.
 Teraz w kilku tylko miejscach wydobywają rudę, jakoto:
 w Ornaku, Tomanowej, tak zwaną *Dziwiągtą bani* i t. d.

znajdziemy taką prawość, taką prostotę, serdeczność i tak zdrowy rozsądek, jaki odznacza te dzieci wspaniałej górskiej przyrody.

Góral, aczkolwiek otwarty i szczery, nie zaraz jednak wynurzy się z tém, co czuje; zwolna stara się on wybadać twój sposób myślenia i dopiero gdy pozna, że obojętnością nie wyziębisz uczuć jego, że je zrozumieć i pojąć potrafisz, otworzy ci serce swoje, w którym taka nadzieja lepszej przyszłości, taka do poświęcenia się gotowość, że prawdziwie nieraz zawstydziby się trzeba naszego samolubstwa i słabości ducha, zrażającego się każdą przeszkodą lub zwłoką w osiągnięciu upragnionego celu.

Ale za daleko zapędzam się w pochwałach górali, które każdemu, kto ich nie pozna bliżej, przesadzonemi się zapewne wydadzą; wolę powrócić na Ornak i opowiedzieć okropny wypadek, jaki się zdarzył w r. 1856 na téj rozkosznej polanie.

Byłoto w zimie, w pierwszych tygodniach wielkiego postu; ogromna masa śniegu zsunęła się z góry Ornaku, i z niesłychaną szybkością pędząc na dolinę, przywaliła pięciu górników, którzy po skończonej robocie wyszli z *bani* i byli już w drodze ku domowi. Aby dać wyobrażenie o gwałtownym pędzie lawiny, dość powiedzieć, że las okrywający pochyłość Ornaku, który zagarnęła ta ogromna łacha śniegu, nie tylko powaliła, ale, że tak powiem, skosiła. Słyszałam z ust wiarogodnego świadka, który na miejscu sprawdzał wypadek dla zdania o nim urzędowego raportu, że z drzewa powalonego tym sposobem na dolinę, można było narębać około 1000 siąg. Rodziny nieszczęśliwych górników nie wiedząc o okropnym ich losie, w największej zostawały niepewności i obawie, smutnemi dręczone przeczcuciami. W parę dni dopiero, gdy ustały zawieruchy i śnieżne zamiecie, a robotnicy pojechali po rudę, stra-

szny widok stwierdził prawdę tych przeczać. W bliskości Ornaków poznajdowano odzienie biednych górników, które pozrywał z nich gwałtowny pęd powietrza, a na dolinie ujrzano ogromną zaspę śniegu, grobem ich będącą. Wzięto się zaraz do rozkopywania śniegu, ale tak był stwardniały, że dwóch tylko z tych nieszczęśliwych odszukano, trzech inni głębiej zasypani, do wiosny w zimnym spoczywali grobie. Dopiero, gdy śniegi topnieć zaczęły, znaleziono trupy najokropniej pokaleczone, podruzgotane; jeden obejmował jeszcze pień świerka, którego się uchwycił, chcąc na nim szukać ratunku.

Smutny to był dzień, gdy zwłoki tych biedaków przywieziono do wsi. Pomiędzy tymi nieszczęśliwymi, był ojciec z dwoma dorosłymi synami; wszyscy trzech pracą swoją zarabiali na wyżywienie licznej rodziny, która po gwałtownej ich śmierci, została bez opieki i sposobu do życia. Nie zmarniały jednak biedne sieroty, choć Bóg wkrótce po śmierci ojca zabrał im i matkę. Dwoje starszych wzięła na opiekę była właścicielka Zakopanego, czworgiem młodszych zajęli się krewni, którzy choć sami nie bogaci dali przytułek sierotom.

Przypadki osunięcia się śniegu, zdarzają się dosyć często w Tatrach, w czasie nagłych odwilży. Przed kilku laty, także w Kościelisku, naprzeciw *Smytńi*, śnieg się zesunął z góry, ale tym razem nie było żadnego przypadku. Lawina zniszczywszy las, odsłoniła fantastycznych kształtów skały przedtem w jego cieniu ukryte, które podziwiamy tuż za Krzyżem po prawej stronie doliny.

U podnóża Wierchu Smreczyńskiego, leży ukryte w lesie małe jeziorko i móg powierzchni mające, do którego przystęp bardzo łatwy z polany Ornaków. Różni się ono zupełnie od innych jezior tatrzańskich; dno jego jest torfiaste, woda choć przejrzysta ale ciemna, prawie czarna, brzegi bagniste, okryte porostami i przy-

strojone kosodrzewiną; staw bowiem Smreczyński leży już na górnej granicy lasów (3892 st.). Ogólny widok jego jest posępny, a jednak nie bez właściwego wdzięku.

Najstósowniejby było zakończyć zwiedzenie doliny Kościeliskiej, złożeniem hołdu jej dumnej Królowej na samym jej wierzchołku. Każdemu będącemu na Ornaku, przyjdzie zapewne ochota wstąpić na szczyt Pysznej wznoszącej się wspaniale w odległości najwięcej godzin drogi, jak się na oko wydaje. Niechaj jednak nikt nie da się uwieść złudzeniu zbliżającemu przedmioty, jakie w górach co chwila robi sobie igraszkę z naszych sił i wytrwałości. Wyprawa na Pyszną, lubo bardzo łatwa, gdyż to jest jeden z najprzystępniejszych szczytów, długiego jednak potrzebuje czasu. Mając zamiar zwiedzenia tego wiércbu, należy raniutko przyjechać do Kościeliska i z powrotem wózek zamówić. Ostrzegam jednak żeby się nie puszczać na niepewną pogodę, bo nie napróżno Goszczyński nazwał Kościelisko *pochmurną doliną*, deszcz tu bowiem częstszy niż gdzieindziej w Tatrach, a Pyszna często mgłą zasłonią, nawet przy pięknej pogodzie. Prawie corocznie bawiąc w Zakopanem, trzy razy próbowaliśmy szczęścia w tej wycieczce. Raz doszliśmy powyżej siodła Pysznej, lecz mgła zalegająca nietylko szczyty ale i doliny poboczne, zmusiła nas do odwrotu. Drugi raz skończyła się nasza wycieczka na Ornaku, gdzie zjadłszy wyornego mleka i przeczekawszy deszcz, powróciliśmy do domu. Trzeci raz dopiero wstęp na Pyszną przy najpiękniejszej pogodzie, udał się w zupełności.

W następnym obrazku opowiem tę wycieczkę do której pragnęłabym zachęcić każdego kto przywykły do dłuższego chodzenia zwłaszcza pod górę.



Pyszna. (Bystra).

Kiedy toporkiem człowiek wywinie,
To aż się stracha żeby nie zmącił
Jasnej chmureczki w orleń dziedzinie,
Albo o samo niebo nie trącił!

IV. P.

Po kilku dniach słotnych, nśmiechnął nam się najpiękniejszy ranek; wstaliśmy przed słońcem i zebrawszy się spiesźnie, wsiedliśmy na wózki które nas odwiozły do karczmy w Kościelisku, jeszcze wówczas mieszkalnej. Było nas pięć osób: rodzice moi, ja, siostra i X... który znając doskonale góry, ofiarował nam się za przewodnika. Za każdą bytnością w Zakopaném, bywaliśmy dwa, czasem nawet trzy razy w Kościelisku, a za każdym razem z uniesieniem radości i uwielbienia witaliśmy tę cudną dolinę, za każdym razem wydawała nam się piękniejszą. Dziś była taką istotnie.

Po kilkodniowych deszczach, Dunajec wezbrał znacznie; obfite wody jego w gwałtownym pędzie zamienione w śnieżną pianę, przewalały się wielkimi bałwanami po granitowych progach; ze skał, boki doliny stanowiących, spływały w wielu miejscach piękne wodospady z głównym łącząc się potokiem. Dolina jeszcze

była pogrążona w tajemniczym półcieniu, gdyż słońce dopiero najwyższe szczyty złociło swymi promieniami. Stopniowo jednak wznosząc się coraz wyżej, zajaśniało wkrótce i na dno doliny. Niebawem zalały ją potoki światła, którego promienie błyszczały jak dyjamenty w spienionych wodach potoku, jaśniały barwami tęczy w kroplach obfitéj rosy i pozłacały wysmukłych świerków gałązki. *Pyszna* jakby uszczęśliwiona widokiem wdzięczącej się tyłu powabami doliny, spoglądała na nią z jakąś w pół królewską, w pół macierzyńską dumą, a pogodnego jéj czoła najłżejszy nie zasępiał obłoczek.

Pełni radości i nadziei powodzenia, przebiegliśmy spieszenie dolinę i zatrzymaliśmy się dopiero na *Ornaku*. Posiliwszy się tutaj wyborném mlekiem, ruszyliśmy spieszenie w dalszą drogę, której cel, t. j. szczyt *Pysznój* wznosił się majestatycznie tuż przed nami. Nigdzie może zwykle w górach złudzenie zbliżające przedmioty nie jest tak wielkie jak tutaj. Patrząc z *Ornaku* na *Pyszną*, zdaje nam się że zielony kobierzec téj polany, dochodzi do samych stóp góry, że najdalej za pół godziny, zaczniemy na nią wstępować; tymczasem dzieli nas jeszcze od niéj znaczny kawał dosyć przykréj drogi. Idzie się po większój części lasem przechodząc kilka razy potok po kamieniach; prócz tego trudno uniknąć zamoczenia nóg na mokrzadłach które się po drodze napotyka. Gdy lato jest piękne, mokrzadła te wysychają. W parę dopiero godzin przyszliśmy do lichego szalasu owczego, stojącego na małej polance u samych stóp *Pysznój*¹⁾ i stąd dopiero zaczęliśmy wchodzić pod

¹⁾ Hala pod *Pyszną* należy do wsi *Klikuszowéj* z téj tu strony Nowegotargu położonej. *Klikuszowianie* użytkują z niéj w ten sposób, że połowa wsi wysyła tu swoje owce; pozostałe pasą się około wsi. W następnym roku pierwsze pozostają we wsi, drugie zaś idą w góry. W tym lichym

góre, trzymając się ścieżki prowadzącej na lewo. Wstęp na wyniosłe i rozległe siodło, łączące *Pyszną* z turnią *Babie nogi*, zwłaszcza z początku jest wcale łatwy, pochyłość łagodna, tak że nawet konno przejeżdżają tędy na *Liptów*, którego granica przechodzi samym grzbietem góry. W miarę jak wznosimy się wyżej, karłowacieją zarośla kosodrzewiny zrazu bardzo gęste, i ustaje roślinność już i tak dosyć uboga. Zmęczeni nie tyle drogą jak silnym, a coraz wznagającym się wiatrem, stanęliśmy nareszcie na siodle (5762 st.), skąd już bardzo piękny i rozległy przedstawia się widok, ku północy na niektóre wierchy tatrzańskie i dolinę Kościeliską, ku południowi na *Liptów* i siniejące w dali pasmo *Niemych Tatrów*. Spodzielając się nierównie wspaniałszego widoku ze szczytu, nie rozpatrywaliśmy się nawet po okolicy, ale usiadłszy tak żeby się zachronić cokolwiek od uprzykrzonego wiatru, wypoczywaliśmy zającując nasz podróży obiad.

Teraz dopiero mogliśmy zmierzyć okiem długą drogę jaka nas jeszcze czekała grzbietem góry wznoszącym się zwolna do samego szczytu, który sterczał dumnie w południowo-zachodniej stronie. Pochyłość siodła *Pysznej* na południe t. j. na *Liptów* jest jeszcze położystsza niż od północy, lecz sam szczyt spada ku wschodowi zupełnie pionową, głębokimi szczelinami podartą ścianą. Patrząc z siodła na ten grzbiet długi a wązki, niby krawędź owej stromiej ściany wznoszącej się nad przepaścią, mimowolnie przejmowała nas jakaś

niepozornym szlasiem, robią najlepsze sery, owe *bruski* o których wspominałem opisując pasterstwo w Tatrach. Na środku bruską bywa wyciągnięte na serze imię Jezusa, po drugiej stronie imię Maryja. Po tych znakach można odróżnić bruski pyszniańskie od podobnych serów robionych we wsiach około Nowegotargu, które bywają jałowe i nie tak smaczne.

obawa, którą zwiększał wiatr coraz silniejszy. Rzeczywiście jednak niema żadnego niebezpieczeństwa, gdyż grzbiet ten nie jest znowu tak ważkim jak się zdawa wydać; góra nie spada także tak nagle na obie strony, aby tuż pod stopami widzieć przepaście. W ogólności wstęp na szczyt *Pysznój* jest wcale łatwy i nie trudzący, byle tylko trafić na czas nie wietrzny, gdyż to ciągle pasowanie się z wiatrem, ten świst i szum ogłuszający jakiego doświadczyliśmy w tej wycieczce, bardzo nas męczył, odurzał i utrudniał wchodzenie pod górę.

Uderzającą różnicę przedstawia północna pochyłość *Pysznój* z południową. Pierwszą t. j. północną okrywa niska, spalona trawa zaledwie owcom mogąca wystarczyć na paszę; gdy tymczasem na południowej stronie porasta bujna i gęsta murawa na której wypasają się piękne woły węgierskie, przypędzane tutaj na lato z *dziedzin* czyli wsi słowackich na południowych stokach Tatrów położonych.

Już w bliskości szczytu zgubiliśmy przez nieostrożność ścieżkę która dotąd bardzo dobrze nas prowadziła i musieliśmy się wdierać dosyć stromo pod górę po kamieniach upłożących się pod nogami. To wspinanie się, a więcej jeszcze wiatr nie uciszający się ani na chwilę, tak męczył moich rodziców, że już nie mieli chęci iść dalej. Usiedliśmy dla wypoczynku, spoglądając z żalem na szczyt sterczący tuż przed nami, który zasłaniał nam dalszy widok. X... zrobił uwagę, że na szczycie z pewnością niema wiatru. To zapewnienie trafiło nam bardzo do przekonania, bo mieliśmy niezmyśloną ochotę dopiąć zamierzonego celu, a po dłuższym wypoczynku, przybyło sił i odwagi. Poszliśmy więc dalej, i z największą łatwością dostaliśmy się wkrótce na szczyt, gdzie rzeczywiście zupełna panowała cisza.

Nie potrzeba podobno opisywać z jaką radością stanęliśmy na wierzchołku *Pysznój*; zbytecznymby było

mówić że wszystkie trudy poszły w zapomnienie gdyżśmy potoczyli okiem dokoła. Znakomita wysokość góry (7230 st.), kazała się spodziewać bardzo rozległego i wspaniałego widoku. Jakoż jest takim rzeczywiście.

Na wschód niby olbrzymi, odwieczny gród, niezdożyta twierdza graniczna, dźwigają się w niebo potężne Tatrów spizkich turnie; śnieg wielkimi płatami na ich bokach bieleje, a najwyższych szczytów czepiają się mgły, niby z wiatrem igrające sztandary. Przed nimi najbliżej nas w stronie południowo-wschodniej, niby rycerz w stalowej przyłbicy, stoi na straży *Krywań* wspaniały (7913 st.), który stąd widać w całej wysokości od stóp aż do szczytu srebrzącego się śniegiem. Na oko zaledwo parę godzin drogi oddziela Pyszną od liptowskiego olbrzyma. Na zachód, głęboką oddzieloną doliną, wznosi się piramidalna turnia *Stara robota* (7000 st.) co do wysokości nie wiele ustępująca Pyszną, a dalej, w tym samym kierunku, występują jedne z drugich szczyty gór orawskich, wśród których łatwo rozróżnić trzy zębate, dziko poszarpane, granitowe wierzchy *Rohaczy* (6596 st.).

Wszystkie góry zachodnich Tatrów do których należy i Pyszna, różnią się bardzo kształtem od wschodniej części tego łańcucha, którąto różnicę widać najwyraźniej z takiej wysokości na jakiej stoimy. Nie są to, wyjąwszy Rohacze, owe pionowe, skaliste, nagie, dziko poszarpane iglice, jakimi się odznaczają Tatry spizkie i wschodnia część liptowskich; ale wierzchy te, przy znacznej także wysokości, mają kształty więcej zaokrąglone, pagórkowate i do samych prawie wierzchołków są okryte trawą lub szaremi porostami. Wstęp na nie, łatwiejszy nierównie niż na tamte.

Z pod stóp Pysznój rozbiegły się w różnych kierunkach głębokie doliny. Od północy leży dolina *Kościeliska*, wyglądająca niezmiernie dziko ze swemi wy-

niosłemi, fantastycznych kształtów skałami, ale obok tego wdzięcząca się świeżą zielenią polan i lasów, jej boki strojących. W północno-wschodniej stronie zwierciadli się staw Smreczyński. Od południa wybiega na liptowskie równiny dolina *Kamienista*, przeciwległa Kościeliskiej, różniąca się całkiem od ostatniej; nie tak dzika, ale za to nie tak malownicza. Jestto raczej długi, głęboki, jednostajny wąwóz, którego boki stanowią kamieniste upłazy. Na nich szarzeją gdzieś mchy i trawy, rosną kępy kosodrzewia, a niżej czernią się lasy. Na dnie doliny widać dwa małe stawki. Podobny charakter mają i inne liptowskie doliny, jakoto dolina oddzielająca Pyszna od *Stariej roboty* i druga wybiegająca na wschód ku Krywaniowi.

Pobujawszy po tej krainie niebotycznych szczytów, oko wędrowca wybiega swobodnie na równiny, rozścielające się szeroko po za tém gniazdem skalistych olbrzymów. Od północy widzimy cały obszar nowotarskiej doliny którą ogranicza w oddali pasmo Bieskidów z Babią górą na czele. Na południe widok jeszcze rozleglejszy, a przynajmniej rozmaitszy. Tu rozstacza się przed nami część Węgier zwana *hrabstwem liptowskim*. Wśród lasów, ciemniejących wielkimi płatami na tej rozległej równinie, widać łany dojrzewającego zboża i gęsto rozsiane *dzielziny* słowackie, każda z mурowanym kościółkiem. Gościńce i potoki przeryniają w różnych kierunkach tę piękną równinę dochodzącą do samych stóp *Niżnych Tatrów*, których pasmo rysuje się wyraźnie na krańcach widnokregu.

Przeszło pół godziny zbiegło nam jak jedna chwila na szczycie Pysznej, a jeszcze nie było ochoty schodzić na dół, jeszcze trudno było oderwać oczy od tego cudnego widoku. Pożegnaliśmy go nareszcie ostatniem, długiem, tęskniem spojrzeniem i zabraliśmy się do powrotu. W miarę jak spuszczałyśmy się niżej, wiatr zno-

wu czuć się dawał; słyhać było jak buczał w dolinach, a z przeraźliwym jego świstem, mieszał się łoskot staczających się w przepaście kamieni. Długi wypoczynek pod szczytem, bardzo opóźnił powrot, bo już zmrok zapadał gdy przybyliśmy do szałasu u stóp góry. Pomimo pośpiechu, oglądałam się ciągle po za siebie na Pyszną, która w tych chwilach przejścia z dziennego światła do ciemności nocy, prawdziwie czarodziejski przedstawiała widok. Na ciemniejącym błękitie niebios rysowały się wspaniałe jój kształty, oblane złoto-purpurowém światłem jakby luną dalekiego pożaru. Zaiste, to chwila dla malarza! Ale jakżebyto trudno było uchwycić ten koloryt tak świetny a jednak tak łagodny, tak harmonizujący z tłem nieba i otaczającymi przedmiotami, które tożsamo światło najrozmaitszym opromieniało odblaskiem!

Przy coraz grubszym zmroku, najtrudniejszą była przeprawa przez mokrzadła, a zwłaszcza przez potok; odbyliśmy ją bez przypadku i szczęśliwie dostaliśmy się na *Ornak*. Cisza panowała na polanie, ognie jaśniały po szałasach, psy strzegące bydła zamkniętego w *koszarach*, powitały nas szczekaniem. Pocziwi górale poznali po głosie zapóźnionych podróżnych i pozdrowili przyjacielsko życzeniem szczęśliwej drogi.

Słuszném i potrzebném rzeczywiście było to życzenie, bo przebywając dolinę Kościeliską w nocy, o przypadek nie trudno. Droga bowiem tak jest kamienną, że nawet idąc w dzień, trzeba uważać żeby się nie potknąć, a cóż dopiero w ciemności? My jednak przebyliśmy ją szczęśliwie, i wyznam szczerze iż gdyby nie obawa zbytecznego utrudzenia dla rodziców, bardzooby mię była cieszyła ta wędrowka nocną porą, ukazująca dolinę Kościeliską w nowój a cudnój szacie.

Bo téż to była jedna z tych nocy letnich, których majestat jakieś uroczyste i niewysłowione czyni wraże-

nie. Oko tonie w ciemném przestworzu, myśl gubi się w nieskończoności, w tym labiryncie słońce i światów, któremi Bóg, niby gorejącemi głoskami wypisał na niebie swą mądrość i potęgę. Od tego jaśniejącego sklepienia, bardzo często zdawała się odrywać gwiazdka, sunąc szybko wśród swych sióstr patrzących na nią nie ruchomie, a zostawiwszy przez chwilę świetną smugę, gasła w ciemnych przestrzeniach¹⁾. Chociaż astronomowie tłómaczą nam zjawisko gwiazd spadających, budzi ono zawsze smutne i rzewne uczucia. Oko ściga z żalem biedną gwiazdkę, niby strąconego z nieba anioła, który już nigdy, nigdy na opuszczone nie ma powrócić miejsce. Patrząc w ten przestwór w którym utonęła, dusza otwiera się mimowolnie poważnym, smutnym i głębokim myśłom, zapada w niewysłowioną tęsknotę, w jakiś stan zachwycenia, póki otaczające przedmioty nie sprowadzą jęj znowu na ziemię.

Ależ bo było co widzieć i na ziemi! Skąły otaczające dolinę, pod tém gwiazdzistém niebem, zolbrzymiały jakoś, wspanialszą przybrały postać, tworząc fantastyczną budowę, nibyto gród starodawny najeżony basztami i strzelnicami; niby odwieczną świątynię, której kolumny dumnie pną się ku niebu; niby miasto jakieś w gruzy upadłe, o którego dawniej wspaniałości, świadczą niestrawione jeszcze zębem czasu posągi, arkady, pomniki i olbrzymich murów odłamy. O zaiste, trzeba tu zawołać wraz z ludem: to Kościelisko!²⁾

¹⁾ Byłto dzień 10 sierpnia, peryjod gwiazd spadających.

²⁾ Nazwę Kościeliska wyprowadzają niektórzy od kości któremi mieli zasieć tę dolinę pogromieni tutaj Tatarzy; inni od kościółka który tu miał istnieć w czasie gdy w tęg dolinie prowadzono roboty górnicze na wielkie rozmiary. Pierwsze przypuszczenie upada zupełnie, gdy zwążywszy że w czasie pierwszego napadu Tatarów na Polskę (1241 r.) i bytności ich w tych stronach, Podhale, z wy-

A wśród tych zwalisk, a po zakątach tej czarodziejskiej budowy, przemykają cienie owych istot tajemniczych, nadziemskich, które wyobraźnia ludu w tak pełne życia i poetyczne niekiedy zakłęta postacie. To duchy opiekuńcze tych gór, to stróże ukrytych w nich skarbów, to biedni pokutnicy którzy winy ziemskiego życia okupują błądząc wśród skał i urwisk niedostępnych, jęczą i płaczą szumem potoku, szepczą szolestem liści poruszanych wiatrem.

Droga kamienista mogąca lada chwila przyprawić o niebezpieczne potknięcie, nie dozwalała myśli błądzić swobodnie w tym świecie duchów, który otwierał jej tajuiki swoje i wabił ku sobie nieopisanym urokiem.

Pierzchły też wkrótce widziadła, a rzeczywistość miejsce wymarzonych światów zajęła. Pomimo utrudzenia wędrowaliśmy wesoło i byliśmy wszyscy dobrej myśli, jakkolwiek niepokoila nas obawa, czy też w karczmie kościeliskiej zastaniemy jeszcze zamówiony wózek; gdyż w przeciwnym razie wypadałoby nocować w brudnym,

jątkiem niewielu osad, zalegały odwieczne lasy. Trudno zatem przypuścić aby ta dzicz zapędzała się aż tutaj za ubogimi mieszkańcami, którzy bez wątpienia schronili się w te niedostępne góry i lasy. Co do wsi Kościeliska i kościółka, te prawdopodobnie mogły nadać nazwę dolinie tatrzańskiej; pomimo to ośmielam się podać tu nowe przypuszczenie wysnute z bujnej wyobraźni tutejszego ludu.

Przed kilku laty Jędrzej Wali, ów zawołany przewodnik w Tatry, idąc z nami na daleką wycieczkę, tłumaczył nam nazwy szczytów, zwracając uwagę na ich trafność. Utrzymywał on, że nazwę Kościeliska nadano tej precudnej dolinie dla jej podobieństwa do kościoła, gdyż otaczające ją skały, kształtem awoim przypominają posągi, kolumny, ołtarze, pomniki, a całość najwspanialszą tworzy świątynię. Czy to jest osobiste zapatrywanie się Wali, czy rzeczywiście taki jest początek nazwy Kościeliska, powiedzieć nie umiem, podaję jedynie to co słyszałam na miejscu.

odartém karczmisku, lub téz miłą jeszcze iść do Zakopanego. Młodszym, nie tyle czującym zmęczenie, nie zważającym wreszcie na nie, uśmiechałaby się może myśl dłuższej wędrówki w noc tak cudnie piękną; ale dla starszych byłby to trud nad siły. Z niemalą więc radością dochodząc do karczmy, dowiedzieliśmy się że poczciwy góral czekał na nas z wózkiem.

Była już godzina 11, ale pomimo tak spóźnionej pory, ani w Kościelisku, ani w drodze do Zakopanego, nie powstała nam w myśli najmniejsza obawa jakiejś napaści, jakkolwiek Tatry do niedawna jeszcze, a nawet i teraz, w mniemaniu niektórych osób, uchodzą za siedlisko zbójców, z którymi spotkanie jeżeli nie życiem, to przynajmniej zrabowaniem przyplacić można¹⁾.

¹⁾ Muszę tu ostrzedz, aby nie puszczać się w góry bez przewodnika. Do Kościeliska, do Pisaniej i na Ornak, zaprowadzi każdy góral a nawet sama droga; na Pyszną jednak nie radzę się puszczać bez przewodnika znajdującego miejscowość. Patrząc z Ornaku na tę piękną górę której grzbiet z ostrą krawędzią wydaje się jakby naturalną drogą na sam szczyt wiodącą, zdaje się że tutaj niepodobna pobrazdzić i że każdy trafi bez przewodnika. A jednak podobną nieroztropność przed kilku laty przyplacił życiem pewien górnik z Liptowa, który tutaj właśnie zmyliwszy drogę, natrafił na urwiska i zginął w przepaściach. Trupa jego znaleźli pasterze następnój wiosny.

Jedną jeszcze zrobię tutaj uwagę. Każdemu kto dłuższy czas zwiedzeniu Tatrów poświęcić zechce, i czuje się na siłach do odbywania dalekich wycieczek, życzę nie pominąć Pysznój, bo ręczę że nie pożałuje trudu. W przeciwnym jednak razie, t. j. gdyby komu zbywało na czasie, odwadze lub siłach do wchodzenia na szczyty, lepij zachować się na Czerwony Wierch, skąd widok nierównie piękniejszy, a wstęp także nie zbyt trudny i o wiele krótszy.



Kuźnice zakopiańskie i źródło pod Kalatówką.

Dolina w nocy jak wnętrze pieczary,
W niej kuźnie ogniem ziejące,
Jak paszcze smoków zaklętych przez czary,
Wieczystych skarbów strzegące.

W. P.

Kuźnice zakopiańskie, które tu wszyscy bez wyjątku z góralska *Hornami* nazywają, przejąwszy tę nazwę niemiecką od robotników czeskich, leżą jak już wspominałam, o pół mili od wsi, pomiędzy górami w dość obszernej dolinie wśród ciemnych lasów świerkowych na 3000 st. n. p. m. wzniesionej. Na wstępie do tej doliny po lewej stronie od wschodu wznosi się piękna, skalista góra zwana *Nosalem zakopiańskim* (3584 st.); w głębi widać wspaniałe szczyty *Swinnicy*, *Kościelca*, *Koszystej* i inne, podnoszące się dumnie ponad lasem. Ze wsi Zakopanego prowadzi do Kuźnic szeroka droga po części lasem, to znowu wyrębiskiem, na którym puszczają się już śliczne świerki i modrzewie. Po obu jej stronach szumią bystre potoki płynące od Kuźnic i w niezliczone wijąc się zakręty, to giną w głębi lasu, to znowu zbiegają się i łączą, obejmując w rozwarte ramiona to głaz ogromny purpurowym, wonnym ubarwiony porostem, to wysmukłych świerków bukiet lub bujnej trawy kępkę, którą śnieżna obryzguje piana. Droga ta bardzo przy-

jemna i piękna, z początku prawie nieznacznie, ciągle jednak wznosi się pod górę, gdyż Kuźnice leżą wyżej od wsi Zakopanego.

Na wstępie do Kuźnic, obok drogi, wznosi się piękny krzyż żelazny z wizerunkiem Zbawiciela otoczony kratą. Prócz licznych zabudowań fabrycznych, stoi tutaj obszerny dwór właściciela (3032 st. n. p. m.) z niewielkim ogrodem, w którym piękna bije fontanna, kilkanaście schludnych domków służących na mieszkanie urzędnikom górniczym, porządny dom zajezdny i t. d. Ożywia tę osadę szum potoku zwanego *Bystra*, który na kilka rozdzielony ramion wije się w różnych kierunkach i pomimo że w jarzmo ciężkiej pracy wprzężony, nie stracił z bystrości swojej, nie zbrudził wód kryształowych, ale zawsze równie piękny i czysty, ochoczo, jakby igrając, obraca koła rozlicznych machin i szumem swoim łagodzi ogłuszające łomotanie młotów, warczenie kół, brzęk szyn i blach żelaznych. Nie można było obrać stósowniejszego miejsca na podobny zakład, bo i wody wielka obfitość i kopalnie rudy znajdujące się w *Magórze* leżą bardzo blisko.

Nie znając się na urządzeniu machin, nie mogę opisywać szczegółowo tutejszych fabryk, które należą do znakomitszych w naszym kraju i których wyroby wysoko są cenione. Przed kilku laty byłam w tutejszej hucie w czasie spustu żelaza, co rzeczywiście bardzo zajmuje, zwłaszcza trafiwszy na lanie krat, garnków i innych drobniejszych przedmiotów. Większa część czytelników moich poprzestanie zapewne na powierzchowném obejrzeniu tych fabryk; ktoby jednak chciał zwiedzić je dokładniej, nie dozna w tém żadnej trudności przy uprzejmości urzędników tutejszych, którzy z największą gotowością zaspokoją ciekawość każdego.

Nie daleko za Kuźnicami, leży źródło *Bystrój* uważane powszechnie za źródło *Białego Dunajca*, którego

nie pomija nikt ze zwiedzających Tatry, gdyż rzeczywiście godoëm jest widzenia.

Kamienistą drogą prowadzącą od Kuźnic w las pod górę, brzegiem głębokiego wąwozu¹⁾, na którego dnie huczy potok, przychodzimy na obszerną, piękną polanę *Kalatówkę*. Śliczna ta łąka, z całym przepychem różnobarwnego kwiecica, rozściela się na pochyłości góry; od strony drogi opasuje ją młodych świerków wianek, a kilka szałasów rozrzuconych po niej, dodaje jój malowniczego wdzięku. Do kola piętrzą się wspaniałe turnie, to nagie, to ciemnym lasem i kosodrzewią odziane. Na lewo t. j. w południowej stronie rozłożył się szeroki grzbiet Goryczkowej; na prawo, ku zachodowi jeżą się nagie opoki ciągnące się od Giewontu i zasłaniające tę wspaniałą górę. Przed nami wznosi się niezbyt wyniosła skalista góra z wierzchem zaokrąglonym w kształcie pagórka, prześlicznie ustrojona mchem i świerkami; jestto *Kalatówka*, u stóp której bije wspomniane źródło.

Idąc drogą około polany i góry Kalatówki, wchodzimy znów w las; głośniejszy szum wody zapowiada bliskość źródła; wkrótce ukazuje się na lewo ogromna masa spienionej wody buchająca z pochyłości góry w głębią potoku. Stroma ścieżka prowadzi lasem na dół do samego źródła, które (3481 st. n. p. m.) jako szeroki strumień rzuca się ze znacznej wysokości i bardzo piękny tworzy wodospad, zwłaszcza po deszczach, kiedy bije obficie. Śnieżna białość spienionej wody pięknie odbija od świeżej zieloności świerków, mchów i akonitów wieńczących ogromne głazy, po których przewala się, wre, kipi wodospad z takim pędem i hukiem, że w bliskości wiatr się czuć daje, a o kilka kroków

¹⁾ Stąd to wzięto ową potężną bryłę granitu którą położono na szczycie Mogiły Kosciuszki.

zrozumieć się niepodobna. Woda z tego źródła wyborna, i bardzo zimna (średnia temperatura 4,07° C.).

Nie mając zamiaru szczegółowego zwiedzania fabryk żelaznych, co zabrałoby parę godzin czasu, można się wybrać do Kuźnic i na Kalatówkę dopiero po południu.



Doliny: Mało-Ląka, Miętusia i polana Przysłop.

„Ha! jak się macie w halach gazdowie?“
Skądże nas znacie? skądże to przecie?
„Po chrzcie, po chlebie, po ludzkiej mowie,
Po czém się ludzie znają na świecie.“

W. P.

Dolina *Mało-Ląka* leży o milkę od Zakopanego, w południowo-zachodniej stronie. Prowadzi do niej tażsama droga, co do Kościeliskiej doliny, aż do potoku, nad którym się rozchodzi na dwie strony. Zwróciwszy się na lewo brzegiem strumienia, wchodzimy w piękną dolinkę otoczoną dosyć wyniosłymi górami odzianymi bujnym lasem, z którego wychylają się miejscami różnokształtne skały. Droga prowadząca ciągle brzegiem potoku jest dosyć dobrze utrzymana, tędy bowiem zwożą sianu z Mało-Ląki; po deszczach jednak nie można się tu zaraz puszczać, gdyż źródła i strugi sączące się z gór pobocznych, tém obficie rozlewają się na drogę i bardzo błotnistą ją czynią¹⁾. Niebawem porzucamy brzeg potoku, zapuszczając się w las.

¹⁾ Przed paru laty woda wezbrana po nawalnych deszczach pozrywała mostki, co bardzo utrudniło tę drogę. Wielkie powódzie zeszłoroczne, do reszty ją popsuly. Właściciele Mało-Ląki poprawiali ją dla zwozu siana; o ile jednak

Ta część drogi jest dosyć trudną, ciągle bowiem wznosi się pod górę, nieraz dosyć stromo; ale cień lasu, miłego użyczający chłodu, uprzyjemnia tę przeprawę i chroni od zmęczenia. Las przerzedzający się coraz bardziej, ściany olbrzymich opok przeglądające pomiędzy drzewami, ryk bydła, odgłos dzwonek, zapowiada bliskość celu podróży. Jakoż wkrótce widok tak czarujący a niespodziany nderza oczy, że przez chwilę stojący jakby w odurzeniu, nie mogąc pojąć, czy to, na co patrzymy, jest tylko sennem złudzeniem, czy też rzeczywistością na łonie ciemnych lasów i skalistych turni wykwita jakby kwiat nadobny, rozkoszna polana z całym urokiem pasterskiego życia, przypominającego tak żywo czasy patryarchalne.

Czerwony Wiérch stanowi jeden bok doliny Mało-Łąki. Wznosi on się od południowej strony t. j. na prawo, jakby olbrzymia, prostopadła, skalista ściana, niżej ustrojona gdzieniegdzie mchem i kosodrzewiną, wyżej zupełnie naga. Najwyżej sterczący piramidalny, ostry szczyt, nazywają *Wielką turnią*. W załawkach i rozpadlinach bieleje śnieg, który zazwyczaj nie topnieje przez całe lato, chyba, że bywają wielkie upały i częste a ciepłe deszcze. Na lewo w stronie północno-wschodniej, sterczą dziwnie poszarpane skały zwane *Małym Giewontem*, a wysoko po nad nimi piętrzy się dumnie szczyt Giewontu, na który stąd wejście dość łatwe. Rozległe siodło łączące Giewont z *Kopą Kondracką*, której stąd także nie widać, stanowi wschodnią ścianę Mało-Łąki. Od południowo-zachodniej i północnej strony, otaczają tę dolinę wyniosłe grzbiety, świerkowym lasem okryte, z jednej tylko strony, to jest północno-zacho-

jest ona teraz wygodną dla zwiedzających, powieścić nie umiem. Najlepiej spuścić się w tém na roztopnego przewodnika.

dużej, wolny zostawiając przystęp. Obszerne i zupełnie równe dno doliny, zaściela prześliczna łąka, jedna z najpiękniejszych i najrozleglejszych w Tatrach, nie wiem, dla czego *Mało-Łąką* zwana. Patrząc zdala, zdaje się że zielony jej kobierzec dochodzi do samych stóp olbrzymów strzegących tego cichego ustronia; dopiero przeszedłszy wzdłuż tę piękną łąkę, spostrzegamy, że ona tylko większą połowę tej rozległej doliny zajmuje. Druga połowa *Mało-Łąki* zupełnie jest odmienną od pierwszej; jestto jakby obszerny teras z powalonych jedne na drugie ogromnych kamieni mlecznej prawie białości, na których widoczne są ślady długiego działania wody. Zwałiska te wznosząc się piętrami, dochodzą pod same ściany Giewontu i Czerwonego Wiérchu. Wśród tych kamieni rozścielają się miejscami zielone łączki, gaiki świerków i gęste zarośla kosodrzewiny.

Bywając na *Mało-Łące*, nieraz w południe szukaliśmy cienia i chłodu na owym terasie. Wypoczywając tutaj, zachwycaliśmy się pięknym widokiem jaki się przedstawia z tego wzniesionego miejsca. Na dalekim widnokręgu rysuje się wspaniała Babia góra, ujęta w ramy ciemnych lasów. Przed nami rozpościera się piękna polana ubarwiona różaném kwieciem rdestu, a po skoszeniu wdzięcząca się jasną zielonością, która cudnie odbija od ciemnych świerków i szarój barwy skalistych turni.

W południe zewsząd schodzi się bydło do koszar rycząc radośnie, biegną owce brzęcząc dzwonekami, uwiązają się juhasy i kucharki, ruch i gwar tak ludzi jak zwierząt, ożywia i rozwesela to ciche ustronie. W parę godzin potem krowy i owce wydojone, zaczynają się rozchodzić na paszę. Rozsypują się zrazu po całej polanie, potem podzieliwszy się na gromady, zmierzają ku wzgórzom, wspinają się z wielką zręcznością na strome pochyłości i wkrótce już ledwie okiem dojrzane

po skałach, urwiskach, zaroślach, pożywną szukają paszy. Z jaką szybkością wychodzą owce na góry, jak zręcznie spinają się po urwiskach, wystawić sobie trudno. Z juhasem na czele biegnie liczna gromadka owieczek, skubiąc po drodze trawę, ginie wkrótce w cieniu lasu; za chwilę pokazuje się w taki sposób wysokości, że się wydaje jak mrowisko. Pnąc się coraz wyżej, dochodzą owce na sam szczyt *Czerwonego Wierchu*, gdzie obfitą znajdują paszę. Z równą szybkością spuszcza się na dół. Krowy z tą samą prawie zręcznością wspinają się po górach, a roztropność, ostrożność i zgoda z jaką spuszcza się na dół, jest prawdziwie zadziwiająca. Po spadzistej ścieżce, wśród zwalisk kamieni i zarośli kosodrzewia, idą zwolna jedna za drugą długim szeregiem, nie pchają się, nie wyprzedzają, owszem z największą cierpliwością i że tak powiem wyrozumieniem, każda czeka zanim idąca naprzód, nie spuści się ostrożnie ze skalistego progu. Pomimo to zdarzają się przypadki, że krowa lub owca złamie nogę a nawet zabije się na miejscu.

Mało-Łąka należy do kilku właścicieli; gazdowie z *Poronina*, *Zasichlęj* i *Gronia*, mają tu swoje szałas; ale największa część polany jest własnością zamożnych gazdów ze *Zakopanego*, *Wójciaków*. Bywając prawie co rok na Mało-Łące, zabraliśmy bliższą znajomość z ojcem, a raczej dziadkiem tej rodziny. Staruszek ten blisko 80-letni, tak był rześki, czerstwy, przytomny, że niktby się nie był domyślił jego podeszłego wieku; na twarzy bardzo miłego i poczciwego wyrazu, nie było jeszcze widać śladów zgrzybiałości. Tę czestwość zawdzięczał on zapewne sposobowi życia jakie oddawna prowadził. Zaledwie znikły zimowe śniegi i zazieleniły się polany, wybierał się ze *statkiem* na Mało-Łąkę i pozostawał tu dopóki nie nastąpiły mrozy, t. j. niekiedy aż do *Wszystkich Świętych*. Czyste i wonne powietrze ja-

kiém oddychał w tym przeciągu czasu, musiało zbacownie wpływać na jego zdrowie. Gdy przychodził czas żniwa, które na Podhalu odbywa się przynajmniej o miesiąc później niż u nas, współwłaściciele Mało-Łąki powracali do domu prócz Wójciaka, który zostawał na polanie sam jeden z *kucharką* lub *pachołkiem*. Ale i wtenczas mu się nie przykrzyło, nie wydawała się smutną osamotnioną dolina, do której przywiązał się jakby do rodzinnego miejsca. Poczciwy staruszek nie spróżnował jednej chwili. Czas zbywający od zatrudnienia około nabiału, obracał na struganie łyżek. Narobił ich naraz trzysta i był pewnym że już wystarczą przynajmniej do jego śmierci. Ale zapas ten wkrótce się spożrebował i staruszek zabrał się znowu do roboty która mu czas skracala i nudzić się nie pozwalała.

Nie zapomnę nigdy tego życzliwego uśmiechu z jakim wychodził zawsze ze swego szałas na powitanie nasze, ten poczciwy staruszek, prawdziwy patryjarcha tej uroczej doliny. Widzę go jeszcze jak się krzątał aby nas uczęstować wyborném mlekiem i usadzić jak najwygodniej około misy lub dzieżki; jak omywał i ocierał łyżki, a potem zasiadał obok nas, i wypytywał ciekawie co słyhać na dolinach i dalej w świecie, lub rozpowiadał różne przygody pasterskie. Starzec od małego chłopca *juhasił* t. j. pasał owce po turniach i upłazach otaczających Mało-Łakę. Znał więc najdokładniej każdy garb, każdy odłam skały, pamiętał niezwyčajne ulewę, ciężkie zimy, niezwyčajnie wielkie śniegi, skwarne lata, i o tém wszystkiém umiał rozpowiadać z zajęciem, i malowniczo opisywać cuda przyrody, a przywiązanie do gór i głębokie uczucie ich piękności, w każdym przebijało się słowie.

Od kilku lat Mało-Łąka osierociała po swoim patryjarsze; starzec spoczął w grobie, ale duch jego zdaje się unosić nad ulubioną doliną, w której spływała mu

większa część poczciwego życia i z górnych przybytków może jeszcze mile spogląda na swą ziemską siedzibę. Ze śmiercią starego Wójciaka nie straciliśmy wstępu do jego szałas; nie mniej gościnnie i serdecznie przyjmowała nas potem jego prawnuczka, która w oczach naszych z małej dziewczeczki, na dorodną i hożą wyrosła dziewczynę, a następnie wyszła za mąż.

Ale nie tylko w szałasie Wójciaka doznawaliśmy tak przyjacielskiego przyjęcia; współwłaściciele Mało-Łąki witali nas za każdą naszą bytnością jakby najlepszych znajomych, zapraszali do swoich szałasów na pogadankę, a zapraszali tak serdecznie, żeśmy im tego odmówić nie mogli. Nie jedną też chwilę spędziliśmy pod niskim, szerniałym od dymu dachem szałas na rozmowie z tymi poczciwymi ludźmi, którzy z dawnych podań znają świetną przeszłość naszą, a wśród obecnej niedoli pocieszają się nadzieją lepszej przyszłości w którą wierzą i oczekują jęj z taką tęsknotą, jak niegdyś lud wybrany przyjsia Mesyjasza.

Właściciele Mało-Łąki, rozgraniczają swoje części kamieniami. Wójciaki, do których największa część tęg polany należy, składają siano do szopy stojącej przy szałasie, skąd dopiero w zimie zwożą je do wsi na saniach.

Ze na świecie nic bez ale, że wszędzie czegoś nie dostaje, nowym dowodem Mało-Łąka. Miejscu tak hojnie uposażonemu wdziękami przyrody, tak sprzyjającemu hodowaniu bydła, brakuje jednęj wielkięj dogodności, jednęj wielkięj ozdoby, t. j. wody. Mało-Łąka przepasana wstęgą bystrego potoku, byłaby o wiele piękniejszą, a co ważniejszą, byłoby niepotrzebowałoby szukać napoju i ochłody w oddalonym strumieniu, lub przestawać na ciepłej wodzie sączącej się gđzieś z góry i zbieranej starannie w koryto. Za to na wiosnę nie można się tu skarżyć na brak wody; gdy bowiem śniegi to-

pnieją po górach, zewsząd spływają w dolinę potoki, i wtenczas Mało-Łąka cała zalana jest wodą i wygląda jakby ogromne jezioro.

Z Mało-Łąki można przejść do doliny *Strążysk* położonej u stóp Giewontu z północnej strony. Nie trzeba jednak zapuszczać się około samej turni Giewontu, ale udać się przez śliczną polankę *Mało-Łączkę*, oddzieloną niskim, lesistym grzbieciem od Mało-Łąki. Przejście tedy jest bardzo łatwe.

Na zwiedzenie Mało-Łąki możnaby się wybrać dopiero po południu, gdyż kilka godzin wystarczy na odbycie tej wycieczki; przyjemniej jednak udać się tam za rannego chłodu, a w powrocie zwiedzić polanę na *Przystopie* i dolinę *Miętusią*, zwłaszcza pierwszą, gdyż jest to może najpiękniejsza z polan tatrzańskich.

Idąc z Mało-Łąki znaną nam już drogą przez las, przychodzimy niebawem do miejsca gdzie z główną drogą łączy się inna prowadząca w bok na lewo. Tą drogą dojdziemy na *Przystop*. Ciemny i gęsty las otacza nas dokoła, posępną ciszę przerywa tylko szum dalekiego potoku lub brzęk dzwonek dochodzący z Mało-Łąki. Wiedząc już z doświadczenia że każda wycieczka w Tatrach kosztuje wiele czasu i trudu, ani się domyślamy jak bliskim jest kres naszej drogi i jak miła czeka nas niespodzianka. W pół godziny bowiem wychodzimy na brzeg lasu a zdumionemu oku cudny odsłania się obraz. Na pagórkowatej pochyłości spadającej dość nagle ku dolinie *Miętusięj*, rozpościera się najpiękniejszy kobierzec łąki, którą szerokiemi kołami obstały wspaniałe turnie. Przed nami piętrzą się w amfiteatr wyniosłe góry łagodnie zaokrąglonych kształtów, do samych wierzchołków bujnemi odziane lasami, wśród których jaśnieją majową zielenią liczne polany. Na tle tych gór lesistych, występuje naprzód poważna skalista turnia *Kominy Kościeliskie*, wznoszące

najwyżej dumne czoło uwieńczone kosodrzewiem. Z lewej strony, t. j. od zachodu, wznoszą się prostopadłe ściany *Upłazu*, *Krzesanicy* i *Czerwonego Wierchu*; od południa sterczy okazały *Giewont*, który stąd wygląda prawdziwie majestatycznie. Ku wschodowi stoi na straży *Hruby Regiel* lasem okryty, a obok wystrzela niby naróżna wieżyczka śliczna, wysmukła, piramidalna, zupełnie prostopadła skałka zwana *Spiczastą*, rodzona siostra *Kończystej*, o której wspominałam na wstępie do Kościeliska. Tak *Spiczasta* jak i sąsiedni skalisty wzgórek, mają barwę blado różową z czerwonymi smugami. Trudno sobie wystawić coś piękniejszego nad tę różową skałkę ustrojoną wicncami świerków, niby luba pieszczotka przyrody, jej macierzyńską ręką w tak krasne przybrana sukienki.

Za pierwszą naszą bytnością na *Przystopie*, zastaliśmy tu właśnie sianożęcie. Kosiarze, chłopaki i dziewczęta grabiący siano, układający je w kopy, snujący się po całej polanie, krowy, owce i figlarnych kóz stadko pasące się na skoszonych miejscach, wesole śpiewy pracującego ludu, brzęk dzwonek, beczenie owiec, ryk krów, szum lasów, wszystko to w jedną złączone harmoniję, przedstawiało obraz pełen sielankowego wdzięku który niezapomniane uczynił na nas wrażenie. Jeżeli czas pozwoli, warto wejść na szczyt *Hrubego Regła* 4323 st. wznoszącego się nad polaną. Wstęp na ten wierch bardzo łatwy. a widok piękny zwłaszcza na *Czerwony Wierch*, *Krzesanicę* i *Giewont*, oraz na leżące u stóp ich równolegle doliny *Mało-Łąkę* i *Miętusią*.

Z *Przystopu* po dość spadzistej pochyłości, schodzi się w dolinę *Miętusią*. Od południa zamyka ją *Krzesanica* wznosząca się zupełnie prostopadłą, poszarpaną ścianą; w bardzo znacznej wysokości, widać jakby wyższe piętro tego skalistego muru. Jestto dzika, przepa-

ścista dolina *Litworowa*¹⁾. Tak do doliny *Litworowej* jak i na *Krzesanicę*, wejście wprost z doliny *Miętusiej* niepodobna. Owce dostają się po grzbiecie *Uplazu* na szczyt *Krzesanicy* i stamtąd dopiero spuszcza ją się do doliny *Litworowej*, gdzie pożywną znajdują paszę. Powiadali nam juhasi, że przed kilku laty jakiś podróżny czy nieświadomy miejscowości, czy też zuchwały i odważny do szaleństwa, spuścił się wprost z *Krzesanicy* do *Miętusiej*. Rzucił on na dół torbę i kapelusz i w pół żywy, z przestraczu i utrudzenia, w podartém odzieniu, stanął w dolinie. Mówili nam także górale, że dawniej *Krzesanica* nie była zawałoną złomami od spodu do tak znacznej wysokości. U stóp jej, gdzie teraz leżą stosy gruzów, stał szalas, do którego pewnego dnia w południe, miał przyjść żebrak kaleka prosząc o jałmużnę obiadających juhasów. Ci zamiast go nakarmić, zaczęli śmiać się i natrzęsać z jego kalectwa. Żebrak niezrażony tak nie-ludzkiem przyjęciem, przestrzegał juhasów aby zawczasu spędzili owce niżej na dolinę, bo wkrótce straszna naciągnie burza. Ale i ta przestroga była przyjętą śmiechem i żartami. Za ledwie minęło południe i żebrak oddalił się z szalasu, ukazała się na niebie czarna chmurka na którą nikt nie zwracał uwagi. Tymczasem chmurka powiększała się szybko i rozpościerała tak, że wkrótce całe niebo zakryła. Powstał straszny uragan: wśród grzmotów, piorunów, nawalnego deszczu i gwałtownego wichru, pękały i waliły się skały *Krzesanicy*, przywalając gruzami szalas, owce zamknięte w koszarze i juhasów, którzy przypłacili życiem swoją lekkomyślność. Dotąd, wśród złomów napiętrzonych pod *Krzesanicą*, ma być jeszcze widać szczątki szalasu, świadczące

¹⁾ Nazwę tę otrzymała od rosnącego tam *dzięgla* (*Archangelica officinalis*), który górale *litworem* zowią i używają na lekarstwo w tyfusie, u nich *łożnicą* zwanym.

o strasznej karze boskiej za nieludzkie obejście się z biednym kaleką.

Dolina Miętusia nie jest tak malowniczą i piękną jak jej sąsiadka Mało-Łąka; dno jej wązkie przerzyna potok, boki stanowią dosyć wyniosłe lesiste grzbiety. Są tu kopalnie rudy żelaznej. Nazwa doliny pochodzi od jej właścicieli *Miętusów*, sołtysów z *Cichego*, którzy wykupiwszy się na wolność, stanowią osobną osadę zwaną *Miętustwo*. W dolinie Miętusiej, wyjąwszy górną jej część pod ścianą Krzesanicy, nie ma nic godnego widzenia; można zatem poprzestać na zwiedzeniu prześlicznej polany na Przysłopie i powrócić nazad tążsamą drogą, lub też dla odmiany spuścić się do doliny Kościeliskiej, wygodną, piękną, lecz dosyć daleką drogą. W takim razie jednak, uależy zamówić wózek do Kościeliska.



Kondratowa (Kopa Kondracka), Czerwony Wiérch (Małolączniak), Krzesanica, Uplaz.

Hej turnie moje! wy hale moje!
Jakież was cudne wychwałą słowa?
Widno z was widno, widno we dwoje,
Bo i do Spiża i do Krakowa.

W. P.

Któż, patrząc na wspaniałe pasmo Tatrów, których wysmukłe szczyty pną się ku niebu tak dumnie i śmiało, niby wieże okazałego grodu, nie zapragnąłby wstąpić na jeden lub drugi z tych skalistych szczytów, widzieć przepływające u stóp swoich obłoki, odetchnąć lekkim sfer podniebnych powietrzem, objąć okiem kilkunastomilową najpiękniejszej okolicy przestrzeń? Patrząc zdala na te skaliste wiérchy wznoszące się prawie prostopadle, zdaje nam się, że niepodobna przywieść do skutku życzenia nasze, że trzeba by na to zręczności dzikiej kozy, śmiałości górala. Tak jednak nie jest w istocie. Jakkolwiek bowiem wiele turni tatrzańskich jest albo całkiem niedostępnych, lub też wejście na nie wymaga wielkiej zręczności i odwagi, są jednak i takie, na które bez wielkich trudów dostać się można. Z pomiędzy gór najbliższych Zakopanego, taką niedostępną turnią jest Giewont (5959 st. n. p. m.), mianowicie wschodni t. j.

dłuższy grzbiet jego. Najśmielsi, najwprawniejsi do chodzenia po górach, ledwie z niebezpieczeństwem życia dostać się nań mogli.

W botanicznym względzie Giewont ma być niezmiernie ważnym dla wielkiej różnaitości roślin; ale zwiedzając Tatry jedynie dla przyjemności, można bez żalu rzec się bytności na nim, gdyż z *Czerwonego Wierchu*, który jest znacznie wyższym (6703 st.) i łatwo dostępnym, daleko rozleglejszy i piękniejszy czeka nas widok.

Czerwony Wierch na oko zdaje się zaledwie o parę godzin drogi od Zakopanego odległym, a jednak całego dnia potrzeba na jego zwiedzenie. Wyprawę tę odbyć można albo wchodząc na górę od strony północno-zachodniej z doliny Mało-Ląki, lub też wstępując na nią od wschodu z polany *Komratowej*. Ta ostatnia droga lubo dalsza, jest jednak nierównie mniej trudząca niż tamta. Tędy i ja przed kilku laty weszłam na Czerwony Wierch. Oto opis tej wycieczki, którą do najprzyjemniejszych liczę.

Po kilkodniowej ciągłej słońce, która nie pozwalała nigdzie dalej wyruszyć, 23 lipca zajaśniało nam przeciw słońce; najczystszy błękit sklepił się nad zakopiańską doliną, nad którą jeszcze dniem przedtém szare i ciężkie przeciągały chmury; po wierchach tylko wałęsały się tu i owdzie leciuchne mgliste obłoczki. Jakkolwiek nie był to dzień zupełnie stósowny do wyprawy na góry, gdyż mgły, zgęściwszy się, cały widok zasłonić mogły, że jednak nie było obawy deszczu i pogoda zdawała się pewną, umyśliliśmy nie zwlekając dłużej, odbyć od dawna ułożoną wycieczkę na Czerwony Wierch w nadziei, że mgły się rozejdą i użyjemy pięknego widoku na okolicę. Przysłowie „odważny wygrywa“ sprawdziło się na nas; wycieczka ta powiodła nam się zupełnie.

Wyszedszy około ósmej zrana znaną nam już drogą przez Kuźnice, przybyliśmy na ową śliczną polanę Kalatówkę, o której wspominałam poprzednio. Nie zatrzymując się przy źródle, którego pokłębiona woda z szumem i hukiem spada w ciemną lasu głębią, drogą kamienistą i dosyć przykro prowadzącą pod górę¹⁾, doszliśmy na polanę *Kondratową*, położoną już na granicy świerków i kosodrzewia.

Po lewej czyli południowej jej stronie wznosi się *Suchy Wierch*, po prawej Giewont, który z tej strony nie piętrzy się tak prostopadle, jak od Zakopanego. Pochyłość jego okrywają trawy i zarośla kosodrzewiny, pomiędzy których wychylają się miejscami nagie, ostre głazy; na obszernym grzbiecie, niby gruzy warownego zamku, sterczą dziwacznie poszarpane opoki, stanowiące niedostępny grzbiet Giewontu. Na polanie Kondratowej stoją dwa szałas; w jednym trzymają krowy, w drugim nieco opodal owce. Widzieliśmy je wspinające się po pochyłości Giewontu w takiej wysokości, że się wydawały jak mrowisko. Odpocząwszy tutaj i napiwszy się wybornego mleka, ruszyliśmy dalej. Idąc ciągle pagórkowatą doliną, na której zieleniły się bujna trawa i rozrzucone tu i owdzie karłowate świerki, stanęliśmy wkrótce u stóp góry *Kondratowej* zwanęj także *Kopą Kondracką*²⁾.

Wejście na siodło łączące tę górę z Giewoutem jest dosyć trudzące, gdyż pochyłość jest stroma, ścieżki jednak, zwane po góralsku *percie* i przystępki wydeptane

¹⁾ Lepiej atoli nie trzymając się drogi, zwrócić się zaraz z polany około góry Kalatówki ścieżką, która nierównie prędzej i z mniejszym trudem doprowadzi na polanę Kondratową.

²⁾ Ze Zakopanego nie widzimy Kondratowej gdyż zasłania ją Giewont.

w różnych kierunkach przez pasterzy i owce chodzące tutaj na paszę, ułatwiają wchodzenie, które po nabyciu cokolwiek wprawy, nie wyda się tak bardzo przykrém. Wyszedłszy na rozłożysty grzbiet Kondratowej, wznoszący się zwolna w górę, w znacznej jeszcze odległości pokazuje nam się szczyt jój nie skalisty i nagi jak n. p. Giewont, ale mający kształt foremnego kopca, trawą i mchami okryty. Znajdując się na takiej wysokości, gdzie już nawet kosodrzewina nie rośnie, z jakąż radością napotykamy wśród mchów i porostów, jakby puchową poduszką górę okrywających, alpejskie kwiaty emaliową barw świetnością zdobne. Tu fiołek alpejski nierównie większy niż nasze ogrodowe, kryje we mchu piękną swą główkę, ciemno błękitna goryczka napróżno tuli się do ziemi, bo ją z daleka żywa barwa zdradza; dalej zieloni się roślina ze składu do mchu podobna, drobniejszym różowym osypana kwiatem; błyszczą jak gwiazdki złociste kwiateczki, wdzięczą się alpejskie niezapominajki i goździki skalne w jasny strojne amarant; śnieżną bielą jaśnieją drobne kwiateczki po trzy na jednej łodydze. Ale któż wyliczy te lube podniebnych sfer dzieci, których główki najrozmaitszemi kolorami ozdobione, ledwie cokolwiek podnoszą się nad ziemię?

Tak zrywając nieznanne nam dotąd kwiaty, podziwiając ich różnaitość i piękność, rzucając przytém spojrzenie na okolicę, której wspaniały widok miał się wkrótce roztoczyć przed nami w całym przepychu, zdążyliśmy do szczytu, na który jeszcze dosyć przykra czekała nas droga. Wtém spostrzegliśmy trzy konie góralskie, stojące w osłupieniu naprzeciw nas i przypatrujące nam się ciekawie. Za zbliżeniem się naszym, pędem wiatru pobiegły w bok i znowu zatrzymały się patrząc na nas. Swoboda i lekkość ich ruchów nasuwała pamięci mojej opisy wolnych synów stepów Ukrainy. Szliśmy zwolna, aby nie spłoszyć tych pięknych zwie-

rząt nad przepaść otwierającą się u stóp Kondratowój¹⁾. Stanęliśmy nareszcie na szczycie (6337 st.), a widok, jaki nam się tutaj przedstawił, wynagrodził sowiec trudy kilkogodzinnej podróży.

Wspaniały łańcuch Tatrów roztoczył się przed naszymi oczami w całym ogromie swoim; skaliste turnie, dziko poszarpane z najdziwaczniej poszczerbionemi szczytami piętrzyły się jedne nad drugimi; wglądaliśmy w ten labirynt urwistych wąwozów, dolin, przepaści, rozpadlin, w których jeszcze bezpiecznie panowała zima, nie lękając się ognistych słońca pocisków, bo te, jak o stalowy pancierz rycerza, o jej śnieżną, zlodowaciałą odbijają się skorupę. Od wschodu sterczy grzbiet *Wielkiej Koszystej* obok niej *Mala Koszysta*, dalej piętrzą się *Kościeliec* i *Swinnica*, *Miegoszowska*, *Rysy* i inne groźne turnie otaczające pięć Stawów i Morskie oko. W głębi wznosi się dumnie *Lodowa turnia*, *Ganek* i inne Tatrów spizkich olbrzymy. Najwspaniałej tutaj występuje *Krywań*, królujący nad wszystkimi szczytami sterczącymi od południa²⁾, i *Hruby Wierch*, na którego

¹⁾ Konie wraz z owcami spędzające całe lato na paszy w głębi gór, odwykają zupełnie od widoku obcych ludzi i stają się bardzo lękliviemi. Opowiadano nam z tego powodu smutny wypadek, jaki się zdarzył niedawno temu pod Giewontem. Kilkanaście koni pasło się tam spokojnie, gdy jakiś góral przechodząc tamtędy, czyto przez nieostrożność, czy naumyślnie, machnął kilka razy czuchą; konie wystraszone, szalonym puściwszy się pędem, nadbiegły nad głęboką przepaść, a nie mogąc się wstrzymać, wszystko w nią wpadły i zabiły się.

²⁾ Piękna ta skalista góra ma kształt piramidalny; wierzchołek jej niezbyt ostry, jest znacznie pochylony ku wschodowi. To skrzywienie szczytu nadało tej turni nazwę *Krywania* czyli *Krzycania*, jak ją nazywają górale spolszczając słowackie nazwanie. Od północy Krywań zupełnie prostopadłą wznosi się ścianą, bok jego zachodni jest położony i bardzo rozciągnięty, wschodni urwisty i stromy.

pochyłości zalegają ogromne płaty śniegu od górali *ogrodami* zwane. Od zachodu zasłania nam widok tuż obok Kondratowój sterczący Wierch Czerwony. Na północ wznosi się Giewont; na lewo od téj skalistój ściany wybiega oko na rozległą dolinę nowotarską, rozścielającą się jakby równina bez żadnych wzgórzów, bez najmniejszego garbu, gdyż z téj wysokości, na jakiej stoimy, zniknęły nawet potężnych Bieskidów grzbiety i dopiero wspaniała Babia góra i *Piśsko* (na Szlązku), ograniczają z téj strony widnokrąg. W północno-wschodniej stronie widać pasmo Pienu, a przez perspektywę można dostrzedz mury Czorsztyna i Niedzicy.

Mgły, pędzone dosyć mocnym wiatrem zachodnim, odsłaniały i zasłaniały kolejno pojedyncze części tego cudnego widoku, i nie pozwalały objąć okiem całej jego piękności i rozległości; dopiero w parę tygodni później, gdyśmy byli drugi raz na Kondratowój, przedstawił nam się ten wspaniały krajoobraz najlżejszą nie przyémioną chmurką tak, jak go powyżej opisałam.

Podawszy, o ile mogłam, wierny zarys widoku ze szczytu Kondratowój, nie myślę silić się na oddanie tych uczuć, jakich doznajemy, znajdując się na takiej wysokości. Bo jakże wysłowić to rzewne, uroczyste jakieś uczucie, napelniające duszę, która czuje się tutaj bliżej Boga, dalej od kału ziemi, jak opisać ów stan błogi, że tak powiem, zachwycenia, w którym choć chwilowo wszystkie bóle, wszystkie serca koją się tęsknoty, wszystkie myśli w jedną natchnioną, korną spływają modlitwę? Wszystko to czuć można, ale opisać niepodobna.

Zatawiwszy godzinę na szczycie Kondratowój, spuściliśmy się na siodło, łączące tę górę z Czerwonym Wierchem. Tu napotkaliśmy wielkie płaty śniegu, który na kilka dni przedtém pobielił szczyty tatrzańskie. Pomimo to roślinność na Czerwonym Wierchu była je-

szcze bogatsza, niż na Kondratowój. Przy samym śniegu ledwo że nie na nim, uśmiechały się najpiękniejsze alpejskie kwiateczki. Wstęp na Wierch Czerwony, znacznie od Kondratowój wyższy (6703 st.), jest wcale wygodny, gdyż i tu są *percie* wydeptane przez pasterzy i owce. Mech brunatny, zwany *plucnik*, który grubą warstwą okrywa feldspatową opokę i oświecony słońcem, czerwawo wygląda, nadał szczytowi temu nazwę *Czerwonego Wierchu*.

Widok stąd jeszcze rozleglejszy, niż z Kondratowój; widzimy nie tylko wschodnią i południową, ale i zachodnią część łańcucha Tatrów. Tu wspaniała *Pyszna*, szczyt *Staro-robociański*, *Rohacze* i inne wierchy, po większej części już na Orawie leżące, zamykają czarodziejskie koło, jakim nas otaczają skaliste olbrzymy. Powiadano nam że w dzień pogodny widać stąd Kraków, rozumie się przez perspektywę. Od południowo-wschodniej strony, gdzie rozstępują się wyniosłe turnie, buja wzrok po Liptowskich równinach i zatrzymuje się dopiero na szczytach *Niżnych Tatrów*, które szeroko rozwiniętym łańcuchem, pną się tak dumnie i śmiało w górę, jakby starszym swym siostrom wyrównać chciały.

U stóp Czerwonego Wierchu w północno-zachodniej stronie, otwiera się głęboka przepaść; jestto dolina *Mało-Łąka*, która stąd wydaje się jakby wązka, zielona smuga. Czerwony Wierch przedstawia z téj strony prawie od samego szczytu do dołu zupełnie prostopadłą, skalistą, nagą ścianę, stanowiącą jeden bok doliny Mało-Łąki, która szczytowi temu nadała, używaną niekiedy przez górali nazwę, *Małołęczniak*. O kilkadziesiąt kroków od szczytu, spuszczać się ku Mało-Łące, w miejscu zwaném *Ratusz*, bije wprost ze skały małe źródelko. Górale utrzymują że ma ono związek podziemny z wypływem z pod *Pisanéj* w Kościelisku. Na dowód powiadają, że pies zdechły wrzucony tutaj, wy-

płynął w Kościelisku. Trudno przypuścić żeby to było prawdą.

Niedługo mogliśmy się cieszyć widokiem jaki nam się przedstawiał z tego wyniosłego szczytu. Mgły w ciągłym będące ruchu, przewalające się jakby wzburzone balwany morza, ogarniając nas zewsząd, scieśniały coraz więcej rozległy stąd widok. Była chwila że zamknięci dokoła jakby w szklanej bani, białym powleczonej muślinem, przez którą przekradał się blady promyk słońca, nie widzieliśmy nic zgoła, prócz niewielkiej zielonej przestrzeni, rozścielającej się pod stopami naszymi. Jakkolwiek widok z takiej wysokości przy czystej pogodzie jest prawdziwie czarujący, to jednak i te mgliste tumany, ten ruch nieustanny na niebie i ziemi, ta walka potężnych olbrzymów, otrząsających dumne swe czoła z kryjących je obłoków, mają w sobie coś zajmującego, niezwykłego dla mieszkańców równin.

W powrocie z Czerwonego Wierchu, który był głównym celem wycieczki naszej, mieliśmy dwie drogi do wyboru, to jest: tężsamą, którą przybyliśmy na górę przez Kondratową i Kalatówkę, albo téż przez skalisty szczyt Krzesanicy, Upłaz i Kościelisko. Za tą ostatnią mówiła sposobność lepszego poznania gór i widok na dalsze, dotąd niewidziane okolice. Nie wahałiśmy się téż ani chwili, i wkrótce bez wielkiego utrudzenia wstąpiliśmy na urwisty szczyt Krzesanicy (6768). Wierch ten z ukształcenia swego jest nieco podobny do szczytu Babięj góry. Nie jestto ów zielony pagórek zasłany mchem i trawą, jak się przedstawia szczyt Kondratowej i Wierch Czerwony, nie jestto jednolita skała, ale raczej ogromne płyty szarego wapienia, ułożone jedne na drugich ukośnemi warstwami. Warstwy te ciągle pękają, odstawają od siebie, odrywają się i w przepaść zsuwają; miejscami widać głębokie między nimi roz-

padliny, które woda porobiła. Potężne siły przyrody pracują zwolna, lecz bezustannie nad zburzeniem tego wierzchu, który rzeczywiście wydaje się jakby wielka ruina. Od północy, Krzesanica jest stroma, prostopadła, jak ściana; u stóp jej przepaść głęboka, straszna, jakby paszcza otwarta na pochłonięcie dumnego olbrzyma. Jestto dolina Litworowa, tasama o której wspomniałam opisując dolinę *Miętusią*, tak dzika, że spojrzawszy w nią, zgroza i dreszcz nas przejmują. Szliśmy samym brzegiem przepaści po złomach kamieni; kto by jednak czuł najmniejszą skłonność do zawrotu głowy, nie powinien sobie robić igraszki, a iść zdala od brzegu, gdyż jedno lękliwe spojrzenie w tę głębią, jeden krok nieostrożny, może o nieszczęście przyprowadzić.

Widok z Krzesanicy tensam prawie, co z Czerwonego Wierchu; u stóp jej od południowo-zachodniej strony, w dolinie Kościeliskiej, zwierciadli się znany nam już staw Smreczyński; nieco dalej, piętrzą się urwiste opoki otaczające dolinę Kościeliską, nad którymi króluje wspaniały wierzch Pysznej.

Schodzenie z Krzesanicy jest dość przykre; potrzeba bowiem w niektórych miejscach spuszczać się z wysokich progów skalistych. Czekala nas jeszcze przeprawa przez kamienisty szczyt Uplazu (6475 st), niższy od Krzesanicy, a nadewszystko nie tak spadzisty. Z siodełka łączącego tę górę z Krzesanicą, dostaliśmy się wkrótce do szczytu. Schodząc z Uplazu, idzie się ciągle po płaskich odłamach gnejzowych. Spuściwszy się już znaczny kawał, jeszcze jednak bardzo wysoko, bo dopiero gdzieś tam krzaczki nikłej kosodrzewiny stroiły nagi kamień, który dotąd był prawie wyłącznym panem tych sfer podniebnych, natrafiliśmy na dość obfite źródło. Wyborna woda, zimna jak lód, pokrzepiła nas i wzmocniła na dalszą drogę.

Pod Upłazem od wschodu, leży dolina Miętusia, także bardzo głęboka, nie sprawia jednak takiego wrażenia zgrozy jak dolina Litworowa. Upłaz bowiem nie spada tak stromo jak Krzesanica, nie widzimy więc tuż pod stopami naszymi przepaści; powtórce dolina Litworowa przeraża samą swoją dzikością; jest bowiem odarta i urwista, gdy tymczasem boki Miętusi okrywa bujna kosodrzewina, widać już nawet ciemnych świerków bukiety i zieleniące się wśród nich polauny. Spuszczając się ciągle na dół w strefę coraz bogatszej roślinności, ujrzelśmy się niebawem na obszernej polanie otoczonej gęstym lasem. Ku wschodowi piętrzył się Giewont, który stąd wydaje się jakby jaka wspaiała gotycka budowla, pnąca się w obłoki wyniosłym sklepieniem i strzelistymi wieżami, których szczyty obwijała już leciuchna mgły wieczornój zasłona.

Posiliwszy się zentycą w szałasie na wspomnionj polanie, ruszyliśmy w dalszą drogę. Spuszczanie się do doliny Kościeliskiej było także dosyć przykre, zwłaszcza, że w lesie, przez który droga prowadzi, było już prawie zupełnie ciemno. Przeprawiwszy się przez strumień, stanęliśmy narazie w dolinie Kościeliskiej, której wdzięki kryła teraz pomroka wieczorna. Szczęściem zastaliśmy tutaj zamówiony wózek i w godzinę potém wypoczywaliśmy w naszym domku przy wesołym ogniu kominka.

Wycieczka na Czerwony Wiérch, jest rzeczywiście dosyć trudząca dla nieprzywykłych do dłuższego chodzenia po górach; ale wrażenia, jakich w niej doznajemy, warte zaiste tego trudu, zwłaszcza, że zmęczenie jest tylko chwilowe i nie ma szkodliwego wpływu na zdrowie, jak tego doświadczyłam niejednokrotnie zwiedzając góry, byleby się strzedz mocnego rozgrzania i spocenia, a potém nagłego ochłodzenia. Dla tego

idąc na góry, trzeba mieć zawsze w zapasie cieplejsze ubranie.

Na dowód, że nawet powtórnie zwiedzając góry, nie zawsze można zaufać swojej pamięci, i że wybierając się na dalszą wycieczkę, nawet w znane już miejsca, lepiej wziąć z sobą jakiego poczciwego górala, choćby nie za przewodnika, lecz dla pomocy i rady w każdym przypadku, niech mi będzie wolno podać tutaj opis dość osobliwszej wycieczki, jaką w ośm lat później odbyliśmy na Czerwony Wierch. A chociaż w ciągu opowiadania będę musiała zawstydzić się mojej nieprzezorności, bynajmniej mię to nie odstręcza, gdyż stąd właśnie wyływa pochwała dla gór ulubionych i ich mieszkańców.



Nocleg w Tatrach.

Na góry, na góry,
Tam bliżej do nieba;
Tam słońce, tu chmury,
Nam słońca potrzeba!

X. K. A.

Kończył się drugi miesiąc pobytu naszego w Zakopanem. Za parę dni trzeba było powracać do miejskich murów. Lato r. 1864 dżdżyste, zimne, a w Tatrach nawet śnieżne, po całych dniach, a czasami i tygodniach, zatrzymywało nas w domu. Żal było bardzo żegnać góry nie nacieszywszy się nimi; a tu jakby na przekorę wypogodziło się niebo, Tatry oblane purpurową łuną zachodu, wróżyły trwałą pogodę. Zawitał ranek 27 Sierpnia jasny, pogodny jak uśmiech dziecięcia; Tatry opromienione odblaskiem wschodzącego słońca, wabiły niezrównanym urokiem, obiecywały cuda każdemu kto nie żałując trudu, na ich wędrze się szczyty. Myśmy zrozumieli tajemniczą mowę kochanych gór naszych, one nas nigdy jeszcze nie zawiodły, owszem sownie odplacały trudy i znoje, które ochotnie nieśliśmy im w ofierze, wlewając w duszę niezapomniane wrażenia. I czyż można im odmówić gdy tak ponętnie, tak lubo zapraszają na pożegnanie? Nie, nie, pożegnamy się

z Tatrami na Czerwonym Wiérchu! To nasz sąsiad, wreszcie odźwierny i pierwszy w góry przewodnik, powiernik pierwszych wrażeń naszych. W mgnieniu oka powstał zamysł, a następnie plan wycieczki dość dalekiej, zważając krótkość dnia w końcu Sierpnia.

Około ósmój wybraliśmy się w drogę zupełnie sami, tak ochoczo, wesoło, jak się to zazwyczaj wyrusza w góry. Zamierzaliśmy wejść na Czerwony Wiérch z doliny Mało-Łąki, gdyż na oko droga ta wydawała nam się bliższą, a przynajmniej piękniejszą niż z polany Kondratowój. Doświadczenie przekonało nas, żeśmy się pomylili; niema bliższego, a zarazem wygodniejszego wejścia na Czerwony Wiérch jak z Kondratowój. Szliśmy spieszuie, a pomimo to nie czuliśmy zmęczenia, bo powietrze było chłodne, prawie zimne; ten téż chłód dawał nam dobrą otuchę co do pogody która zwolna poczynała się zmieniać. Przy takim zimnie, niepodobna myśleć o deszczu; te chmurki, to przelotne tylko obłoczki które się rozejdą pewnie nim wejdziemy na górę, lepiej nawet że słońce dopiekać nie będzie. Tak to biedny człowiek łudzi się zawsze i radby wniówić w siebie że mu się wszystko powiedzie, że wszystko do jego celów posłuży.

Nie zatrzymując się długo na Mało-Łące, chociaż górale grabiący siano, wszyscy dobrze nam znajomi, wielką mieli ochotę na pogadankę, ruszyliśmy spieszuie w dalszą drogę. Wejście na przełęcz pomiędzy Giewontem a Czerwonym Wiérchem, patrząc z doliny, wydaje się bardzo łatwem i bliskiem, rzeczywiście jednak jest dość przykrém, a nadewszystko nieskończenie długiem. Niestety! wyszedłszy na siodło oddzielające dolinę Mało-Łąki od Kondratowój, zamiast spodziewanego widoku, ujrzelśmy szare, pobałwanione morze mgły zasłaniającej najbliższe nawet szczyty. W dolinach słońce jasno świeciło, ale tumany mgły zgęszczającej się coraz

więcej, zakryły zupełnie dość jeszcze oddalony szczyt Kondratowój i Wierch Czerwony.

Pomimo doznanego zawodu, nie straciliśmy fantazyi; oddychając pełną piersią lekkiem, wolnym wysokich sfer powietrzem, nie czuliśmy nawet zmęczenia, a nikomu na myśl nie przyszło powracać nie dopiawszy celu. Na szczycie Kondratowój otoczyła nas mgła gęstsza jeszcze uż przedtém, wiatr zimny pociągał. Żle nie tylko że nie będziemy mieli żadnego widoku, ale jak tu powracać jeżeli mgła zalegnie szczyty i doliny? Ta myśl niepokojąca, przemknęła każdemu z nas, nikt jednak z nią się nie wydał, żeby się nie trwożyć nawzajem. Usiadłszy na kamieniach zajadaliśmy nasz skromny obiadek; w tém od strony Liptowa rozjaśniło się nieco niebo, mgła ustępowała szybko, odsłaniając najprzód dolinę liptowską, a niebawem wystąpił szczyt Krywania i dziko poszarpany grzbiet Hrnbeho Wierchu. Wkrótce zajaśniało słońce, oświetając nie tylko Krywań ale piętrzące się po za nim spizkie turnie i szczyty nad Morskim Okiem; widać było najpiękniejszą rzeźbę nagich opok, każdy załamek i rozpadlinę. Nie mogliśmy oderwać oczu od tego majestatycznego widoku; a jednak chcąc bądź co bądź odwiedzić jeszcze Wierch Czerwony, nie było czasu do stracenia.

Zaledwie zbiegliśmy z Kondratowój na przełęcz łączącą ją z Czerwonym Wierchem, mgła jakby tylko czekała na nas, osiadła na opuszczonym przez nas szczycie, a cel podróży naszej zakryty dotąd, wychylił swój wyniosły wierzchołek jakby zapraszając nas przyjaźnie. Stoimy nakoniec na Czerwonym Wierchu, ale prócz chrupiącego pod nogami płucniku i szarej mgły nad nami i dokoła nas, nic a nic nie widać. Z wytrwałą cierpliwością górskiego wędrowca, czekamy co dalej będzie, oglądamy się na wszystkie strony, czy nam skąd nie błysnie jaśniejszy promyczek. Ku zacho-

dowi mgła jakaś bielsza, przejrzystsza, widać jakiś okrąg jaśniejszy; tam wynikło blade widmo słońca bez promieni, bez blasku, a jednak miłe naszemu oku, bo ono jedno przerywa szarą jednostajność, bo ono obiecuje, swoją coraz wzmagającą się potęgą, rozprószyć mgły natrętne. Jakoż wkrótce zaczęły występować jedna po drugiej turnie zachodnich Tatrów i odsłonił się widok nie tak wspaniały jak ku wschodowi, ale za to pełen wdzięku i życia. Na chwilę zamajaczały nam jeszcze wśród mgły groźne spizkie szczyty, wysunęła się tu i owdzie granitowa iglica, mieliśmy widok zachwycający, ale tylko przez chwilę, bo niebawem nadciągnęła nowa nawała mgły i wszystko w niej utonęło. Równocześnie powiał wiatr tak ostry, że dzwoniłmy zębami od zimna. Pozatulaliśmy się jak można było najlepiej i jakby przykuci staliśmy na miejscu, chcąc się jeszcze doczekać słońca i jeszcze raz ujrzeć cudne panorama. Było wpół do piątej, a my nie mieliśmy ochoty schodzić na dół, ale na prędko układaliśmy nowy plan powrotu. Mierząc okiem rozległe siodło Kondratowej i szczyt jęj który wypadało nam znowu przebywać chcąc się spuścić do doliny Kondratowej, zdawało nam się że to droga bardzo daleka i że kto wie czybyśmy zdążyli do domu przed nocą. Przyszło nam zatem na myśl, że byłoby może bliżej udać się w przeciwną stronę przez wierchy Krzesanicę i Uplaz i spuścić się do doliny Kościeliskiej jak to opisałam poprzednio. Omyliliśmy się fatalnie, a raczej zawiodła nas pamięć, straciliśmy zupełnie miarę odległości. Droga przez wierchy do doliny Kościeliskiej, jest bez porównania dalsza niż przez Kondratową; na długim dniu Lipcowym jestto wyprawa całodzienna, niepodobna jęj więc odbyć w końcu Sierpnia i to ruszając z Czerwonego Wierchu o piątęj. Ale te wszystkie uwagi i porównania, przyszły dopiero po czasie; na razie zdawało nam się że obie drogi zupełnie są równe co do

długości, a za ostatnią przemawiało to, że zamiast spuścić się od razu na dół, długo jeszcze będziemy na wysokościach, przechodząc z wierchu na wierch i rozległym, a coraz nowym zachwycając się widokiem. Jakby dla ostatecznego rozstrzygnięcia naszego wahania, gruby bałwan mgły zaległ szczyt i siodło Kondratowój, a natomiast Krzesanicę jasno oświeciło słońce. Ku słońcu więc, ku słońcu pójdziemy, nie tam gdzie mgły i ciemności!

Pamiętając niby doskonale drogę, z radością podjęłam się przewodnictwa i ruszyliśmy na Krzesanicę. Wyznam szczerze że jakkolwiek byłam pewną że trafię do szałasu na Uplazie i pamiętałam wszystkie ustępy tej drogi, jednak gdyśmy weszli na obszerny szczyt Krzesanicy, gdym się ujrzała wśród olbrzymich zwalisk pomiędzy którymi trzeba było kierować się własną pamięcią, a po części może instynktem, zachwiała się moja odwaga, poczęłam żałować żeśmy się zapuścili tutaj. Straszna, dzika, urwista przepaść doliny Litworowój którą pamiętałam dobrze z pierwszej naszej wycieczki, ubezpieczała mię że nie pobłądziliśmy przynajmniej dotąd. Idąc samą krawędzią przepaści, ukradkiem rzucałam wrokiem w tę otchłań zawałoną śniegiem i odłamami skał; nie śmiałam w nią zajrzeć, lękając się aby ten widok dreszczem przejmujący, nie odebrał mi do reszty odwagi.

Z Krzesanicy przeszliśmy na kamienisty, pagórkowaty grzbiet Uplazu, przedłużony w ramię zniżające się zwolna. Napróżno wyteżałam wzrok, szukając owego szałasu będącego stacją na drodze do Kościeliska, nigdzie nie widać polany, okolica jakaś nowa której nie pamiętam wcale. Po prawej stronie otwiera się nieznama mi dolina, przed nami sterczy skała zdająca się zakończyć ów grzbiet po którym idziemy. Pobłądziliśmy, to widoczna! Zakręciło mi się w głowie, stanęło przed

oczyna grożące nam niebezpieczeństwo: nie znając drogi, mogliśmy bardzo łatwo natrafić na urwiska i zginąć w przepaściach. A tu nigdzie ścieżki lepiej uchodzonej któraby mogła zaprowadzić do szałasu, nigdzie żywej duszy nie widać, bo to już wieczór, juhasi dawno powrócili z owcami. Położenie nasze było w istocie przykre: sami, zupełnie sami, zaskoczeni szybko zapadającym zmrokiem na takiej wysokości! Poleciliśmy się Bogu i nie tracąc przytomności zaczęliśmy rozpatrywać miejscowość. Spostrzegliśmy wprędce żeśmy pobłądzili niedawno, że nam wypadło powrócić na szczyt Uplazu i stamtąd rozpoznać dokładnie położenie. Zaledwieśmy wyszli nieco wyżej, ujrzelśmy szerokie ścieżki prowadzące do szałasu, który widać było pod lasem. Bogu dzięki, jesteśmy na dobrej drodze, ale jak to jeszcze daleko! Bywaj zdrowe Zakopane, a nawet Kościelisko do jutra; nie dla nas nocleg w domu lub odartej karczynie, my za szczęśliwych się poczytamy, jeżeli przed nocą zdążymy do szałasu i wypoczniemy przy ogniu na *cetynie*¹⁾. Zbłądzenie nasze nie wiele przyczyniło nam drogi a czasu nie zabrało więcej nad kwadrans. Przy pierwszych też krzakach kosodrzewia, natrafiliśmy na miejsce gdzie ze skalistej ściany tryskało owo źródło, które przed ośmiu laty pokrzepiło nas wyborną wodą. Zmęczeni i spragnieni, od dawna cieszyliśmy się na tę wodę. Jakież zawód! kamienie zawaliły źródło i woda sączyła się tak skąpo, że nawet kieliszkiem nie można jęj było zaczerpnąć. Nabraliśmy ręką po kilka kropel aby odwilżyć przynajmniej usta i spiesźnie puściliśmy się dalej.

Nagle czarowne widowisko ukazało się oczom naszym i na chwilę przykuło do miejsca. Ujrzelśmy zachodzące słońce, nie owo piękne, jasne słońce, rozrzu-

¹⁾ Drobną naciętą gałązki świerkowe służące na postanie.

cające na pożegnaniu świetne promienie: nie, było raczej ogniem buchający wulkan, rozlewający dokoła blask krwawej łuny. Nad zapadającą pod poziom tarczą, przedłużoną w słup płomienisty, zawisła czarna chmura, niby obłok dymu, rzucający cień posępny na okolicę. Na przyémionym błękitnie nieba, rysowały się ostro, dziko poszarpane szczyty, stanowiące niby brzegi krateru. Nowotarska dolina, Babia góra i inne grzbiety Bieskidów, pływały w powodzi jakiegoś dziwnego, purpurowego światła, które chyba do łuny pożaru, przyrównaćby można. Wysokości któreśmy opuścili, skaliste szczyty Giewontu, bliższe nas polany, lasy i wzgórza, już zalegał zmrok wieczorny, od którego tém posępniej odbijała owa daleka okolica zalana żarem ognistym. Zwolna, zwolna przygasły ogień wulkanu, ciężkie kłęby dymu zaległy jego straszną paszczę, zmrok zapadł na całą okolicę.

Zaskoczeni ciemnością, zbieraliśmy ostatki sił aby zdążyć do szałasu nim noc zupełna zapadnie. Jeszcze na szczycie Uplazu przyszło nam na myśl, że szałas ten położony jeszcze bardzo wysoko, bo na górnej granicy lasów, jest już może opuszczonym, że tam nie zastaniemy nikogo. Odpychaliśmy jednak tę myśl wstrętną, która przecież w miarę zbliżania się do szałasu, coraz większego nabierała prawdopodobieństwa. Nie widać było ani ludzi, ani owiec w koszarze, a co najważniejsza, nad dachem nie nosiła się błękitnawa kitka dymu, znak niemylny mieszkania człowieka. Owe głosy ludzkie, szczekanie psów, ryk bydła które nas dolatywały od dawna, pochodziły z innego szałasu stojącego nieco uizój na pochyłości wzgórza, wprawdzie bardzo blisko, ale za lasem w który niepodobna było zapuszczać się w takiej ciemności. Jak tylko upewniliśmy się że szałas do którego zdążamy stoi pustką, zaczęliśmy wołać na

juhasów w nadziei że może usłyszą i doprowadzą nas do swego szałas. Wszystko napróżno, głos ginął w otaczających nas dolinach, nikt nam nie odpowiadał, byliśmy zupełnie sami na takich wyżynach.

Już było tak ciemno, że z trudnością można było rozeznąć najbliższe przedmioty, gdy stanęliśmy przed drzwiami szałas który miał nas przyjąć pod swój dach. Nie były zaparte, weszliśmy więc, a pierwszém staraniem było rozniecenie ognia za pomocą krzesiwka, gdyż zapalek nie mieliśmy z sobą. Znając zwyczaje szałasowe, po omacku natrafiliśmy na ognisko przykryte deskami. Znalazszy kilka węglików, nabieraliśmy około szałas drobnych gałązek i trzasek i dalej do roboty. Nie łatwa to była sprawa; mokre trzaski nie mogły się palić; dmuchaliśmy aby rozżarzyć węgle, ale wszystko gasło kilka razy na wilgotnój ziemi. Nareszcie udało nam się rozpalić ogień na ławie. Błysnął słaby płomynek i oświecił wnętrze szałas. Uszczęśliwieni, uprzętnęliśmy spiesźnie deski któremi zarzucone było ognisko i w tryumfie przenieśliśmy ogień na właściwe miejsce. Było tam jeszcze kilka polan i niedopałonych głowni, były wreszcie deski które w potrzebie mogły także pójść na ogień. Ale noc długa, bardzo długa, trzeba się dobrze zaopatrzyć w drzewo, żeby nie zostać w ciemności i zimnie. Przed szałasem leżał długi i gruby pień smreka, tenby wystarczył na całą noc. Wspólnymi siłami wciągnęliśmy do szałas ogromną kłodę i zatoczyliśmy ją na ogień który już teraz buchał wesołym płomieniem, przyskał iskrami, a mówiąc nawiasem, zapełniał dymem nasz hotel, gryząc niemiłosiernie w oczy. Ale któżby tam zważał na taką drobnostkę, któżby nie darował temu przyjacielowi i dobroczyńcy tych kilku łez które wycisnął nieprzywykłym do jego smolnego oddechu? Zaiste, ten tylko kto się znajdował kiedy w położeniu podobnym naszemu, potrafi ocenić,

jakimto skarbem jest ogień, ten żywioł tak nieraz straszny, tak lekceważony w codzienném życiu. Bez niego, jakże okropną byłaby dla nas ta noc spędzona w szałasie przez którego dach gwiazdy świeciły, a wiatr przewiewał szparami! Zimno byłoby nam się dobrze dało we zuaki: a potem, jakże to okropnie zostać na całą długą noc w ciemności, w miejscu tak odludném i dzikiém! Każdy szelest, każdy łoskot spadającego w przepaść kamyka, byłby nas strachu nabawiał. Przy ogniu było nam ciepło, wesoło, bezpiecznie.

Bezpiecznie! piękne bezpieczeństwo przy ognisku, w okolicy tak dzikiéj, jeden mężczyzna i trzy kobiety! Muszę się przyznać, że gdy już było widoczném że będziemy musieli noc przepędzić w takiéj pustce, miałam chwilę bojaźni, ale tylko chwilę; bo czyż może się lękać ten kto wierzy że opatrzone oko Boże czuwa nad nami we dnie i w nocy, że On nas nigdy nie wypuszcza z ojcowskiéj swojéj opieki? Myszmy oddaleni od ludzi, samotni uiby, na dzikiéj skale, ale Bóg jest z uami, bez jego woli i włos nam z głowy nie spadnie. On obrońcą naszym, opiekuńcze skrzydła jego anioła, osłaniają nasz szałas, możemy więc spoczywać bezpiecznie. Prawdę mówiąc nie było się czego obawiać. Gdyby gdzie w pobliżu miasta przyszło tak nocować w polu pod lasem, trzebaby się lękać napadu złodziei i włóczęgów miejskich lub wiejskich; tu z tego względu mogliśmy być zupełnie spokojni; nigdy nie podobnego nie przytrafiło się w naszych górach, najbezpieczniéj można po nich wędrować wzdłuż i wszersz, choćby nawet samemu bez przewodnika. Owi zbójniki o których dawne śpiewają piosnki, przepadli bez wieści.

Rozgospodarowawszy się w naszéj oberży, t. j. ustawiwszy z owych deszczek ławy tak aby nas dym jak najmniej dochodził, pomodliliśmy się wspólnie, a z modlitwą uleciały ostatnie obawy. Już nawet nie

zyczyliśmy sobie aby przyszli do nas juhasi z niższego szałasu zwabieni dymem z naszego ogniska. Żalby nam było ognia z takim mozołem rozpalonego i tego samotnego szałasu gdzie nam było tak dobrze, cicho, spokojnie. Wprawdzie głód czuć się dawał, ale chociaż mieliśmy jeszcze kawałek chleba i séra na wieczrę, nie jedliśmy nic, żeby nie powiększać pragnienia które i bez tego bardzo nam dokuczało.

Siedząc na ławie naprzeciw ognia, chciałam się zdrzemnąć, ale ani na chwilę nie mogłam zamknąć oczu, bo zaraz przesuwały się przedemną przepaście, urwiska, przeprawy pełne niebezpieczeństw i takim nabawiały mię strachem, że pomimo niezmyślonej ochoty do spania, otwierałam oczy aby rozpedzić natrętne mary. Chcąc czém inném zatrudnić rozkołysaną wyobraźnię, wyciągałam rozmaite uwagi z obecnego naszego położenia. Zastanawiałam się więc nad tém jak to mało istotnych potrzeb ma człowiek, do jak szczupłych rozmiarów może ograniczyć swoje życzenia. Gdyśmy stali na Czerwonym Wiérchu, mierząc okiem rozległe siodło Kondratowej, ulękliśmy się tak długiej drogi i obraliśmy inną, która nam się bliższą wydawała; rachowaliśmy na łatwość dostania koni w Kościelisku, cieszyliśmy się zawczasu na wypoczynek w domu przy komini i szklance gorącej herbaty. Później gdy się pokazało żeśmy sobie przyczynili ledwo nie połowę drogi, już nie było mowy o domu, ale pragnęliśmy tylko zdążyć do Kościeliska i tam przenocować na leśniczówce lub w karczmie. Niebawem życzenia nasze jeszcze się bardziej ograniczyć musiały. Gdybyż przed nocą być w szałasie! O jak to będzie dobrze wypocząć na koso-drzewinie, napić się najprzód wyborniej wody, a potem świeżej żentycy na wieczrę! Ale i to jeszcze zbyt wygórowane były marzenia, jeszcze o jeden ton spuścić trzeba. Gdyśmy zabłądzili, nie miałam już nadziei tra-

fienia do szałas, byłam prawie pewną że nam wypadnie noc przepędzić pod gołym niebem, przytuliwszy się do jakiej skały. O nie! to znowu byłoby z ujmą dla tak zawołanych jak my wędrowców, żeby na piękne pobłądzać mieli i w swoich ulubionych Tatrach nie znaleźli na noc gościnnego dachu. — Nie, nie, tak źle nie będzie. Czeka na nas hotel tatrzański, pusty wprawdzie, bez gospodarza, ale wygodny, bardzo wygodny. Mamy ogień suty, ławy dokoła, przez dach nie bardzo przeświecają gwiazdy, są miejsca gdzie ich całkiem nie widać, a zatem nawet w przypadku deszczu nie nalałoby nam się za kołnierz. Głodno nam trochę, pić się chce, ale przynajmniej nie chłodno, nie boimy się niczego, jesteśmy panami w swoim szałasie. I czegoż więc potrzebować? Gdyby nam kto w Krakowie, a nawet w Zakopanem, taki przepowiadał nocleg, z pewnością bylibyśmy się rzekli Czerwonego Wierchu; teraz jesteśmy weseli i zadowoleni jak rzadko. Znikła nawet obawa deszczu która nas trochę niepokoiła, niebo się przepogodziło, księżyc wysunął się ponad góry, gwiazdy coraz liczniej wyzierały z poza ustępujących chmur. Noc była chłodna ale nie zimna, wiatr nawet całkiem ustał.

Pomimo że nam tak dobrze było w szałasie, godziny wlokły się bardzo leniwo, a ta ich powolność nasuwała myśli smutną dolę biednych więźniów, którzy nie jedną noc, ale miesiące i lata taką odmierzają miarą. — Ach! nie taką jeszcze. — Dla znękanym boleścią i tęsknotą duszy, wycieńczonym nieraz fizycznem cierpieniem, godzina każda wiekiem się zdaje. Dla wielu z nich po tej długiej, strasznej, lata trwającej nocy, nie zaświta już wesoły ranek na ziemi, bo ich z więzienia śmierć dopiero uwolni; nad ciemnym lochem otworzą się niebiosy, i przyjmą w swe progi duszę męczennika, która odbyła czyściec na ziemi i uświęciła się cierpieniem.

Jak wszystko na świecie, tak i ta długa noc zbliżyła się przecież do końca. Polany, lasy i skały wynurzały się z nocnych cieniów, zrazu niepewnymi, przyćmionymi majaczyły barwami, zarysy ich rozplywały się w mglistej powłoce; ale stopniowo, coraz wyraźniej występowały. Wkrótce ukazała się nad poziomem złoto-purpurowa smużka, zwiastując bliiski wschód słońca. Ale słońce nie wstawało dzisiaj ochotnie, wesoło, jak to bywa w pięknych dniach letnich; grube chmury, niby ciężka kotara, zawisły nad łożem, z którego poduosiło się leniwo, ospale, niby dziecko kapryśne które z musu wstaje, a za chwilę uśnie gdzie w kątku. Załedwie pierwszy brzask dnia przedarł się przez szpary do wnętrza szalasu, z radosnym rozrzewnieniem podziękowaliśmy Bogu za tę noc tak szczęśliwie przebytą pod jego opieką, za ten dach który nam dał przytułek bezpieczny.

Jeszcze cała okolica drzemała w sennym pograżona zmroku, jeszcze nie pobladły gwiazdy, gdy, rozgarnawszy tlejące główne, żeby przypadkiem wiatr nie rozdmuchał ognia, pożegnaliśmy nasz szalas. Szeroką, dobrze wydeptaną ścieżką dostaliśmy się wkrótce na drugą stronę lasu, gdzie stał ów, wczoraj jeszcze widziany, szalas. Widok jaki nam się tutaj przedstawił, był prawdziwie malowniczy. Przed nami *Kominy Kościeliskie*, olbrzymia, skalista turnia, piętrząca się wspaniale niby jakie stare zamczysko, jaka groźna warownia. Wierzchołek jój skąpo uzieleniony kosmykami trawy i porostami, niższe stopnie stroją świerki, buki, klony, jawory, jarzębina, splecione w majowe wieńce; a niżej jeszcze, zaległy ciemne lasy, wśród których zieleniły się świeżo skoszone polany. U stóp tej wspaniałej góry, na przeciwległym wzgórzu stał szalas, dalej drugi, a obok niego nowa, porządna szopa; nie opodal, *kierdel* (stado) owiec zamkniętych jeszcze w koszarach. Pstra gromadka

roila się jak mrowisko, becząc żałośnie i brzęcząc dzwonkami; kilku juhasów uwijało się pomiędzy niemi, bo to ranny odbywał się podój. Dwa młode psy owczarskie igrające przed szałasem, dopełniały ten obrazek pasterskiego życia Podhalań. który nam się przedstawił w napół sennym mroku, w jakim była jeszcze pogrążona cała dolinka, chociaż wschodzące słońce już złoćciło szczyty gór ją otaczających.

Jeżeli nas zajął ten widok pełen wdzięku właściwego polanom tatrzańskim, nie mniej zajmującym, a nawet dziwnym wydać się musiało juhasom niespodziewane pokazanie się podróżnych o tak rannój porze i na takich wysokościach. Na wołanie nasze przybiegł baba, rosły, dorodny mężczyzna, a gdy się dowiedział żeśmy nocowali w pustym szałasie, nie mógł się uspokoić o to że musieliśmy zziębnąć. Zapewnialiśmy go że nam było dobrze i ciepło, a on, jakby gospodarz troskliwy o wygodę swoich gości, ciągle się użalał nad nami żeśmy nie zdążyli na noc do jego szałas, gdzieby nam był kazał nasłać smreczyny i mielibyśmy nocleg wygodny, „a tak musieliście téż doziębnąć“, powtarzał ciągle.

Na usilne proźby i naleganie bacy, wstąpiliśmy na chwilę do szałas. Uczestowani gorącą żentycą, pogwarzyliśmy trochę z poczciwym góralem, który nas potem wyprowadził na wzgórze i pokazał drogę do Kościeliska. Tą drogą bardzo spadzistą i niewygodną, spuściliśmy się w dolinę i tu pierwszy raz napiliśmy się wody której tak byliśmy spragnieni od wczoraj. Orzeźwiła nas ona i pokrzepiła na milową drogę dzielącą nas jeszcze od domu.

Tymczasem niebo zasępiło się zupełnie; szara, jednostajna opona rozpostarła się nad Kościeliską doliną, utonął w jój fałdach wspaniały szczyt Pysznój, bliższe góry i lasy wyglądały czarno i straszno, wi-

docznie miało się na slotę. Powietrze coraz bardziej się oziębiało, tak że dreszcz nas przechodził, a co dziwniejsza, że, w miarę jak zbliżaliśmy się do Zakopanego, było coraz zimniej. Jakże opiszę nasze zdziwienie, gdy wyszedłszy z lasu, ujrzelśmy Tatry ubielone śniegiem! Spadł on téj właśnie nocy na *Muraniu*, *Koszystój*, *Granacie*, *Swbnicy*, *Kasprowój*; *Giewont* stanowił granicę; na turniach po prawej jego stronie t. j. na *Czerwonym Wierchu* i *Uplazie*, gdzieśmy nocowali, nie było jeszcze śniegu, ale białe mgły i chmury spuszczaające się na ich wierzchołki, zapowiadały, że i tam wkrótce zimowy rozpostrze się całun. Patrząc na Tatry tak rozdzielone na dwie połowy, jedną w letniej, drugą w zimowej barwie, nie mogłam powstrzymać wykrzyku: Wielki Boże! czyż nie widoczna Twoja opieka nad nami! Myśmy tak ciepłą i spokojną noc mieli, a tuż obok na sąsiednich szczytach, spadły śniegi! O jakżeby nam było dokuczyło zimno, a nawet zaszkodziło na zdrowiu, zwłaszcza że nie byliśmy całkiem przygotowani na nocleg w górach, a zatem dość lekko ubrani.

Tymczasem nasi zuajomi w Zakopaném bardzo byli niespokojni gdyżśmy nie przyszli na uoc, a tém więcej jeszcze, gdy parę godzin zrana upłynęło, a nas widać nie było. Wszyscy wiedzieli że znamy doskonale góry, nie przypuszczali więc abyśmy pobłądzili, obawiali się tylko czy które z nas nie zasłabło i czy bez ratunku nie siedzimy gdzie w lesie lub szafasie nie umiejąc sobie radzić. Nasza gaździna pobięła z płaczem na plebanią poradzić się X. Proboszcza co robić w takiej przygodzie. On jak najspieszniej wysłał górala na polanę Kondratową, a gdyby nas tam nie zastał, miał się przeprowadzić do Mało-Łąki. Inny posłaniec miał iść w przeciwną stronę i wypytywać się o nas w Miętusiój i na Uplazie. Nie zdążyliśmy na czas aby uprzedzić pierwszego posłańca, szczęście że się na tym

jednym skończyło i że więcej ludzi nie poszło szukać zguby. O jakże się ucieszyli wszyscy, gdy nas zobaczyli zdrowo powracających! „Coby to było, mówiła ze łzami uasza gaździna, żeby tacy ludzie, co to już jakby nasi, zginęli w górach.“

Kończąc opis tej wycieczki to jeszcze dodam, że w parę godzin po naszym powrocie, spadł śnieg na Czerwonym Wiérchu i Uplazie, a odjeżdżając we trzy dni później, mieliśmy widok znany nam dotąd tylko z opowiadania, to jest ujrzeliśmy cały łańcuch Tatrów ubielony śniegiem, z zieloną opaską lasów u dołu.



Staw Czarny, Zmarzły i stawy Gąsienicowe.

Gdzie ty znajdziesz w cudzej stronie
Takich jezior takie tonie!
Takie góry nad wodami,
Takie niebo nad górami!

Jednym z owych miejsc w Tatrach, gdzie olbrzymia górska przyroda występuje w dzikiej piękności swojej zdumiewającej wędrowca, jest okolica *Czarnego* i tak zwanych *Gąsienicowych Stawów*. Jest ich kilka, leżą w południowo-wschodniej stronie od Zakopanego, na obszernej, znacznie wzniesionej dolinie, rozciągającej się między *Magórą* a pasmem skalistych turni zamykających ją od południa i wschodu. Podaję tutaj opis jeziora zwanego *Czarnym Stawem*, leżącego w bliskości Stawów Gąsienicowych, a piękniejszego i dostępniejszego, niż te ostatnie.

Na zwiedzenie *Czarnego Stawu* i jego okolicy, należy wybrać się zaraz zrana. Przybywszy do Kuźnic, tuż za dworem właściciela, spostrzegamy dwie drogi rozchodzące się w przeciwne strony. Jedna prowadzi na prawo do doliny *Jaworzynki*, druga zwraca się na lewo w las zwany *Nieborakiem*. Tą drogą za dawnych czasów zwożono rudę z *Magóry*. Po zrobieniu nowój,

wiodącej do kopalni przez *Jaworzynkę*, dawna droga poszła w zaniechanie; deszcze porozrywały ją i popsuły tak, że miejscami podobniejsza do parowu, niż do drogi wozowej; bokami jednak wszędzie dobre przejście. Idąc ciągle pod górę, wychodzimy na wyniosły, kamienisty grzbiet, który górale zowią *Boconiem*; stąd mamy wspaniały i rozległy widok tak na skaliste turnie, jak i na dalszą okolice Podhala aż po Bieskidy i Pieniny, opasujące ją jakby łańcuchem.

Najbliżej nas na prawo wznosi się okazala *Kopa Magóry*, a tuż przed nami dwa wysokie także, zielone pagórki tak zwane *Kopy Królowe* (4887 st.). Po obu stronach skalistego grzbietu po którym prowadzi droga, a raczej ścieżka, otwierają się w przepaścistej głębi obszerne doliny. Na prawo leży *Jaworzynka*, na której zachodnim boku widać drogę prowadzącą do kopalni w *Magórze*. Na lewo widać dolinę *Olczyisko*, nie tak odartą i dziką jak pierwsza. Zasłana lasami i polanami, licznymi szałasami ożywiona, wydaje się jakby jakaś osada wiejska małowniczo wśród gór rozłożona. Idąc zwolna lecz ciągle pod górę, przychodzimy na halę *Królową*. Położona bardzo wysoko, bo już w krajinie kosodrzewia, nie ma ona wdzięku właściwego innym halom tatrzańskim. Niema tu ani bujnej trawy, ani skał fantastycznych; dwa liche szałasusy stoją samotnie bez żadnej osłony, oddane na pastwę wiatrom i burzom, które tu szalone zwodzić muszą tańce. Ale jakkolwiek *Królowa* nie bardzo miłe czyni na nas wrażenie, z powodu osamotnionego a bardzo wyniosłego położenia, za to wspaniały widok jaki się stąd przedstawia na olbrzymie turnie *Granatu*, *Kościelca* i *Swinnicy*, zupełnie ten brak wdzięku wynagradza. Z *Królowej* spuszcza się na obszerną halę zwaną *nad Stawami*, a dzika piękność i majestat obrazu jaki tutaj mamy przed sobą, czaruje nas, lecz zarazem jakąś zgrozą przejmuje. Stoi przed

nami olbrzymi zastęp skalisty; dzikie, nagie, granitowe opoki strasznie podarte, najdziwaczniej poszczerbione, pną się w górę zupełnie pionowo. Zdawaćby się mogło, że zima założyła tutaj główne legowisko swoje, takie masy śniegu zalegają urwiste boki tych opok, olśniewając oczy srebrzystą białością, która tém świetniej a rażąco odbija od ciemnych skał granitowych.

Widzimy tu już nam dobrze znaną *Wielką Koszyską* w stronie południowo-wschodniej; dalej na prawo znacznie naprzód wysunięta jakby najłosemniejsza piramida, wznosi się *Żółta turnia* zupełnie naga, gładka jak ściana, ubarwiona żółtym porostem, który jej nadał nazwisko. Obok *Żółtej*, zawsze na prawo, lecz więcej w głąb cofnięty, piętrzy się niezmiernie dziki i wyniosły *Granat*, tuż przy nim piramidalny ostro ścięty szczyt *Kościelca*, którego grzbiet wysunięty naprzód i zakończony piramidalnym także wierzchem o wiele niższym od pierwszego, nazywają *Małym Kościelcem*. Obok *Kościelca* wznosi się nie mniej urwista i prostopadła *Swinica*, najwyższy szczyt w Tatrach nowotarskich (7395 st.). Wyniosłe, a nie tak dzikie turnie *Pośrednia*, *Skrajnia* i *Bieskid*, okrążają tę halę od zachodu. Dwa ostatnie wierzchy, t. j. *Skrajnią* turnię i *Bieskid*, łączy przełęcz *Lilijowe* (6165 st.) nosząca tę nazwę od obficie tam rosnącej *wietrznicy* (*anemone alpina*). Widok stamtąd ma być bardzo piękny.

Gdzie najdziksze skały, gdzie największe platy śniegu pod *Kościelcem* i *Granatem*, widać niby groblę szeroką; jestto łożysko *Czarnego Stawu*. Na obszernej pięknej hali, okoloniej hańcuchen tych wyniosłych turni, stoi kilka szałasów; ocienia ją las świerkowy, a bujna trawa miękkim rozesełana kobiercem, dostarcza wybornej paszy dla *statku*.

Kawał dosyć przykrój drogi, dzieli nas jeszcze od *Czarnego Stawu*. Przechodząc w poprzek wspomnianą

halę *nad Stawami*, zwracamy się ścieżką na prawo, wstępując coraz wyżej po ostrych granitowych złomach. W miarę jak zbliżamy się do *Czarnego Stawu*; roślinność coraz uboższą się staje. Na granitowych złomach, rośnie już tylko kosodrzewina, drobnieje borówka jakby kobiercem ziemię zaścielająca, różnobarwne porosty strojące nagi kamień, zastępują miejsce zielonej murawy, coraz dziksza, coraz groźniejsza otacza nas przyroda. Napotykamy tu źródło, jedno z najzimniejszych w Tatrach, ma bowiem tylko 2° R. Stajemy nareszcie nad brzegiem jeziora, które spokojne, czyste, niby zwierciadłana tafla, rozlewa się do samych stóp olbrzymich turni, odbijając w przejrzystych wodach ciemne opoki sterczące dokoła ponuro i groźnie. *Czarny Staw* na powierzchni przeszło 31 morgów, kształt podłużny, nieforemny; od południowo-wschodniej, południowej i południowo-zachodniej strony, obstały go wyniosłe turnie: *Żółta*, zwana także *Małą Koszystą*, *Granat* i *Kościelec* w olbrzymie zatoczone półkole. Południowe brzegi jeziora zasypane skalistymi złomami są dzikie, nie ubarwione nigdzie zielonością; brzeg północny przeciwnie zaścielają mchy najrozmaitszych a bardzo pięknych gatunków, gęste trawy, borówka i krzaki kosodrzewia; alpejskie niezapominajki, akonity i inne kwiaty właściwe strefom alpejskim, krasnym wiankiem opasują kryształowe wody jeziora, z którego głębi, o kilka sążni od zachodniego brzegu, wynurza się nie wielka kamienista wysepka, strojna świeżą zielonością kosodrzewia i borówki.

Staw Czarny 5263 st. n. p. m. wzniesiony, a zatem wyżej położony niż *Morskie Oko*, pod względem piękności i wspaniałości położenia, po tém ostatniem pierwsze trzyma miejsce w rządzie północnych jezior tatrzańskich. Turnie wznoszące się dokoła majestatycznie i groźnie, to piękne jezioro, którego głębi do myślać się każe coraz ciemniejsza, a ku środkowi pra-

wie zupełnie w czarną przechodząca barwa wody, ta zielona wyspa, cudnie odbijająca na lśniącej powierzchni, wszystko to tworzy obraz tak wspaniały i zachwycający, że nic nie zdoła zatrzeć go w pamięci. Echo tutaj przesłizne; wystrzał rozlega się najprzód od Kościelca, niby odgłos dalekiego grzmotu; huk ten powtarza się nieco słabiej od odleglejszego Granatu; podają go sobie kolejno inne turnie, powtarzają go to głośniej, to ciszej skaliste ściany, dopóki nie skona gdzies tam daleko. Z Czarnego Stawu wypływa obfity potok który, połączywszy się z innym z Gąsienicowych Stawów wypływającym, wpada przy Poroninie do Dunajca pod nazwą *Poronca*.

W r. 1867 dwaj słynni przewodnicy Jędrzej Wala, o którym już parę razy wspomniałam i Maciej Siczka, zrobili tratwę dla gości życzących sobie użyć przyjemności żeglugi po *Czarnym Stawie*. Korzystając z pierwszego dnia którego ranek obiecywał piękną i trwałą pogodę, wybraliśmy się do *Czarnego Stawu*, który już poprzednio zwiedziliśmy niejednokrotnie. Wala poszedł z nami. Przybywszy nad brzeg Czarnego Stawu, weszliśmy na tratwę i przeprawiliśmy się na ową piękną zieloną wysepkę. Tu Wala rozpałił ogień z przewiezioną na tratwie suchej kosodrzewiny, bardzo bowiem przestrzegał, żeby nie niszczyć tej, która tak pięknie przystraja wysepkę. Wkrótce zawrzała woda na herbatę, którą uczęstowaliśmy się z wielkiem zadowoleniem Wali, że my, jako najdawniejsi i najwierniejsi lubownicy Tatrów, pierwsi pijemy herbatę na Czarnym Stawie. Zostawiliśmy ogień który, świeżem zasilony drzewem, buchnął na pożegnanie wesołym płomieniem, popłynęliśmy na przeciwny brzeg jeziora, gdzie się piętrzą turnie: Granat, Zawrat i Kościelec, chcąc zwiedzić tak zwany *Zmarzły Staw*, leżący około 400 stóp wyżej.

Wspinając się dość przykro pod górę, zrazu po trawie, potem po złomach kamieni, bez żadnego jednak niebezpieczeństwa, wychodzimy na grzbiet stwardniałym śniegiem okryty; a przeszedłszy po nim z ostrożnością, stajemy na urwistej skale trawą poroślej i w głębi u stóp naszych spostrzegamy nagle jezioro śniegiem i lodem okryte tak, że nie wielki tylko okrąg na środku, zajmuje przezrzysta szyba wody. Dzikie, prostopadle, strasznie poszarpane turnie, obstały w koło tę głęboką kotlinę; a od ich ścian granitowych, ciemniejszej niż gdzieindziej barwy, rażąco odbija białość śniegu, leżącego tu w wielkiej obfitości po urwiskach i kamienistych uplazach. Na prawo wśród tych groźnych turni, widać jakby drogę zasutą *piargiem*¹⁾, wspinającą się bardzo hystro pod górę, aż do szczyrbiny zwanój *Zawratem* (6500 st.), którądy jest przejście do doliny *Pięciu Stawów*²⁾. Możolna to i utrudzająca przeprawa, zwłaszcza że kamienie upłożą się pod nogami, ale jakież to wspaniały widok czeka wytrwałego wędrowca gdy stanie w bramie *Zawratu*!

My założywszy sobie cel tak bliski i łatwy jak *Staw Zmarzły*, nie mogliśmy jednak użyć w całej pełni dzikiej piękności tego miejsca, które właściwym sobie urokiem przeszło wszelkie moje oczekiwania. Na chwilę tylko błysło nam słońce, oświecając nagie turnie i lodem ścięte wody jeziora, a potem nagle zasępiło się niebo, szczyty skał utonąły w chmurach, otoczyła nas mgła tak gęsta, że o parę kroków nic widać nie było.

¹⁾ Są to drobne i ostre kamyczki, zasypujące grubą warstwę pochyłości niektórych turni od dołu do bardzo znacznej nieraz wysokości.

²⁾ Przeprawa przez *Zawrat* jakkolwiek trudząca, nie jest jednak niebezpieczną. W ostatnich latach odbyło ją kilka kobiet i nie uważały bynajmniej za tak nadzwyczaj utrudzającą, jak opowiadają niektórzy mężczyźni.

Na domiar niepowodzenia, lunął deszcz zimny i gruby; nie było co robić dłużej, spieszenie więc spuściliśmy się na dół, gdzie znówu powitało nas słońce.

Wszedłszy na tratwę, płynęliśmy w koło po pod same ściany Kościelca, dla poznania lepiej rozległości i głębi Czarnego Stawu.

Ach cóżto za otchłań! Woda choć przejrzysta jak kryształ, wydaje się prawie czarną, a w niej jakby w magicznym zwierciadle, odbijają się z całą grozą olbrzymie turnie kąpiące swe stopy w jeziorze. Cóż to za ogrom ten Kościelec wznoszący się prostopadłą, dziko poszarpaną ścianą wprost z niezgłębionej czarnych wód otchłani! Słońce oświecając tę groźną opokę, uwydatniało precudną jój rzeźbę, która wydawała się jakby posrebrzona w niektórych miejscach, gdzie woda sączy się po skale.

Nieraz później, a nawet dziś jeszcze gdy to piszę, i pomyśle żeśmy żeglowali po takich niezgłębionych toniach na małej i wątłej tratwie, dreszcz mię przejmuję i ćmi się w oczach. Ale wtedy tak byliśmy zajęci, tak oczarowani pięknością jeziora i jego otoczenia, że nawet w myśli nie powstało niebezpieczeństwo. Przy tém obecność poczciwego Jędrzeja takie w nas wzbudzała zaufanie, że w jego zostając opiece, nie doświadczyliśmy żadnej obawy. Jakoż szczęśliwie przybiliśmy do brzegu i nieraz potem winszowaliśmy sobie téj żeglugi, zwłaszcza że na rok następny już tratwy nie było; rozbiły ją na wiosnę kry pływające po jeziorze.

Potężny, najmniej do 300 st. wysoki i rozległy wał kamienisty zwany *Małym Kościelcem*, po największej części kosodrzewiną zarosły, odgranicza zagłębienie *Czarnego Stawu* od dzikiój i posepuć doliny *Stawów Gąsienicowych*, na zachód od tamtego położonej. Stawów tych jest ośm, lecz cztery tylko większe, inne zaś małeńkie, płytkie, i w wielkie upały wysychające. Obsta-

pily tę dolinę znacznej wysokości turnie: od wschodu *Swinnica* i *Kościelce*, od zachodu turnie *Pośrednia* i *Skraynia* dalej *Bieskid* i *Pośredni Wierch*. Największy i najgłębszy ze stawów *Gąsienicowych* jest tak zwany *Suczy Staw*, w południowo-zachodniej stronie pod *Bieskidem*. O kilkadziesiąt stóp wyżej i bliżej głównego grzbietu pod *Swinnicą*, leży *Kurtkowiec*. Nad nim między granitami są dwa małe stawki. Prawie pod samym *Kościelcem* jest płytki staw *Roztoki*. W nim zatrzymują się wody w przepływie do stawu zwanego *Zielonym*, z którego płynie *Poroniec*. Od stawów *Gąsienicowych* jest przejście na *Swinnicę*.

W powrocie można się udać około *Magóry*, drogą prowadzącą od samego prawie wierzchołka, skąd wydobywają rudę, przez dolinę *Jaworzynkę*, aż do *Kuźnic* zakopiańskich. Na pochyłości góry widać kilka *bań*, to jest kopalni otwartych. Wechód do bani obstawiony deskami, wygląda podobnie do otworów piwnic po wsiach. W żadnej z nich nie byliśmy dla wielkiej wilgoci, jaka czuć się daje w tych podziemiach. W kilku miejscach w *Tatrach* są kopalnie żelaza, w *Magórze* jednak ruda jest najbogatsza. Drogę prowadzącą około jednego boku góry, prawdziwie krwawą nazwać można. Jest ona zasłana grubą warstwą drobnych kamyczków, jakby zwierem niezmiernie ostrym, usuwającym się pod nogami, tak, że z trudnością utrzymać się można, zwłaszcza w miejscach spadzistszych. Wózkom zwożącym rudę z bani zdejmują tylne koła, zakładają smyki, a pomimo to biedne kony ledwie z największém wysileniem utrzymać mogą ciężar zsuwający się pędem na dół.

W dolinie *Jaworzynki* pod *Magorą*, jest dosyć obszerna jaskinia, do której przystęp bardzo łatwy. Kto nie widział wspaniałych pieczar ojcowskich, ten z zajęciem zwiedzi tę jaskinię rzeczywiście bardzo piękną, choć bez porównania mniejszą niż tamte. Ściany tej

jaskini powleka masa wapienna, lekka, zupełnie podobna do zmarzniętego mleka; to też górale nazywają tę masę *mlekiem kamiennem*, używając roztartej i rozpuszczonej w wodzie na lekarstwo. To białe sklepienie i ściany jakby gipsowemi sztukateryjami zdobne, w blasku bengalskiego ognia, czarodziejski przedstawiają widok.

Po prawej stronie doliny *Jaworzynki*, sterczą najdziwniejszych kształtów skały, niby połamane pnie drzew lub jakieś potwory skamienne; po lewej wznoszą się góry okryte ciemnymi lasami. Dno tej pękłej doliny zaściela murawa, a kilka szalasów rozwesela to ustronie. Niebawem dolina się scieśnia; idąc brzegiem wąskiego, dno jej przerywającego potoku, przychodzimy do Kuźnic zakopiańskich.

Krywań.

Co prędzej, co prędzej! wędrowny mój Panie!
Bo ku nam mgła prosto się toczy,
A tu na Krywanu nie dobre postanie
Gdy ścieżkę mgła biała zamroczy.

W. P.

Będąc pierwszy raz na Czerwonym Wierchu, podziwialiśmy stamtąd wspaniały *Krywań*, który swym dumnym szczytem, na 7913 st. n. p. m. wyniosłym, króluje nad wszystkimi wierchami południowo-zachodniej części łańcucha Tatrów. Zaraz wtenczas przychodziła nam chęć zwiedzenia tej pięknej góry, nierównie dostępniejszej niż spiskie olbrzymy, a przecież znakomitą wysokością swoją należącą niejako do ich rodziny. Odbywszy jednak kilka trudzących wycieczek, nie mieliśmy już ani ochoty, ani sposobności do podjęcia trzydniowej pieszej wyprawy i odłożyliśmy ją na rok następny. Jakoż przybywszy znowu do Zakopanego, pierwszym naszym staraniem było wywiedzieć się dokładnie, czy wycieczka na Krywań nie będzie nad nasze siły. Udałiśmy się w tym względzie do Jędrzeja Wali, doskonałego przewodnika, a przytém bardzo poczciwego człowieka, na którego sumienność mogliśmy z pewnością rachować. Ten nam zaręczył, że droga na Krywań, lubo rzeczywiście daleka, nie jest jednak tak trudząca, że-

byśmy jej nie mogli odbyć z łatwością przy sprzyjającej pogodzie. Jego opowiadanie o cudnym widoku, jaki się przedstawia z tego wyniosłego szczytu, tém więcej nas zachęciło i postanowiliśmy odbyć niezwłocznie tę wyprawę, dającą nam sposobność poznaania południowej części Tatrów. Chodziło jedynie o pogodę, która była tak niestałą, że nie można było liczyć z pewnością na trzy dni pogodne. I w tym razie zdaliśmy się zupełnie na przewodnika naszego, który już dawniej dał nam dowody swoich meteorologicznych wiadomości.

Uplęnęło dni kilka, w ciągu których pogoda i słońce zmieniały się kolejno. Parę razy gdy słońce zaszło pogodnie i z błękitnego sklepienia usunęły się chmury, mieliśmy ochotę wyruszyć w drogę; ale Wala kręcił głową i nie chciał puszczać się w góry na czas niepewny. Jakoż rzeczywiście po jednym dniu pięknym następował znowu dżdżysty; i wtenczas winszowaliśmy sobie, że siedzimy w cieplej i suchej izbie, a nie możemy na słońce gdzieś tam wśród gór i lasów.

Nareszcie jednej niedzieli, było to 2 sierpnia, po paru dniach deszczu, wypogodziło się z wolna, zachodzące słońce oblało góry potokiem purpurowej jasności, co w Tatrach bywa zwykle znakiem ustalonej pogody. Wieczorem przyszedł Wala i jakaż była nasza radość, gdy po zwykłym pozdrowieniu „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ powiedział: „No już przyszła nasza pogoda, jutro trzeba iść na *Krzywań*.“ I dalejże rozpowiadać znowu, co to za widok będziemy mieli ze szczytu, jak tam ujrzymy jak na dłoni *Lomnicę*, *Lodowy szczyt*, *Ganek*, *Gierlacha* i inne olbrzymy wschodnich Tatrów. Łatwo sobie wystawić, jak nas zachęcało to opowiadanie; wszystkie trudy szły w zapomnienie, a uśmiechała się jedynie nadzieja ujrzenia tylu cudów, cieszyła myśl, że przez trzy dni będziemy ciągle wśród gór, otoczeni najwspanialszemi ich widokami.

Nazajutrz pogoda była zupełna, na całym niebie ani jednej chmurki. O szóstej zrana wyruszyliśmy z Wałą i drugim górale, który niósł nasze zapasy. Piękna droga prowadząca do Kuźnic i Kalatówki za rannego chłodu tym przyjemniejszą się wydawała. Lasy i trawniki w obfitej skąpane rosie, świeższą, piękniejszą uśmiechały się zielonością, a w drżących na listkach i kwiatach kropelkach, tęczowe jaśniały barwy. Śnieżne, skaliste szczyty ponad ciemne wystrzelające lasy, rysowały się wyraźnie i śmiało na czystym lazurze. Powietrze lekkie i chłodne tchnęło świeżością wiosenną. Minawszy piękną polanę Kalatówkę, wypoczęliśmy nieco przy szumiącym źródle u jej podnóża i orzeźwiliśmy się wyborną wodą. Od Kalatówki droga prowadzi ciągle ciemnym lasem aż do szałasów stojących u stóp góry Goryczkowej, przez którą trzeba się przeprawiać na liptowską stronę.

Wejście na obszerny grzbiet Goryczkowej (6324 st.) jest wcale łatwe, a widok, jaki się stąd przedstawia, wszelkie wynagradza trudy. U stóp naszych w niezmierniej głębi, leży dolina zagięta w łuk ciągnący się od południa ku wschodowi, a wypukłością na północ zwrócony. Południową część tej doliny nazywają *Jaworową*, wschodnią, doliną *Wiercichy*¹⁾. Tę ostatnią zamyka wyniosły grzbiet wznoszący się ku wschodowi, także *Wiercicha* zwany. Dolina ta zasługuje na uwagę z tego względu, że gdy wszystkie inne przerzynają na poprzek pasmo Tatrów, ona ciągnie się wzdłuż niego. Na dnie

¹⁾ Wszyscy niemal autorowie niemieccy piszący o Tatrach, począwszy od Sydowa, nazywają tę dolinę *Tycha* i tak ją oznaczają na mapach. Dolina spizka *Pod-upłazki*, zowie się u nich *Podieplazki* lub *Oplacki*, *Granat* nazywają *Szedem-Granatow* i tym podobne dziwolągi. Nie pojmują jak Niemcy, tak się przechwalający naukową swoją sumiennością, mogą tak niemilosiernie kałeczyć i przekręcać pol-

jéj wije się potok, który z téj wysokości wydaje się jakby wążuchna, biała, zupełnie nieruchoma wstążeczka. Na prawo, t. j. na zachód widzimy dobrze nam już znane turnie: *Kondratową*, *Czerwoną Wierch*, *Krzesanicę*, dalej *Rohacze*; więcej jeszcze ku południowi siódło czyli przełęcz prowadzącą do *Tomanowej* w dolinie Kościeliskiej, nad którą *Pyszna* wznosi wspaniałe śniegiem uwieńczone czoło. Jeszcze dalej ku południowi, idąc w kierunku doliny *Jaworowej*, napotykamy przerwę między górami, w głębi której widać rozległe liprowskie równiny. Na lewo za tą przerwą wznosi się góra *Koprowa*; przed nami nad doliną *Jaworową* i *Wierchichy* ciągnie się grzbiet wyniosły, pagórkowaty, okryty w niższej części lasem, w wyższej bujną trawą i kosodrzewiną. Są to tak zwane *Kopy Jaworowe*.

Poza tym grzbietem i wysoko nad nim, ujrzyliśmy dwie ogromne skaliste masy, *Krywcań* i *Hruba Wierch*. Otoczone mgłą i obłokami fantastycznych kształtów, czepiającemi się ich boków i szczytów, wydawały się one jakby jakie olbrzymie, uapowietrzne, zaklęte zamczyska. Potężne płaty śniegu zalegały urwistą pochyłość *Krywcań*, bielili się na spadzistych bokach *Hrubego Wierchu*, podnosząc jeszcze dziką piękność tego widoku tak majestatycznego i czarodziejskiego, że oczów od niego nie mogłam oderwać. Jakże szczęśliwą czyniła mię w téj chwili myśl, że dziś jeszcze będę u stóp tych olbrzymów, że jutro wstąpię na ten szczyt tak dumnie obłoki rozdzierający! Ale czyż uczucie szczę-

skie nazwy. Rozumiem trudność w wymawianiu, ale czemu nie napisać dobrze? Wszakże i dla Polaków podróżujących po Niemczech, Szwajcaryi lub Włoszech, język tamtejszy nie jest rodowitym; niektórzy nawet nie posiadają go wcale, a przecież, opisując obce strony, starają się wywiedzieć dokładnie o miejscowe nazwy i ich pisownię i nie popełniają tak grubych a śmiesznych błędów.

ścia i radości jest kiedy zupełném, wolném od chmurki smutku lub żalu? czyż wybierając się w najprzyjemniejszą nawet podróż, nie żalujemy zawsze czegoś, co opuszczamy? I ja téż z pomimowolném uczuciem tęsknoty i żalu, oglądałam się poza siebie na tę piękną Kala-tówkę, na góry otaczające Kuźnice, na jeżące się Giewontu skały, na przymgloną już cokolwiek Gubałówkę i na całą tę uroczą a tak mi dobrze znaną okolicę Zakopanego, którą żegnałam stąd, udając się w strony zupełnie mi obce.

Przez sam grzbiet Goryczkowej przechodzi granica węgierska; cały krajobraz, który mamy przed sobą zwróciwszy się na południe, leży już na Liptowie. Krok jeden, a już na innej stoiemy ziemi, jesteśmy wśród ludzi różniących się mową, obyczajami, ubiorem, wiarą¹⁾.

Różnica ta uderzyła nas zaraz, gdyśmy wypoczywali na grzbiecie Goryczkowej. Północną pochyłość tej góry okrywa dosyć niska trawa, południową zaściela nierównie bujniejszej murawy kobierzec, najrozmaitszém zdobny kwieciami. Juhas pasący tutaj owce, na pierwsze zaraz spojrzenie, różnił się od naszych polskich górali kapeluszem z bardzo szerokimi skrzydłami i długim biczem, którym poganiał swą trzodę. Mówił narzeczem słowackim prawie zupełnie rozumiałem dla nas. Tutaj spotkaliśmy jeszcze górala ze Zakopanego, który wracał z Liptowa, dokąd chodził za jakimś interesem. Poczciwy gazda przywitał nas z serdecznością właściwą Podhalanom, jakby dawnych znajomych. Pogwarzywszy z nim chwilkę i uczciwszy wspomnieniem tych dzielnych barskich Konfederatów, którzy według podania przez

¹⁾ Słowacy zamieszkujący hrabstwo liptowskie, są po większej części wyznania ewangelickiego.

grzbiet Goryczkowej przeprowadzali armaty na węgierską stronę¹⁾, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Schodzenie z Goryczkowej nie jest tak trudne, jakby można wnosić po jej spadzistości; ścieżka bowiem nie prowadzi wprost na dół, lecz wije się kręto po pochyłości góry. Niżej dopiero, gdzie trzeba się przedzierać przez zarośla kosodrzewiny, schodzenie jest więcej trudzące. Zmęczeni nie tyle drogą jak południowym upałem, stanęliśmy nakoniec w dolinie Jaworowej, z której przeszliśmy wkrótce do doliny *Wiercichy* będącej przedłużeniem pierwszej. Lewą t. j. północną ścianę tej doliny stanowi rozłożysty grzbiet Goryczkowej i łączące się z nią równie wyniosłe grzbiety, których nazwiska nie pamiętam. Obok nich sterczy skałista, naga, śniegiem okryta *Walentkowa*. Po prawej stronie t. j. od południa, ciągną się wyniosłe *Kopy Jaworowe*, których łagodnie zaokrąglone kształty i świeża zieloność odziewającej je trawy, rażąca sprzecznoscą stanowią z urwistemi ścianami stojącej naprzeciw *Walentkowej*. Przed nami, t. j. na wschód, wznosi się grzbiet *Wiercichy*, przez który czekała nas także przeprawa. Na dnie doliny huczy bystry potok po ogromnych przewalając się głazach. Piękne, poważne świerki jakby umyślnie sadzone, kosodrzewina rosnąca klombami i rozścielające się pomiędzy niemi, zielone równinki to nad strumieniem, to na pochyłościach gór, w rozkoszny ogród

¹⁾ Że jakiś oddział Konfederatów przebywał na Podhalu i w okolicach Zakopanego, nie ulega żadnej wątpliwości, gdyż pamięć ich utrzymuje się dotąd pomiędzy ludem; bytność ich w tych stronach stanowi u górali epokę, do której odnoszą różne zdarzenia. Żeby jednak mieli przeprowadzać armaty przez Goryczkową, nie zdaje mi się do prawdy podobnym, gdyż południowa pochyłość tej góry jest bardzo przykra, tak że nie można pojąć, jakby tu było można spuszczać bez uszkodzenia tak wielkie ciężary.

zamieniają dolinę *Wiercichy* i uprzyjemniają nie bardzo wygodną, kamienistą drogę, którą dochodzimy do szałasów stojącego już w bliskości grzbietu *Wiercichy*.

Szałas na Liptowie zwane *hotary*, są porządniejsze i trwałej zbudowane niż u naszych górali; dach i ściany obijają zewnątrz korą świerkową. Obok szałasów stoi na dwóch słupkach niewielki daszek, a pod nim w górze umocowana jest półka, na której kładą sery dla obsuszenia ich na wolnym powietrzu. Kupiliśmy tutaj kilka serków w kształcie serca, z wierzchu w rozmaite wyciskanych wzory. Sery te, zwane *parzenice*, są bardzo smaczne i tłuste, gdyż pasza tutaj daleko jest obfitsza, niż na północnej pochyłości Tatrów. Juhasy Słowacy przyjęli nas gościnnie. Uczestowani kwaśną zentycą, która lubo nie tak smaczna jak słodka, jest za to bardzo chłodząca i orzeźwiająca, wypocząwszy w cieniu rozłożystych świerków, puściliśmy się dalej w dolinę i niebawem zaczęliśmy wstępować na *Wiercichę*, która co do wysokości niewiele ustępuje *Goryczkowej*, jest jednak daleko położystsza, a zatem łatwiejsza do wchodzenia.

W parę godzin stanęliśmy na grzbiecie *Wiercichy*, skąd najwspanialszy widok uderzył zdumione oko. Przed nami nieco na wschód wznosi się kończysty szczyt *Kotelnicy*, na prawo od niej sterczy skalisty, nagi, ostry grzbiet, zwany *Pośrednim Wierchem*, a u stóp jego w dzięk, ogromnymi złomami zawałonej dolinie, zwierciadła się dwa znaczącej wielkości jeziora. Są to stawy *Ciemnosmreczyńskie*. Wody pierwszego z nich, leżącego wyżej w dolinie, spływają do drugiego, bliżej nas położonego, z którego dopiero powstaje obfity potok i pięknym wodospadem rzuca się w dolinę *Ciemnych Smreczyn*, dzielącą *Wiercichę* od *Pośredniego Wierchu* i ciągnącą się dalej w kierunku południowo-zachodnim. Za stawami w głębi doliny, będącej ich łóżyskiem, widać wyniosły,

skalisty szczyt *Szpiglasu* (właściwie *Spiessglasu* t. j. antymonu), wznoszącego się nad *Morskim Okiem*, a obok niego wyziera wierzchołek *Mnicha*, owój piramidalnej skały, sterczącej nad tém najpiękniejszym w Tatrach jeziorem. Przeprawiwszy się przez te odarte, dziko poszarpane rypy, które otaczają *Ciemno-smreczyńskie stawy*, można dojść do Morskiego Oka. Dalej jeszcze na prawo, w strouie południowo-wschodniej, piętrzy się *Hruby Wierch*, niby olbrzymia, niezdojta twierdza. Zaiste trudno sobie wyobrazić coś dzikszego, groźniejszego a zarazem majestatyczniejszego, jak ta potężna, skalista masa, wznosząca się prawie prostopadle do olbrzymiej wysokości, zupełnie naga, straszliwie poszarpana z szerokim najdziwniej poszczerbionym grzbietem. Urwiste pochłóści *Hrubego Wierchu*, nie przystrojone nigdzie zielonością, zalegają ogromne smugi zlodowaciałego śniegu. Dwie takie największe śnieżne przestrzenie nazywają górale *Wielkim* i *Małym Ogrodem*. Nad *Hrubym Wierchem* wystrzela sam wierzchołek *Krywania*, północną swą stroną do nas zwrócony, stromy, prostopadły, jakby skalista ściana, tak, że mimowolnie dreszcz przejmował na myśl, że jutro na ten szczyt wdzierać się mamy.

Słońce chyliło się już ku zachodowi; promienie jego, padając ukośnie przez jakąś przerwę w górach, oświecały czerwonym blaskiem groźne *Hrubego Wierchu* ściany i wznoszący się nad nim dumny *Krywania* wierzchołek; reszta tego wspaniałego obrazu, którego zarysy tutaj skreśliłam, w posępny już kryła się cieniu. Nie potrafię nigdy wysłować tego wrażenia, jakie sprawia widok górskiej przyrody, tak potężnej i groźnej, a jednak wspaniałej i pięknej w dzikości swojej; uczuć, jakie w takich chwilach napęłniają serce, myśli, które bezładnie cisną się do głowy. Jeżeli kiedy, to wtenczas czujemy, jakim nieocenionym skarbem jest religija, jest wiara żywa, nie tylko w ważnych życia zdarzeniach,

ale uawet w zapatrywaniu się na naturę, częstokroć tak wspaniałą i piękną. Czémby były Tatry bez myśli o ich Stwórcy? Trupem, olbrzymim trupem, którego widok na pierwsze spojrzenie wprawia w zdumienie, lecz wkrótce powszednieje, bo żadnej nie budzi sympatii, bo ta masa granitu milczy, jak sfinks. Ale spojrzymy na Tatry z Bogiem w myśli i w sercu, spojrzymy na nie, jako na dzieło wszechmocnej Jego ręki, a zaraz wszystko się zmieni i do życia rozbudzi. Te groźne turnie, przed chwilą martwe, milczące, przemówią do nas o potędze Stwórcy, huk potoków, szum lasów chwałę nam Jego opowie. Wszystko, wszystko, od kamienia, co leży nad brzegiem potoku świetną purpurą odziany i woń swą miłą śle do nieba, aż do wspaniałej turni kąpiącej w obłokach szczyt swój ubielony śniegiem, zwraca ku Bogu duszę i serce, rozrzewnia, unosi, uwielbieniem i czcią ku Niemu przejinuje.

Prawda, że dla lubiących się zastanawiać, każda trawka z łąk naszych, każdy listek z wierzy nad cichą wodą, każde ziarno piasku nie mniejszym jest wszechmocności Stwórcy dowodem, jak ten olbrzym tatrzański; ale te cuda, na które ciągle patrzymy, już nam spowszedniały i wydają się rzeczą tak prostą i naturalną, jak codzienny wschód i zachód słońca, jak kolejna zmiana pór roku, i trzeba dopiero widoku takiego, jak Tatry, aby nas wprawić w zdumienie, upokorzyć i podnieść zarazem ku Bogu.

Jeżeli gdzie, to tutaj, gdy nas obstąpią skamieniałe pomniki wielkości i potęgi Stwórcy, gdzie oko napróżno szuka tego życia i ruchu, do jakiego nawykło, bo wszędzie głaz zimny prawie wyłącznie rozpościera panowanie swoje; jeżeli gdzie, to tutaj budzi się nieopisana tęsknota za tą Istotą przedwieczną, której ożywia nas tchnienie; tutaj więcej niż gdziekolwiek wabi nas jasny błękit nieba; ale tutaj także czujemy się zu-

pełnie niegodnymi téj krainy szczęścia, do której dojść jedynie można przez kolce przeciwności, przez ciernie boleści, z pełnym kłosem zasług w ręku.

I mimowolnie wybiega myśl poza granitowe mury i wieże niedostępnej Tatrów warowni i płynie po równinach, po dolinach, gdzie mieszka lud biedny, pracuje, biedzi się, umiera; gdzie tyle łez czeka napróżno litościwej ręki, co by je otarła, tyle nędzy potrzebuje wsparcia, tyle upadków moralnych wygląda słowa przestrogi i dobrego przykładu. Oto pole zasługi, oto droga do nieba. Czujemy to dobrze, że te chwile spędzone w podniebnych sferach, gdzie nam tak lekko, swobodnie i uroczyście, to łaska udzielona nam od Boga, aby nas pokrzepić i wzmocnić w trudnej życia pielgrzymce. Tento wpływ błogi, jaki wywierają góry, ta ich władza niepojęta, jaką nas zbliżają do Boga, godzą z życiem i ludźmi, jest owym ogniwem, łączącym nas z niemi, jest źródłem tęsknoty za niemi; silniejsi, mężniejsi na duchu wracamy z ich wysokości w zakres powszedniego życia. I jakże nie kochać gór? Ale czas wrócić do naszej podróży, od której za daleko uniosły mnie wspomnienia wrażeń, jakich doznawałam zawsze, zwiedzając nasze piękne góry.

Wypoczywając na bujnej murawie zaścielającej pochyłość *Wiercichy*, śledziliśmy pilnie, czy nie dostrzeżemy na jakim skalistym *Hrubego Wierchu* odłamie dzikiej kozy, mieszkanki tych niedostępnych rypów, przepaści, wąwozów; czy nie ujrzymy tych pięknych zwierząt, igrających po śnieżnych *ogrodach*, gdzie zwykły szukać ochłody. Ale napróżno nastawialiśmy perspektywę, napróżno Wala wytężał wzrok, bystrzejszy może nad nią, nigdzie nie ukazała się ta pani skalistego grodu, której lekka stopa na najwznioślejsze wstąpi wierchy, w najnieostępniejsze wędrze się miejsca, pędem strzały po

stroméj ześliznie się ścianie, w lot przeskoczy głębią przepaści.

Zejsście z *Wiercichy* w głęboką dolinę *Ciemnych Smreczyn* jest dosyć trudzące; spuściwszy się już znaczny kawał, usłyszeliśmy głośnie szczekanie, i wkrótce po drugiej stronie potoku zobaczyliśmy dwa ogromne psy owezarskie, ujadające na nas. Wyznam szczerze, że lubo taki widok, jaki miałam ciągle przed sobą, wystarezał mi zupełnie i czułam się prawdziwie szczęśliwą, myśląc, że jesteśmy sam na sam z tą olbrzymią przyrodą, w miejscu zupełnie odludném, gdy jednak niespodzianie usłyszałam szczekanie psów, oznajmujące bliskość ludzi, ucieszyłam się szczerze, bo miło to w takich dzikich okolicach napotkać dach gościnny, serca otwarte, ludzi, którzy nas powitają przyjaznym ręki ściśnięciem jakby dawnych znajomych. Pod taki też dach trafiliśmy rzeczywiście w *Ciemnych Smreczynach*. W szałasie stojącym na wstępie do téj doliny, przyjął nas najgościnniej stary baba i kilku juhasów. Posiliwszy się zentycą, z życzeniem szczęśliwéj *cesty* (drogi), jakimś was obdarzyli poczciwi Słowacy, ruszyliśmy spiesźnie dalej, bo już zmierzchać się zaczynało, a do noclegu mieliśmy jeszcze dobrą milę.

Dolina *Ciemnych Smreczyn*, w którą weszliśmy teraz, prześl czuła, wspaniała. Po prawéj stronie ciągnie się pasmo gór wyniosłych, okrytych w niższej części pięknym świerkowym lasem, wyżej kosodrzewiem i trawą majowéj zieloności. Na tym zielonym grzbiecie sterczą gdzieniegdzie skaliste złomy, niby zwaliska niezdo-
bytych feudalnych grodów. Góry te są to tak zwane *Gole Wierchy smreczynskie*. Lewą stronę doliny stanowią nagie, chropowate ściany *Hrubego Wierchu* i dziko poszarpane opoki należące już do *Krywania*, który nad całą okolicą swém dumnym króluje czołem. Skaliste te ściany do znacznej wysokości okrywają lasy i koso-
drzewina.

Środkiem doliny płynie szeroki i bardzo gwałtowny potok, pieniać się i rzucając z hukiem po ogromnych kamieniach, które oderwały się zapewne i stoczyły z wysokości gór, piętrzących się po obu stronach. W kilku miejscach woda szalonym pędem rzucając się z wysokich progów, piękne tworzy wodospady. Przed niedawnymi jeszcze czasy, dolina *Ciemnych Smreczyn* zarosła była wspaniałym, nie tkniętym siekierą lasem, który jej nadał dotąd utrzymującą się, lubo już teraz niewłaściwą, nazwę¹⁾; las bowiem tak na dnie doliny, jako też na pochyłościach otaczających ją gór, bardzo przerzedzony, miejscami zupełnie wycięty; mało gdzie napotkać jeszcze można piękne, stare świerki. Drzewem tutejszém znaczny prowadzą handel; spławiają je wspomnianym wyżej potokiem do Wagu, którym idzie dalej do Komorna i Pesztu. Na wysokościach gór, a nawet i w dolinie, znajdują się tu i owdzie limby; my jednak nie widzieliśmy żadnej, wyjąwszy ogromny, powalony już pień tego pięknego i rzadkiego drzewa, z którego wzięliśmy parę kawałków na pamiątkę.

Droga przez dolinę *Ciemnych Smreczyn*, lubo nie górzysta, dosyć jednak trudząca, bo kamienista, zarzucona gałęziami i powaloném drzewem; miejscami są na niej błota i bagna, przez które po kamieniach i przegniłych dylach przeprowiać się trzeba. Ale ktoby tam zważał na te małe niedogodności, mając dookoła siebie tak zachwycający krajobraz. W miarę jak zapuszczamy się głębiej w dolinę, rozszerza się ona zwolna; widzimy przed sobą zrazu w dalekiej perspektywie, potem coraz bliżej rozległe równiny, po których buja swobodnie oko,

¹⁾ Słowacy nazywają tę dolinę *Koprową*; taksamo bywa ona oznaczana na mapach; nasi Podhalanie zowią ją doliną *Ciemno-smreczyńską*.

rade że wybiegło z ciasnego obrębu, w jaki je góry i lasy zamknęły, na otwarte miejsce.

Już wyniosły szczyt *Krywania*, który najdłużej przyświecał całej okolicy odbłaskiem zorzy wieczorniej, utonął w szarym pomroku; taż sama szara, niepewna barwa oblokła daleki krajobraz, głęboki cień zaległ piękną *Ciemnych Smreczyn* dolinę, a jeszcze nie było widać szałas, w którym mieliśmy nocować. Szczęściem droga była teraz równiejsza; postępując krok w krok za przewodnikiem, już w zupełnej ciemności, którą rozjaśniać zaczynała światłość ukrytego za górami księżycy, stanęliśmy nareszcie u kresu podróży. Nie mogliśmy się wydziwić, jak w takiej ciemności Wala, który nie był w tych stronach od przeszłego roku, trafił od razu na kładkę, po której przeszliśmy na drugą stronę potoku, gdzie stał ów szałas z takim wyglądanym upragnieniem, gdyż po całodziennym podróży, potrzeba spoczynku czuć się dawała i nęciła myśl o ogniu, przy którym możnaby się ogrzać, bo wieczór bardzo był chłodny. Nasi górale rozniecili zaraz ogień i przy jego blasku obejrzelśmy nasz hotel. Było niewielki, wcale porządny szałas, zbudowany z drzewa i kory, jak wszystkie w tych stronach. Znaleźliśmy tu jakby umyślnie dla nas przygotowane kilkanaście polan suchego drzewa. Wkrótce przy wesołym ogniu, który oświecił niskie szałas ściany, wrzała woda na herbatę, a my siedząc na świerkowych gałęziach mających nam służyć za poślanie, wypoczywaliśmy po całodziennych trudach, gwarząc z poczciwymi naszymi góralami. Wala, który od wstępu na Wierciche, skąd ujrzał z bliska Hruby Wierch, Krywań i całą tę okolicę tak dobrze mu znaną jako strzelcowi, wyraźnie ożywił się, rozjaśnił, a teraz znalazłszy się w szałasie, tém więcej rozweselił przypomnieniem podobnych noclegów, jakie miewał dawniej będąc bacą; rozповідаł nam swoje myśliwskie przy-

gody, opisywał cuda niedostępnych dolin, przepaści, wąwozów, w jakie się nieraz zapuszczał, polując na dzikie kozy i świstaki¹⁾.

Wala zwiedził niejednokrotnie urwisty grzbiet Hrubego Wierchu, wdzierał się w rozmaitych kierunkach na skaliste jego ściany. W przepaścistej dolinie leżącej u stóp tej groźnej turni, jest jakaś pieczara, w której zwykle nocował w czasie wypraw swoich i którą nazywał swoją *chalupą*. Opowiadał nam, że raz nocując tam z towarzyszem, usłyszeli huk straszliwy do grzmotu podobny, a zarazem zatrzęsała się cała góra. Strwożeni, pewni byli że już nadeszła ostatnia ich godzina, że zamknięci w pieczarze jakim odłamem skały, okropną śmiercią zakończą życie. Nie mając zrazu nawet odwagi przekonać się o prawdzie, uklękli najprzód polecając się Bogu; w jakiś czas dopiero doszli wśród nocnych ciemności do otworu jaskini i zastawszy go tak jak wprzód nie zawalonym, padli na nowo na kolana dziękując ze łzami Opatrzności za życie, o którym już zwątpili. Wyszędłszy na dalszą wędrówkę, zobaczyli dopiero, że blisko szczytu oderwał się rzeczywiście ogromny kamień i stoczył na zaspę

¹⁾ Gdy członkowie Kom. fizyograf. Tow. nauk krak. wzięwszy w opiekę kozy i świstaki zagrożone zupełnem wyępieniem, starali się najprzód wpływem moralnym powstrzymać górali od polowania, pierwszy Wala wraz z towarzyszem i przyjacielem swoim Maciejem Siczką, rzekł się ulubionej rozrywki, zarazem zysk przynoszącej. Co więcej, zapałeni ci strzelcy, zostali stróżami bezpieczeństwa tych biednych zwierząt i w tym celu z pilnością i sumiennością mogącą zawstydić wielu wysoko cywilizowanych ludzi, spełniają swój trudny obowiązek, wędrując po Tatrach nie tylko w lecie, ale nawet w późnej jesieni i narażając się przy tém na rozmaite przykrości i prześladowania ze strony tych, co nie umieli zapanować nad swoją namiętnością.

śnieżną, podobno do jednego z *ogrodów*. Śnieg ten odwieczny tak jest stwardniały, że kamień spadając z takiej wysokości, nie tylko w uim nie ugrzązł, ale nawet staczając się, śladu nie zostawił. W opowiadaniu Wali nie było żadnej przesady, nie przechwalał on się z odwagi i zręczności, według zwyczaju myśliwych, którzy swą próżną chętnością ciężko prawdę obrażać zwykli.

Mówiąc poprzednio o góralach, wspomniałam, że nie są oni wcale obojętnymi na cuda górskiej przyrody, że je czuć i cenić umieją. W żadnym jednak nie zdarzyło mi się znaleźć takiego zamiłowania tych piękności, jak w naszym poczciwym Jędrzeju. Trzeba było słyszeć, jak pięknie, jak poetycznie nawet opisywał góry, jak przyrównywał Krywań do olbrzymiego orła, którego skrzydłami są te urwiste opoki rozciągające się szeroko ponad Ciemno-smreczyńską doliną, a wspaniała głowa, dumnie wzniesiona, patrzy na rozległy obszar polskiej i węgierskiej ziemi. Nie jest to ten przewodnik idący tylko za pieniądze, dla zarobku, ale raczej towarzyszy podróży najdoskonaliej obeznany z miejscowością, a pomimo to szczęśliwy, że mu się nadarza sposobność widzenia znowu tych okolic, których dzika piękność przemawia zrozumiałym dla duszy jego językiem. Ks. Proboszcz zakopiański, który zna, jak to mówią, na wylot każdego z parafjan swoich, zaręczał, że Wala gotówby nawet za darmo, jedynie dla własnej przyjemności puścić się w góry, które prawdziwie synowskiem kocha uczuciem.

Ale nie tylko o cudach Tatrów można toczyć rozmowę z tym ich wychowawcą; obok naturalnego a tak w góralach zadziwiającego rozsądku, ma on wiele wiadomości, których nabył służąc za przewodnika zwiedzającym Tatry, a więcej jeszcze w częstych rozmowach

z Ks. Proboszczem¹⁾). Powoli więc z otaczających nas cudów zesza rozmowa na inne, bliżej nas obchodzące przedmioty, i tak raz wesoło, to znowu smutno a zawsze swobodnie, otwarcie, przegwarzyliśmy ten cały wieczór aż do późnej nocy. A Krywań wspaniała rysując się wyraźnie na czystym lazurze zasianym gwiazd milionami, obłany srebrnym blaskiem księżyca, skłaniał ku nam poważną głowę, jakby potakiwał tym uczuciom i mowom, jakie tutaj przeszły przez serca i usta nasze, jakby nam obiecywał opiekę na tę noc, którą mieliśmy spędzić u stóp jego.

O cudny to, uroczy był wieczór! Te ciemne wyniosłych gór kształty na tle gwiazdzonego nieba, to uroczne światło księżyca srebrną twarzą zaglądającego na dno w senną pomroce pogrążonej doliny; ten olbrzym z promiennym czołem stojący na straży; ta woń i świeżość powietrza; ta nroczyta cisza przerywana tylko szumem bliskiego potoku, wszystko to tworzyło obraz tak wzniosły, tak majestatyczny, że nic nie zdoła zatrzeć go w pamięci. Obawa przepędzenia nocy prawie pod gołym niebem, w miejscu tak odludnym i dzikim,

¹⁾ M. Nowicki, prof. uniw. krak. zwiedzając niejednokrotnie Tatry w celu uzupełnienia entomologicznych zbiorów tak w gabinecie uniwersyteckim jak w muzeum Włodzimierza Dzieduszyckiego, używał Wali do pomocy w tej mozolnej pracy. Z jego polecenia i według danych mu przez niego wskazówek, Wala z niezrównaną pilnością i sumiennością zbiera owady, przynosząc lub przesyłając je do Krakowa. Słyszałam z ust prof. Nowickiego, że dostarczył mu wiele pięknych i rzadkich okazów. W sprawozdaniach Komisji fizyograficznej, jest także chlubna o Wali wzmianka. W naszych wędrownkach po Tatrach, napotykalismy wszędzie mniejsze lub większe kamienie wyruszone z miejsca, bądźto na szczytach, bądź na dolinach, w lasach, zarosłach po polanach i t. p. Jestto świadectwo pilności Wali, który pod temi kamieniami szukał owadów.

ani na chwilę nie powstała nam w myśli; spokojni, szczęśliwi nadzieją jutra, układaliśmy się na zieloném posłaniu z świerkowych gałęzi i wkrótce sen skleił powieki. Nie był to sen spokojny i mocny, bo jasność ciągle płonącego ognia i trzaskanie świerkowego drzewa, co chwila go przerywały; pokrzepił jednak siły nasze tak, że nazajutrz nie czuliśmy bynajmniej wczorajszego zmęczenia.

Wyszedszy rano z szałas, pierwszym przedmiotem jaki uderzył oczy nasze, był wyniosły wierzch Krywania, a obok niego na czystym, jeszcze cieniem nocy przyćmionym błękicie, srebrząca się jutrzienka. Księżyc już zaszedł za góry, słońce jeszcze nie wstało, drzemała jeszcze szarym zmrokiem obleczona dolina i tylko ta jedna gwiazda niby troskliwój piastunki oko, czuwała nad okolicą, czekając rychło zabłysną na wschodzie królewskiego orszaku pochodnie i na rozjaśniony błękit wszechwładny wstąpi monarcha.

Opuściwszy szałas, którego dach gościuny miał nam dać schronienie i na noc następną, wyruszyliśmy w drogę, ciągle jeszcze prześliczną *Ciemno-smreczyńską* doliną, która rozszerzała się coraz więcej. Uszedłszy znaczny kawał, zatrzymaliśmy się w obszernym, bardzo porządnie zbudowanym szałasie, stojącym już pod samym Krywaniem, w którym mieszkali juhasy Słowacy, pasący woły węgierskie. Całe stado rozeszło się już na paszę i w powrocie dopiero mogliśmy się przypatrzeć temu pięknemu bydłu. W szałasie zastaliśmy kilku juhasów gotujących ranny posiłek. I my dostaliśmy tutaj kwaśnego mleka na śniadanie. Pokazywano nam tu żelazne paści, w które przed parą dopiero dniami złapał się w bliskości szałasów ogromny niedźwiedź, merzadki gość w tych stronach.

Wyszedszy z wolarui zaczęliśmy zaraz wstępować na Krywań, do znacznej wysokości okryty lasem, któ-

rego niemałą przestrzeń właśnie w tym roku wyrąbano. Ta część drogi jest bardzo męcząca i przykra; wążka bowiem ścieżka zawałona to kamieniami, to poprzerastana grubemi korzeniami drzew, prowadzi w las niezmiernie stromo jakby na ścianę. Tchu nam już brakowało, siły ustawały, a tu przed nami piętrzy się ciągle ciemny, ponury las, nie widać kresu tych trudów. Góra do pewnej wysokości tak jest stroma, że będąc zaledwie w połowie, nie widać już dna doliny i sztaśasu na niej stojącego. Wyznam szczerze, że chwilami opuszczała mię odwaga, spojrzawszy, jak jeszcze wysoko i przykro wspinać się trzeba. Ale że wszystko ma koniec, skończyła się więc i ta trudząca przeprawa; dostaliśmy się przecież na drogę, która z liptowskiej równiny prowadzi pod sam szczyt *Krywania*. Zrobiono tę drogę w czasie, kiedy w téj górze były kopalnie złota.

Już za czasów Macieja Korwina króla węgierskiego w 15 wieku, zaczęto wydobywać złoto na *Krywaniu*; lecz zaniechano tego, gdyż nie wynagradzały się koszty. Później około połowy 16 wieku, cesarz Maxymilian II otworzył znowu opuszczone kopalnie; ale wkrótce także zaprzestano tych robót dla tychże samych powodów. Kopalnie bowiem krywańskie leżą na wysokości 4000 do 5000 st. w klimacie ostrym, gdzie wcześniej spadające i długo leżące śniegi, utrudniają bardzo przewóz potrzebnych materyałów i wielkich wymagają kosztów, którym nie odpowiada skąpa ilość wydobywanego tutaj złota. Dla tego téż roboty górnicze na *Krywaniu* rozpoczynane w późniejszych czasach na mniejszą lub większą skalę, nigdy nie trwały długo. Staszyc będąc tu w r. 1805 już je znalazł zupełnie zarzucone i dotąd nikt nie przedsiębrał nowych poszukiwań.

Droga ta lubo zaniedbana, jednak szeroka, wygodna wijąca się w gzygzak, wyprowadziła nas wkrótce z lasu na rozległy grzbiet *Krywania*, okryty bardzo

bujną i piękną trawą, ubarwioną najrozmaitszém kwieciem. Ta rozkoszna murawa zaścielająca południowo-zachodnią pochyłość góry aż do bardzo znacznej wysokości, dostarcza obfitej paszy wołom, których wielkie stada tutaj spędzają. My nie zastaliśmy tu jeszcze pasterzy. Szałas na samém wyjściu z lasu zbudowany, stał jeszcze pusty i dopiero za parę dni mieli się tu przenieść Słowacy ze wspomnionój powyżej wolarni na dolinie stojącój, na wielkie zmartwienie Wali, który nie mógł wyżałować, że woły tyle pięknej trawy zjedzą, na którejby tysiące owiec wypaść można. Pomimo że droga wznosząca się zwolna pod górę nie jest bynajmniej trudząca, zmęczyliśmy się bardzo, gdyż słońce zbliżające się już ku południowi, dopiekało nieznośnie. Nikt z nas jednak nie zważał na to, każdy o ile możności przyspieszał kroku, bo skalisty, groźny szczyt Krywania wznoszący się dumnie przed nami, czysty, piękny, najlżejszą nie zakryty chmurką, obietnicą najcudniejszego widoku na okolicę, do wytrwałości zachęcać się zdawał. Już w bardzo znacznej wysokości, nieco w bok drogi, napotykamy wkopany z ziemię moździerz, sprowadzony tu zapewne, jak nam powiadał przewodnik, przez licznie przybywających z Liptowa gości, którzy wycieczkę na Krywań bez żadnych niemal trudów, a nawet konno odbyć mogą ową wyborną drogą, na którą dostaliśmy się dopiero po wielu przykrych przeprawach. Tutaj to wyprawiają oni wesołe nezy, przy których grzmią na wiwat wystrzały z tego moździerza¹⁾. Zazdroszcząc szczerze tym, co tak wygodnie i łatwo dostają się na to samo miejsce, do którego my z takim dążyliśmy mozołem, spostrzegliśmy sączące się niewielkie źródelko. Woda niezbyt wprawdzie dobra, bo miękka i ciepła,

¹⁾ Podróżni zwiedzający Krywań w parę lat później już nie widzieli owego moździerza.

smakowała jednak nam spragnionym zapewne więcej, oż tokaj biesiadującym tutaj Węgom.

Niebawem skończyła się téż i robiona droga; w tém miejscu widzieliśmy głębokie, zawałone kamieniami doły, jakie napotykaliliśmy już niżej; są to owe zarzucone kopalnie złota. Pozostawała nam jeszcze do przebycia najwyższa i najtrudniejsza część drogi t. j. złomy kamieni, zalegające do znacznej wysokości pochylność Krywania i sam szczyt jego, z litój składający się opoki, w której dla ułatwienia wejścia, wykuto stęple czyli stopnie. Teraz dopiero korzystając z przywileju, jakiego używają niemal wszyscy zwiedzający mniéj znane okolice, miałabym szerokie pole do opisu strasznych urwisk, stromych opok, na których ledwie znaleźć można dość miejsca, aby połowę stopy postawić; niezglębionych przepaści, w które pogrążyć może jeden krok chybiony, słowem tysiącznych niebezpieczeństw towarzyszących wejściu na szczyt Krywania. Dostawszy się tam nareszcie z nadludzką odwagą i wysileniem, należałoby jeszcze dla upoetyzowania opisu spotkać się z jakim rozbójnikiem lub marzycielem poetą, a widokiem burzy, błyskawic i piorunów, u stóp naszych bijących, dodać jaskrawych barw obrazowi. Ale ja, w podobnych opisach przekładając prawdę nad najgórniejszą poezją, nad najświetniejsze urojenia fantazyi, powiem otwarcie, że niestety nie doszliśmy na sam szczyt Krywania; nie dla tego, żeby to groziło jakim niebezpieczeństwem, lub było zbyt trudzącém dla nas, gdyż przewodnik zapewniał, że bez wielkiego zmęczenia możemy się tam dostać, ale z powodu mgły, która nagle, niespodzianie, zasłoniła skalisty wierzchołek.

Od samego rana pogoda była zupełna, na niebie ani jednej chmurki, wspaniała szczyt Krywania piętrzył się przed nami najłżejszym nie przyćmiony obłoczkiem. Gdyśmy wypoczywali przy wspomnioném powyżej źró-

dełku, przejrzysta mgła, jakby lekki dymek, przesunęła się po szczycie; za nią druga i trzecia coraz grubsza gęściejsza i wkrótce mgliste tumany wznoszące się jakby z łona samej opoki coraz więcej i dłużej zasłaniały ów szczyt wyniosły. Nie zrażeni tém bynajmniej, dążyliśmy spiesźnie do celu. Przebyliśmy znaczny kawał po ogromnych złomach granitu dość przykro pod górę; ale iść dalej nie było po co. Już nie mgły ale chmury przepływały nad głowami naszymi i gęściły się około szczytu, który utonął w nich bez śladu. Wdzierać się dalej na górę bez żadnej nadziei rozległego stamtąd widoku i jedynie dla tego, żeby powiedzieć, że byliśmy na szczycie Krywania, byłoby nierozsądkiem. Dwie godziny przesiedzieliśmy pod szczytem w nadziei, że mgły się rozjedną; ale napróżno! wierch Krywania nie ukazał nam się ani na chwilę. Czasami przeredzały się szare tumany, odznaczała się wśród nich skalista iglica; lecz wnet wszystko tonęło znowu we mgłach, zmrok nas ogarniał. Wala nie mniej może od nas zmartwiony tém niepowodzeniem, wybiegł wyżej, chcąc zobaczyć, czy się nie odkrywa widok na wschodnią stronę, czybyśmy nie mogli choć częściowo ujrzeć olbrzymów tatrzańskich, *Lomnicy*, *Lodowego szczytu*, *Ganku*, *Gierlacha* i t. d., o których poznanie najwięcej nam chodziło. Wszystko napróżno! Mgły i chmury przeciągając od strony Liptowa, gromadziły się na Spiżu i widok na tamtą stronę całkiem zasłaniały.

Ileżto podobnych w życiu zawodów! Z pracą, mżołem, trudem dążymy do celu, który wznosi się przed nami w oddali tak wspaniały, piękny, do nieba sięgający jak szczyt Krywania; jesteście już bliscy spełnienia najśłodszego nadziei naszych, gdy niespodzianie jawi się nieprzeparta przeszkoda i wszystko stracone! Szczęśliwi, jeżeli obejdzie się przynajmniej bez piornaów i burzy, któraby złamała na zawsze biedne serce; jeżeli

w poddaniu się wyższym wyrokom potrafimy znaleźć siłę i męstwo; jeżeli zwrócimy wzrok ku niebu i tam szukać będziemy tego szczęścia, jakie tu na ziemi w wyobraźni i nadziei jedynie istnieje, a nigdy nie jest w zupełności tego życia udziałem.

Oddawna przygotowaną byłam na najwspanialszy widok ze szczytu Krywania. Mielіśmy widzieć stamtąd całe gniazdo Tatrów, jakby skalistą wyspę wśród rozległych równin otaczających je naokoło. Oko nasze bujałoby swobodnie po dolinach nowotarskiej, spizkiej, liptowskiej i orawskiej, przenosząc grzbiety ograniczających je gór i gubiąc się gdzieś w mglistej dali nadwiślańskich i nadcisańskich równin. Teraz trzeba było poprzestać na jednej części obrazu, pięknej, czarującej, ale zawsze tylko części! Z miejsca, na którym siedzieliśmy, widać było najpiękniej rozległą dolinę, zwaną *Liptowem*, zasłaną uprawnemi polami, łąkami, lasami; przerznątą wijącemi się w różnych kierunkach, jak białe wstęgi, gościńcami i potokami. Na téjto dolinie bieleją malowniczo rozsiane miasteczka i *dziedziny* czyli wsi słowackie; w dali na granicy widnokręgu, w odległości czterech mil, wznosi się pasmo *Niżnych Tatrów*, ciągnące się równoległe do łańcucha Tatrów właściwych. Nie są to owe wysmukłe, ostro, dziko poszarpane szczyty, jakimi odznaczają się nasze Tatry, ale raczej wydają się one jakby długi grzbiet, nad który wznoszą się najwyżej *Kralowa Hola* (6000 st.) i *Dziumbir* (6170 st.) bielejący płatami śniegu. Cały ten rozległy i piękny krajobraz oświecało jasne słońce, pogodue nad nim sklepiło się niebo, po którym, niby wędrowne ptastwo, przeciągały śnieżne, mgliste obłoczki, gęszcząc się i kupiąc dopiero w bliskości Krywania. Na prawo, t. j. ku wielkiemu zachodowi, piętrzą się jedne nad drugie wspaniałe wierzchy tatrzańskie: *Stara Robota*, *Rohacze*, *Czerwony Wierch*, *Krsesanica*, *Kóminy Kościeliskie* i inne, bo

któżby wyliczył nazwiska tych wszystkich szczytów w jedną skupionych grupę, nad którymi wznosi się najwyżej ubielony śniegiem wierzch *Pysznój*.

Nie zadziwi to zapewne nikogo, gdy się przyznam, że ze łzami żegnałam pogrążony we mgle szczyt Krywania, że łzami wyrzekłam się ludzającą mię do ostatka nadziei. Ale niepodobna było czekać dłużej, tém bardziej, że nic nie zwiastowało pożądaney zmiany; ciągle gęściły się chmury, zakrywając nietylko Krywań, ale i inne wierzchy. Było już dobrze z południa; myśl o przeprawie przez las o zmroku a może i w deszcz, zagnęła nas do powrotu, do którego jeszcze nie mieliśmy ochoty. Smutni, milczący postępowaliśmy tążsamą drogą, którą przed parą godzinami przebywaliśmy tak wesoło i ochoczo. Mgły jakby tylko czekały na oddalenie się nasze, zaczęły się przeredzać, szczyt Krywania odznaczał się coraz wyraźniej i wkrótce stanął w całej okazałości, zupełnie wolny od natrętnej zasłony. W jedney chwili zapomnieliśmy i o spóźnioney godzinie i o przykrój drodze, jaka nas czekała; chęć powrotu na górę, nadzieja cudownego widoku, wszystko przemogła. Bylibyśmy się pewnie wrócili, ale w téj samey chwili, jakby dla zniweczenia nierozsądnych zamiarów, upadło kilka kropel deszczu. Cała przykrość, a nawet niebezpieczeństwo podróży w słotę tak fatalną drogą, stanęła znowu w myśli, odpadła ochota powrotu, owszem tym spieszniej spuszczałyśmy się na dół. Za chwilę ustał deszcz, a ile razy spojrzalam na groźny wierzch Krywania znowu tak piękny, czysty jak zrna, oblany jasnym promieniem słońca, żal ścisnął boleśnie serce.

Spuszczanie się w dolinę Ciemnych Smreczyn było znowu bardzo przykre, nie tyle jednak, jak wchodzenie pod górę. Odpoczywając przy źródle w bliskości wolarni, rozmawialiśmy z bacą, który rad był niezmiernie, że mógł z kimś obcym pogadać, co mu się rzadko zda-

rza, gdyż od téj strony bardzo mało osób zwiedza Krywań. Poczciwy Słowak z własnej ochoty przeprowadził nas pomiędzy stadem pasących się wołów. Piękneto te woly węgierskie! ogromne, siwej maści, z bardzo długimi rozłożystemi rogami, z oczami błyszczącemi życiem, jakiego próżnobyśmy szukali u naszych biednych, spracowanych wołów.

Z zachodzącem słońcem stanęliśmy w naszym szałasie. I znowu noc cicha, pogodna roztoczyła swój gwiazdzisty namiot nad piękną Ciemnych Smreczyn doliną; znowu łagodne światło księżycy posrebrzyło poważne czoło Krywania; znowu w szałasie wesoly zajaśniał ogień, ale blask jego nie tak wesole jak wczoraj oświecał twarze. Rozmowa jakoś nie szła, doznany zawód ciężał na sercu; zwołna jednak rozpogodziły się myśli nasze, zatarło się cokolwiek smutne wspomnienie i znowu gwarzyliśmy swobodnie do późnej nocy. Po całodzienném chodzeniu nie czuliśmy prawie żadnego zmęczenia; sen, choć krótki, pokrzepił nas i wzmocnił tak, że bez obawy myśleliśmy o dalekiej i przykrój drodze, jaka nas dzieliła od naszego domku w Zakopaném.

Jeszcze światłość dzienna blasku gwiazd nie przyćmiła, jeszcze na pogodnem niebie nie ukazała się ranna słońca zwiastunka, kiedy opuściliśmy szałas, który przez dwie noce gościnnym osłaniał nas dachem. Obfita rosa srebrzyła się na trawie i gęstych zaroślach borówek, nadając im niezwykłą świeżość. I my użyliśmy téj rannój rośliny kąpieli, brnąc po kolana w trawie dla skrócenia drogi; ale ta kąpiel wcale nie była przyjemną nieprzywykłym do niej, zwłaszcza, że ranek był bardzo chłodny. Już uszliśmy z pół mili, gdy pierwsze promienie słońca powitały wspaniałe szczyt Krywania i zajaśniały na czole jego niby królewska korona, którój blask rozlał się wkrótce i na inne wierchy, dotąd jeszcze w półsennym pogrążone mroku. Przez dzień wczo-

rajszy droga prowadząca przez dolinę Ciemnych Smreczyn wyszła, a tém samém poprawiła się znacznie; można więc było przyspieszyć kroku i nie spostrzeżliśmy się nawet, kiedy doszliśmy do znanego nam już szałasus stojącego u stóp Wiercicy. Poczciwi Słowacy przyjęli nas najgościennie jakby dawnych znajomych, powynosili nam ławeczki przed szałas, uczęstowali wyborną ciepłą żentycą i słodkim serem. Wolarnia pod Krywaniem będąca, szałas, o którym właśnie mówię, drugi stojący w dolinie Wiercicy i trzeci jeszcze dalej, należą do gazdów z *Kokawy*, wsi na Liptowie w pobliżu Tatrów leżącój. W każdym z tych szałasów jest po kilkaset owiec; stąd można wnosić o zamożności słowackich włościan. Pożegnawszy gościnnego bacę i juhasów, którzy nas bardzo zapraszali do swojej *Kokawy*, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Wyjście z doliny Ciemnych Smreczyn na grzbiet Wiercicy jest bez porównania łatwiejszém, niż spuszczenie się na dół. Widok, jaki się stąd przedstawia, tak jest zajmujący dziką, górą tylko właściwą pięknoscia, że gwałt trzeba zadawać oczom, odrywając je od tego cudnego obrazu. Chcąc sobie choć w części wynagrodzić doznany na Krywanu zawód, nmyśliliśmy wejść na siodło *Kotelnicy*, leżące niedaleko Wiercicy w północno-wschodniej stronie, skąd widać całą dolinę *Pięciu Stawów*. Dość przykrą percią po spadzistém uboczku *Kotelnicy*, dostaliśmy się wkrótce na brzeg tej rozległej doliny.

Nie wiem doprawdy, jak odmalować widok, jaki tak niespodzianie zdumionemu przedstawia się oku; od czego zacząć opis, aby dać wyobrażenie jego ogromu i dzikości. Obszerłą dolinę, która, patrząc z takiej wysokości, wydaje się równiną, otacza najprzód od wschodu, pasmo skał niezbyt wysokich, dzikich, odartych, których jedyną ozdobą białawy porost i śnieg wielkimi

płatami zalegający kamieniste upłazy. Są to góry *Miedziane*. Na prawo, to jest w południowo-wschodniej stronie, wznosi się *Kotelnica*, za nią sterczy wysmukły, prostopadły *Szpiglas*, dalej ku wschodowi kilka ostrych szczytów zwanych *pod Wysoką*, za nimi wyniosły, także ostro zakończony *Ganek*, dalej dźwiga się wspaniała, olbrzymia turnia *Lodowa*, odznaczająca się płatami śniegu, leżącego tutaj w większej masie niż gdzieindziej; za *Lodową* wystrzela szczyt *Gierlachowski*, a ku północy wznoszą się dwa wysmukłe szczyty, głęboką rozdzielone szczyrbą; są to *Murań* i *Hawrań*. Dalej, już w północno-zachodniej stronie, widzimy skalisty wieńch *Granatu* i ową szczyrbę zwaną *Zawratem*, która stąd nie wydaje się tak groźnie, jak od strony *Czarnego Stawu*. Obok *Granatu*, na oko zaledwie o kilkadziesiąt kroków od nas na lewo, wznosi się *Swinnica* wydająca się także do niepoznania niską. Pomiędzy temi olbrzymiemi turniami, zamykającemi w czarodziejskie koło dziką *Pięciu Stawów* dolinę, wprost nas, to jest w północno-wschodniej stronie, otwiera się przerwa, niby szeroka brama; po prawej jej stronie stoi *Murań*, po lewej sterczy *Granat*. Przez tę bramę wybiega oko na świat podtatrzański, na równiny, bo rozległą równiną wydaje się cała przestrzeń, jaką wzrokiem obejmujemy. Jestto, nowotarska dolina, na której z tej wysokości znikają nie tylko mniejsze garby i wzgórza, ale nawet potężne grzbiety Bieskidów, ograniczające ją od strony północnej. Na dnie doliny leżącej tuż przed nami w przepaścistej i zawrotnej głębi, zwierciadli się *Pięć Stawów*. Zwróciwszy się poza siebie, mamy na prawo, to jest w stronie południowo-wschodniej, urwiste *Hrubego Wierchu* rypy, a za nimi, więcj ku południowi, rozacza się Liptowska dolina przyćmiona już mgłą oddalenia. Dalej ku zachodowi piętrzą się wyniosłe, dobrze nam już znane turnie, ponad które jakby królewska korona wy-

strzela szczyt *Pysznej* srebrzący się w blasku słońca. Każdemu, kto zapaści się w te strony, życzę nie szczędzić niewielkiego trudu i wyjść na siodło *Kotelnicy*, gdyż to jest prawie jedyny punkt, z którego można widzieć dolinę Pięciu Stawów w całej rozległości.

Przebywszy spiesznie dolinę Wiercichy i Jaworową, która w powrocie jeszcze mi się piękniejszą wydawała, stanęliśmy u stóp Goryczkowej, przez którą czekała nas bardzo trudząca przeprawa. Wstęp na tę górę od strony południowej jest nierównie przykrzejszym niż od północy. Na domiar złego, przez te trzy dni pogody trawa okrywająca stromą jej pochyłość wyschła i zrobiła się niezmiernie śliską, co bardzo utrudniało wchodzenie, które mogłabym prawie na równi położyć z lesistą drogą na Krywań. Stanąwszy na grzbiecie Goryczkowej, pożegnaliśmy wspaniałą Krywań, Hruby Wiérch i całą tę przecudną okolicę, której urok czarował nas przez te trzy dni.

Z Goryczkowej tchem jeduym zbiegliśmy na Kalatówkę, gdyż nie było już czasu do odpoczynku. Zmrok zapadał, ostatni blask dnia błędził już tylko po szczytach gór, otaczających tę piękną polanę; w zupełnej prawie ciemności spuściliśmy się do Kuźnic i dopiero na równej stanąwszy drodze, uczuliśmy zmęczenie, jakiego nas nabawiło tak pospieszne przebycie dość długiej drogi z Goryczkowej.

Ostatnich sił dobywając, zdążaliśmy do naszej chatki, krok w krok za przewodnikiem, gdyż znużeni i w zupełnej ciemności nie mogliśmy nawet rozpoznać drogi, tak dobrze nam znaną. Ale wkrótce za Magorą zajaśniała srebrzysta lampa nocy, która ponad wyniosłe wzbijając się wierchy, oświeciła łagodnym blaskiem piękną okolicę Zakopanego. Stanęliśmy nakoniec w naszym miłym domku, który nam się smutnym i pustym wydał po tym szataście wśród gór i lasów, gdzie tak

przyjemne mieliśmy noclegi. Nad wszelkie spodziewanie, na drugi dzień nie czuliśmy żadnego zmęczenia, owszem byliśmy silniejsi, zdrowsi, niż przed tém.

Zaraz nazajutrz czas się zmienił, burze, nawalnice i wichry szalały po górach, właśnie tam, gdzie wczoraj jeszcze, przy najpiękniejszej wędrowaliśmy pogodzie. Doświadczenie więc Wali, który zapowiedział pogodę na trzy dni, stwierdziło się zupełnie; mgły bowiem, która pozbawiła nas widoku z Krywania, przewidzieć nie mógł, gdyż była ona tylko chwilowa i miejscowa.

Jakkolwiek w tój wycieczce spotkał nas taki zawód, nie żałuję jednak bynajmniej podjętych trudów, bo wynagrodziło je sownie poznanie tylu nowych, a tak cudnych okolic. Pomimo to wyznam, że wyprawa na Krywań, lubo bardzo przyjemna, jest za nadto trudząca dla kobiet. Nie każdemu bowiem poszczęści się tak jak nam pod względem pogody, którą nawet Wali nie zawsze się uda przepowiedzieć z pewnością na trzy dni, a prawdziwie strach zbiera na samą myśl o odbywaniu tój drogi w słotę.



Dolina Białej-wody (Pod-Uplazki, Pod-Wysoką).

Koło doliny podnoszą się skały,
Strome i czarne, milczące,
A nad skałami tumany się zwały,
Niby sklepienia wiszące.

W. P.

Jakkolwiek Tatry tylokrotnie przezemnie zwiedzane nie straciły z uroku swego, był jednak rok w którym klęski i nieszczęścia przywalające ciężkim brzemieniem ziemię rodzinną, tak żywo oddziaływały na mą duszę, że wszystkie przyjemności życia, straciły dla mnie swój powab. Już ja się nie cieszyłam jak dawniej na pobyt w Zakopaném, nie układałam nowych wycieczek, nie śniłam o górach; wszystko było mi obojętném. Ach więcój nawet! ja miałam sobie do wyrzucenia każdą, choćby najniewinniejszą rozrywkę, każdą swobodniejszą chwilę, gdy tylu rodaków moich tonie w potokach krwi i łez, tylu całkiem inne, a wcale nie przyjemne odbywa podróże.

Lato w owym roku zimne, dżdżyste, a w Tatrach nawet śnieżne, odpowiadało zupełnie temu smutnemu nastrojowi méj duszy. Góry prawie ciągle okryte chmurami, zamglone deszczem lub pobielone śniegiem, nie wabiły wcale do wycieczek. Owce po halach padały

z głodu i zimna; późne, a ciąglém zimnem i słońcą przygnęzione zasiewy, groziły niedostatkiem mieszkańcom Podhala. Smutno było w tój okolicy, gdzie po inne lata gościła wesołość przy miernym bycie. Pewną byłam że tak przejdzie cały czas pobytu naszego w Zakopaném, że cała jego przyjemność ograniczy się do pogadań z pocziwymi góralami i bliskich przechadzek odbywanych w upatrzonych godzinach; a i to prawie zawsze pod strachem deszczu, który ciągle groził i wczesnie zapędzał do domu.

Gdy jednak po parotygodniowój słońce wyjaśniło się niebo, gdy góry otrzęsły z siebie grube chmur i mgły bałwany, i stanęły przed nami w dawno niewidzianej wspaniałości, mimowoli i z czoła zesunęły się chmury i myśl jakaś weselsza zawitała do duszy. Było to wspomnienie tych wrażeń, jakich doznawałam zwiedzając Tatrę. Przychodziły mi na pamięć wesołe i swobodne po nich wędrówki, stawały przed oczyma cudne widoki, a zarazem nieznacznie wkradała się chęć odnowienia tych wrażeń, niby iskierka tego zapachu z jakim dawniej rwałam się na szczyty tatrzańskie. Wspomnienie było tylko środkiem za pomocą którego góry odzyskały swą czarodziejską nademną władzę.

Przyszedł Wala, zaczęliśmy rozmawiać z nim o dolinie *Białej-wody*, zwanój od Spiszaków doliną *Pod-Wysoką*, od naszych zaś górali *Pod-Uplaski*. Słyszeliśmy już dawniej o piękności tój doliny, rozpytywaliśmy więc o drogę i różne szczegóły dotyczące miejscowości. Sama postać Wali, jego głos i sposób mówienia, wydaje mi się zawsze jakby pobudką, jakby hasłem do wyruszenia w góry. Prosty góral nie umie wyszukanemi słowy malować ich piękności, ale on je kocha namiętnie; a gdy o nich mówi, zapach jaśnieje w jego oczach, my zaś patrząc na niego, słuchając jego opowiadań, czujemy jakby przedsmak tój swobody i rozkoszy jakiej

doznajemy wdzierając się na skaliste szczyty lub przebywając dzikie doliny i urwiste grzbiety. Opowiadaniem swoim tak nas Wala zachęcił, więcéj powiem, zapalił do poznania doliny *Białej-wody*, że wyglądaliśmy tylko ustalenia się pogody, aby odbyć tę wycieczkę. Ale w tym roku nie można było rachować z pewnością na pół dnia pogody a cóż dopiero na dwa dni koniecznie potrzebne na tę wyprawę. Podróż nasza zwlekana, odkładana z dnia na dzień, spóźniła się tak, że Wala odebrawszy polecenie do zbierania owadów, nie miał już wolnego czasu aby pójść z nami.

Nastreczył on nam na przewodnika *Macieja Sieckę* niegdys towarzysza swoich strzeleckich wypraw, a następnie kolegę w dozorze nad bezpieczeństwem kóz i świstaków. Gdy więc według miejscowych poznał pogodę zdawała się pewną, nie tracąc czasu poszliśmy zamówić tego nowego przewodnika. *Maciej* znał nas z widzenia, znał także i ze sławy niezmordowanych wędrówców, znał dobrze i dolinę którąśmy zwiedzić chcieli, pomimo to nie wielką okazywał ochotę do pójścia z nami. Wymawiał się że nigdy z kobietami nie chodził i chciał nam nastreczyć swojego brata. Ale my bojąc się nieświadomego drogi przewodnika, a polegając całkiem na zaręczaniu Wali, nie chcieliśmy ustąpić i zamówiliśmy *Macieja* na dzień następny. Przed wieczorem wszystkie przygotowania do podróży były załatwione, furmanka mająca nas odwieść do Roztoki zamówiona, słowem nie pozostawało nic więcéj jak położyć się wcześniej aby wstać przed świtem i wyjechać o wschodzie słońca.

Ale jak tu spać kiedy olbrzymie turnie, stawy, wodospady, potoki o których nam Wala rozpowiadał, snują się ciągle przed oczyma, a do tego niepokoi obawa czy nie zawiedzie pogoda. Jeszcze téż było zupełnie ciemno gdy wybiegliśmy przed dom żeby zoba-

czyć co słycać z pogodą. Noc chłodna, rosa obfita, to dobrze; ale od zachodu ciągną chmury, to źle, bardzo źle. Chmury się rozpraszają i nikną w powietrzu, od poziomu niebo czyste, będzie pogoda! Pogoda, to czarodziejskie słowo około którego obraca się powodzenie każdej wycieczki w góry. Chcielibyśmy byli wmówić w siebie i w niebo że jest pogodnym, że powinno zostać pogodnym, bo już dosyć się napłakało, nadaśało, a tu tak potrzeba słońca aby owies dojrzał, żeby siano wyschło, żeby się poprawiła pasza w halach, żebyśmy nareszcie mogli zobaczyć dolinę *Białej-wody*. Zajechał wózek, przyszedł Maciej, pakujemy podróżne zapasy, wsiadamy nareszcie w imię Boże. Pocziwy Wojciech jeden z najlepszych i najżyczliwszych znajomych naszych w Zakopanem, którego brat jechał właśnie z nami, serdecznym uściśnieniem ręki życzył nam powodzenia w naszej wyprawie, a gdy wózek ruszył z miejsca, widziałam jak zdjąwszy kapelusz i zwróciwszy się w stronę kościoła, zmówił pacierz o szczęśliwą dla nas drogę.

Jechaliśmy na Bukowinę, a zatem tążsamą drogą którą już opisałam opowiadając wycieczkę do Morskiego Oka. Leśniczówka i karczma bukowińska leży jak wiemy na wyniosłej górze, na którą prowadzi dość bystro droga zrobiona w gzygzak. Wysiedliśmy aby ulżyć koniom, a idąc zwolna pod górę, rozmawialiśmy z naszym przewodnikiem, wywiadując się o różne szczegóły naszej wycieczki, chcąc tym sposobem bliżej się z nim zapoznać. Teraz dopiero dowiedzieliśmy się dla czego nie miał ochoty pójść z nami. I któżby się tego domyślił? pocziwego Macieja odstraszało, co? krynoliny! Gdyśmy wysiadły, gdy zobaczył nasze skromne, krótkie i wąskie płócienkowe sukienki, uśmiechnął się z zadowoleniem. „No, to oni widzą już znają co to góry, kiedy mają takie góralskie ubranie.“ I dalejże opowiadać różne

kłopoty jakich go nabawiły krynoliny wlokące za sobą kamienie i spychające je na nogi. A cóżto dopiero było gdy te nieszczęsne obręcze uwięzły w zaroślach koso-drzewiny! szczęściem Maciej miał przy sobie igłę i nici, mógł więc jakotako zaradzić na prędce tój modnej biedzie. Wszystkie te niefortunne przygody opowiadał w tak zabawny sposób, że zrywaliśmy boki ze śmiechu. Odtąd byliśmy z naszym przewodnikiem w najlepszej harmonii, zadowoleni z siebie nawzajem. Jestto bowiem poczciwy człowiek w całym tego słowa znaczeniu, a przy tém usłużny i troskliwy przewodnik.

Karczma bukowińska to ostatnie stałe mieszkanie ludzkie pod Tatrami; od niej jakby wąż snuje się droga do Morskiego Oka, ginąc w lasach podnóża i boki gór okrywających. Z góry bukowińskiej roztaczał się przed nami cały łańcuch Tatrów, a tam gdzie najwyższych szczytów gromada, gdzie wystrzelają groźnie granitowe iglice, *Rysy, Ganek, Wysoka, Gierlach*, gdzie największe masy śniegu, tam cel naszej podróży: dolina *Białej-wody*. Spieszmy tam, spieszmy póki służy pogoda, kto wie co będzie jutro.

Znaną nam dobrze drogą do Morskiego Oka wiódącą, zapuściliśmy się w prześliczne lasy tutejsze. Jakieżto cudny widok mamy dokola! Rozkoszne polany rozścielają się po obu stronach drogi, a jasna zieloność modrzewi zwanych tutaj *świerkami*, rozwesela posępny cień smrekowego lasu. Jadąc wymijaliśmy ciągle po drodze gromadki górali z Bukowiny i Białki dążące na odpust św. Anny do *Jaworzyny*, osady hutniczej, leżącej niedaleko stąd po drugiej stronie rzeki Białki na Spiżu.

Spuszczając się na *Lysą* polanę, tracimy z oczu *Lodową turnię*, która dotąd najwspaniałej się przedstawiała, a natomiast występują potężne szczyty *Koszystej* i *Wołoszyna*. Minąwszy *Lysą* polanę i otwierającą się w bok na prawo dolinę *Waksmundzką* pomiędzy urwi-

stemi ścianami *Koszystej* i *Wołoszyna*, przybyliśmy na polankę, zwaną *pod Czubą*, położoną na wstępie do doliny *Roztoki*. Tu był kres naszej jezdnej podróży; odtąd mieliśmy wędrować pieszo do doliny *Białej-wody*. Zostawiliśmy więc *pod Czubą* naszego furmana z wózkiem i końmi, Maciej zaś spakował w torbę zapas żywności na drogę i cieplejsze ubranie na przypadek deszczu.

Nie była zbyt dobrą ta ostrożność, gdyż pogoda jeszcze tak piękna gdyśmy wyjeżdżali z Bukowiny, zmieniła się widocznie i nie wielką dawała nadzieję powodzenia. Chmury coraz grubsze wysuwały się z za gór, nie czepiały się wprawdzie ich szczytów, ale kupiąc się i zgęszczając, zasępiły niebo tak, że już tylko kiedy niekiedy wykradał się promień słońca oświecając tę przedudną okolicę. Pomimo tak niepomyślnej wróżby, wesoło wyruszyliśmy w drogę, używając obecnej chwili a nie zasępiając jej myślą o przyszłości. Wkrótce ujrzeliśmy cel naszej wędrowki dolinę po lewej stronie Białki, z której płynie szeroki i bystry potok *Białawoda* łączący się z Białką powyżej *Roztoki*. Przeszedłszy Białkę po moście powyżej ujścia *Białej-wody*, zapuściliśmy się w tę obszerną dolinę. Prawie zaraz na wstępie napotkaliśmy niezbyt obfity, ale nadzwyczaj gwałtowny potok, którego woda w śnieżną zamieniona pianę, przewalając się po olbrzymich głazach, spadała nagle do łożyska *Białej-wody*, tworząc piękny wodospad. Przebyliśmy po kamieniach ten gwałtowny potok i odtąd trzymając się prawie ciągle kamienistych brzegów *Białej-wody*, szliśmy dość przykrą drogą, to lasem błotnistą ścieżką wśród gęstych i bujnych *jaferów* (borowiny), to znowu wspinaliśmy się po uboczach, lub przechodziliśmy po ogromnych głazach w samym łożysku potoku. Ustawne deszcze tak popsuły tę drogę, bo przedtem jak zapewniał *Sieczka*, była ona wcale wygodną.

W miarę jak zapuszczaliśmy się w dolinę Białej-wody, tém wspanialsze i wyższe występowały turnie. Na lewo wznosi się bardzo wyniosły grzbiet po części kamienisty, po części trawą zarosły, na którego wierzchu sterczą dziwnych a rozmaitych kształtów skały, jakby starych zameczysk ruiny. Dołem ciemniejce piękny las i zielenią się nie wielkie równinki przeglądające się w czystych wodach potoku. Ten grzbiet nazywają górale *Uplazki* i stąd cała dolina otrzymała nazwę *Pod-Uplazki*. Po prawej stronie występuje bardzo wspaniale wysoka, prostopadła skała precudnie ustrojona świerkami, kosodrzewiną i limbami, zwana *Młynarzem*. W głębi doliny ukazuje się olbrzymi zastęp niebotycznych turni ubielonych płatami odwiecznego śniegu. Przy początku doliny leży niewielka polanka *Biała-woda* i ruchem swoim pasterskim ożywia tę odludną okolicę. Zachwycając się coraz nowemi a prawdziwie czarującemi widokami, zbliżaliśmy się zwolna do owej groźnej, skalistej zapory, zamykającej dolinę.

Już słońce zniżało się ku zachodowi, gdyśmy przybyli do szałasus stojącego w końcu doliny, który na dzisiaj miał być kresem naszej podróży. Stąd dopiero roztoczył się przed nami najwspanialszy widok na którego opis, słów mi brakuje. Wystawmy sobie olbrzymią, skalistą ścianę w najdziwaczniejsze poszczerbioną zęby, a po nad nią i z po za nią, niby wieże wystrzelają ostre, niebotyczne iglice. Na prawo *Ganek* (8021 st.) szczyt niedostępny nawet dzikim kozom; na lewo równie wysmukła i prostopadła *Wysoka*; pomiędzy nią a *Gankiem* niby mur dziko poszarpany, wznoszący się zupełnie pionowo: są to tak zwane *Żelazne Wrota* (6191). Z drugiej strony *Wysokiej*, więcej jeszcze na lewo, bardzo także wyniosła przełęcz, nazywa się *Polskim Grzebieniem* (6933 st.); po za nim leży dolina *Felka*. Tędy to podróżni udający się do *Szmeksu* przechodzą do tej

piękną dolinę położoną pomiędzy olbrzymimi ścianami *Gierlacha* (8414 st.) i szczytu *Sławkowskiego* (*Schlagendorferspitze*) (7860 st.). Na prawo od wspomnianych powyżej turni i nieco w głębi, piętrzą się bardzo także ostre i groźne szczyty *Rysy* (7309) i *Żabie* (7810 st.). U spodu tej granitowej ściany, po urwistych bokach i w szczelinach turni, zalegają masy śniegu w takiej obfitości, że białość jego jest przemagającą barwą w tym wspaniałym krajobrazie. Jakkolwiek na oko olbrzymie te turnie zdają się bardzo bliskie siebie i jakby w jedną skupioną grupę, są jednak oddzielone jedna od drugiej dość znaczną przestrzenią dzikich i niedostępnych dolin, jak *Litworowa*, *Czeskie*, *Migguszkowska* i kotlina *Czarnego Stawu nad Morskiem Okiem*.

Dla dopełnienia uroku i dzikiej piękności tego miejsca, widzimy tutaj trzy wodospady. Pierwszy zwłaszcza na prawo, powstający ze stawu położonego w dolinie *Czeskie*, jest bardzo piękny. Szeroki i obfity strumień rzuca się nagle z prostopadłej prawie ściany, nie odbijając się po kamieniach. Ta jeduostajna, a nigdzie prawie nie przerwana wstęga wody, bardzo wspaniały przedstawia widok. Drugi wodospad, który mamy wprost przed sobą, spływa z pod *Żelaznych Wrót*, ze stawu *Zielonego*. Nie jest on tak obfitym, nie ma tak nagłego spadku, raczej spływa po ogromnych głazach; nie wydaje się zatem tak pięknie. Trzeci wodospad na lewo od poprzedzających, wypływa ze stawu *Litworowego* będącego w dolinie *Litworowej* pod *Polskim Grzebieniem*. Jest także mniej piękny.

Mieliśmy zamiar podejść nieco wyżej dla bliższego przypatrzenia się tym wodospadom. Wiedzieliśmy że dolina *Czeskie* niedostępna jest dla nas, ale do stawu *Zielonego* i *Litworowego* mogliśmy byli dojść z łatwością. Dziś jednak było już za późno, a do tego nowe i niespodziewane widowisko zapędziło nas do szałasów, z któ-

rego drzwi przedstawiał się wspaniały widok na owe olbrzymie turnie zamykające dolinę. Nagle z poza *Ganku* wysunęła się chmura a raczej mglisty bałwan; jednocześnie runął grzmot przytłumiony i urywany jak zwykle w górach, a następnie najprzód na turniach, a potem i u nas w dolinie puścił się deszcz rzęśisty; szczyty gór utonęły w chmurach. W dziesięć minut deszcz ustał, chmury się poprzerzywały i podniosły w górę, a wysoko po uad niemi wystrzeliły dwie czarne iglice. Były to *Rysy*; do połowy szaremi tumanami mgły i chmur okryte i z nich się wynurzające, wydawały się jakby jakie nadpowietrzne zjawisko. Za chwilę góry otrzęsły z siebie resztki chmur i znowu czyste, piękne, wspaniałe, stały przed nami w swój śnieżnej szacie przymarzłej do ich granitowych ramion.

Długo, długo staliśmy przed szalasem wpatrując się w ten majestatyczny ogrom, w to gniazdo odwiecznych lodów i śniegów; chcieliśmy wrazić sobie w pamięć ten nieporównany widok, bo przecucie szeptało że jutro nie nasze.

Trzeba było nareszcie pomyśleć o noclegu, gdyż członki strudzone dość długą wędrówką, dopominały się wypoczynku. Szalas który miał nam użyczyć gościnnego dachu na tę noc, należał do górali z *Rzepisk*, wsi na Podhalu spizkiém. Nie było przy nim owiec, bo te poszły na paszę głębiej w góry, skąd nie wracały nawet na noc; do wspomnianego szalasu przynoszono tylko sér. Zastaliśmy tu starego gazdę, którego nie wiem jak tytułować; nie było bowiem bacia o ile się mogłam domyśleć, ale tylko dozorca szalasu a raczej séra. Człowiek ten niezbyt miłej powierzchowności, przyjął nas dosyć uprzejmie, a uczęstowany herbatą rozochocił się i rozgadał. Maciej tymczasem narąbał smreczyny na posłanie, podsycił ogień świeżemi polanami drzewa i zabraliśmy się do spoczynku.

Już sen zaczynał sklejać nasze powieki, gdy nas doleciało gwizdanie coraz się zbliżające. Stary gazda leżący na ławie przy ogniu, wstał natychmiast i wyszedł z szałas. Nie pojmując co to znaczy, na razie zmięszaliśmy się i przestraszyli niezmiernie. Maciej nas uspokajał że to jeden z tutejszych juhasów powracający z odpustu w Jaworzynie. Dobrze, ale jeżeli pijany?

Zaledwie zdążyliśmy zapalić świecę, którą zawsze bierzemy z sobą na dalsze wycieczki, wpadł do szałas młody góral rzeczywiście podochocony. Zrazu bardzo był nie rad że zastał obcych ludzi; nibyto się gniewał uwijając się po szałasie, gwizdał, przyspiewywał, podskakiwał tak lekko i zgrabnie, że gdyby nie obawa znajdowania się pod jednym dachem z pijanym człowiekiem i to jeszcze w nocy, byłibyśmy się serdecznie śmiali z tych skoków. Ojciec wstał z posłania na którym siedzieliśmy jakby przykuci, chcąc zapalić cygaro u ognia i wtedy przypadkiem wypadł mu pugilares z kieszeni. Dostrzegł to pierwszy juhas i zawołał z tryumfem: „Widzicie że ja nie złodziej, mógłbym być wziąć to co wam upadło!“ Widać że i po pijanemu chodziło mu o dobrą sławę. Naskakawszy się usiadł nareszcie przy ogniu, ale o zgrozo! wyjął z kieszeni flaszkę wódki. Struchleliśmy gdy nie szukając kieliszka, napił się wprost z flaszki i poczęstował starego gazdę. Co to będzie gdy się oba upiją! Juhas jakby zupełnie przytomny, opowiadał różne odpustowe przygody a raczej karczemne pohulanki, przy tém co chwila pociągał z flaszki, stary gazda tożsamo, póki tylko stało wódki. Gdy się flaszkę wypróżniła, juhas nie ruszając się już z miejsca, wyciągnął się jak długi na ławie zbliżywszy nogi do ognia tak, że nie pojmując jak mógł wytrzymać gorąco. Za chwilę juhas usnął

również i stary gazda, a tak przeszła spokojnie ta noc która nas takiego nabawiła strachu.

My naturalnie nie zmrużyliśmy oka, bo ta niespodziewana przygoda całkiem sen nam odebrała, a myśl o jutrze także niepokoiła. Zaraz z wieczora niebo się zachmurzyło i noc była nadzwyczaj ciemna. Jak w takiej ciemności ów juhas przyszedł z Jaworzyny przez lasy, wody i złomy kamienia, jak trafił do szałasu i to nie będąc trzeźwym? tego pojąć nie mogę. Gdyby był trzeźwym, pewnieby się nie był odważył na takie niebezpieczeństwo.

Gdy dzień zaczęło pobudzili się górale, my także wyszliśmy przed szałas. Smutno było spojrzeć na góry wczoraj tak piękne. Wprawdzie wszystkie ich szczyty ostro były wykrojone, nie przysłonione żadną chmurką, ale niebo okryte jednostajną szarą zasłoną, rzucało na nie cień posępny, żalobny. Powietrze było parne i duszące, cisza zupełna; wszystko to zapowiedź bliskiego deszczu, a może dłuższej śloty. Naradzaliśmy się z Maciejem co robić dalej i stanęło na tém że nie będziemy się zapuszczać ku stawom jak mieliśmy zamiar, ale jak najspieszniej udamy się w drogę z powrotem, ażeby uciec przed niechybnym deszczem.

Wróciwszy do szałas, zastaliśmy juhasa klęczącego ze złożonemi rękami i modlącego się z największą pobożnością. Gdy skończył modlitwę, przypomniał mi wczorajszą pijatykę i pacierz o którym wczoraj wieczór zapomniał. „Ej, ja sobie wczoraj tylko zborgował,” odrzekł zawstydzony. Był to młody chłopak bardzo miły, łagodnej twarzy, w którym niktby się był nie domyślił nocnego awanturnika.

Uważałam nieraz różnicę jaka zachodzi pomiędzy góralami spizkimi a naszymi. Chociaż wspólne mają pochodzenie, wiarę, język, zatrudnienie, przecież różnica między nimi widoczna. Twarze Podhalan spizkich ścia-

gle, oczy czarne, cera blada, smagława, wzrost średni, postawa nadzwyczaj wysmukła i giętka. Ale w tych rysach tak miłych, w tych oczach łagodnych i spokojnych na pozór, przebija usposobienie namiętne i gwałtowne. Nie mają oni tego poczciwego, serdecznego i otwartego wyrazu jak nasi Podhalanie.

Opuściwszy szalas, oglądaliśmy się z żalem na te groźne turnie, które wkrótce mieliśmy stracić z oczu; ale niestety one same nas pożegnały prędkiej niż się tego spodziewaliśmy. Zakryły je grube chmury, które nad całą doliną zawisły niby czarna, dziwacznie udrapowana opona. Niebawem puścił się deszcz, zrazn był on drobny, ale wkrótce zamienił się w ulewę. Łatwo sobie wystawić w co się obróciła droga już przedtém błotnista. Miejscami brnęliśmy po kostki w rzadkiem błocie lub wodzie; do tego w lesie wszystkie gałązki świerków zamieniły się w rynny oblewając nas nie już kroplami, ale strumieniami deszczu. Z naszych kapeluszy zrobiły się dzwony po których spływała woda; przemokliśmy prawie do suchej nitki. Szczęściem deszcz był ciepły, przy tém spieszny pochód krew rozgrzewał; nie było więc obawy przeziębienia. To téż wesoło odbywaliśmy tę miłą przechadzkę, byliśmy wszyscy dobrej myśli i żartowaliśmy sobie z pięknej drogi która w dolinie Białki zamieniła się w rzeczkę, płytką wprawdzie, ale płynącą dość żwawo. Przechodząc wczoraj po kamieniach nad potokiem, wybieraliśmy starannie miejsca żeby nie zamoczyć nogi, nieraz w zbytku ostrożności wzywaliśmy pomocy Macieja żeby się nie zachwiać i nie ześliznąć z kamienia. Dziś każdy przechód był dobry, każde z nas radziło sobie samo i przechodziło zrećźnie po zmoczonych, a zatém oślizgłych kamieniach; pośpiech, chęć dostania się co prędkiej pod dach, ułatwiały wszystko.

Okolo południa stanęliśmy szczęśliwie w szałasie pod *Czuba*, przyjęci najgościnniej i z najserdeczniejszym pożalowaniem od całej osady. Szalas ten należał do gazdów z Bukowiny; nie było tu bacy i julusów, ale każdy gazda miał przy swoich owcach lub krowach, osobnego pasterza, i dla tego czeladź szałasowa była bardzo liczna i rozmaita, nad którą miał nadzór poważny gazda. Nie zapomnę nigdy widoku jaki przedstawiało wewnątrz szałasów i przyjęcia jakiegośmy tu doznali. Okolo ogniska rozłożonego na ziemi zwyczajem szałasowym, zobaczyłam kilkanaścioro ludzi, najwięcej wyrostków obojg płci, ale były i starsze kobiety i małe dziewczątka i chłopaczki. Że było właśnie południe, każde zajęte było gotowaniem obiadu, t. j. *bryi* w swoim garnuszku. W kilku garczkach już wrzała woda, każdy więc wydobył swój woreczek z mąką i sypał ją na war wśród wesołych żartów i śmiechów. Ogień oświecał te miłe twarze, a cały ten sielski obrazek ładnie odbijał na czarném tle okopconych ścian szałasów.

Gdyśmy weszli, zrobił się ogólny ruch w tój wesołej gromadce, wszyscy chcieli nam ustępować miejsca przy ogniu, podawali ławeczki do siedzenia, dziewczęta pomagały zdejmować przemokłą - zwierzechnią odzież, którą chcieliśmy trochę przesuszyć. Jedną szczególniej dziewczynkę najwięcej pamiętam lat mającą, dotąd pamiętam. Twarzyczkę miała drobną, ładną i świeżą jak rozkwitająca różyczka, uśmiech figlarny, a niewinny jak uśmiech dziecięcia, kibić wysmukłą, kształtną i wiotką, wdzięk i powab niezwykle w każdym ruchu. Ta milutka dziewczynka którą zaraz wtedy przyrównywałam do sarneczki i tak ją dotąd pamiętam, zajęła się nami ze szczególną usłużnością. Wspięła się zgrabnie wysoko pod dach szałasów i trzymała nad ogniem przemokłe nasze chustki, obracając na wszystkie strony żeby je prędzej wysuszyć. Z upodobaniem przypatrywałam się

jój zgrabnym i zwinnym ruchom gdy się krzątała aby nas poratować w biedzie. Nie chcąc się zatrzymywać długo, nie gotowaliśmy tu nawet herbaty do której był wielki apetyt, lecz napiliśmy się trochę wina. Resztą poczęstowaliśmy starego gazdę. Ale jakież było nasze zdziwienie, gdy on zaledwie przytknąwszy do ust szklankę, podał ją swemu synowi, dorodnemu chłopakowi; ten skosztował i znowu podał drugiemu, ów innemu i tak szklaueczką wina obczęstowali się wszyscy. Takąsamą koleją poszedł kawałek chleba który wszyscy pomiędzy siebie rozdzielili. Ta patryjarchalna wspólność pożycia, prawie mnie rozrzewniała i nadzwyczaj miłe czyniła wrażenie. Byliśmy tak zajęci jakimś takim przebra- niem się i zabezpieczeniem od deszczu na dość długą drogę jaka nas jeszcze czekała, że nikomu na myśl nie przyszło ofiarować jakiś pieniężny datek gościnnój sza- łasowój osadzie, czego dotąd żańnę. Oni jednak naj- mniejszój do tego nie okazywali pretensyi, żegnali nas przyjacielsko, życząc szczęśliwój drogi i zapraszając na drugi raz do swego szałasu.

Gdyśmy wyjechali, deszcz ustał, ale powietrze bardzo się oziębiło. Droga do Bukowiny zawsze błot- nista i porozrywana wybojami, zrobiła się teraz jeszcze przykrzejszą; biedne konięta ślizgały się po błocie, a tu ani sposób im ulżyć, bo wszędzie głębokie kałuże i bagna, tak że wysiąść niepodobna. Zimno stawało się coraz dokuczliwsze w miarę jak zbliżaliśmy się do Bu- kowiny, gdzie jak nam powiadano, padał zrana grad gruby i gęsty.

Nie potrzebuję podobno mówić z jaką radością stanęliśmy w Zakopaném, a odpoczywając po całodzien- nych trudach w suchój i cieplój izbie, przypominaliśmy sobie nawzajem wszystkie szczegóły odbytej wycieczki, która choć nie zupełnie się powiodła, dała nam prze-

cież poznać olbrzymią tatrzańską przyrodę w takiej dzikości, jakiej dotąd nigdzieśmy nie widzieli. Przemoczenie i zimno nikomu z nas nie zaszkodziło, nikt nawet kataru nie dostał; takito jest cudowny wpływ górskiego powietrza!



Krzyżne.

Gdy się przed człkiem świat ten rozłoży
I tak wesoło i tak szeroko,
Aż serce skacze że téż Bóg tworzy,
I góry takie i w głowie oko.

W. P.

Jednym z miejsc godnych zwiedzenia a jednak dotąd mało komu znanym, jest przełęcz pomiędzy trzema skalistymi i wyniosłymi grzbietami, Koszystej, Granatu i Wołoszyna, zwana *Krzyżne*. Bez zaprzeczenia jestto jedyny punkt w Tatrach nowotarskich, z którego tak majestatyczny przedstawia się widok, z którego zajrzeć można w samo wnętrze, w samo gniazdo najwyższych, najgroźniejszych tatrzańskich olbrzymów.

Jeden z największych miłośników górskich widoków, a który może pierwszy z obcych był na Krzyżnem, zachęcał nas bardzo do odbycia tej wycieczki, zaręczając że nie pożałujemy trudów. Rozpytawszy się o drogę, uważaliśmy wprawdzie że nie obejdzie się bez zmęczenia, bo droga daleka i nie łatwa; ale przemogła ciekawość i ten jakiś niepojęty zapal, ta nieprzeparta siła jaka nas pociąga na śnieżne szczyty tatrzańskie. „A chociażby na czworaku, to muszę tam pójść i zobaczyć te cuda!“ zawołał mój Ojciec z zapalem. Tak

więc stanął układ że jak tylko ustali się pogoda, odbędziemy tę wycieczkę, do której obiecał się przyłączyć Ks. Proboszcz zakopiański, zapalony gór miłośnik. Długo czekaliśmy z upragnieniem na pogodę; nareszcie zapowiedział ją Wala dnia 16 Sierpnia i wyprawa na dzień następny nieodwołalnie ułożoną została.

Jakkolwiek nasza gaździna obiecała zbudzić nas z pierwszym brzaskiem dnia, ja jednak z siostrą, w obawie żeby nie zasnęła, wreszcie uszczęśliwione nadzieją jutra która sen nam odbierała, przez całą noc nie zmrużyłyśmy oka. Jeszcze nie zagąstała na niebie zorza zachodnia gdy wybiegłyśmy przed dom, a chociaż przekonałyśmy się że jeszcze daleko do świtania, nie było chęci wracać do izby. Ale bo też i noc tak cudna zachęcała do czuwania i rozpatrywania się w jej majestacie prawie całkiem nieznanym mieszkańcom miasta, którzy, gdzieś tam wysoko wśród murów, widzą zaledwie mały płateczek nieba i nie mają nawet wyobrażenia o wspaniałości tego lazurowego przeźrocza, co jakby namiot wszechmocną ręką rozpięty, sklepi się nad głowami naszymi zasiany gwiazd miryjadami.

Biaława jasność ukazująca się na wschodniej stronie nieba, była hasłem do podróży. Jakoż wkrótce nadbiegł Wala, przyszedł p. R. mający wraz z nami odbyć tę wycieczkę i wyruszyliśmy drogą wiodącą do Kuźnic, na której połączył się z nami Ks. Proboszcz. Było jeszcze tak ciemno, że o kilkanaście kroków nie mogliśmy się rozpoznać; z wolna jednak przeczadzały się nocne cienie, przechodząc w szarą barwę poranku, która na całą okolicę tajemniczy rozlewała urok. O nigdy, nigdy nie zapomnę tego widoku jaki w tej chwili przebudzenia ze snu nocnego, przedstawiały góry! Byłoto coś niezwykłego, czarodziejskiego. Pierwsze promienie ukrytego jeszcze pod poziomem słońca, oblewały purpurowym olaskiem śnieżne Tatrów iglice, które na szarém

tle nieba, gorzały jakby wulkany rozpalone podziemnym ogniem, a tumany mgły pędzonej silnym wiatrem, niby kłęby dymu z ognistej buchające paszczy, słały się ciemnymi chmurami ponad doliny i lasy. Wiatr gorący, suchy, jakby spiekły oddech wulkanu, tém złudniejszém czynił to podobieństwo.

Atoli to widowisko jakkolwiek wspaniałe i piękne, zdawało się złowrogiem dla nas. Chociaż bowiem niebo było pogodne i najpiękniejszy wschód słońca rokował dzień równie piękny, jednak owa mgła powiewająca na wierzchołkach gór, niby krwawy sztandar targany na szmaty gwałtowną siłą wiatru i ciepło niezwyčajne o tak rannój porze, odbierały prawie nadzieję powodzenia naszej wycieczki. Pod tak smutną wróżbą zapuściliśmy się w las zwany *Nieborakiem* znaną nam już drogą poza dworem zakopiańskim. Wyszedszy z lasu na grzbiet Bocunia, byliśmy zachwyceni okazałym i rozległym widokiem jaki nas tutaj otaczał. Na zachód sterczał wspaniały Giewont, a na szczycie jego niby pióropusz, na helmie rycerza powiewała biała mgła w różnokształtne rozplywająca się obłoczki. Stroma, urwista, strasznie poszarpana Kasprowa ze smugami śniegu w rozpadlinach, dzikością swoją mimowolną zgrozę budziła. Przed nami wznosił się skalisty grzbiet Koszystej i Murań, niby narożna baszta strzegąca od wschodu potężnego grodu Tatrów. Jasne promienie słońca padając ukośnie, oblewały świetnym blaskiem ten wspaniały krajobraz, nie mogły jednak rozpędzić mgły kryjącej szczyty gór. Szare jój bałwany przewalały się ciągle po wierzchołkach, a guane gwałtownym wiatrem, rozpierzchały się w postaci lekkich obłoczków i rozplywały w błękitie. Ksiądz Proboszcz i Wala, nie dobre wyprowadzali wróżby z tej mgły tak upornie czepiającej się szczytów, a Babia góra śnieżnym przysłonięta rąbkiem, owym złowrogim *czepcem*, odbierała prawie całkiem nadzieję powodzenia.

Pomimo to szliśmy spiesznie owym skalistym grzbie-
tem po uad doliną Jaworzynki. Wiatr coraz się wzma-
gał, a z ogłuszającym szumem i świstem jego, mięszał
się łoskot staczających się w przepaść drobnych ka-
myczków. Chwilami zapędy wiatru tak były gwałtowne,
że z trudnością przychodziło utrzymać się na nogach
i mimowolnie dreszcz przejmował spojrzawszy w otwartą
paszczę otchłani, nad którą droga się wiję. Zmęczeni
ciąglém pasowaniem się z wiatrem, przybyliśmy wresz-
cie na polanę Królową. Tu zaczęła się ostateczna na-
rada czy iść dalej, czy téż poczekać do południa i je-
żeli mgły się rozejdą, wejść na Kopę Magóry skąd także
piękny widok a wstęp bardzo łatwy. Ks. Proboszcz
z zupełną słuszością utrzymywał, że byłoby nieroz-
sądkiem tyle trudówłożyć na niepewne, bo na Krzyżne
droga daleka, a około południa zazwyczaj mgły się
zgęszczają i spuszczają niżej, zalegając doliny. Prócz
tego wiatr tak mocny tutaj, kto wie czy wyżej nie bę-
dzie jeszcze silniejszym, a w takim razie podróż byłaby
nie tylko bardzo trudną, ale nawet niebezpieczną.
Wszystkie te uwagi trafiały zupełnie do mego przekonania,
ale chęć dopięcia celu, wsparta zwodniczą często
lecz niemniej zawsze łudzącą nadzieją powodzenia, prze-
magala rozsądne rozumowania. Nie śmiałam jednak słowa
powiedzieć i tylko oczy, do których już prawie lzy się
cisnęły, zwracałam ciągle to na gromadę olbrzymich
szczytów zanurzonych we mgle, to na cel naszej po-
dróży, ów skalisty wzgórek obok Koszystej, która pię-
kna i czysta, zdawała się wabić nas ku sobie.

Już niemal wyrzeczonym było ostateczne słowo:
nie pójdziemy, zostaniemy tutaj, gdy w tém nadbiegł
młody, dzielny góral, Szynek Tatar, którego ks. Pro-
boszcz zamówił do niesienia żywności i pomocy w tru-
dniejszych przejściach. Zaspał on zrana, i dopiero w parę
godzin po naszym wyjściu, przybiegł na plebania, a do-

wiedziawszy się, że już dawno wyruszyliśmy w drogę, co tchu podążył za nami i tu nas dopiero dopędził. „No cóż słyhać Szymku? widzieliście góry na wschodzie, czy tam tak pomglone jak tutaj?” — „O nie, tam zupełna pogoda i te mgły zaraz się rozejdą“ odpowiedział ochoczo i proroczo. W téj bowiem chwili jakby na czarodziejskie zaklęcie, ukazały się szczyty Kościelca, Swinnicy i Granatu, jasnym oświecone słońcem, a mgły pierzchały i rozplywały się w powietrzu jak senne mary. Wiatr także nacichł, nowa otucha, nowy zapach wstąpił w nas wszystkich. Pierwszy ks. Proboszcz zerwał się z miejsca mówiąc: „Nie traćmy czasu, chodźmy, a da Bóg że wygramy.“ Szymek jako zwiastun pogody, poszedł teraz w cenę, a Wala jako fałszywy prorok który byłby nas pozbawił przyjemój wycieczki, nie mało nasłuchać się musiał przymówek, w których rozumie się nie było ani połowy prawdy.

Tak więc wesoło, ochoczo spuszczaaliśmy się z Królówéj na rozległą, a już nam znaną z opisu Czarnego Stawu halę *Nad-Stawami*. Kilka razy byłam w tém miejscu, a piękność jego coraz silniejsza czyni na mnie wrażenie. Bo téż tyle przedmiotów i tak rozmaitych, tak sprzecznych na pozór złożyło się na ten obraz cudny! Przez chwilę stoimy w zdumieniu, patrząc to na tę miękką murawę pod stopami, to na te urwiste, śniegiem ubielone opoki, nie mogąc pojąć jakim cudem u podnóża tych olbrzymów, których lodowate technienie zdaje się że powinnyoby zmrozić wszelkie zarody życia, rozkwitła ta wdzięczna polana zdobna młodocianą krasą wiosny. Ale gdy oko oswoi się z widokiem tak rażącej na pozór sprzeczności, tém więcej lubuje się ono i zachwyca tém niezrównanym obrazem, wszystkie jego zarysy i barwy spływają w harmoniją pełną wdzięku, która czaruje i unosi duszę, budząc w niej jakieś błogie zadowolenie, a oraz uczucie radości i szczęścia. Wszyscy

byliśmy pod wpływem tego miłego wrażenia, które pomimo woli objawiało się to wykrzykiem podziwu, to słowem zwracającym uwagę drugich na przedmiot szczególnie kogoś uderzający. Przepyszny kobierzec murawy narzucony bogatym haftem różnobarwnego kwiecica; olbrzymia ściana granitowych turni z najdziwaczniej poszarpanemi szczytami; a wreszcie ten przeczysty błękit sklepiący się nad nami niby okazała kopuła i słońce tak cudnie oświetlające tę rozkoszną halę, złoćące nagich opok krawędzie, były kolejno przedmiotem naszego zachwyty.

Wala, który także ze szczególnem upodobaniem przyglądał się okolicy, uderzony najwięcej majestatem piętrzących się tuż przed nami turni, odezwał się: „Moje państwo, już to bardzo dobrze nazwał ktoś tę turnię Kościelcem, bo patrzcież tylko: ten wierch co to taki kończysty, to zupełnie jak wieża, a ten grzbiet ku nam, to jakby dach, a ten drugi znowu wierszycek co przed nami, to rychtyk jak sygnaturka na kościele.“

Z hali „nad Stawami“ mogliśmy już poniekąd ocenić trudność drogi na Krzyżne; dzieliła nas bowiem od niego skalista, piramidalnego kształtu *Żółta turnia* wznosząca się po przed Granatem i Koszyską. Przez tę więc turnię trzeba było przeprowić się do doliny *Pańszczycy* pod Koszyską, a stamtąd dopiero wchodzić na Krzyżne. Nie mieliśmy wprawdzie przeprować się przez sam szczyt *Żółtej turni*, lecz przez znacznie niższy, łączący się z nią grzbiet *Dubrawiskiem* zwany; widocznym jednak było że to droga daleka i wcale nie łatwa. Rozległy, kamienisty grzbiet *Dubrawisko* okrywają, zarośla koso-drzewia a po nad niemi tu i owdzie wznoszą się pojedynczo limby, świadczące najlepiej na jak znacznej znajdujemy się już wysokości. Drzewa te tak wspaniałe i piękne w innych miejscach, tu jakby zapomniane sieroty stoją smutne, wyciągając ku niebu konary na w pół

uschłe, odarte z wiecznie zielonych szpilek, które wieńczą same tylko ich wierzchołki i wydają się jakby cieniowa korona na czole biednych wygnańców.

Przeprawiwszy się przez Dubrawisko, znużeni i spragnieni wypoczęliśmy na ogromnych granitowych złożach przy obfitém źródle w dzikiej dolinie *Pańszczycy*. Wszystkie źródła tatrzańskie nie tylko że mają wodę wyborną i zimną, ale orzeźwiająca i wzmacniająca zarazem, byle tylko nie pić jęj zbyt wiele, bo to szkodliwem być może. Ileż to razy w naszych wędrówkach zmęczeni przykrą drogą, znużeni upałem i prawie już bezsilni, padaliśmy przy źródle, a po paru szklankach wody, wracały siły, ustępowało utrudzenie i po krótkim wypoczynku, ruszaliśmy w drogę rzeźwo, ochoczo, jakbyśmy dopiero z domu wychodzili.

Kto zwiedzał zachodnią część Tatrów, t. j. dolinę Kościeliską, Miętusię, Mało-Łąkę, Strążyska, ten zna góry nasze jedynie ze strony romantycznej, sielankowej. Są tu wprawdzie szczyty do bardzo znacznej dochodzące wysokości, ale kształty ich są łagodnie zaokrąglone, bujną trawą i gęste porosty okrywają te góry do samych wierzchołków. Doliny u ich stóp czarują wdziękiem i krasą, a skaliste ściauy wznoszące się nicraz zupełnie prostopadle, dodają im malowniczego uroku. Wszystko tu rozkoszne, łube, wypieszczone ręką przyrody która z macierzyńską hojnością wyposażyla te miejsca całém bogactwem najrozmaitszych ozdób.

Wschodnia strona Tatrów całkiem odmienny przedstawia widok. Jak pierwszój wybitnym charakterem wdzięk malowniczy, tak drugiej olbrzymi majestat i dzika wspaniałość główne stanowi piętno. Tutajto strzelają w obłoki granitowe iglice, ostre, urwiste, strasznie poszarpane, z odwiecznym śniegiem w szczelinach, z głębokimi przepaściami dokoła. Prostopadłemi a chropowemi ścianami, lub kamienistemi upłazami, spadają te

turnie w doliny dzikie, odarte z wszelkiego łagodniejszego powabu. Dno tych dolin zalegają stopy granitowych złomów, świadki gwałtownych wstrząśnień naszej ziemi. A wśród tych zwałisk tytanicznego grodu, zwierciadłą się niezgłębione jeziora, spokojne, milczące, niby stróże tych miast i zamków zaklętych, które w swém zinném zamknęły łonie. Roślinność tu niezmiernie uboga; lichy kosodrzew, różnobarwne porosty, miejscami gruba trawa, oto cała tych stref podniebnych ozdoba. Nie ozwie się tu hukanie pasterzy, nie zadźwięczą dzwonki trzód, nie słyhać beczenia owiec, ryku krów i psów szczekania; głucha, posępna cisza zalega te niedostępne doliny. Przerywa ją tylko huk wodospadów podobny do oddalonego grznotu, lub szum potoków burzących się w skalistém łożysku. Czasem po granitowych rypach przemknie lekka, swobodna, wesoła mieszkanka tego olbrzymiego grodu, dzika koza; czasem doleci przeraźliwy gwizd świstaka, lub ozwie się urywany, krótki głos małej ptaszyny (siwarnik), niby tęskna pioseuka wygnańca, ze zbolalój wyrwijająca się piersi. I znowu cicho, głucho, posępno. Ale i te okolice na pozór odarte z wszelkiego wdzięku, mają swoją piękność, swoją poezję, swój powab właściwy. Piękność to dzika, surowa, ale jak wspaiała, jak silne czyniąca wrażenie!

Do rzędu okolic których rys ogólny tutaj skreśliłam, należy także dolina Pańszczycy. Trudno zaiste wyobrazić sobie straszniejszą ruinę. Dolinę tę wąską, długą, ciągnącą się z północno-wschodniej, ku południowo-zachodniej stronie, okala pasmo skał wyniosłych i dzikich. Na lewo wznosi się Wielka Koszysta (7047 st.) od góry do dołu porwana w bruzdy, które w czasie nawałnych deszczów spływają potoki, staczając na dolinę ogromne kamienie. Na przeciwniej stronie t. j. na prawo, sterczy piramidalna Żółta turnia (6631 st.), tak,

nazwana od żółtego porostu okrywającego strome i urwiste jej ściany. Zamyka dolinę olbrzymi, w ostre zęby poszarpany Granat (7090 st.). W Tatrach nowotarskich nie widziałam nic równie dzikiego i zgrozą przejmującego jak ta opoka straszliwą jakąś siłą wyparta z łona ziemi i zdająca się nosić jeszcze ślady ognia, który ją na twardy wypalił granit. Granat spada w dolinę Pańszczycy kamienistym upłazem, wyżej jednak piętrzy się zupełnie prostopadle. Ściana jego chropowata, czarna, podarta w głębokie rozpadliny, nie amajona nigdzie najmniejszym kosmykiem trawy lub mchu, świeci tylko smugami zlodowiałego śniegu.

Dno doliny *Pańszczycy* pogarbione wzgórzami, zavalają ogromne bryły granitowe. Przeprowa przez te zwaliska niezmiernie mozolna. Postępując z wolna z kamienia na kamień, przychodzimy niebawem nad brzeg niewielkiego jeziora zwanego *Zielonym stawem*, którego widok powiększa jeszcze wrażenie zgrozy jakiej doznajemy patrząc na te olbrzymie gruzy, świadczące o okropnej katastrofie jaka tu niegdyś zająć musiała. Woda jeziora zielona, przejrzysta, brzegi zavalone ogromnemi złomami granitu czerwonej barwy. Nie jestto ów wonny, purpurowy porost strojący tak pięknie brzegi niektórych potoków tatrzańskich, ale raczej rdzawy osad który pozostawia woda rozlewająca się szeroko po wielkich deszczach. Potwierdza ten mój domysł ta okoliczność, że czerwone kamienie opusują w koło jezioro jakby wstęga jednakowej wszędzie szerokości; przy brzegu, gdzie woda płytsza, widać takieżsame kamienie na dnie; zresztą wszędzie na dolinie zalegają szare głady, obleczone żółtym, białawym lub zielonawym porostem, czerwonych zaś nigdzie się nie napotyka. Z Zielonego stawu wypływa dość znaczny potok, lecz wkrótce ginie pod ogromnemi bryłami i tylko huk przytłumiony zdradza bystry pęd ukrytej wody. Wielkie płyty śniegu

który zapewne nigdy nie topnieje, rozpościerają się po brzegach stawu i skalistych urwiskach.

Nieskończenie długą wydawała nam się droga przez dolinę Pańszczycy, bo téżto przeprawa rzeczywiście trudząca. Wspominaliśmy sobie owo osławione przejście około Pięciu Stawów, które teraz zdawałoby nam się miłą przechadzką, raz dla tego, że bez porównania krótsze, a powtóre że były tam miejscami ścieżki wcale wygodne, tu zaś jednego kroku nie można postawić na równej ziemi lecz ciągle przestępować trzeba z kamienia na kamień, co dla nas nie mających zręczności góralskiej, bardzo było trudzącem. Ujrzeliśmy nakoniec zbliżka cel naszej podróży, owo siodełko łączące Granat z Koszystą i Wołoszynem, którego stąd jeszcze nie widać. Kres podróży naszej był już nie daleki, ale ileżto trudów kosztować miało dojście do niego!

Pomiędzy dwiema skalistemi ścianami t. j. Koszystą i Granatem, widać kilkanaście stóp szeroki, kilkaset wysoki, stromy, kamienisty upłaz. Oto droga na Krzyżne, droga mozolna i bardzo przykra, bo tak drobny zwir, jak i większe kamienie stanowiące to niemal prostopadłe usypisko, upłożą się i usuwają pod nogami i rękami któremi tutaj koniecznie dopomagać sobie potrzeba. Tu nawet pomoc przewodnika nie na wiele się przyda, bo i on nie może stanąć pewnie i silnej podać ręki; każdy więc sam sobie zostawiony, radzi sobie jak umie.

Wdzierając się pod górę z utrudzeniem które dech zapierało i gorącym potem oblewało czoło, nie mogliśmy przecież wstrzymać się od wykrzyku podziwu na widok prześlicznego kwiecia strojącego te martwe zwaliska. Niezapominajki błękitne i różowe, złote kwiaty kozłowca niezwyczajnie piękne i bujne, splecione w piękne wianki, emaliową świetnością barwy, cudnie odbijały na tém kamienistém usypisku. Tuż przy śniegu,

kwitnął właśnie jaskier (*ranunculus glacialis*), roślina okazalsza niż inne tym wysokim strefom właściwe, z bogatym liściem, z pośród którego wystrzelają piękne, białe kwiaty na dość wysokich szypułkach. Inna odmiana tegoż jaskru, ma koniuszki listeczków kwiatowych ubarwione jasno-amarantowo. Wązkie smugi trawnika majowej zieloności, rozścielają się także miejscami wśród tych granitowych złomów. Co za dziwna igraszka przyrody! Tu, na grobie wszelkiego życia, na zimnym, nagim głazie, tak piękne kwiaty, tak bujna roślinność! Czy to wieniec grobowy, znak tkliwej pamięci i miłości matki przyrody? Nie wiem czemu to przypisać, że widok tych kwiateczków tęsknie jakieś i rzewne budził we mnie uczucie, chociaż ich oczka wdzięczyły się i uśmiechały wesoło.

Już od paru godzin wdzieramy się pod górę, groźne, dzikie turnie obstepują nas zbliska; przed nami piętrzy się jeszcze wysoko wał kamienisty, a nigdzie żadnej przerwy, żadnego na dal widoku; nic nie zapowiada owego cudnego obrazu jaki wkrótce ma się odsłonić przed spragnioném okiem i być sowitą nagrodą całego mozołu, albo może zawieść wszystkie nadzieje, jeżeli mgła zaległa na szczytach. Jeden z towarzyszków wyprawy, wyszedł pierwszy na górę i doniósł że pogoda zupełna. Ta pewność dodała nam odwagi, podwoiliśmy ustające siły. Ks. Proboszcz stanął drugi u celu, a za nim i ja dostałam się na Krzyżne! Spojrzałam przed siebie i wykrzyk podziwu skonał na ustach; stałam przez chwilę w niemém zdumieniu, bez myśli, bez ruchu, nie mogąc przyjść do siebie po tém silném, a tak nagłym wrażeniu. Pierwszém uczuciem jakie się wysnuło z chaosu powstałego w méj duszy, było uczucie żalu na myśl że rodzice i siostra jeszcze z mozołem dobijają się celu. Łzy stanęły mi w oczach, odwróciłam się natychmiast od czarodziejskiego obrazu, nie

rozpatrując się w nim dalej, bo nie chciałam, nie umiałam używać sama takiej rozkoszy, podczas kiedy biedni rodzice każdy krok okupują wysileniem. Ale otóż i oni są już na miejscu, nie tyle nawet zmęczeni jak sobie wystawiałam, a nie mniej uradowani najcudniejszym widokiem który przewyższył wszystkie oczekiwania i w jednej chwili zatarł pamięć przebytych trudów.

Ależ bo co to za widok! Najwyższa, najwspanialsza część Tatrów od Spiża do Liptowa, rozciąga się przed nami szerokim pasmem. Piętrzą się olbrzymie szczyty to ostre jak iglice, rozplywające się prawie w błękitnie, to w najrozmaitsze poszczerbione zęby, niby tytanicznych murów zwaliska, niby baszty i wieże obrócone w ruinę. Sterczą one tuż przed nami, majestatyczne, groźne, a zdumieni ich ogromem, nie wiemy do prawdy co więcej podziwiać, czy wspaniałość i różnorodność kształtów, czy cudną rzeźbę granitowych opok jaśniejących w najświetniejszym blasku południowego słońca. W pośród tych potężnych turni, otwierają się głębokie, dzikie i przepaściste doliny, poprzedzielane urwistymi grzbietami. Na dnie ich widać snujące się potoki lub jeziora, których powierzchnia ciemno sina, połyskuje od słońca niby magiczne zwierciadło. Śnieg zalegający szerokimi smugami tak ściany dolin jak i urwiste boki turni, podnosi jeszcze dziką piękność tego widoku. A gdy oko, szukające zawsze nowości i różnorodności, wybiegnie po za ten dziwny, cudowny, olbrzymi świat górski, wtedy płynie swobodnie po szerokich rozległych równinach, na których patrząc z tej wysokości, znikają zupełnie grzbiety Bieskidów i jedna tylko Babia Góra rysuje się kształtnie niby niewielki pagórek. Po za nią, po nad nią, piętrzą się odległe góry w pobliżu Myślenic i Krakowa, przyćmione błękitną mgłą oddalenia.

Aby znającym Tatry dać jakiegokolwiek wyobrażenie o rozległości widoku z Krzyżnego, wyliczę szczyty i doliny w tym porządku jak nam się przedstawiają. Najprzód jednak należy opisać dokładnie ów punkt tak niepozorny, a tak szczęśliwie położony, iż zdaniem znawców pod względem widoku, niema prawie równego w Tatrach. Nie wielka, trawą zasłana równinka, zwana *Krzyżne* (6846 st. a zatem przeszło o 300 st. wyższe od Zawratu), jestto, jak już nadmieniałam poprzednio, przełącz łącząca trzy grzbiety skaliste t. j. Granat od zachodu, Wołoszyn sterczący ku południo-wschodowi i Wielka Koszysta w stronie północo-wschodniej. Pomiędzy temi olbrzymimi ścianami, w zawrociej głębi otwierają się u stóp naszych rozległe doliny. I tak: w stronie północno-zachodniej, widzimy ową dziką dolinę Pańszczycy, objętą w potężne ramiona Granatu, Żółtej Turni i Koszystej. Pomiędzy Koszystą a Wołoszynem, leży dolina Waksmundzka. Skaliste jej ściany pokrywa kosodrzew, dno przerzniete krętym potokiem, ubarwia zieloność, co czyni tę dolinę nierównie powabniejszą niż Pańszczyca. Zapusiwszy wzrok dalej w kierunku doliny Waksmundzkiej, t. j. ku wschodowi, widzimy rozległe lasy u podnóża Tatrów około Bukowiny i Białki, która niby wąż srebrną połyskujący łuską, wysnuwa się z łona gór i w niezliczonych zakrętach wije się po rozległym obszarze nowotarskiej doliny. U stóp Krzyżnego legła także dolina Rostoki, ciągnąca się pomiędzy urwistą ścianą Wołoszyna a wyniosłym grzbieciem zwanym Opalone. W niezmierniej głębi wije się na dnie doliny szalona Rostoka jakby wążiuchna wstążeczka, a na południowym jej brzegu widać czepiającą się po urwiskach ową ścieżkę dobrze nam znaną z wędrowki do Siklawej wody. Widać tu i ten wodospad, ale z tak znacznej wysokości, traci on zupełnie swą wspaniałość i niktby się nie domyślił że te połyskujące pręgi na skalistym

wale, dzielącym dolinę Roztoki od doliny Pięciu stawów, są owém pyszóm zjawiskiem przyrody. Przy wschodnim wietrze ma tu być słychać głuchy huk wodospadu, my nie słyszeliśmy go wcale.

Obok doliny Roztoki, otwiera się o wiele płytsza, bo nierównie wyżej położona, rozległa, wspaniała, samą dzikością swoją piękna dolina Pięciu Stawów. Panują nad nią urwiste opoki *Granat*, *Kotelnica*, *Miedziane*, oraz *Swistówka*, gdzie widać ścieżka prowadząca do Morskiego Oka. Na téj płaszczyźnie zawałonej bryłami granitu, zwierciedli się *Wielki Staw* z którego wypływa Sikława, i dwa mniejsze jeziora, te same około których przechodzimy udając się do Morskiego Oka. Dwa wyżej położone stawy, kryją się w zakręcie doliny za turnie Granatu. Oto najbliższe otoczenie Krzyżnego.

Podniósłszy wzrok wyżej, sięgnąwszy nim nieco dalej, widzimy najprzód w stronie zachodniej groźną twierdzę Liptowa, zupełnie prostopadłą, skalistą masę *Hrubego Wierchu*, nad którego grzbietem strasznie porozrywany, *Krywań* wznosi dumnie swe czoło. Dalej ku południowi wystrzelają urwiste turnie liptowskie *Saczerbska* i *Niekcyrka*, a tuż za nimi *Szpiglas*, *Mięguszołska*, *Rysy* i inne turnie, których szczyty przegładają się w niezglębionych toniach Morskiego Oka. Widać stąd, ale do pewnej tylko głębokości, kotlinę, na dnie której leży to czarodziejskie Tatrów zwierciedło; widać po części i dolinę Białki. Posuwając wzrok dalej w kierunku wschodnim, zwraca uwagę naszą wyniosły szczyt zwany *Gankiem*, a tuż za nim wspaniała, piramidalała turnia *Wysoka*. Jestto najpiękniejsza, najmajestatyczniejsza z gór widzianych z Krzyżnego. Za Wysoką wznoszą się dzikie turnie nad *Żabiemi stawami*, leżącemi w przepaścistej dolinie, którą zalegają wielkie masy śniegu. Teraz następuje gromada olbrzymich spizkich szczytów jakoto: *Staroleśna*, *Królewski Nos*, szczyt *Gier-*

lachowski, najwyższy w Tatrach, ma bowiem 8414 st., gdy tymczasem wysokość *Łomnicy* wynosi 8342. Bardzo wspaniale występuje także szczyt *Lodowy* (8324 st.) olbrzymia, piramidalna turnia, której boki zalegają ogromne płaty śniegu, usprawiedliwiające nazwę daną temu wierchowi tak od naszych górali, jakoteż od Niemców spizkich *Eisthalerspitze*. *Lodowy* szczyt ogromem swoim zasłania *Łomnicę*, tak że jej nie widać nie tylko z Krzyżnego, ale nawet z najwyższych szczytów w Tatrach nowotarskich, lubo usłudni przewodnicy, dogadzając ciekawości podróżnych, zwykli ją pokazywać z każdego wynioślejszego miejsca. Za *Lodowym* sterczą tak zwane *Baranie rogi* (7302 st.) i *Szeroka Jaworzyńska* (6924 st.); dalej, nie tak już wyniosłe i ostre szczyty *Murań* i *Hawrań*, stanowiące ostatnie strażnice Tatrów na wschodzie.

W pośród turni spizkich otwierają się także głębokie doliny; szczególnież zwraca uwagę bardzo obszerna i długa, skalistemi ścianami zamknięta dolina *Staroleśna*, którą widać w całej rozległości. Dalej dzika dolina pod *Lodowym* szczytem, także *Jaworowa*, *Kołowa*, *Koperszady*, *Gałajdówka* i inne których dna nie widać, lecz tylko skaliste boki do większej lub mniejszej głębokości.

Widok tego wspaniałego łańcucha śnieżnych szczytów tak jest zdumiewającym, że z trudnością przychodzi oderwać od niego zachwyczone oko i zwrócić je w przeciwną stronę, gdzie także piękna przedstawia się okolica. Wspaniały Giewont panuje stąd nad całą grupą zachodnią, która zajmuje nas już nie ogromem i dzikością, lecz raczej wdziękiem i malowniczą pięknnością polan, lasów, skał fantastycznych, wierchów odzianych zielonością, a wszystko razem stanowi obraz pełen różnaitości i życia.

Więcej niż godzina zeszła nam na Krzyżném; nikt z nas po tak trudzącej podróży nie czuł nawet potrzeby wypoczynku i prócz krótkiej chwili użytej na

posiłek, nie siedzieliśmy wcale. Tu miałam nowy dowód, że piękne okolice, a szczególnie górskie, nie powszednieją, nie tracą uroku po pierwszém widzeniu, lecz zawsze czynią głębokie wrażenie na tym co ich piękność ucać i ocenić umie. Ks. Proboszcz który nieraz już zwiedził Tatry we wszystkich kierunkach, był niemal na każdym szczycie, w każdej dolinie, wyszedłszy na Krzyżne także nie pierwszy raz, może więc od nas był zajęty i zachwyconym precudnym stąd widokiem. I nie tylko że sam nie spoczął na chwilę, ale nikomu spocząć nie pozwolił, wyszukując miejsca, skąd widok najpiękniejszy, skąd lepiej widać tę lub ową turnię, tę lub ową dolinę. Jeżeli góry spowszednieć mogą, to najwięcej zapewne spowszedniałyby temu, kto na nie patrzy ciągle przez lat kilkanaście.

Była godzina czwarta z południa, a zatém czas naglił do powrotu, chociaż żal było nad wszelki wyraz żegnać się z tak zachwycającym widokiem, a żegnać zapewne na zawsze. Nie było rady, trzeba gwałt zadać oczom i oderwać je od cudnej Tatrów panoramy. Nad wszelkie spodziewanie spuszczenie się z Krzyżnego nie było tak trudnóm jak się zdawało; wkrótce téż bez żadnego przypadku stanęliśmy w dolinie Pańszczycy. Idąc zwolna po pod Koszystą, ujrzeliśmy na jój krańdzi dzikiego kozła. Stał on nieporuszony na urwisku skały, przyglądając nam się ciekawie. Jędrzej i Szymek wówczas zapaleni myśliwi, pozerali go chciwém okiem, świstali, wołali na niego, ale piękne zwierze czując się bezpiecznóm, podnosiło dumnie głowę i patrzyło śmiało na nas jak na drobne robaczki pełzające u stóp jego warowni.

Z niemalém utrudzeniem, ale daleko spieszniéj niż pierwéj, przebyliśmy dolinę Pańszczycy i Dubrawisko, zmrok bowiem już zapadał a do domu było jeszcze daleko. Na Królowéj, zaskoczyła nas noc zu-

pełna, noc bez księżycy rozjaśniona jedynie światłem gwiazd migocących na sklepieniu nieba, które od poziomu zasłaniały bałwany chmur czarnych. Na Krzyżném i w dolinie Pańszczycy, była w powietrzu prawie zupełna cisza. Ale teraz znowu zerwał się wiatr tak mocny, że nawet w szalasach nie palono ognia. Ponura ciemność panowała na polanie, psy owczarskie ujadły na uas wtrzymywane przez pasterzy, którzy po głosach poznali zapóźnionych podróżnych. W nocy niepodobna było zapuszczać się zwykłą drogą przez las, ale wypadało zejść do doliny Jaworzynki. Lecz i ta droga wcale nam się nie uśmiechała w ciemności, a zwłaszcza przy wietrze, który w dolinie Jaworzynki dochodzi czasem do takiej gwałtowności, że strąca kamienie które jak grad spadają w przepaść. Szczęściem dla nas nie był on dzisiaj tak silnym, a lubo utrudniał bardzo schodzenie, dzięki przeczności i doświadczeniu naszych przewodników, przebyliśmy tę przykrą drogę bez żadnego przypadku.

Z prawdziwą wdzięcznością wspominam o tych poczciwych ludziach, którzy dopomagali nam jak mogli na tej drodze zasłanej ostrym, usuwającym się pod nogami zwiernem, gdzie wśród nocnych ciemności, a do tego mając tuż obok przepaść głęboką, jednego kroku nie można było postawić śmiało i pewnie. Widząc ile się trudzą prowadząc nas, chcieliśmy iść sami w miejscach bezpieczniejszych. „Nie, nie, odrzekł jeden z nich, tylko się nie starajcie o nas, mnie to daleko więcej męczy jak widzę że się ktoś morduje.“ Czyżbyśmy się spodziewali w prostym góralu tak delikatnego czucia?

Stanąwszy na dolinie Jaworzynki, zdawało nam się że po najmniejszym stąpamy kobiercu i pomimo wielkiego znurzenia, dość spiesźnie zdążaliśmy do Kuźnic, skąd dochodził nas już zdala szum wody i kół warczenie. W Kuźnicach gdzieniegdzie jeszcze błyszczały światła w oknach, ale nie było już żadnego ruchu. Mała

nasza gromadka przesuwała się w milczeniu jak nocne cienie piękną drogą do wsi wiodącą. Wiatr zrywał się chwilami z taką gwałtownością, że woda porwana jego pędem z kół młyna stojącego przy drodze, oblała nas niespodzianie niby deszcz ulewny. Tumany piasku wzbiły się w górę, a grube drzewa połamane świadczyły, że we wsi wichur był jeszcze nierównie silniejszym niż w górach.

O północy stanęliśmy szczęśliwie w domu z wielką radością pocziwój naszej gaździny bardzo o nas niespokojnej.

Wycieczka którą tu opisałam, jest rzeczywiście bardzo trudną; gdyby jednak Krzyżne weszło w poczet miejsc uzuanych za godne zwiedzenia, górale trudniący się przewodnictwem obnyśliliby zapewne drogę dogodniejszą.



Tatry od Kieżmarku, Szmeks i Pięć Stawów węgierskich.

. Łomnica
Świeci polskiej ziemi do dnia
Nad Tatrami jak pochodnia,
A na pełni jak gromnica. . . .
W. P.

Poznawszy Tatry nowotarskie, zwiedziwszy kolejno najpiękniejsze, a nam dostępne doliny i szczyty w tém pasmie, życzyliśmy sobie dla uzupełnienia obrazu, zobaczyć Tatry od strony Węgier, skąd, jak niejednokrotnie zdarzyło nam się słyszeć i czytać, wyglądają nierównie wspaniałej. Łomnica szczególniej zaostrzała ciekawość naszą. Łomnica! Któż o niej nie słyszał? Ten nawet kto nie zna z nazwiska żadnego ze szczytów tatrzańskich, wie że ona najwyższą polskiej ziemi strażnicą. A lubo najnowsze pomiary przyznały berło wyższości szczytowi Gierlachowskiemu, mimo to z poważnego czoła Łomnicy nie spadła wieńcząca je od od wieków korona, bo pod względem wspaniałości, Gierlach nie wytrzyma z nią porównania i ona pozostanie nadal Tatrów królową.

Jak każdy przyjeżdżający dla zwiedzenia tych gór, tak i my najprzód pytaliśmy o Łomnicę, ją chcielibyśmy byli zobaczyć z każdego wierchu. Ale położenie

tęj wspaniałej turni jest takie, że nie można jej widzieć z najwyższych nawet szczytów nowotarskich i dopiero ze Spiza od Kieżmarku przedstawia się ona w całej okazałości. W pobliżu Kieżmarku, na południowo-wschodnim stoku Tatrów, u podnoża Łomnicy, leży *Szmeks*, miejsce zabawy i letniego pobytu Węgrów, główna kwatera podróżnych udających się dla zwiedzenia Łomnicy i innych spizkich szczytów. Nasłuchawszy się opowiadań o piękności *Szmeksu*, i kwaśnych źródłach tamtejszych, mieliśmy niezmyśloną ochotę poznać zarazem to urocze miejsce.

Ze Zakopanego rachują do Kieżmarku 8 mil drogi, a ztamtąd do *Szmeksu* jeszcze trzy mile; na długim jednak dniu, wyjechawszy o świcie, można choć późnym wieczorem stanąć na miejscu. Gdy więc ustaliła się pogoda, wybraliśmy się w tę podróż dnia 13 Sierpnia. Droga do Bukowiny już nam znana z poprzednich obrazków. W miarę jak się oddalamy od Zakopanego, łańcuch Tatrów niby kolumna wojska w coraz dłuższą rozwija się linią. Zniżają się zachodnie wierchy tego pasma, a natomiast występują coraz wspaniałej spizkie turnie, które mieliśmy okrążyć i dziś jeszcze stanąć u ich stóp od strony południowo-wschodniej.

Widok z Bukowiny już także opisałem, tu tylko dodam, że po tylu latach, po tylu widzianych już potem pięknościach, w mych oczach nie stracił on nic ze swój wspaniałości, a wspomnienie wrażeń jakich tu doznałam w pierwszej naszej wycieczce, nowym urokiem oblokło ten obraz cudny. Będąc tu po raz pierwszy, patrzyłam na Tatry jakby na gród zaklęty, którego ogrom zdumiewał, tajemniczość nęciła, a dziwy rozprowadane o niebezpieczeństwach grożących temu kto się zapuści w ten labirynt dzikich dolin i niezgłębionych przepaści zawałonych śniegiem i lodem, podniesione siłą wyobraźni, pomimowolnym przejmowały

mię dreszczem. Z nieopisanym zapalem, ale obok tego z jakąś obawą wstępowałam w te piękne doliny, a na szczyty wznoszące się dumnie do koła, nieśmiały wzrok podnosiłam, uważając je za niedostępne dla mnie. Takato jest moc uprzedzeń, taka nieufność we własne siły, która nieraz w życiu odstręcza nas od wzniosłych przedsięwzięć i cel życia wytknięty nam przez Boga wielki, szczytny, nieba dosięgający, jak ów olbrzym tatrzański, każe uważać za niedościgły. Oby! tak jak się stało ze mną w moich górskich wędrówkach, mógł się każdy przekonać w pielgrzymce życia, że chęć szczerą i wytrwałość, zdolne przełamać wszelkie przeszkody; że trudności które z daleka zdają się nieprzewyciężonemi, maleją i nikną w miarę jak z nimi walczymy. Oby wszystko co prawdziwie wielkie, piękne, Bogu chwałę a bliźnim szczęście przynoszące, pociągało ku sobie dusze i serca, pobudzając do ofiar i poświęceń szlachetnych!

Z wielkim moim żalem nie jechaliśmy na Łysą polanę, i nieznaną mi wówczas *Jaworzynę spizką*, której byłoby bliżej i piękniej, ale spuściliśmy się z góry bukowińskiej ku Białce. Kapryśna to i swawolna rzeka, zepsute, rozpieszczone Morskiego Oka dziecię. Czasem płynie spokojnie w swoim łożysku, a szum jój dola tuje zdala niby melodyja wesołej, półgłosem nuconej piosenki; ale gdy wzbierze, niktby jój nie poznał. Szmaragdowe wody zmienione w brudny kał, nie zuają hamulca, nie ulękną się żadnej przeszkody, nic oprzeć się nie zdoła ich szalonemu pędowi. Jeżeli napotkają wzgórze, póty biją gwałtownym nurtem o kamieniste ściany, póty je podmywają, póki nareszcie wzgórze nie rozsypie się w gruzy i napastnicy wolnego nie otworzy przejścia. Jeżeli zawadza bryła granitu, Białka unosi ją na falach i wszelkie przełamawszy zapory, rozlewa się szeroko po pastwiskach i polach, które po ustą-

pieniu wody, przedstawiają straszny obraz zniszczenia. Wielkie przestrzenie kamieńców po obu brzegach, to nieme świadki spustoszenia jakie tu szerzy rozhukany żywioł. Dziś Białka płynęła cicho i skromnie tak, że przejechaliśmy ją w bród bez innej przeszkody, prócz ogromnych kamieni któremi dno jej zasłane.

A więc jesteśmy już na Spiżu, Białka bowiem jak nam wiadomo, stanowi tutaj granicę pomiędzy Galicyą a Węgrami. Wieś *Jurgów* przez którą najprzód przejeżdżamy, porządnie jest zabudowaną; domy duże, z pięknego drzewa stawiane, ziemia żyzniejsza niż w Bukowinie a nawet w Zakopaném. Prócz owsa, sieją tu dosyć żyta które wcale pięknie się udaje; konopie nieznanne wcale na *Podhalu* naszym, rozrastają się bujnie na zagonach; lnu jednak sieją więcej, widać że jest właściwszy tutejszym gruntom. Okolica nie miała zrazu nic zajmującego prócz widoku na Tatry spizkie, które występowały coraz majestatyczniej, przyćmione lekką zasłoną mgły, a raczej sreżogi która zazwyczaj pokazuje się przy dniu pogodnym a upalnym. Niebawem olbrzymie to pasmo zaczęło się zwijać i skracać, cofnął się gdzieś w głąb szczyt Lodowy, z naprzód wystąpiła jedna turnia, a raczej grupa skalista bardzo wspaniała i piękna, znana pod nazwą *Murania*. Z jednego pnia że się tak wyrażę, wyrastają trzy szczyty t. j. *Murań* od zachodu, (5945) dalej *Hawrań Wielki* (6185) i *Mały*. Ogromną tę skalistą masę odziewają do znacznej wysokości najpiękniejsze lasy, po większej części bukowe. Oko przywykłe do ciemnej barwy świerków, mile uderza świeża i jasna zieloność powiewnych listków buczyny, wśród których wychylają się tu i owdzie koralowe jarzębiny grona.

Te bukowe lasy nadają całkiem odmienną fizjognomiję malowniczej okolicy u stóp *Murania*. W mglistej oddali sterczą groźnie i nadzwyczaj wspaniale

szczyty Granatu, Koszystej i Wołoszyna, a pomiędzy ich granitowemi ścianami widać dzikie, śniegiem zawalone doliny Roztoki, Pięciu Stawów i głęboką Morskiego Oka kotlinę. Nad brzegiem szumnej Białki około której prowadzi droga, widać rozległe polany, na nich rozrzucone szalasy, mnóstwo ludu zajętego zbiorom siana i liczne stada bydła pasącego się ua skoszonych miejscach. Górale ze wsi spizkich *Jurgowa*, *Czarnej kory*, *Zdżaru*, *Rzepisk*, *Pod-Spadów* i innych, na pierwszy rzut oka nie różnią się niczem od naszych Podhalań; mowa ich i ubiór mężczyzn ten sam co u tamtych. W ubiorze kobiet widziałam korzystną różnicę. Głowę ich osłania dość duża chusteczka biała rąbkowa, tiulowa lub muślinowa, mocno krochmalna, związana pod brodą w ten sposób, że odstaje naokoło twarzy tworząc dość obszerny okrąg. Twarze Śpizzanek o delikatnych rysach i bladłej cerze, bardzo pięknie, idealnie prawie wyglądają w tej śnieżnej i przejrzystej obsłonie. Koszula na ramionach suto wyszywana czerwoną taśmą, gorset wycięty na przodzie w głębokie i śpiczaste zęby, lamowany galonem lub kolorową taśmą; u koralu wisi mnóstwo medalików, bąbelków i innych świecących ozdób. Kiedy tak strojnie były ubrane przy robocie w dzień powszedni, ubiór ich świąteczny musi być rzeczywiście bardzo piękny i malowniczy.

Polany wśród których przejeżdżaliśmy zachwycając się okolicą tak czarującą, że chyba we śnie można wymarzyć coś równie pięknego, należą do wsi *Pod-Spady*. U samych stóp Murania stoi porządna leśniczówka, tartak i karczma. Tu wypadł nam popas. Jadąc dalej ciągle jeszcze po pod ścianą Murania, zapuściliśmy się w głęboki las drogą dość bystro prowadzącą w górę, a wyjechawszy niebawem na otwarte miejsce, spuściliśmy się znowu na obszerną, ale nie tak już malowniczą dolinę. Bok jej prawy stanowi ska-

liste ramię Murania zwaue *Srednicą*. Piękne polany z mnóstwem szałasów, ścielą się wśród lasów już tutaj przeważnie świerkowych, lubo tu i owdzie widać jeszcze buki, jarzębinę, a nawet całkiem prawie nieznaną w polskich Tatrach sosny. Na wspomnionój poprzednio dolinie, leży dość nędzna, ale bardzo rozległa wieś *Zdżar* po madziarsku *Zdjar*, którato nazwa wypisana jest na wysokim słupie pomalowanym węgierskiemi barwami t. j. czerwoną i zieloną. W końcu wsi stoi mały murywany kościółek.

Niebawem dolina się zwęża, po obu stronach podnoszą się wysokie góry ponurym lasem odziane; dziko tu, posępnie, nic nie przerywa jednostajności głębokiego lasu, wśród którego jedziemy zrazu ciągle na dół, potem zaś równiną, drogą szeroką i dobrze ujeżdżoną; tędy bowiem ciągną liczne karawany naszych Podhalań po zboże do Kiezmarku. Na kraju tego lasu stoi karczemka zwana *Szarpaniec*; ztąd droga, dzieląc się na trzy ramiona, biegnie równiną po większej części wśród pól licho uprawnych, do miasteczka *Białej* i Kiezmarku.

Tu muszę nawiasem wspomnieć jakiemu przypadkowi zawdzięczamy niespodziewane poznanie *Białej*. Nasz furman, parobek, czyli jak tu nazywają *pachołek* pewnego zamożnego gazdy, który nam wynajął konie do Szmeksu, jeździł już kilka razy do Kiezmarku, a zatem miał doskonale znać drogę. Pokazało się jednak inaczej: gdyśmy przyjechali na rozstajne drogi, zaczął się wahać nie wiedząc którą obrać; a chociaż pasterze zapytani przez nas wskazywali drogę na prawo, uparł się i pojechał na lewo. Wkrótce ukazały się z za drzew wieże i dachy miasta. Góral pokazuje z tryumfem że to Kiezmark i przechwala się jak dobrze zrobił nie słuchając pasterzy, bo bylibyśmy pobłądzili. Na wstę-

pie do miasta stoją słupy z napisem: *Bela*. Widoczna zatem że jesteście nie w Kiezmarku, ale w *Białej*.

Miasteczko *Biała*, po węgiersku *Bela*, jest osadą niemiecką z XIII wieku. Po strasznym napadzie Tatarów, król węgierski Bela IV sprowadził tu Niemców, i od jego to imienia ta osada nazwaną została Bela. Dawniej miasteczko to prowadziło znaczny handel winem i żelazem; obecnie przemysł ogranicza się na rolnictwie, hodowaniu bydła, płóciennictwie i rozmaitych rzemiosłach na małą skalę prowadzonych. *Biała* ma pozór bardzo starożytny, prawie średniowieczny. Po ulicach i w rynku stoją staroświeckie kamienice z wysokimi, śpiczastymi dachami, z ganeczkami i wystawkami dziwnego kształtu, dziwacznie pomalowane. Znaki rozmaitych rzemieślników, na każdym widzieć można domu. Są tu dwa kościoły: protestancki dość wielki z wysoką wieżą i katolicki maleńki. Widać że katolików musi być mało. Na rynku i ulicach pusto, przed niektórymi tylko domami siedzą Niemcy, zajęci jakąś robotą, w kapeluszach z wielkimi skrzydłami i sukiennych granatowych kaftanach. Kobiety noszą ciemno szafirowe spódnice, także kaftany, a na głowach białe, płócienne czepki. Ubiór to bardzo brzydki.

Jakkolwiek zaraz na wstępie poznaliśmy żeśmy zblądździ, sądząc jednak że może przez *Białą* dojedziemy do Kiezmarku, rozglądaliśmy się ciekawie po miasteczku, nie pytając nikogo o drogę, tém bardziej że nasz furman bynajmniej nie zakłopotany, jechał dalej a dalej, nie pytając także nikogo i milcząc według swego zwyczaju. Ale gdyśmy spostrzegli że wyjeżdżamy z miasta wąską, polną dróżyną, zrohiliśmy uwagę, że niepodobna aby ta droga prowadziła do Kiezmarku. Zapytaliśmy więc pierwszego lepszego mieszczanina. Ten w pół po słowacku, w pół łamaną i dziwną jakąś niemczyzną, powiedział nam żeśmy źle pojechali i po-

słał z nami swego *klapca* (chłopca) żeby nam pokazał drogę. Znowu więc wróciliśmy się na rynek i boczną ulicą wyjechaliśmy na bity gościniec ku Kiezmarkowi wiodący.

W zakłopotaniu naszym pobłądzeniem, nie wiele zwracaliśmy uwagi na okolicę; a jednak było co widzieć do koła. Przed nami równina spizka gęsto zasiana wsiami, na prawo Tatry, wznoszące się okazałą, prostopadłą grupą. Szczyt górujący nad innemi w samym środku, to *Łomnica*, a obok niej inny nieco niższy, to wierch *Kiezmarški*. Zachodzące słońce nie oblewało purpurą tatrzańskich olbrzymów, jak to bywa na północnej, t. j. polskiej stronie, ale świetna zorza gorzała gdzieś za nami, a na tém tle rysowały się ostro czarne, groźne wierchy niby obwiedzione złocistym brzeżkiem; z poza turni wystrzelały daleko sięgające promienie białawego światła. Zmrok zapadł, mgła wieczorna przyćmiła okolicę; wjechaliśmy do *Kiezmarku*.

Kiezmark położony nad Popradem, znanym jest w historyi jako miejsce zjazdów Jagielly z cesarzem Ferdynandem w r. 1410 i 1423. W dziesięć lat później 1433 w czasie wojen husyckich, 20,000 Taborytów wraz z Polakami którzy przyjęli naukę Husa, wtargnąwszy na Spiż i szerząc wszędzie zniszczenie, zdobyli Kiezmark, złupili i spalili. W wojnach cesarza Ferdynanda z Janem Zapolskim, wiele także ucierpiał Kiezmark należący wówczas do Hieronima Łaskiego, któremu Zapolski nadał hrabstwo Spizkie. Od rodziny Łaskich przeszedł Kiezmark w posiadanie Tökölich; mieli oni tu obronny zamek, co do wspaniałości i bogactw nie mający podobno równego sobie na Węgrzech. Stefan Tököli słynął jako najmężniejszy pan w północnych Węgrzech. Podejrzany o spisek, schronił się na Orawę gdzie wkrótce umarł. Wojska cesarskie zajęły Kiezmark, który w r. 1682 odzyskał syn Stefana Emeryk, pod-

burzywszy powstanie w Siedmiogrodzie i wezwawszy na pomoc Francuzów. Wyniósł on się na godność księcia, ale klęska jego sprzymierzeńców Turków pod Wiedniem 1683 r., wpłynęła nieszczęśliwie na dalsze jego losy i spowodowała upadek. Mieszczanie kiezmarscy nienawidzący Tökölich, chcąc się raz na zawsze uwolnić od nieprawych panów, przy zdarzonej sposobności kupili zamek w r. 1702, posprzedawali wszystko co można było spieniężyć, resztę zaś zniszczyli. Zewnętrzne mury zamku stojącego w północnej stronie miasta, są jeszcze całe, lecz wewnątrz w zupełnej prawie ruinie.

Kiezmark był od dawna miastem przemysłowem: kwitnął tu niegdyś handel winem, obecnie idzie stąd bardzo wiele płótna do Pesztu i Debreczyna. W tém schludném miasteczku liczącém kilka tysięcy mieszkańców, po większej części Niemców lub zniemczonych Słowaków, jest wielu rozmaitych rzemieślników: szyldy krawców, szewców, siodlarzy, garbarzy, farbierzy, mydlarzy, zegarmistrzów, mosiężników i innych, widać nad drzwiami domów i kamienic, które nie tylko okalają rynek, ale i przy główniejszych stoją ulicach. Na rynku wznosi się ratusz z wysoką wieżą, który niegdyś stanowił część zamku Tökölich. Katolickich kościołów jest dwa, protestancki jeden, lubo daleko większa część mieszkańców jest tego ostatniego wyznania.

Nie mając ochoty jechać nocą do *Szmeksu*, lubo księżyc pięknie przyświecał, zanocowaliśmy w Kiezmarku. Nazajutrz wyjechaliśmy o świcie, bitym gościńcem wiodącym pod Tatry do *Szmeksu* o dwie czy trzy mile odległego, bo prawdziwój odległości nikt mi nie umiał powiedzieć. Dziś dopiero mogłam lepiej poznać okolicę Kiezmarku, a szczególniej przypatrzeć się temu wspaniałemu obrazowi który był głównym celem naszej przejażdżki. Właśnie słońce wschodziło, a czém zachód dla naszych Tatrów, tém jest wschód słońca dla spiz-

kich. Cała okolica drzemiała jeszcze w półsenyym zmroku, gdy sam wierzchołek Łomnicy, zarumienił się purpurowym światłem. Zwolna niby ognista lawa spływały po skalistej ścianie jaśniejące smugi, rozlewając się coraz szerzej. Wkrótce zapłonęły i inne szczyty, a w tej powodzi jasności odznaczały się ostremi cieniami głębie przepaści, widać było wyraźnie stopniowanie roślinności: od ciemnych lasów gorejących dziwnym, złotawym światłem, szarzejący pas kosodrzewiny, stanowił przejście do litiej opoki, której rzeźba uwydatniała się precudnie na ostrych szczytach. Ale jakkolwiek Tatry spizkie o wschodzie słońca przedstawiały widok tak czarodziejski, że nic nie zdola zatrzcć go w mojej pamięci, jednakże muszę tu wyznać, że zawiodły one całkiem moje oczekiwania. Wznoszą się one rzeczywiście wprost z równiny, bez żadnych prawie przedgórz, opasane u spodu lasami ciemniejszymi na lekkiej pochyłości. Nie jestto pasmo, ale rzeczby można piękna, okazała grupa, a raczej trzy oddzielne grupy spodem połączone z sobą. Sam środek zajmuje najwyższa ze wszystkich *Łomnica* (8342) a obok niej wierzch *Kieżmarski* (8082) cokolwiek niższy i nie tak wysmukły. Po obu stronach tych olbrzymów, wznoszą się w oddzielnych grupach znacznie niższe góry, na prawo szczyt *Sławkowski* (*Schlagendorfer spitze*) (7800) z za którego wizeria niby mur poszarpany, grzbiet *Gierlacha*, (*Gerlsdorfer, Kesselspitze* (8414) wydający się stąd tak niepozornie, że nawet nie zwraca uwagi. Po prawej stronie wznosi się podobna grupa gór odzianych lasami, ponad którymi wystrzelają skaliste wierzchołki.

Mnóstwo takich ostrych, granitowych zębów wystercza z poza tej głównej grupy. Są to szczyty najwyższych tatrzańskich turni jak: *Biała Turnia* (*Weisse See spitze*) (7190) *Głupi wierzch* (*Törichter Gern*) (6530) *Zielona Turnia* (*Grüne See spitze*) (8013). *Ratzenberg*,

(6508). Szczyt *Batyżowicki* (*Botzdorfer spitze*) (8051) *Baranie rogi* (*Karfunkelturm*) (7303) i t. d. Nie znając atoli ich nazwisk, niktby się tego nie domyślił, bo wszystkie cofnione w głąb, zasłania i przyćmiewa niejako ogromem swoim *Łomnica*. Ona jedna wygląda majestatycznie, ona prawdziwie królową.

Niema tu owych malowniczych przedgórz, owych pięknych naszych *regli*; nie widać rokosznych dolin i polan, tych niepoliczonych szczytów, téj różnaitości barw i kształtów. Jednym słowem Tatry od Kieżmarku, to wspaniała facyjata gotyckiej katedry, budowy pełnej majestatu, ale w zupełnym odosobnieniu stojącej. Widziane z północnej strony, np. z Bukowiny lub Głodówki, to istny gród olbrzymów po którym błądzi zdumione oko nie wiedząc gdzie ma spocząć, co pierwój podziwiać; czy te niebotyczne wieże, czy okazałe kopuły świątyni, czy zębem czasu poszczerbione mury i baszty warowni, czy wspaniałe pałace i niepożyte wiekiem pomniki; czy nareszcie wórok zapuścić w głąbie przepaści i dolin, gdzie zima drzemie bezpiecznie w swym białym płaszczu, który tak pięknie srebrzy się w blasku słońca. I téj ostatniej ozdoby nie dostaje Tatrom spizkim; za ledwie w paru miejscach bieleją płaty śniegu, zresztą wszystkie szczyty i grzbiety zupełnie nagie, odarte z téj pięknej, właściwej góróm śnieżnej szaty. Układ spizkiej grupy tak jest symetryczny, że w kilka chwil już ją znamy, już potrafimy zrobić jój zarys, gdy tymczasem Tatry od strony Galicyi przedstawiają takie bogactwo, taką różnaitość i fantastyczność kształtów, że widząc je kilkanaście razy, więcj powiem, mieszkać pod niemi i patrząc na nie ciągle, jeszcze nie możemy powiedzieć, że je znamy dokładnie, jeszcze uderzać nas będą majestatem i ogromem swoim.

Równina spizka, jak już mówiłam, jest zasiana miasteczkami i wsiami, wyglądającemi także jak miasteczka.

W każdej bowiem wsi są dwa kościoły murowane, obok siebie stojące, katolicki i protestancki; lubo to ostatnie wyznanie przeważa zwłaszcza w okolicach Kiezmarku. Ksiądz katolicki bywa zazwyczaj jeden na trzy kościoły, w których kolejno odbywa nabożeństwo. Wsie tutejsze mają domy murowane, lub na podmurowaniu stawiane, wszystkie bielone, schludnie i porządnie wyglądają. Mieszkańcy, zniemczeni Słowacy lub Niemcy, prócz rolnictwa trudnią się rzemiosłami, bo rozmaite szyldy widać nade drzwiami domów. Prócz ziemniaków i owsa, uprawiają tu dosyć żyta i jęczmienia, które jednak dość lichy wyglądały. Byłoby właśnie pora zniwa, maństwo ludu pracowało w polu. Uderzyło mnie to, że mężczyźni ubrani w granatowe kaftany i kapelusze z wielkimi, w górę podniesionymi skrzydłami, wszyscy mieli zapasauc fartuchy z grubego płótna, co wyglądało dziwnie i śmiesznie. Kobiety w czarnych krótkich spódniczkach, w kaftanach lub gorsetach z bardzo krótkimi stanami, z szerokimi rękawami od koszul podwinionymi wysoko poza łokieć, i w białych czepcach na głowach, niezgrabnie wyglądały.

Miasteczka i wsie spizkie, mają w Tatrach swoje pastwiska i ztąd nazwiska szczytów i dolin gdzie są położone te hale, odpowiadają nazwom wsi do których należą. I tak: są miasta: *Kiezmark*, *Biała (Bela)*, *Felka*; wsie: *Lomnica (Lomnitz)*, *Gierlachówce (Gerlsdorf)*, *Stawków Wielki (Gros Szlagendorf)*, *Batyżowce (Botzdorf)*, *Mięguszowce (Mengsdorf)* i t. d.

Jadąc do *Szmeksu* widzieliśmy nad brzegiem Popradu miasteczko *Poprad (Deutshendorf)* a dalej *Felkę*; bliżej zaś Tatrów wsie: *Nową i Starą Leśną (Neu- und Alt-Walldorf)*, *Spizką Sobotą (Georgenberg)*, *Folwarkę (Forberg)* i t. d.

Na drodze z Kiezmarku, napotkaliśmy najprzód wieś *Hunsdorf*, która to nazwa ma pochodzić od Hun-

nów z którymi Rzymianie stoczyć tutaj mieli wielką bitwę w r. 441, co zdają się potwierdzać znajduwane przy uprawie pól tutejszych, broń, moneta i inne zabytki starożytne, tak rzymskie, jak i do Hunnów należące. Przejężdżaliśmy następnie przez wsie *Lomnicę* i *Mühlenbach*. Widząc zwracającą się w bok drogę a nie ufając już naszemu furmanowi, pytaliśmy pierwszego lepszego przechodnia czy dobrze jedziemy do *Szmeksu*? Niemiec idący w tę samą stronę, postąpił kilka kroków obok naszego wozu, wskazał ręką przed siebie mówiąc: że tędy droga, ale zarazem nadstawił kapelusz prosząc o wynagrodzenie za tę przysługę. Oto uczynność niemiecka.

Wygodna i szeroka droga wznosząc się coraz bystrzej pod górę, zapuściła się w piękny las świerkowy. Wkrótce na tle ciemnej zieleni ukazał się czerwony dach szwajcarskiego domku, zwolna jeden po drugim wysuwało się z lasu coraz więcej takich domków. To *Szmeks*. Przy odgłosie cygańskiej muzyki, która grywa dla przyjemności bawiących tutaj gości, wjechaliśmy do tej malowniczej osady. Rozgościwszy się w porządną i obszernej stancyi zajezdnego domu, poszliśmy na obejrzenie *Szmeksu*.

Szmeks, ulubione miejsce letniego pobytu a poniekąd i kuracyi Węgrów, zwany przez nich *łaźnią tatrzańską* (Tatra Füred) leży na północno-wschodnim krańcu Tatrów (3201 st. n. p. m.), na pochyłości góry *Bierbrunn*. Szczawy tutejsze nie mające żadnych własności leczniczych, są wyborne do picia. Woda ta zimna jak lód ma smak tak przyjemny i jest tak orzeźwiająca, że jej się odpić nie można. Z bliższych okolic przyjeżdżają po nią i zabierają w beczki. Są tu łaźienki urządzone do odbywania wodnej kuracyi; dalej oberża, t. j. piękny dom piętrowy o dwunastu oknach; prócz tego kilkanaście ślicznych i gustownych domków

szwajcarskich, rozrzuconych w malowniczym nieładzie, a służących za mieszkanie gościom. W obszernym i pięknym domu zbudowanym także w szwajcarskim guście a stojącym na wstępie do *Szmeksu*, jest wspólna sala jadalna, a oprócz tego sala zebrzań towarzyskich, gdzie się odbywają bale, koncerty i tym podobne zabawy. Z ganku i wystawy tego domu, jest bardzo rozległy widok na spizkie Podhale. Przede drzwiami jest jedno z kwaśnych źródeł pięknie ocembrowane. Patrząc na te klomby drzew i bujnych krzewów liściastych, na te prześliczne trawniki i grzędy najpiękniejszych ogrodowych kwiatów, możnaby zapomnieć, że się znajdujemy u podnoża tatrzańskich olbrzymów, ale gdy podniesiemy wzrok w górę, widzimy poważne głowy tych sędziwych patryjarchów. Łomnica, szczyt Sławkowski i Gierlachowski. Królewski Nos, to najbliższe *Szmeksu* sąsiady, spoglądające na tę osadę co niby kwiat nadobny u ich stóp rozkwita. Tak główna, szeroka droga jak i wszystkie ulice i ścieżki, są wysypane twardo ubitym piaskiem, czy jakąś tój okolicy właściwą ziemią czerwonawej barwy. W czasie suszy niema tu wcale pyłu, po deszczu zaś żadnego błota. Ścieżki te wiją się wśród domów i kwiatowych klombów, zapuszczają się w las. płaczą się i krzyżują w różnych kierunkach, tworząc najprzyjemniejsze dzikie przechadzki, przyozdobione w różnych miejscach altankami, ławeczkami, mostkami itp. Sztuka zrobiła tu wiele, a nie przekształcając natury, uwydatniła tylko jój piękności i uczyniła je dostępniejszemi.

Jakkolwiek w *Szmeksie* zbiera się bardzo liczne towarzystwo i przezywają nieraz węgierscy magnaci, jednakże jak słyszałam nie przesadzają się bynajmniej w wystawności i elegancyi. Niema tu nudnej etykiety, a następnie komerażów, niechęci i wzajemnego niezadowolonia które tak nużącym i niemiłym czynią pobyt

w niektórych naszych kąpielach, a zwłaszcza w Szczywnicy. Panuje tutaj zupełna swoboda, której każdy używa pojąc się czystym powietrzem górskim i korzystając z przyjemności dobranego towarzystwa. Przyjemne spędzenie letniej pory i wzmocnienie zdrowia, jest głównym celem bawiących w *Szmeksie*.

Nie wiem do kogo *Szmeks* należy; od roku 1833 dzierżawcą jego był Reiner Niemiec, rodem ze Spizkiej Soboty. Jemu to winien *Szmeks* urządzenie, rozwinięcie i upiększenie swoje, gdyż przedtém było tu zaledwie parę domów. Później Reiner zajmował się tylko polowaniem z bawiacami tutaj Węgrami, cały zaś zarząd prowadziła żona bardzo obrotna, gospodarna i miła kobieta. W porównaniu z innymi miejscami kąpielowemi, *Szmeks* tak pod względem mieszkania jak utrzymania, jest nadzwyczaj tanim. Po śmierci Reinerowej przed trzema czy czterema laty, dzierżawa *Szmeksu* przeszła w inną ręce, ale jak słyszałam nic się tam nie zmieniło.

Mówiłam już że Tatry spizkie nie mają przedgórzy, niema tu więc owych dolin i polan, które tak się uśmiechają, bawiącemu w Zakopanem i dostarczają miłej a nie trudzącej przechadzki tym nawet, którzy nie mogą się odważyć na dalsze wyprawy w góry. Ze *Szmeksu* wyruszają zwykle konno na zwiedzenie doliny *Felki* u stóp Gierlacha, na Łomnicę, na szczyt Sławkowski, wreszcie do doliny *Wielkiego* lub *Małego Kolbachu*. W tej ostatniej, u stóp Łomnicy, leży Pięć Stawów węgierskich; po drodze zaś można widzieć słynne wodospady Kolbachu.

Chcąc przecież zajrzeć w głąb Tatrów spizkich, umyśliśmy odbyć nazajutrz tę wycieczkę i w tym celu według miejscowego zwyczaju, udaliśmy się do p. Reinerowej prosząc o przewodnika i prowiant na drogę. Obszedłszy przechadzki które niepostrzeżenie gubią się

w pięknym lesie, wypoczywaliśmy wieczorem siedząc na dużych kamieniach ustawionych niby krzesła i ławki około ogromnej, naturalnej płyty granitu, która zastępowała miejsce stołu. Nie zapomnę nigdy tego wieczoru. Dokoła nas kwiaty wydające woń upajającą, nad nami ciemniejący błękit, a na nim rysował się ostremi liniami wspinały szczyt Łomnicki, wynurzający się z ciemnych lasów. Leciuchna mgła śnieżnej białości, otulała do połowy tę poważną i piękną turnię, a ściągając się ponad lasy, opadała coraz niżej. Wkrótce Łomnica zajaśniała w księżycowym blasku. Szmeks i Łomnica w powodzi księżycowego światła, to obraz z tysiąca i jednej nocy.

Gdyśmy powrócili do naszej kwatery, doleciały nas dźwięki muzyki; byłto ognisty, namiętny *Czardasz*. Mieszkanie nasze było w pobliżu domu w którym znajduje się sala zabawy, gdzie właśnie bal się odbywał. Byliśmy niezmiernie ciekawi tego narodowego węgierskiego tańca, ale znając wymagania zwykłej etykiety, nie sądziliśmy, żeby można wejść na salę inaczej jak w balowym stroju. Poprzestaliśmy zatem na przysłuchiwaniu się muzyce. Po niewczasie dopiero dowiedzieliśmy się, że w Szmeksie i pod tym względem zupełna panuje swoboda: każdy przychodzi na salę w codziennym ubraniu, i nasze więc skromne suknie byłyby tam uszły. Układaliśmy sobie, że następnego wieczora przypatrzymy się czardaszowi, ale jakby na przekór zamiast balu był koncert.

Nazajutrz przypadał dzień 15ty sierpnia, dzień uroczysty Wniebowzięcia N. P. Wybierając się do Szmeksu, wiedzieliśmy że tam jest kaplica gdzie się odprawia msza św. Ale spotkał nas zawód: kaplica jest wprawdzie, ale ksiądz nie mieszka stale, czasem tylko trafi się jako gość i wtedy bywa msza św. Wczoraj właśnie wyjechał ksiądz bawiący tu jakiś czas. Tak

więc w dzień ten uroczysty myślą tylko mogliśmy być przytomni najświętszej ofierze, jednocząc się z tłumami wiernych, które napełniają świątynie nasze i modły swoje składają u stóp Tej, której tryumf kościoł dziś głosi. Mielśmy przytém podziwiać cuda boskiej potęgi, cuda téj przyrody, która jest areydzieniem Jego wszechmoenėj ręki, a taki widok w duszach wierzących rozbudza zawsze religijne uczucia, usposabia je i nastraja do wzniosłej modlitwy.

Gdyśmy wyruszyli w drogę, niebo przyémione było mgłą, która zasłaniała szczyt Łomnicy i inne wynioślejsze wierchy; ale byłato mgła lekka i biała przerywająca się i rozplywająca w powietrzu w miarę jak słońce wznosiło się wyżej; nie budziła więc najmniejszej wątpliwości co do pogody. Minawszy oberżę, stojącą o ile pamiętam najwyżej ze wszystkich domów mieszkalnych w Szmeksie, zapuściliśmy się w las ścieżkami wijącemi się wśród gęstych zarośli borówek. Idąc zwolna, ale ciągle pod górę, przyszliśmy do źródła pięknie ocembrowanego kamieniami, które dawniej nosiło nazwę *Prisnitza*, później zaś nazwaném zostało źródłem *Reinera* i *Elżbiety*. Około tego źródła i dalej jeszcze po bokach pięknie utrzymanych ścieżek, widać mnóstwo najrozmaitszych drzew liściastych, strojnych świeżą zielonością. Taką przyjemną drogą dochodzimy do miejsca zwanego *Kämmchen* (4048 st.). Jestto dość obszerna polanka, zkąd najpiękniejszy przedstawia się widok. Na lewo wзира w dali wspaniały, szeroki szczyt *Gierlachowski*, a bliżej nas wierch *Sławkowski*. Przed nami piętrzą się nadzwyczaj urwiste, zupełnie prostopadłe i dzikie opoki, grzbiet strasznie poszarpany, zwany *Mittelgratt*, lub *Kalbachergratt* (7808 st.).

Pomiędzy tymto grzbietem a szczytem *Sławkowskim*, otwiera się szeroka i długa dolina *Wielkiego Kolbachu*. Dno jój zalegają masy śniegu, a w głębi leży

kilka jezior. *Mittelgratt* oddziela dolinę *Wielkiego*, od doliny *Małego Kolbachu*, położonej znacznie wyżej od tamtej, pomiędzy owym urwistym grzbietem, a olbrzymią ścianą *Łomnicy*. *Łomnica!* ach jak ona pięknie ztąd się przedstawia! Stoi tuż przed nami; szczyt jej wznosi się majestatycznie obstawiony *piórami*, jak nazywają nasi górale. Są to istne wieżyczki granitowe, równie jak sam szczyt precudnie rzeźbione. Nie trzeba zbyt bujnej wyobraźni, aby w tych wysmukłych, skalistych iglicach, dopatrzeć podobieństwa do pysznej, gotyckiej budowy, której szczyt stanowi sam wierzchołek *Łomnicy*. Jeżeli *Łomnica* od *Kiezmarku* jest wspaiałym olbrzymem, ztąd widziana, jest majestatyczną i niezrównanej piękności królową.

Wkrótce głuchy huk zapowiedział nam bliskość *Wodospadu Wielkiego Kolbachu* (*Grosser Kolbachwasserfall*). Jestto jeden z najpiękniejszych wodospadów tatrzańskich, wprawdzie nie ze względu wysokości spadku, jak raczej wielkiej obfitości wody. Powstaje on w miejscu połączenia nadzwyczaj bystrego potoku nadpływającego z doliny *Wielkiego Kolbachu*, z innym, spływającym z doliny *Małego Kolbachu*. Widać tu olbrzymie zwałiska skał granitowych, potężne bryły nagromadzone jedne na drugie w strasznym nieładzie niaby ruiny mostów lub wodociągów wzniesionych przed wieki ręką *Tytanów*, a potem okropną jakąś katastrofą obróconych w gruzy. Z tychto granitowych progów z wierzchu prześlicznie ustrojonych mchem, krzewami, a nawet kwieciem, rzuca się dwoma ramionami ogromna masa spienionej wody; burzy się, kłębi, wre, kipi, przewalając się i spadając w najrozmaitszych podskokach, a promienie słońca odbijając się w rozpryskujących się kroplach, tworzą piękną tęczę o bardzo żywych barwach.

Nie daleko ztąd, lecz znacznie wyżej, napotykamy drugi wodospad, powstający ze spadku potoku płyną-

cego z doliny Małego Kolbachu i dla tego zwany *Kleiner Kolbach Wasserfall*. Masa wody jest więcej niż o połowę mniejsza od poprzedniego, ale spadek według mnie piękniejszy. Woda rzuca się prawie prostopadle z bardzo znacznej wysokości, jednostajną wstęgą, nie odbijając się nigdzie, w głębokie, skaliste łóżysko. Patrząc z daleka, cudnie się wydaje ten śnieżny bałwan spienionej wody na tle bujnej zieloności świerków, limb i kosodrzewia.

Za wodospadem wstępując coraz wyżej i stromiej przez tak zwane *Schodki* (*Treppchen*), zdążamy do doliny Małego Kolbachu, położonej, jak już mówiłam, pomiędzy Łomnicą a skalistym grzbieciem zwanym *Mittelgratt*. Olbrzymia, skalista ściana, tak zwany *Grzebień Łomnicki* (*Lomnitzer Kamm*), piętrzy się po prawej stronie doliny, a nad tą dopiero ścianą, wznosi się sam szczyt nie wydający się tak wysmukłym i pięknym jak patrząc ze Szmekau. Jestto niby olbrzymia głowa jakiegoś Sfinksa nieco na bok skłoniąca. Grzebień Łomnicki nie jestto naga, lita opoka, owszem do samego prawie wierzchu porasta na nim trawa, a dołem ciemnieją bujne krzaki kosodrzewia. Naprzeciw Łomnicy t. j. po lewej stronie doliny, wznoszą się urwiste ściany zwane *Mittelgratt*. Trudno sobie wystawić dziksze, straszniej poszarpane skały jak te opoki nagie, prawie całkiem pionowe, nie umajone nigdzie zielonością, nie przystrojone nawet śniegiem; czarne, chropawe jakby przepalone i okopcone od ognia. Przypominały mi one podobny koloryt i dzikość Granatu. *Mittelgratt* jednak wygląda jeszcze straszniej. Grzbiet, a raczej ostra grań jego, jest jakby poszczepana na drzazgi sterczące groźnie tuż nad głową wędrowca, który z mimowolną trwożą myśli o gwałtownym wicherze, któryby, jak się zdaje mógł postrzącać te filigranowe iglice.

Od samego wstępu w dolinę, ukazuje nam się w głębi jakby wał, a raczej teras skalisty. Na tejt

wysokości leży *Pięć Stawów węgierskich*, które były celem naszej dzisiejszej wycieczki. Na tej skalistej ścianie lśniły się zdala dwie srebrzyste wstęgi. Jestto potok odpływający z Pięciu Stawów i spadający na dolinę dwoma ramionami. Dno doliny przetrzynięte tym obfitym i bystrym potokiem, jest ustrojone bardzo piękną i bujną roślinnością, a jednak niema tu życia i wdzięku dolin na północy Tatrów położonych. Głucho i pusto do koła; niesłychać hukania juhasów, ani dzwonek bydła, nie widać nigdzie szałasów. Podobno Spiszaki pasają tu konie i woły; za naszej jednak bytności nie spotkaliśmy ich nigdzie.

Uszedłszy znaczny kawał doliną, na komendę naszego przewodnika, zniemczonego Słowaka, pocziwego o ile się zdawało człowieka, choć bez iskierki żywości i dowcipu właściwego naszym góralom, zatrzymaliśmy się dla wypoczynku przy *Feursteinie*. Wyznam szczerze iż lubo przewodnik wymówił wyraźnie to nazwisko, nie wierzyłam mu i nieprzypuszczałam nawet żeby to był ów sławny *Feurstein*, owa grota o której nieraz czytałam w niemieckich opisach wyprawy na Łomnicę. Dopiero gdy w pięknym opisie K. Łapczyńskiego wyczytałam, że i jemu *Feurstein* podobnego wypłatał figła, uwierzyłam że ów pochyło leżący, ogromny kamień okopcony od ognia, jest rzeczywiście sławnym *Feursteinem*. Za daleko posuwacie swe żarty, panowie Niemcy! zdaje wam się zapewne, że nikt nie pójdzie w wasze ślady i na ten rachunek prawie nam o grocie *Feursteinu*. O podobne kamienie nie trudno w Kościelisku i innych dolinach tatrzańskich.

Feurstein jest punktem, od którego udający się na Łomnicę, zaczynają wstępować na *Grzebień*!. Widać dobrze tę ścieżkę wspinającą się w górę wśród skał i kosodrzewia; ale chociaż wejście na *Grzebień* i tak zwane *Pole Łomnickie*, nie ma nic niebezpiecznego, jest

jednak dość utrudzającym, a jak zapewnia Łapczyński, nie opłaci się widokiem jaki się ztamtąd przedstawia, bo szczyt Łomnicki sterczący jeszcze bardzo wysoko, wszystko zasłania; nim zaś kto się odważy wejść na ten szczyt, musi wprzód dobrze się obrachować z siłą nóg i głowy.

Wejście na ów teras około 6600 st. n. p. m. wzniesiony, na którym leży Pięc Stawów, jest dosyć przykre, bo trzeba wspinać się bardzo bystro pod górę po ogromnych złomach granitu. Dostawszy się tam uareszcie, mamy przed sobą widok uderzający. Zdaje nam się, że nagle zostaliśmy przeniesieni w jakąś okolicę północuėj Norwegii, takie ogromne masy śniegu zalegają tę obszerną kotlinę objętą w ramiona Kolbachu i Łomnicy w foremne zatoczone półkole. Dno téj kotliny nie jest zawałone skalistemi złomami, ale jakby wyłożone granitowemi płytami. Zaraz na wstępie spostrzegamy pierwszy, maleńki stawek, z którego wypływa ów potok rzucający się w dolinę. Dalej na prawo pod samą ścianą Łomnicy, leży drugi staw największy ze wszystkich i bardzo piękny w kształcie podkowy. Trzeci także dość znacznej wielkości, na lewo ku Kolbachowi; czwarty najmniejszy, leży najwyżej (6600 st.); piąty także maleńki. Stawy te są tak blisko siebie położone, że w pół godziny wszystkie obejść można.

Zdaje się że zima która w kotlinie Pięciu Stawów obwarowanej potężnemi ścianami Kolbachu i Łomnicy, znalazła bezpieczne schronienie, odpłacając doznana gościnność, powstrzymała swój lodowaty oddech, bo nie zmroziła bynajmniej bujnej roślinności jaka się tu rozwija tuż obok śniegu. Wprawdzie prócz paru karłowatych krzaków kosodrzewia, nie widać tu innego drzewa lub krzewu, ale trawa gęsta, bujna, usiana różnobarwném kwieciami, zaprasza do wypoczynku. Gdy odwrócimy wzrok od olbrzymich turni opasujących ko-

tlinę i skierujemy go w przeciwną stronę, mamy widok precudny. U stóp naszych malownicza dolina Kolbachu, a w mglistej dali równina spizka, gęsto zasiana wsiami, których białe domki i wieże kościołów, bardzo pięknie się wydają.

Gdy tak rozpatrywaliśmy się po okolicy, zwróciło uwagę naszą ciche, urywane świergotanie ptasząt: były to siwarki. Zdziwione jak się zdaje przybyciem naszym w tę odludną ustron, podlatywały blisko nas, siadały na kamiennych brzegach stawów, a szczebiotaniem swoim zdawały się pytać, pociśmy tu przyszli? Biedne ptaszęta nie znające ludzi, nie obawiały się zdrady. Widzieliśmy tu i motyle przelatujące z kwiatka na kwiatek. W okolicy tak odludnej i dzikiej, cieszą i zajmują te objawy życia; otoczeni martwą przyrodą, witamy każdą żyjącą istotę przyjacielskim uśmiechem jakby nam pokrewną.

Jeszcze słońce było wysoko gdy powróciliśmy do Szmeksu, a nazajutrz o świcie pożegnaliśmy to urocze miejsce, które długo potem i dotąd jeszcze, przedstawia się pamięci mojej jak senne widzenie. W powrocie pojechaliśmy z Kiezmarku już nie na Białą, ale na wieś niemiecką *Rakuzy* (Roks), którądy droga znacznie bliższa¹⁾. Tegożsamego dnia późnym wieczorem stanęliśmy w Zakopanem.

~~~~~

Opisawszy szczegółowo ważniejsze wycieczki moje, wspomnę jeszcze pokrótce o kilku miejscach godnych zwiedzenia w razie dłuższego pobytu w Zakopanem, tak w jego pobliżu, jak i głębiej w Tatrach położonych.

---

<sup>1)</sup> Ktoby nie chciał powracać ze Szmeksu do Zakopanego, może się udać bitym gościńcem prowadzącym z Kiezmarku na *Białą* i *Starą Wieś* do *Czerwonego Klasztoru* i stamtąd w sposób opisany przezemnie w dalszym ciągu tego dziełka, zwiedzić *Pieniny* i *Szczawnicę*.

Pod modre niebo góry się jeżą,  
Śniegi tam zimą i latem leżą;  
W nizinach szumią wody rozliczne,  
Przy wodach bujne łąki prześliczne,  
Po skałach ciemne świerki się chwieją,  
Jak zajrzysz, góry w mgłach błękitnieją.  
Tak ci tam rażno, tak nic nie trzeba,  
Jakbyś na prawdę trafił do nieba!

T. L.

---

### Strążyska.

Piękna ta i bardzo malownicza dolina, odległa o małe ćwierć mili od Zakopanego, leży u stóp Giewontu. Droga do *Strążysk* prowadzi przez łąki, pola i pastwiska; w samej zaś dolinie ma tę tylko niedogodność, że parę razy trzeba przebywać po kamieniach potok zwany *Młyniska*. Kto jednak nie zna drogi, nie parę, ale kilka razy przeprowiać się musi przez potok, co w niektórych miejscach jest trudnym, zwłaszcza dla kobiet; dla tego idąc na *Strążyska*, należy wziąć przewodnika. Pomiędzy skałami otaczającymi *Strążyska*, odznaczają się trzy zupełnie prostopadłe, stojące rzędem niby wspaniałe kolumny. Zowią je tutaj *Mnichami*, którąto nazwę dają górale każdej odosobnionej, a wysmukłej skale. W głębi doliny piętrzy się nadzwyczaj majestatyczny, a ogromem swoim zdumiewający Giewont. Przy

stósowném oświetleniu, zwłaszcza ku zachodowi słońca, przecudnie się uwydatnia rzeźba téj olbrzymiej, pionowej ściauy, w której rozlicznych załamkach i ustępach, zielenią się smugi trawy i porostów strojących tę opokę, która patrząc zdala, wydaje się całkiem naga.

W samym końcu doliny, jest bardzo piękny wodospad zwany *Siklawicą*. Dość obfity strumień wody w śnieżną zamienioną pianę, spada dwoma piętrami ze skalistej, zupełnie prostopadłej ściany, odzianej zielonym mchem, uwiecznionej splotami bukowych i świerkowych gałęzi.

Ze Strążysk jest wcale łatwe przejście do doliny Mało-Łąki, udawszy się głębokim wąwozem po prawej stronie doliny, wprost polany i szałas, a nie zaś od wodospadu przez *Swistóbkę* i *Warzechę* około ściany Giewontu.

Do Strążysk można się wybrać dopiero po południu, a w powrocie zwiedzić dolinę zwaną

### Biała,

gdzie także jest piękna polana. Dolinę tę ciasną i dziką, przerywa bystry potok zwany *Białą*, około którego prowadzi ścieżka, wspinająca się później po uboczu skalistego wzgórza. Ta jej część jest bardzo piękną, zwłaszcza po południu, gdy słońce oświeca lasy i skały na przeciwniej stronie doliny.

### Dolina za bramą.

Na zachód obu tych dolin, uajwięcej ćwierć mili od kościoła zakopiańskiego, wprost zabudowań zamownego gospodarza Krzeptowskiego, leży mała dolinka, zwana *za bramą*. Dwie niezbyt wyniosłe skały, które otwierają wstęp do niej, tworząc naturalną bramę, nadały jej zapewne tę nazwę. Po obu stronach téj wąskiej i krętej dolinki wznoszą się góry, których pochy-

łość stroi świeża pięknych buków zieloność, tym miliej wpadająca w oko, że odwykliśmy tutaj prawie zupełnie od widoku drzew liściastych. Z tej jasnej, majowej zieleni, wychylają się skały uderzające podobieństwem do ludzkich postaci. Tu na szczycie opoki klęczy zakonnik ze złożonymi rękami i wzniesioną ku niebu głową, tam stoi posag przypominający postać, w jakiej zwykle przedstawiają św. Antoniego z dzieciątkiem Jezus na ręku, dalej jakby jeden z ewangelistów siedzi na odłamie skały i t. p. Podobieństwo jest tak łudzące, że dopiero po dokładnem przypatrzeniu się poznajemy, że te postacie nie są dziełem ręki ludzkiej, ale tylko przypadkowym dziwactwem natury.

#### Dolinka ku Dziurze.

Pod *Małą Swinnicą* leży dolinka zwana *ku Dziurze*, którą Zakopianie zwykli najpierw pokazywać każdemu z nowo przybyłych, jakby największą osobliwość Tatrów. Rzeczywiście jednak niema tam nic godnego widzenia; owa *Dziura*, która nadała nazwę dolinie, jestto niewielka jaskinia mająca w sklepieniu utwór nakształt okna. Drzewa rosnące na wierzchu, zasłaniają to naturalne okno, co piękny sprawia widok, zwłaszcza gdy promienie słońca przeświecają przez gałęzie buczyny okryte delikatnym, jasno zielonym liściem.

#### Jaszczurówka.

O parę godzin drogi od Zakopanego za Nosalem, ową skalistą górą stojącą na wstępie do doliny w której leżą Kuźnice, znajduje się źródło zwane *Jaszczurówką* lub *źródłem salamandrowém*, z powodu, że w pobliżu jego pod kamieniami przebywa mnóstwo salamander<sup>1)</sup>. Obfite to źródło zasługuje na uwagę z tego

<sup>1)</sup> Są to jaszczurki niekiedy na pół łokcia i więcej długie, koloru żółtego w czarne, pięknie ułożone plamy.

względu, że temperatura jego jest nierównie wyższa niż wszystkich innych tatrzańskich źródeł. Gdy bowiem źródła tamiczne mają zazwyczaj 3° do 5° R., Jaszczurówka ma 16° do 18° R.

Górale od dawna używają téj wody w różnych słabościach, osobliwie na ból oczu, a chemiczny rozbiór wykazał w niéj własności lecznicze. Postawiono więc nad źródłem łaźienkę, zbudowano dom mieszkalny dla gości, ale to nie jest jeszcze dostatecznym aby chorym zapewnić wygodę i przyjemność w tak odludnym miejscu. To téż prawie nikt tu nie mieszka, a kąpieli w Jaszczurówce używają dla przyjemności goście dojeżdżający codziennie ze Zakopanego lub Kuźnic.

Droga pieszka do Jaszczurówki ze Zakopanego, prowadzi przez wzgórze zwane *Koziniec*, skąd prześliczny widok na dolinę w której leżą Kuźnice.

#### Gubałówka.

Opisując dolinę, w której leży Zakopane, wspomniałam, że od północy ogranicza ją wzgórze *Gubałówką* zwane (3542 st.). Życzę każdemu być na tym wyniosłym grzbiecie, gdyż stamtąd można użyć bardzo wspaniałego widoku na Tatry rozciągające się całym łańcuchem od turni spizkich do orawskich, na nowotarską dolinę, Babią-górę i całą precudną okolicę. Zwłaszcza gdy sprzyja pogoda i mgły nie wałęsają się po górach, widok ten jest piękny nad wszelki opis. Najwygodniej wejść można na Gubałówkę, przeszedłszy po kładce potok tuż za plebanią i udawszy się potem przez *Gładką* ścieżkami wijącemi się po pochyłości wzgórza. Bliższe, ale za to przykrzejsze wejście, jest przez tak zwaną *Walową górę*.



### Wołowiec.

Jednym z najdostępniejszych wierchów tatrzańskich, jest *Wołowiec* (6530 st.), położony na zachodnim ich krańcu, na granicy orawskiej. Nie tylko widok z tego wyniosłego szczytu bardzo rozległy i piękny, ale zarazem poznanie całkiem nowój okolicy, zachęca do odbycia téj wycieczki, na co przy sprzyjająćej pogodzie potrzeba półtora dnia.

Wołowiec wzuosi się w dolinie *Chochołowskiej* ciągnąćej się w kierunku równoległym do *Kościeliskiej*, lecz daléj na zachód położonéj. Najawszy wózek i wzięwszy przewodnika ze *Zakopanego*, można wyruszyć w drogę dopiero po południu. Zostawiwszy na lewo dolinę *Kościeliską*, zwracamy się szeroką, lecz błotnistą i pełną wybojów drogą w las, wśród którego napotykamy kolejno piękne polany: *Rostoki*, *Biały potok* i *Siwą*. Tu sterczą tuż nad drogą wspaniałe i prostopadłe opoki zwane *Skalą Siwiańską*. Jesteśmy już w dolinie *Chochołowskiej*. Boki jéj zrazu bardzo rozłożyste, zbliżają się, i piętrzą po obu stronach niby olbrzymie ściany, na dnie huczy szeroki i bystry potok. Napotykamy tu źródło obfitsze i większe niż opisane przezemnie w *Kościelisku*. Nierównie téż słuszniej niż tamto, uważaćby je można za źródło *Czarnego Dunajca*, lubo rzeka ta nie ma właściwie jednego źródła, ale powstaje z połączenia dwóch obfitych potoków, t. j. *chochołowskiego* i *kościeliskiego*, nie licząc innych pomniejszych.

Dolina *Chochołowska* ma całkiem odmienny charakter od sąsiedniéj *Kościeliskiej*. Jest najprzód nierównie szersza; powtóre boki jéj stanowią nie owe piękne, prostopadłe i różnoksztaltne skały, które podziwiamy w *Kościelisku*, ale raczój wyniosłe grzbiety gór okrytych lasami i polanami. Polany te są bardzo rozległe; mnóstwo na nich szałasów, liczne stada owiec,

wielki ruch ludzi i bydła; życie pasterskie rozwija się tutaj w całej pełni. Z pomiędzy gór otaczających dolinę, wymieniam *Kominy Dudowe* zwane także *Dudzińcem* (4260 st.), *Jambur*, *Bobrowiec* (5184 st.), *Trzydniówka* (5386 st.), *Kryta* (3888 st.) i w. i. *Wołowiec*, *Uplaz* (6360 st.) i *Hruby Wierch* (6743 st.) zamykają dolinę od południa.

Dolina Chochołowska rozgałęzia się na kilka pobocznych dolin: jak *Jarzębca*, *Trzydniówka*, *Starorobociańska* i inne. Każda z tych dolin zasila obfitym potokiem główny strumień płynący przez dolinę Chochołowską. Począwszy od polany zwanéj *Huty*, bardzo malowniczo położonéj, dolina Chochołowska ścieśnia się, a po obu jéj stronach występują skały przystrojone roślinnością, i przypominają nam urocze Kościelisko. Niebawem przyjeżdżamy, a raczéj przychodzimy na tak zwaną polanę Chochołowską; droga bowiem tak jest kamienista, że niepodobna dosiedzieć na wózku i daleko lepiej iść piechotą. Na téj polanie stoi kilkanaście szałasów i szop na siano. Tak tu ludno, gwarno, wesoło, że łatwoby można zapomnieć, iż miejsce to jest tylko letniem koczowiskiem górali i wziąć je raczéj za stałą osadę. Tu można mieć, jak w górach, wygodny nocleg, zwłaszcza trafiwszy w porę po zbiorze siana, które składają na poddaszach szop, a poczciwi gazdowie z Chochołowa do których należy polana, najgościńniej zapraszają podróżnych na to wonne postanie.

Nazajutrz o świcie, trzeba wyruszyć w drogę pieszo, wózek bowiem na nic się już nie przyda. Zostawwszy na lewo polanę *Jarzębca*, i idąc zwolna lecz ciągle pod górę, przychodzimy na halę *Jarzębca* u stóp *Wołowca*, który wznosi się tuż przed nami. Kształt jego przypomina *Pyszna*, nie wydaje się jednak tak wspaniale jak tamta. Kosodrzewina zajmuje tu już miejsce *świerków*. Orzeźwieni wyborną wodą ze źródła bijącego

z pod Wołowca a dającego początek owemu bystremu potokowi, który nam dotąd towarzyszył, zaczynamy wstępować na górę po lekkiej pochyłości zasłanej bujną trawą. Tak dostajemy się na grzbiet Wołowca i już odtąd postępując granią jego, dochodzimy niebawem na sam szczyt tak wygodnie, że z łatwością możnaby tam nawet konno dojechać.

Widok z Wołowca jest bardzo rozległy; uderza nas szczególniej piętrząca się ku zachodowi grupa dzikich, granitowych turui już na Orawie leżących. Są to *Rohacze* (6596 st.). U ich stóp otwiera się obszerna dolina z trzema niewielkimi stawami. Inne doliny, jak *Stuziennica*, *Podbielska*, *Zuberska*, rozbiegają się z pod stóp wyniosłych wierchów jak *Zuberce*, *Osobita*, *Salatyn* i inne. Od południa widzimy wysmukłą skalę, niby narożna baszta, zwaną *pod kobyłą głową* i dolinę *Jamnicką*, a ku wschodowi ciągną się nieprzerwanym łańcuchem znane nam dobrze wierchy: *Stara Robota*, *Pyszna*, *Czerwony Wierch*, *Giewont*, *Koszysta*, *Swinnica*. Ta ostatnia wydaje się stąd prawdziwie majestatycznie, tak jak jej znikąd jeszcze nie widziałam. W dali piętrzą się bardzo stąd oddalone spizkie olbrzymy, których szczyty tylko dobrze obeznany z miejscowością rozróżnić i nazwać potrafi.

Poza Tatrami widzimy rozległe, do nich przypie-  
rające doliny, gęsto zasiane wsiami. Pod same stopy Babięj góry rozciąga się Orawa, a dalej ku północy nowotarska dolina. Od południa leży Liptów ograniczony pasmem Niższych Tatrów.

### Jaworzyna Rusinowa.

Najpiękniejszą ze znanych mi polan tatrzańskich, jest bez zaprzeczenia *Jaworzyna Rusinowa*, leżąca u stóp *Wołoszyna*. Ze Zakopanego potrzeba dwa dni czasu na tę wycieczkę, którą w dwojaki odbyć można sposób: t. j. dojeżdżając wózkiem na tę polanę, lub też idąc pieszo drogą o wiele bliższą. Ta ostatnia droga jak słyszałam od dobrych przewodników, jest wcale wygodną; prowadzi przez *Jaszczurówkę*, a dalej lasami na polanę *Waksmundzką* u stóp *Koszystej*, skąd potem, przebywszy lesisty lecz niezbyt wysoki i przykry grzbiet, dostajemy się na polanę *Rusinową*. Drogą wozową trzeba objeżdżać znacznie dalej, bo na *Bukowinę*, a stamtąd na polanę *Głodówkę* leżącą już na drodze do *Morskiego Oka*. Od téj polany, skąd majestatyczny przedstawia się widok na całe pasmo *Tatrów* od *Murania* do *Osobitéj*, uboczna i kamienista droga, zwraca się na prawo i prowadzi na polanę *Rusinową*.

Stoi tu kilka szałasów, należących do pojedynczych gazdów; najznacniejsza jednak część téj polany jest własnością ks. K., obecnie wikarego w *Lubniu*, który ją otrzymał w spadku familijnym. Parę razy do roku, a zwłaszcza w porze sianokosu, przyjeżdża on na swoją polanę i bawi po parę dni. Ma tu nawet zbudowany maleńki domek o jednéj izdebce. W tym domku można mieć wygodny nocleg w razie niebytności właściciela, który tego nie broui i owszem zaleca nawet swojej *czeladzi* doglądającej bydła na polanie, gościunie przyjmować podróżnych.

Z *Jaworzyny Rusinowej* najwspaniałej przedstawia się olbrzymia turnia *Lodowa*, piętrząca się jakby tuż przed nami w całym ogromie, nie przysłoniona niczém. Bardzo pięknie także wydają się *Murań* i *Hawrań* ostatnie strażnice *Tatrów* na wschodzie. U stóp ich widać

rozległe polany i doliny *Galajdówkę* i *Koperszady*. Dalej ku południowi występują olbrzymie granitowe turnie jakoto szczyt *Gierlachowski*, *Wysoka*, *Ganek*, *Rysy*, *Żabie* i inne. Widać w całej rozciągłości malowniczą dolinę *Białej-wody* z potężnym *Młynarzem* w głębi; obok niej otwiera się nadzwyczaj dzika i wysoko położona kotlina *Żabich Stawów* zavalona masami śniegu, a po części i kotlina *Morskiego Oka*. Bliżej nas mamy północny bok doliny *Białki*, a zeszedłszy nieco niżej, widać w głębi drogę do *Morskiego Oka* i szalasy na wstępie do doliny *Roztoki*.

W najbliższém sąsiedztwie *Jaworzyny Rusinowej*, bo tuż nad nią ku zachodowi, sterczą dwie potężne turnie, dwa skaliste i dziko poszarpane grzbiety, przedzielone przepaścistą dolinką. Jestto *Koszysta* i *Wołoszyn*. Wyszędłszy nieco wyżej na wzgórze wznoszące się nad polaną, zwane *Gęsią szycą*, mamy widok jeszcze piękniejszy i rozleglejszy, bo prócz powyżej wspomnianych szczytów, widać *Giewont*, *Czerwone Wierchy*, polaną *Królową*, halę *nad Stawami* i całą okolicę *Czarnego Stawu*, pod *Kościelcem*.

Lubownikom pięknych widoków, którzy nie czują się na siłach potrzebnych do wchodzenia na wierchy tatrzańskie, polecam *Jaworzynę Rusinową*, a ręczę że nie pożałują nie wielkiego trudu.

### Koperszady Białskie.

Niezmordowanych górskich wędrowców, chciałabym namówić na jedną jeszcze wycieczkę, w której zobaczą na poważném i surowém obliczu tatrzańskich olbrzymów, wdzięczny uśmiech najpiękniejszej, najbujniejszej roślinności.

Chcąc zwiedzić *Koperszady*, dolinę położoną u stóp *Hawrania* a zarazem wejść na *Kopę* (5844 st. n. p. m.)

obok której jest przełęcz, którą wygodne przejście a nawet konny przejazd na Podhale spizkie, trzeba rachować na trzy dni pogodne. Na długim dniu lipcowym, można wyjechać ze Zakopanego dopiero po południu, nie później jednak jak o godzinie drugiej, znaną drogą na Bukowinę i Łysą polanę. Tutaj przeprawiwszy się przez Białkę na węgierską stronę, może w godzinę dojeżdża się lasami do *Jaworzyny*, osady hutniczej, gdzie są Kuźnice i gdzie można zanoćować. Kto zaś przekłada nocleg w szałasie lub szopie góralskiej nad żydowską karczmę, ten może zdążyć na niedaleką, a bardzo malowniczo położoną polanę *Galajdówkę*, gdzie najgościwiej przyjętym będzie od górali ze wsi podtatrzeńskich. Nazajutrz ze wszelkiem bezpieczeństwem można tu zostawić furmana z wózkiem i rzeczami, a z zakopiańskim przewodnikiem, lub w braku tego z miejscowym juhasek, wyruszyć pieszo do doliny *Koperszad*.

Na tej pięknej szerokiej i rozkosznej dolinie, wypasają się już nie tylko owce, ale stada siwych wołów węgierskich, a roślinność tutejsza w prawdziwe wprawia zdumienie. Tak dno doliny jak i wysokie, położyste upłazy po obu jej stronach, zaściela nadzwyczaj bujna i gęsta trawa, usiana najpiękniejszym kwieciem. Tutajto dopiero lubownik kwiatów może do woli upieścić oko różnaitością najcudniejszych barw i kształtów! Jest pomiędzy nimi wiele znanych nam już alpejskich gatunków, ale wszystkie rosną tutaj bez porównania bujniej, są daleko większe i mają świetniejszą barwę. Goryczka szafirowa, lilla, żółta nakrapiana, fijołki i pierwiosnki żółte, ponsowe *hieracium*, niezapominajki błękitne i różowe, dzwoneczki lilla i białe, strzępiaste różowe wonne goździki; ale któż wyliczy te wszystkie kwiaty które z pośród najświeższej zieloności wychylają kielichy swoje zwracając je ku słońcu? Wyznam szczerze, iż jakkolwiek widok gór ma zawsze dla mnie niezwykły urok i nie

powszednieje mi nigdy, gdy jednak weszliśmy w dolinę Koperszad, nie wiele zwracałam uwagi na ów potężny szczyt *Głupiego Wierchu* wznoszący się wspaniale po prawej stronie, na urwiste i różnokształtne skały *Murania* i *Hawrania*, a zajmowałam się jedynie cudnymi kwiatami, z pomiędzy których wybierałam najpiękniejsze, aby je zasuszyć na pamiątkę. Żał mi było je zrywać, ależ trudno oprzeć się pokusie.

Jak już wspomniałam, przez *Koperszady* i na *Kopę* prowadzi wygodna i dla jezdnych nawet dostępna ścieżka. Stanąwszy na miejscu, mamy przed sobą jeden z najwspanialszych górskich widoków. Tatry rozwijają się przed nami długim łańcuchem, a najmajestatyczniej występują groźne spizkie olbrzymy w których przysionku stoimy. Gdy zaś oko wybiegnie po za obręb tych granitowych murów i wieżyc, na rozległej, mgłą oddaleni szarzejącej podhalskiej równinie, napotyka mnóstwo bielejących spizkich wsi i miasteczek, w pośród których znający okolicę, odróżni *Kiezmarek*, *Białą* a nawet *Koszyce*.

Z *Kopy* można jeszcze zwiedzić *Staw Zielony* u stóp turni *Baranie rogi* (*Karfunkelturm*), nic jednak o nim powiedzieć nie mogę, prócz że ma być godnym zwiedzenia, i że ztamtąd można powrócić wieczorem na *Galajdówkę*, gdzie wypada znowu zanocować i dopiero nazajutrz wybrać się z powrotem do Zakopanego.

---

Opuszczając Zakopane mamy przed sobą dwie drogi: albo znaną nam już przez Poronin, Białą Dunajec i Szaflary do Nowegotargu, lub też inną, biegnącą ku zachodowi około doliny Kościeliskiej na *Witów*, *Chocholów* i *Czarny Dunajec*, także do Nowegotargu. Kto chce zwiedzić dotąd nie znaną sobie okolicę Podhala i wsie których nazwiska każdemu zapewne obily się o uszy, wybierze bez wątpienia tę ostatnią drogę, jakkol-

wiek nieco dalszą, a po części mniej wygodną niż pierwsza. W takim razie najlepiej wyruszyć ze Zakopanego po południu, żeby na noc ściągnąć do Nowegotargu.

Do Kościeliska droga prowadząca po pod Regle, już nam dobrze znana; pożegnawszy ostatniem spojrzeniem tę uroczą dolinę otwierającą się na lewo t. j. ku południowi, zwracamy się około tartaku w stronę północno-zachodnią, oddalając się od Tatrów. Piękny las świerkowy towarzyszy nam w drodze, zresztą nie bardzo wygodnej bo pełnej wybojów i kamieni. Tak przybywamy do *Witowa*, wsi rozległej i porządnie zabudowanej. Okolice bardzo piękna, ziemia żyzniejsza niż w Zakopanem; żyto i jęczmień kołyszą się na zagonach; groch tyczny i kapusta bardzo dobrze się udają. Tatry przedstawiają się stąd bardzo wspaniale, zwłaszcza zachodnia część tego pasma i Giewont stanowiący środek całego łańcucha. Rozległą równinę rozciągającą się ku zachodowi, zamyka poważna Babia góra.

Zostawiwszy na prawo wieś *Dzianisz* zbudowaną po części na pochyłości wzgórza, po części zaś w dolinie, przybywamy niebawem do wsi *Chochołowa*. Obok niskiego, drewnianego, wiekiem szerniałego kościołka tutejszego, który stoi, a raczej chwieje się wśród sędziwych lip tak wspaniałych i pięknych jakich nie zdarzyło mi się napotkać nigdzie na Podhalu, w ostatnich kilkunastu latach wzniesiono nowy kościół, zbudowany po największej części z ciosowego kamienia. Fundatorem jego był Ks. Wojciech Błasiński proboszcz Sidziński, rodem z Chochołowa. On to w r. 1851 zaczął stawiać ten kościół, zbierając składki w całej okolicy, obracając na ten cel własne dochody i zachęcając do współdziałania w pracy wszystkich parafijan. O ile tylko pozwalały mu obowiązki pasterza dość oddalonej *Sidziny*, doglądał osobiście budowy. W piętnaście lat stał się bardzo wspaniały i piękny, miedzią pokryty kościół.



W r. 1866 dnia 11 sierpnia, gdy po skończonéj budowie więzy rozbierano rusztowanie, a Ks. Błasiński według zwyczaju doglądał téj roboty, ugodzony w głowę spadającą z wysokości belką, padł zabity na miejscu. Śmierć jego na krótki tylko czas wstrzymała postęp budowy, którą prowadzi dalej z pozostałych składek Ks. Kossek, wikary dawniej sidziński, a obecnie chochołowski. Dano już sklepienie i posadzkę, a obecnie zajmują się urządzeniem wnętrza kościoła i pobocznych kaplic. Kościół chochołowski który jest prawdziwą ozdobą Podhala, wkrótce zapewne ukończonym zostanie i będzie pomnikiem kapłańskiej gorliwości ks. Błasińskiego i ofiarnéj pobożności poczciwego ludu górskiego.

Lud w Chochołowie roślejczy, dorodniejszy niż w Zakopaném, Poroninie i całej taniejszój okolicy; szlachetność będąca wybitną cechą rysów Podhala, maluje się jeszcze wyraźniej na twarzach tutejszych mieszkańców i mimowolny dla nich wzbudza szacunek. Temu wyrazowi twarzy, odpowiada cała postawa pełna powagi i godności, a obok tego dzielności i siły którój umieją użyć w dobréj sprawie.

Z Chochołowa prowadzi droga na *Czarny Dunajec*, wieś rozległą i zamożną, którój murowane domy nadają pozór miasteczka. Co do handlu, *Czarny Dunajec* współzawodniczy z Nowymtargiem, gdyż kolejno w obu tych miejscach odbywają się jarmarki co drugi poniedziałek. Pożar w r. 1859 zniszczył wieś i kościół tutejszy, który odbudowano bardzo pięknie za staraniem miejscowego proboszcza.

Zostawiając na boku Ludźmierz, jedną z najdawniejszych osad na Podhalu, przybywamy do Nowego-targu.



## Czorsztyn, Pieniny, Krościenko, Sącz Stary i Nowy.

---

O te skarby, te obrazy  
I natury i swobody  
Chwytaj, póki jeszcze młody,  
Póki w sercu jeszcze rano,  
Bo nie wrócą się dwa razy,  
A schwycone pozostaną . . .  
Nie wrywaj się z gościny,  
Gdy cię losy tam zawiodą,  
A z powrotem puść się wodą  
Na Dunajcu przez Pieniny.

Idąc za radą ulubionego Wieszcza, którego słowa tu położyłam, gdy nam przyjdzie pożegnać cudne okolice Podhala, którym winniśmy tyle niezatartych wrażeń, tyle najmielszych wspomnień, chciejmy uzupełnić tę przejażdżkę poznaniem *Czorsztyna*, *Pienin*, *Szcza-wnicy* i czarujących okolic *Sącza*, które do nieopisanych piękności, łączą jeszcze urok wspomnień dziejowych. Zamiast więc wracać tąsamą drogą, jaką przybyliśmy do Nowegotargu, udajmy się gościńcem prowadzącym ku wschodowi brzegiem Dunajca, którego ramiona, Czarny i Biały, płynące jak wiemy z Kościeliska i Zakopanego, tuż za miastem w jedną łączą się rzekę. Okolica, którą przebywamy jadąc do Czorsztyna, dwie

mile od Nowegotargu leżącego, jest bardzo ludna, zasiana gęsto wioskami. Pierwsza, przez którą przejeżdżamy, jest *Waksmund*, dalej *Ostrowsko* i *Łopuszna*, w której pobyt tak miłe zostawił wspomnienia natchnionemu Śpiewakowi *Sobótki*. Wylewy Dunajca, który szeroko rozlewa się po dolinie zatapiając pola i łąki, są prawdziwą klęską dla tych okolic. Wsie w tych stronach nie tak już porządnie i pięknie zabudowane, jak pod Tatrami; lud także nie tak dorodny i zamożny, choć urodzaje nierównie lepsze. Minąwszy *Harklową*, jedziemy przez wieś *Dębno*, pod którą Białka wpada do Dunajca, stanowiącego odtąd granicę od Węgier. Na przeciwnym brzegu tej rzeki, a zatém na Spiżu, bieleją się w niewielkiej od siebie odległości dwa ładne miasteczka *Nowa Biała* i *Frydman*. Jan III wracając przez Węgry po odsiecz Wiednia, wstąpił do Frydmanu i w tutejszym kościele składał dziękczynne modły za odniesione zwycięstwo. Odjeżdżając hojnie obdarował kościół.

Za wsią *Maniowami*, dolina Dunajca dotąd szeroka i otwarta, zwęża się coraz więcej. Dwa pasma skalistych wzgórzów podnoszą się zwolna po obu brzegach rzeki i tak ścieśniają dolinę, że między niemi a Dunajcem zaledwie przeciska się droga. Śliczne są te wzgórza, szczególnie na węgierskim brzegu; okrywają je piękne świerkowe lasy, z pośród których wychylają się białe lub bladoróżowe opoki marmurowe; miejscami widać skały amonitowe tak czerwone jak szwedzki marmur.

Już zdawało się, że stoją na równinie; ale w miarę jak zbliżaliśmy się do nich, spuszczać się w coraz ciśniejszą i prawie w wąwóz przechodzącą dolinę, wspinały te zwaliska coraz poważniej górowały nad okolicą. Wysoka, urwista, stroma skała, stercząca gro-

źnie nad samym brzegiem Dunajca, stanowi posadę zamku; na jój południowym boku podnoszącym się zupełnie prostopadle, stoją rozwaliny warownego niegdys̄ Czorsztyua. Rozburzone baszty, sterczące jak kościotrupy, poszczerbione, w gruzy rozsypujące się mury, smutny zniszczenia przedstawiają obraz, tém smutniejszy, że to zniszczenie nie jest dziełem nieubłaganego czasu, ale chciwości ludzkiej.

Czorsztyu, jak większa część naszych zamków warownych, był odnowiony i wzmocniony przez Kazimierza Wielkiego. Pierwsza atoli wzmianka o Czorsztywie napotyka się już pod r. 1241. R. 1335 i 1339 przejeżdżał tędy Kazimierz W. do Wyszehradu, a 1369 do Budy, celem umówienia następstwa tronu dla siostrzenca swego Ludwika, króla węgierskiego. Tędy przejeżdżali Ludwik, tędy Jadwiga do Polski. Tędy przejeżdżał Władysław Jagiełło 1412 i 1419 r. do Lubowni na Spiżu, aby się widzieć z cesarzem Zygmuntem i ułożyć się o wygnanie Krzyżaków z Prus, Weneccyan z Dalmacyi, Wołoszy i Turków z Europy. Roku 1423 wyruszył ztąd Władysław Jagiełło w czwartą niedzielę postu, a spotkawszy się na polach pobliskiej wsi *Sromowiec* z cesarzem, udali się obaj do Kiezmorku, gdzie traktat przyjaźni spisali.

Między latami 1398 a 1403 Grot Słupecki herbu Rawicz i Jan Rogala, wywołani z kraju za zabicie Jana Ossolińskiego kasztelana wiślickiego, ztąd rozboje szerzyli. Wreszcie zdobyto zamek, Słupecki uszedł, a Rogala pojmany długo zostawał w więzieniu, aż go za przyczyną Zawiszy Czaruego starosty spizkiego, uwolniono. R. 1434 rozbójnicza banda Czechów i Rusinów obwarowawszy się w Czorsztywie, okolicę niepokoiła. Tu pożegnał się Władysław Warneńczyk z matką Zofią i bratem Kazimierzem, udając się 1440 roku do Węgier. Roku 1651 Aleksander Napierski z Goctawskim,

poduszczony przez Chmielnickiego podburzył górali Podtarza, i uciekał bez straży będący zamek. Piotr Gembicki biskup krakowski, zebrawszy własnym kosztem wojsko, pochwycił Napierskiego, którego u szubienic kazimierskich na pal wbito. R. 1655 czy 1656, Jan Kazimierz uchodząc przed Szwedami, szukał tu schronienia; ale nadciągające wojska najezdnicze, zmusiły go do udania się do Lubowni. W zamieszkach za Stanisława Leszczyńskiego, okolica ta bardzo wiele ucierpiała przez ucisk i łupieztwa własnych i obcych wojsk, mianowicie Teodora Lubomirskiego starosty spizkiego, stronnika Fryderyka Augusta III, i przez oddział Moskali pod dowództwem niejakiego Komiuka i Darowskiego w Moskwie wychowanego szlachcica polskiego, którzy na wiosnę 1734 i pod jesień 1735 r. wielkie w starostwie czorsztyńskim i w samym Czorsztynie szkody czynili.

Przed kilkudziesiąt laty, Czorsztyń jeszcze był mieszkalnym. Goszczyński wspomina, że znał człowieka, który biesiadował w komnatach zamkowych, a w Krościenku umarł niedawno temu sędziwy góral (Guszkiewicz), co także pamiętał ten zamek, gdy jeszcze był całym. Świętokradzka ręka targnęła się na ten szanowny pomnik ubiegłych wieków; z murów Czorsztyna brano cegłę i kamienie na budowanie gorzelni czy też innych zabudowań gospodarskich, w wiosce rozsypanej u stóp góry zamkowej i uazwę Czorsztyna noszącej. Nie pojmuję, jak można mieć tak mało uszanowania, tak mało przywiązania do pamiątek przeszłości, które ochraniać i zachowywać z czcią religijną należy! Nie można się oprzeć rozrzewnieniu, patrząc na te zwaliska jeszcze tak wspaiałe, które zapewne już nie długo będą panować okolicy. Czas i żywioły przyjdą w pomoc niszczącej ręce człowieka, dokończą rozpoczętego dzieła. Napróżno Czorsztyń, jakby zgrzybiały starzec,

wyciągający błagalnie wyschłe i drżące już ręce, dźwiga ku niebu nawpół rozwalone baszty; nikt go nie poratuje, nikt nie podeprze. Nadciągnie burza, zabuczy grzmot, błysnie piorun, zawyją wiatry, runą w gruzy odwieczne mury i wkrótce może wielkich naszych królów pamiątka, zniknie ze szczytu skalistej góry, której czoło od tylu wieków wieńczyła.

Było samo południe, upał nieznośny; pomimo to ndaliśmy się prosto na górę, chcąc wypocząć w cieniu rozwalin. Mury zamku od strony zachodniej, skąd jest weale łatwy przystęp, są jakby dalszym ciągiem czerwonej skały stanowiącej jego posadę. Zbudowane po większej części z kamienia, niczem prawie nie różnią się od niej, i na pierwszy rzut oka możnaby muicmać, że cały ten gmach wykntym został ręką olbrzymów z litęj opoki. Wniejakięj odległości od ścian głównych, widać szczątki bardzo grubych i mocnych murów, które wraz ze skałami, któremi najeżona pochyłość góry, stanowiły wał ubezpieczający warownię. Droga zarosła chwastem, zarzuconą rumowiskiem i kamieniami, dostaliśmy się pod same mury i wyłomem wdarliśmy się do zamczyska. Straszna to ruina! Trudno już powziąć wyobrażenie o rozkładzie i wewnętrzném urządzeniu gmachu; wszędzie zwaliska, kupy gruzów, pustka okropna. Wchodząc, spłoszyliśmy dwa puszczyki, które zerwały się z przeraźliwym świstem. Ten głos grobowy, to jedyne echo obijające się teraz o te mury, wśród których rozlegała się niegdyś wrzawa wojenna, brzmiały huczne wesolęj ucztę wiwaty, mieszając się z brzękiem łańcuchów i cichym, stłumiouym jękiem ofiar rozzuchwałonęj zbrodni, więziouych w wilgotnych zamkowych podziemiach. Sowy, puszczyki, to jedyne tych zwalisk mieszkańce, wraz z duchami dawnych zamku dziedziców i błakającym się cieniem nieszczęśliwęj Wandy. Poziomki, macierzanka, chwasty i krzewy rozście-

lają się wśród zwalisk, jakby chciały osłonić, ożywić i rozweselić smutny obraz zniszczenia.

Stanąwszy na krawędzi murów, mamy przed sobą widok, którego piękności niepodobna oddać słowami. U stóp przepaścistej góry huczy Dunajec; na przeciwnym jego brzegu, wprost Czorsztyna, wznosi się węgierski zamek *Dunajcem* <sup>1)</sup> zwany na pięknej górze zarosłej gęstym lasem, jednak nie tak wyniosłej i niedostępnej, jak ta, na której szczycie wznosi się Czorsztyń. Budowa zamku Dunajca także nie tak śmiała, jak Czorsztyna; jest on jeszcze w dobrym stanie i po części dotąd mieszkalny. Zwróciwszy się ku zachodowi, mamy przed sobą cały obszar nowotarskiej doliny, przeplecionej wijącemi się kręto niby połyskujące węże potokami, zasianej mnóstwem wiosek. Od południa łańcuch śnieżnych Tatrów stanął na straży tej rozległej i pięknej równiny, od północy i północnego zachodu, opasują ją Bieskidy z Babią górą na czele. Stąd zastaliśmy ostatnie pożegnanie już mgłą oddalenia przyćmionym Tatrom, które po raz ostatni w tej podróży w całym widzieliśmy ciągu. Ku wschodowi i północy, zamykają widok piętrzące się jedne nad drugimi góry, to skaliste, to lasami odziane, należące już do pasma Pienin, które rozpoczyna się właśnie przy Czorsztynie. Nie zastaliśmy tu już owych drewnianych niedźwiedzi porozstawianych na skałach dokoła zamku, o których wspomina Goszczyński i Autorka dziełka pod tytułem: *Miasta, góry i doliny*. Nie wiadomo, czy burze oddały tę przysługę Czorsztynowi, strącając szpecące go poczwary, czy też znalazł się ktoś taki, komu ten szczególny pomysł nie przypadł do gustu i zniszczyć

<sup>1)</sup> Zamek ten nazywają także *Niedzięcą* od wsi u stóp jego położonej.

kazał te niedźwiedzie, które każdego rozśmieszać a nawet oburzać musiały. Więcój niż godzina zesła nam wśród rozwalin zamczyska; pożegnaliśmy je z żalem, a zerwawszy parę gałązek macierzanki na pamiątkę, spuściliśmy się z góry i w dalszą ruszyliśmy podróż.

O milkę za Czorsztynem leży wieś *Sromowce wyżnie* ponad samym Dunajcem, skąd już czasem podróżni puszczają się na łódkach do Szczawnicy. My jednak wiedząc, że przewoźnicy tutejsi nie bardzo są zręczni i że czarująca żegluga pomiędzy Pieninami rozpoczyna się właściwie o milę dalej od *Sromowiec niżnich*, czyli na południowym brzegu Dunajca położonego *Czerwonego klasztoru*, przewieźliśmy się przez Dunajec na węgierską stronę, gdzie leży wspomniane miejsce. Jadąc drogą wijącą się brzegiem Dunajca popod zielone pagórki ślicznymi gaikami odziane, nie mogliśmy się dosyć napatrzeć skalom piętrzącym się coraz wyżej i stromiej po drugiej stronie rzeki i w jej wodach swe stopy kąpiącym. Skąły te należące już do pasma Pienin, prawie wszystkie mają kształt piramidalny, są ślicznego blad różowego lub białego koloru, ubarwione czerwonymi smugami. Zostawiwszy na prawo miasteczko *Starą Wieś*, przez które prowadzi droga do Kiezmorku, pamiętne zawartym tutaj 1474 roku pokojem, godzącym spory o korony czeską i węgierską synom Kazimierza Jagiellończyka ofiarowane, zajechaliśmy przed Czerwony Klasztor.

Wśród pięknych lip i innych drzew, kryje się ten obszerny niegdyś klasztor z kościółkiem o czerwonym dachu i takiejże dzwonnicy, skąd zapewne pochodzi jego nazwa. Klasztor ten założył 1319 roku niejaki Kokosz; 1335 Wilhelm Drugeth palatyn węgierski nadał go Starą Wsią; później objęli go Kameduli. W czasie znoszenia klasztorów w państwie austriackim za cesarza Józefa, i ten klasztor został suprymowanym,



Obecnie jest on wraz z pobliską osadą Śmierdzonką, gdzie są kąpiele siarczane, od r. 1820 własnością biskupa i kapituły grecko-unickiej w Preszowie. Bardzo żałuję, że nie zwiedziliśmy tego klasztoru; ale zastawszy w cieniu stóletnich lip, stojących na ślicznej równinie rozesłanej nad brzegiem Dunajca, liczne towarzystwo umyślnie ze Szczawnicy przybyłe dla użycia czarującej pomiędzy Pieninami żeglugi, nie chcieliśmy tracić sposobności odbycia w kilkanaście osób tej miłej przejażdżki.

Wkrótce przybiły do brzegu czółenka, któremi mieliśmy płynąć. Czółenka te długie a wąskie, są to grube pnie wyłobione na podobieństwo koryta; zbite z sobą po dwa; na poprzek położone dwie deski służą za siedzenia. W jednym czółenku mieszczą się tylko dwie osoby naprzeciw siebie siedzące i przewoźnik. Słyszac dawniej o tych czółenkach i żegludze po bystrym Dunajcu, pewna byłam, że się nigdy na to nie odważę; ale teraz bez najmniejszej obawy wsiadłam w łódeczkę i przekonałam się, że jeżeli woda nie bardzo wielka a przewoźnicy trzeźwi i zręczni, żadnego niema niebezpieczeństwa. Kilka par czółen odbiło od brzegu i wplynęliśmy w skalisty wąwóz, którym Dunajec przerzyna pasmo Pienin. Pewna jestem, że najbujniejsza wyobraźnia w złotych snach swoich nic podobnego nie wymarzy; jestto zaczarowana kraina, jakby droga do lepszego świata!

Wystawmy sobie dwa pasma skał wyniosłych, dzwacznie poszarpanych, miejscami strojnych do samych wierzchołków najpiękniejszymi jodłami, świerkami, buczyną i innymi drzewy usmiechającemi się świeżą zielonością w najrozmaitszych odcieniach, miejscami wznoszących się naga, prostopadła, poszczerbaną ścianą białą, szarą, żółtawą lub różową barwy: wśród tych skał i lasów, tu i owdzie nad samą rzeką, maleńką

polankę z szalasem pasterskim; wystawmy sobie bystry, szumny Dunajec poogromnych przewalający się głazach, obmywający stopy tych skał wyniosłych i stanowiący dno doliny, tak, że w niektórych miejscach najwyższa nawet ścieżka nie przecisnie się brzegiem jego; wystawmy sobie ten skalisty wąwóz wijący się wraz z rzeką w niezliczone zakręty, tak, że za każdym niemal poruszeniem wiosła zdaje się, że skały dalszą zamkną nam drogę, gdy tymczasem rozwija się on, jak czarodziejska wstęga, coraz nowe, coraz rozmaitsze, coraz więcej zachwycające widoki snując przed zdumioném okiem przez dwie godziny; wystawmy sobie nad tém wszystkim najpiękniejsze niebo oblane blaskiem zachodzącego słońca, a na tym czystym błękitcie rozsiane gdzieniegdzie lekkie purpurowe obłoczki, a będziemy mieli słaby, niewyraźny obraz, raczój cień Pienin, tak jak nam się przedstawiły w dniu 14 sierpnia 1854.

O! czemuż ci, którzy zwiedzają i pod niebiosa wynoszą piękności brzegów Renu, nie zaują Pienin naszych! Przekonaliby się, że niekoniecznie za granicą szukać zachwycających cudów przyrody, że i pod naszym niebem znajdują się miejsca nie ustępujące w niczem owym aż do przesady wychwalanym obcym okolicom. Zdarzyło mi się słyszeć, że przepłynąwszy dwa razy pomiędzy wystawianemi brzegami Renu, już nie ma chęci powtórzenia trzeci raz tej żeglugi, gdy tymczasem Pieninom nigdy dosyć napatrzeć się nie można. Przebywszy kilka razy tę czarodziejską drogę, jeszcze nie poznaliśmy wszystkich jej piękności, jeszcze nas wabią te cudne skały i czyste, szumne Dunajca nurty.

Jeżeli wspomnienia ubiegłych wieków, wiejące z ruin starożytnych zamków, tyle uroku nadają nadreńskim okolicom, nie zbywa i Pieninom na szacownych, świętych pamiątkach przeszłości. Są to Czorsztyu i zamek św. Kunegundy królowej naszej, którego

szcątki pokazuja dotąd na górze zwanéj *Zamczyskiem* nad potokiem *Pieńskim*. Gdy barbarzyńskie hordy Tatarów krwawą powodzią zalały polską ziemię, w te niedostępne skały schroniła się przed ich napadem święta królowa. Tu ona w ciemnych, okropnych nocach, rozjaśnionych jedynie krwawą luną płonących do koła miast, zamków i wiosek, ostrą włósiennicą okryta, na twardym klęcząc głazie, błagała Boga za lud swój nie-szczęśliwy, zasłaniała tarczą modlitwy swojej tę krainę biedną, a okoliczne skały echem podawały sobie bolesne westchnienia jój serca i cichy szmer gorących modlitw.

Porównajmy, jeżeli się godzi, tę świętą, anielską postać królowej naszej, unoszącą się jak jasny olślnik nad tą cudną okolicą, z cieniami owych dumnych baronów, z krwawemi widmami ofiar ich zemsty, okrucieństw i zbrodni, snującemi się wśród zwalisk zamków nadreńskich; porównajmy legendy przywiązane do tych feudalnych grodów z podaniami ludu zamieszkującego malownicze brzegi Dunajca! Jeżeli te krwawe obrazy mogą na chwilę zająć wyobraźnię, to każde szlachetne serce odwrócić się od nich musi ze zgrozą i wstrętem. Przeciwnie, niemasz może imienia któreby się głębiej wryło we wdzięcznej pamięci ludu i z większą przechowało miłością, jak imię św. Kunegundy. Za każdym niemal krokiem na pięknej ziemi sandeckiej, napotykamy pamiątki i wspomnienia jój doczesnej pielgrzymki. Lud wdzięczny pamięta dotąd i powtarza szczegóły jój świętego żywota, jój łask i cudów za jój modlitwą zdziałanych; do jój czasów odnoszą się wszystkie miejscowe podania, jakby do najpamiętniejszej w dziejach epoki. Owe nawet wspaniałe szczyty Pieni, ów bystry nurt Dunajca, który z niepojętą siłą przez te dzikie przedarł się skały, to pomnik niepożyty świętej Królowej. Mówi podanie, że uciekając w te strony

przed straszną tatarską nawałą, gdy już, już doścignąć ją mieli pohańcy, rzuciła za siebie grzebień i z jego to zębów, wystrzeliły Pieniu iglice. Biegnie dalej a dalej po skałach i ostrym zwirze, który rani jój nogi aż do krwi; gdzie padnie krwi kropla, tam zaraz kwitają wonne goździki i róże, a zioła i kwiecie, różnowzorym kobiercem ścielą się jój pod stopy. Zagrożona znowu niebezpieczeństwem, rzuca szczotkę od włosów i góry natychmiast gęstym porastają lasem, który przecież nie na długo wstrzymuje pogoń. Rzuca więc zwierciadło i wtedy Dunajec wzbiera nagle, przedziera się przez Pieniny i płynie w ślad za królową. Tak dostaje się ona szczęśliwie do zameczku swego, gdzie dotąd widać jój stopkę wyciśniętą na kamieniu który zapłakał nad jój dolą, a z tych lez powstało obfite źródło do dziś dnia płynące<sup>1)</sup>. Zameczek św. Kunegundy według wiary ludu stoi dotąd nienaruszony, ale ten tylko widzieć go może, kto żadnym nieskalany grzechem. Tutajto możemy się przekonać że jak do rzetelnego szczęścia i tu i w wieczności, tak i do nieśmiertelnej pamięci cnota jedna ma prawo. Przebrzmiały téż huiczne oklaski, któremi świat zdumiony witał półbogów swoich; sława ich niegdyś tak głośna, cichnie z dniem każdym; następne pokolenia obrywają listek po listku z ich świetnych niegdyś wawrzynów; olbrzymie te postacie coraz głębiej zstępują w grób zapomnienia, a imię pokornej służebnicy Chrystusowej, która cnotą każdy krok ziemskiej pielgrzymki znaczyła, żyje i żyć będzie w późne wieki w sercach ludu, w jego pieśniach i podaniach, wspominane z miłością, powtarzane z błogosławieństwem, wzywane z ufnością w każdej potrzebie. Ale ja zajmąwszy się główną Pieniu ozdobą, duchem

<sup>1)</sup> Piękne te ludowe podania zamieścił Szczęsny Morawski w swoim Album szczawnickim, skąd je wypisałam.

ożywiający te urocze miejsca, zapomniałam zupełnie o naszej żegludze; czas do niej powrócić.

Lekkie czółenka sunęły szybko, pędzone bystrym nurtem ulubionego syna gór, który wdartszy się pomiędzy skały, jakby przypomniał sobie swoją kolebkę i swobodne na łonie Tatrów igraszki, znowu w swawolne przemienia się dziecię, huczy, szumi, zrywa się i pieni po dawnemu, po skalistych przewalając się progach. W miejscach szerszych i głębszych, czółna płyną wesoło obok siebie; za chwilę rozwijają się, jak krasna wstęga, goniąc szalenie jedno za drugim, wkrótce znowu się łączą i rozbiegają na nowo.

Miejscem wysiadania, jest ujście strumyka *Rzekę* zwanego, płynącego od Szczawnicy. Już zdala dawał się słyszeć odgłos muzyki zebranej na brzegu dla powitania powracających z Czerwonego Klasztoru. Przybiwszy do brzegu, zaledwie mogliśmy się precisnąć przez gromadę wiejskich dziewcząt strojnie przybranych, które przecinając nam drogę to chustkami, to wieńcami kwiatów, żądały okupu. Już się zmierzchało; towarzystwo, w którym odbyliśmy czarującą przejażdżkę Dunajcem, udało się spiesźnie do zakładu kąpielnego leżącego jeszcze opodal stąd w Wyżnej Szczawnicy; nam zaś jeden z przewoźników, a oraz wójt Niżnej Szczawnicy, tuż nad Dunajcem położonej, ofiarował nocleg w swym domu. Pasma *Pienin* niekiedy mylnie *Pioninami* zwanych, u stóp których leży Szczawnica, ze wszech miar godnym jest zwiedzenia. Trudno sobie wyobrazić więcej zajmującą, i na małej przestrzeni tyle piękności w sobie mieszczącą formację gór. Prostopadłe ściany, ostre jak igły szczyty, głębokie, ciasne parowy i wądoły z szumiącym potokiem; to znowu położyste grzbiety z kwiecistymi polanami i gęstemi po bokach szpilkowemi i liściastemi laskami, a ze szczytów najcudniejszy na wszystkie strony widok, wszystko to jest tutaj zgro-

madzone, wprawiając co chwila wędrowca w nowe zdumienie.

Picuinny rozpoczynają się przy Czorsztyńcu i przeciwnym zamku Niedzicy, a ciągnąc się po obu stronach Dunajca aż po za Szczawnicę i Leśnicę, wraz ze skałami wapiennymi i ammonitowemi w dolinie nowotarskiej zupełnie podobnego zakroju, we względnie geologicznym jedną stanowią formację. Długość ich wynosi dwie, szerokość jedną milę. Najwyższy szczyt naprzeciwko *Czerwonego Klasztoru* wznosi się 3100 st. n. p. m., skała *Rabsztyn* za Leśnicą 3318 st. Nad poziom Dunajca piętrzą się szczyty Pienin do 1400 st. Pomiędzy *Czorsztyńcem* a *Krościenkiem* wygina się Dunajec granicą węgierską lukiem na południe. Między tym tedy łukiem a drogą z Czorsztyna do Krościenka wiodącą, i stanowiącą cięciwę owego łuku Dunajca, wznosi się najpiękniejsza część Pienin. Od strony północnej położyste i łatwo przystępne, spadają one na południe skalistemi ścianami, miejscami kilka set stóp wysokimi, jak to na przejeździe Dunajcem najlepiej widać. Sam trzon z najwyższymi iglicami i ze wszech stron spadzistemi, a po części niedostępnymi bokami, odcinają od wschodu i zachodu dwa górskie potoki, do Dunajca wpadające, *Słobczany* i *Pieński*. Pomiędzy niemi od północy, t. j. od Krościenka na sam szczyt, łatwy jest przystęp, a stamtąd na wijący się w głębi między skałami Dunajec, na Spiz i Tatry, w prostym kierunku trzy mile odległe, najładniejszy widok. Nad potokiem Pieńskim, płynącym głębokim i wązkim, lecz godnym zwiedzenia wądołem, stał na stromiej i z jednej tylko strony wązką ścieżką dostępną skale, wspomniany zamek św. Kunegundy, wzniesiony przez Bolesława Wstydliwego, miejsce schronienia przed napadami tatarskimi, lecz jak się zdaje już w 15 wieku upadły. Według wszelkiego prawdopodobieństwa był on z drzewa na podmurowaniu.

Już późną nocą przyjechał nasz furman, który z Czerwonego Klasztoru udał się drogą okrążającą Pieniny, przez lasy, parowy, urwiska, a do tego zupełnie mu nie znaną. Ledwie więc, wywróciwszy podobno dwa razy dostał się do Szczawnicy. Ta niefortunna przeprawa, pozbawiła nas zwiedzenia zakładu kąpielowego; konie bowiem młode, nieprzywykłe do drogi, tak się zmęczyły, że nie można było myśleć o odbywaniu niemi dalszej podróży. Furman miał nas tylko odwieść nazajutrz do Krościenka, miasteczka leżącego o małą milkę, gdzie łatwiej było wystarać się o konie. Zaledwie więc najpiękniejszy zajaśniał ranek, wyruszyliśmy w drogę. Tuż pod Szczawnicą przeprawiliśmy się na promie przez Dunajec. Droga prowadzi u samych stóp Pienin, brzegiem téj rzeki nie mającej w całym swoim biegu tak znacznego spadku, jak zaraz poniżej przewozu. Nagle, na tle skał i lasów ukazało nam się Krościenko ze swemi białemi domkami i wystielającą ponad nie wieżyczką kościoła. Miasteczko te leży u samych stóp Pienin, nad ujściem potoku Krośnicy do Dunajca. Niesie podanie, że po zniszczeniu okolicy przez Tatarów, garncarze Rusini pierwsi tu osiedli. To pewna że w tych stronach obrządek rurski sięgał niegdyś aż po Nowy targ.

W Krościenku zajechaliśmy także do wójta, u którego można było wyrwać konie do dalszej podróży. Jako w uroczyste święto Wniebowzięcia Matki Boskiej, chcieliśmy wysłuchać mszy św., na którą właśnie dzwoniło, a potem, nie tracąc czasu, zaraz puścić się w drogę. Wójt przystawał niby na ten układ, ale gdy rzeczy nasze do jego izby znieśli, stanawczo powiedział, że nie pojedzie przed południem. „Państwo to co innego, mówił, jesteście już w podróży — ale żebym ja wyjeżdżał z domu przed południem w takie wielkie święto, kiedy u nas odpust, żebym dla zysku opuszczał

take nabożeństwo, na to nigdy nie przystanę.“ Jakkolwiek kilkogodzinna zwłoka nie bardzo nam była na rękę, z drugiej strony znowu miło było widzieć takie poszanowanie święta, jak rzadko się teraz zdarza. Nie nastając więc wcale na pocziwego mieszczanina, poszliśmy do kościoła.

Kościółek krościeniecki murowany nad samym urwistym brzegiem Dunajca i schludnie utrzymany, ale za szczupły na dość wielką parafią, gdyż prócz miasteczka cztery wsie okoliczne do niej należą.

Powróciwszy z kościoła do domu wójta, oglądaliśmy ośznerne zabudowania gospodarskie i piękny sad należący do niego. Dobry byt i zamożność wszędzie tu widoczne. W izbie sprzęty porządne, łóżka aż pod powałę wysłane pościelą, wielkie skrzynie pełne bielizny i innej przyodziewy, piękny zegar na ścianie. Cieszy niezmiernie widok takiego dostatku, który po małych miasteczkach i na wsiach bywa poniekąd miarą moralnej wartości mieszkańców, dowodem ich trzeźwości i pracowitości, jakkolwiek Krościenianie co do trzeźwości, nie zasługują na zbyt wielkie pochwały.

Niebawem zadzwoniono na sumnę; mnóstwo ludu tak z miasta jako też ze wsi, spieszyło do kościoła. Wybiegliśmy przed dom chcąc się przypatrzeć ubiorom tutejszym. Co za śliczne stroje! Gdybym na nie własnymi nie była patrzyła oczami, każde opowiadanie wzięłabym za przesadzone, rysunek za zmyślony. Zacznę od kobiet. Spodnica bardzo fałdzista w wielkie kwiaty w żywych kolorach lub jednostajna pąsowa z szerokim złotym galonem, zapaska najczęściej muślinowa biała, sutu haftowana, gorset materyalny na guziczki zapinany; mnóstwo koralu i paciorków zdobi szyję spadając na białą jak śnieg i cienką koszulę. Na głowie czepiec jedwabny, najczęściej amarantowy, wyszywany galonkami i blaszkami, z płaskim, okrągłym denkiem.



z przodu wycięty w ząb i spuszczone na czoło. Na ten czepiec kładą dosyć dużą chustkę muślinową, tiulową haftowaną lub jedwabną złożoną na krzyż. Chustka ta jednym końcem spada na plecy, z przodu zaś związana jest na piersiach w kokardę ułożoną jak najstaranniej. Muślinowy rańtuch, obszuty tiulową falbaną, lub szal rąbkowy przejrzysty w różne wzory wyrabiany, zarzucony na ramiona, i żółte lub czerwone buciki dopełniają ubioru meżatki. Strój dziewcząt tém się tylko różni, że nie noszą czepca i chustki na głowie, lecz włosy gładko z przodu umiarkane splatają w jeden warkocz ozdobiony bogato wstążkami, i spuszczone na plecy. Uderzała mnie tu wielka staranność w ubiorze, że nie powiem nieco przesady, czego nie uważaleni nigdy u naszych wieśniaczek. Chustka, rańtuch, gorset, wszystko, nawet u kobiet podeszłego wieku, włożone i poupinane z największą starannością, w niczém nie widać pośpiechu lub zaniedbania. Każda z kobiet prócz książki do nabożeństwa, niosła snopek wonnych ziół i kwiatów, które, według przywiązanego do dzisiejszego święta zwyczaju, miano święcić w kościele.

Mężczyźni noszą kamizelki pod szyją zapinane z granatowego, zielonego lub pąsowego sukna, z przodu i na plecach suto wyszywane kolorowym jedwabiem z niemiecką *leibikami* zwane. Na wierzch kładą sukmanę z białego sukna, co do kroju trzymającą środek pomiędzy gunią góralską a sukmaną naszymi wieśniaków, nieco wciętszą od pierwszej, wolniejszą od drugiej. Sukmanę tę z przodu i przy rękawach okładają czerwonym sukniem w różne wzory wycinaném. Kapelusz z dość szerokiemi skrzydłami opasany kolorową wstążką, za którą zatknięty bukiet z robionych kwiatów, lub opaską nabijaną mosiężnemi świeczkami zwaną *koronką*. Nie noszą tu już długich włosów jak na Podhalu, lecz strzygą je krótko. Miejsce kierpców, używanych tylko

na dzień powszedni i w podróży, zastępują wysokie buty do kolan sięgające.

Lud tutejszy, szczególnieź mężczyźni, nie są tak dorodni jak Podhalanie; kobiety wszystkie prawie przystojne i miłe, nie widać jednak owych piękności jakie między tatrzańskimi góralkami często napotkać można.

Napatrzywszy się do woli prześlicznym strojom, poszliśmy przed kościół, który oblegały tłumy ludu nie mogące pomieścić się wewnątrz. Po sumie wyszła uroczysta procesyja; dzwony brzmiały bez ustanku, pienia nabożne dalekiem rozlegały się echem, woń ziół napełniała powietrze, wszystko głosiło chwałę i wywyższenie Matki Bożej, wszystko dodawało świetności i uroczystej powagi temu radosnemu świętu.

Po południu puźegnaliśmy miłe Krościenko, udając się w dalszą podróż ciasną doliną Dunajca. Po obu jego brzegach piętrzą się do 3000 st. wysokie góry, należące już do pasma Bieskidów, w części lasami odziane, w części nagimi i dosyć spadzistemi świecące bokami. Kształty ich przypominały nam jeszcze uroczę Pieniny. Malowniczą tę dolinę ożywia i rozwesela bystry nurt Dunajca, wijącego się w niezliczone zakręty wśród rozkosznych brzegów. Droga nad samą prowadząca rzeką, czepia się po stromych i spadzistych pochyłościach *obłazami* zwanymi. Dunajec pomimo dość znacznej głębokości i szerokości, dla wielkich odsepisk i głazów o które rozbija się z szumem i hukiem, między Nowymtargiem a Zakłuczynem, tylko przy średniej wodzie jest spławnym.

Przejeżdżaliśmy przez kilka wsi porządnie zabudowanych, jak *Kłodna* i *Tylmanowa*, której położenie i długa topolowa ulica prowadząca do dworu, przypominają nieco *Wolę Justowską* przy Krakowie. Po drodze spotykaliśmy liczne gromadki ludu powracającego z niesporów. Na przyźbach domów, siedzieli wieśniacy spę-

dzający resztę dnia świątecznego na przyjacielskiej gawędce; nigdzie nie było słyhać kłótni, pijatyki i karzemnej wrzawy. Widać że nałóg pijaństwa bardzo jest uskromiony w tej okolicy.

Minąwszy *Łącko*, wieś pięknie położoną, na dość obszerną międzygórską równinę, dalej *Maszkowice* i *Jazowsko*, przepawiliśmy się w *Kadczy* przez Dunajec i wjechaliśmy w piękną dolinę sandecką. Nie jest ona tak rozległą, nie ma tak wspaniałego otoczenia jak dolina nowotarska. Olbrzymie Tatry zamykające tamtę od południa, tutaj już tylko blade, niepewnie, rysują się na widnokręgu, wystrzelając ponad wynioslemi, amfiteatralnie piętrzącemi się Bieskidami. Wszystko tutaj zmalało, zdrobniało, łagodniejsze przybrało kształty. Ale jakkolwiek dolina sandecka nie robi na nas tak silnego i zdumiewającego wrażenia, jakiego doznajemy na widok cudów tatrzańskiej przyrody, niemniej jednak przynęca malowniczym i pełnym wdzięku położeniem. Okrąg jej stanowią góry szczególniej od południa, wysoko upiętrzone, zaokrąglonych, pagórkowatych kształtów, odziane pięknemi lasami, wśród których zlociły się żyzne łąny dojrziałem kolyszające się zbożem. Dno doliny zaścielają także uprawne pola; mnóstwo wiosek rozsianych to na równinie, to na pochyłościach wzgórzów, ożywia okolicę. Już poustawiane mendle zboża, snopy gęsto stojące na polach dowodziły, że tu nie uaprzóżno rolnik skrapia ziemię swym potem, bo obfitym plonem szcudrze mu ona wynagradza poniesione trudy. Z wielkiem podziwieniem spotkaliśmy kilka wozów wyładowanych zbożem; w innym miejscu wiązano snopy na polu, chociaż bynajmniej nie zanosilo się na deszcz, owszem piękny zachód słońca, niebo czyste i jasne, powietrze chłodne, wróżyło pogodę i na dni następne; nic więc nie usprawiedliwiało ciężkiej pracy w tak uroczyste święto. Dowiedzieliśmy się dopiero, że Niemcy kalwińskiego czy ewan-

gelickiego wyznania, mają w tych stronach osady swoje; ich to więc widzieliśmy pracujących jak w dzień powszedni, gdyż jak wiadomo, nie obchodzą oni świąt Matki Boskiej.

W miarę zbliżania się do *Starego Miasta* (tak tu nazywają Stary Sącz), okolica coraz piękniejszą się stawała; śliczny las jodłowy ciemniał na wzgórzach ciągnących się po prawej stronie; krzyże i figury coraz częściej napotykanne, bliskość kościoła i klasztoru zapowiadały. Już po zachodzie słońca wjechaliśmy do *Starego Sącza*. Miasteczko to położone między rzekami Dunajcem a Popradem, łączącemi się poniżej miasta, początkiem swoim sięgające czasów Kazimierza Sprawiedliwego, małe, ubogie, ale schludne i spokojne, owiane urokiem świętych pamiątek, miłe jakieś i rzewne czyni na przejeżdżającym wrażenie. Prócz starożytnego kościoła farnego, zbudowanego po r. 1251, w którymto roku spłonął dawny kościół św. Krzyża, jest tutaj klasztor PP. Klarysek w końcu miasta stojący, otoczony murem na podobieństwo fortecy, z kościołem piękną ozdobionym wieżą. Klasztor ten założyła św. Kunegunda i tu po śmierci męża trzynastu lat (1279 do 1292) w zakonie przeżywszy, pełna cnót i zasług rozstała się z tym światem. Niespodziewane zatrzymanie się w Krościenku, pozbawiło nas szczęścia pomodlenia się przy zwłokach św. Królowej i Patronki polskiej, spoczywających na ołtarzu w kaplicy klasztornej, i zobaczenia przechowujących się po niej pamiątek (kłęcznik, szklanka, on pierścień znany z legendy o wynalezieniu soli wielickiej, relikwiarzyk, co jej zawsze towarzyszył). Spojrzeniem tylko mogłam powitać te mury już szarą zasłoną zmroku obleczone, w których żyła pokorna służebnica Chrystusa, jak anioł opiekuńczy czuwająca nad tą ziemią, gdzie pamięć jej dotąd tak żywo utrzymuje się w sercach wdzięcznego ludu.

Nadmieniam jeszcze, że Bolesław Wstydlivy, używszy posagu żony na potrzeby kraju, darował jój natomiast Stary Sącz z przeszło stu wsiami 1257 r., zastrzegając jedynie, aby królowa darowizny tej nie puszczała ludziom obcego narodu w posiadanie. Dobrami temi 1280 roku uposażyła św. Kunegunda klasztor, który je dopiero 1782 r. postradał, a w r. 1812 także srebra kościelne wraz z innymi kosztownościami; między nimi, złotem tkany ornat własnoręcznej roboty św. Kunegundy. Był tu także klasztor Franciszkański, później na ratusz przerobiony.

Miłą od Starego Sącza leży Sącz Nowy, gdzieśmy nocować mieli. Ściemniło się już zupełnie; cicha, piękna noc letnia, rozpostarła nad uśpioną ziemią swój gwiaździsty namiot; droga była równa i gładka, wózek nasz toczył się jak po stole; mogłam więc swobodnie oddać się myślom i przechodzić pamięcią wspomnienia, których tyle do tej zachwycającej wiąże się okolicy. Obok św. Matki i Patronki Sandeckiej ziemi, której życiem i cudami uświęcone te miejsca, stanęli mi w myśli synowie Kazimierza Jagiełńczyka. W tym Starym Sączu, dziś ubogiej, małej miejscinie, mieszkali młodzi królewiczowie, i zdala od gwaru stolicy, pod okiem biegłych mistrzów Filipa Kalimacha i Jana Długosza, kształcili się na przyszłych panów i ojców narodów. Tu wzrósł święty nasz Patron Kazimierz, wzór niewinności, czystości, pokory; tu się wychowali Jan Olbracht i Aleksander, królowie więcej klęskami, które za ich panowania nieszczęsną Polskę trapiły, niż dobrym rządem pamiętni; Władysław, pan Czech i Węgier, a nakoniec ów wielki, przesławny Zygmunt, co blisko pół wieku z łagodnością ojca mądrze i szczęśliwie Polską władając, zagoił krwawe jej rany, wyniósł ją do nieznanego jej dotąd stopnia potęgi, świetności i chwały, a panowaniem swoim rozpoczął chlubnie złoty wiek, słusznie

od jego imienia *Zygmuntowski* zwany. Szybkością błyskawicy przeleciała myśl moja kilku wieków przestrzeń; srogie klęski wojny, lata błogiego pokoju i pomyślności, szczęśliwa i smutna dola téj pięknej krainy, niby wieńiec z róż i ciernia uwity, przesunęły się z wolna przed oczyma memi.

Nowy Sącz położony powyżej ujścia Kamienicy do Dunajca, na wschodnim brzegu tegoż, niegdyś gród warowny, ludny i handlowny, powstał po roku 1292 na miejscu królewskiej wsi *Kamienicy*, przedtém własności biskupów krakowskich. Tutaj w r. 1370 witali obywatele polscy, Ludwika króla węgierskiego na tron polski obranego, a w sześć lat później matkę jego Elżbietę w imieniu syna rządu obejmującą. Stąd wyprawił Władysław Jagiełło Witolda do Zygmunta króla węgierskiego w r. 1410. Tu, Jagiełło w r. 1419 zjechał się z cesarzem Zygmuntem, dla narady względem podniesienia wojny przeciw Turcyi. Kazimierz Jagiełłończyk r. 1471 odprowadził do Sącza syna swego Kazimierza (świętego), na tron węgierski wezwanego.

Miasto to ucierpiało wiele przez pożary w latach 1522, 1611, 1644, 1655, 1753; przez morowe powietrze 1710, tudzież w czasie wojen szwedzkich nie mało klęsk doznało. Obecnie Sącz jest stolicą obwodu, posiada gimnazyjum i jest jedném z większych i porządniejszych miast Galicyi. Obszerny rynek ze starożytnym ratuszem na środku, otaczają piękne, piętrowe kamienice; ulice także porządnemi zabudowane domami; żydzi, składający znaczną część ludności, mają sklepy na osobnej ulicy, jak na żydowską dosyć jeszcze porządną<sup>1)</sup>. W pół-

<sup>1)</sup> Przypominam że byłam w Sączu w r. 1854 a przez te lat kilkanaście wiele się tam zapewne zmieniło. Jak we wszystkich galicyjskich miastach, tak bez wątpienia i w Sączu żydzi mieszkają i handlują bez żadnych ograniczeń.

nocnej stronie miasta nad Dunajcem wznosząca się ba-szta i resztki rozwałonych murów, są zabytkami pięknego niegdyś zamku.

Kościół katolickie są dwa: parafijalny św. Małgorzaty i jezuicki. Prócz tego, kościół ewangelicki, niegdyś franciszkański, pierwotnie podobno 1297 przez Władysława króla czeskiego i polskiego fundowany, potem 1654 przez Konstantego Lubomirskiego podczaszego w. kor. i starostę sandeckiego, na nowo wystawiony. Kościół parafijalny założony około r. 1300, pięknej gotyckiej budowy i bardzo obszerny, 1448 r. przez Zbigniewa Oleśnickiego na kolegiatę zamieniony, którą pozostał do r. 1791. Będąc w nim zaledwie na krótką chwilę, nie mogłam zwrócić uwagi na żadne szczegóły. Kościół jezuicki wzniesiony przez Władysława Jagiełłę w r. 1409 i na szpital przeznaczony, r. 1410 oddanym był Norbertanom dopiero w r. 1831 Jezuici przenieśli się tutaj po spaleniu Tyńca. Piękne malowania zdobią ściany kościoła; w wielkim ołtarzu jest obraz Matki Boskiej, w dwóch bocznych św. Ignacego i św. Stanisława Kostki; w trzecim bardzo piękny wizerunek Ukrzyżowanego Zbawiciela, rzeźbiony z drzewa przez Plaskiego stolarza z Sącza, podług rysunku księdza Szyrmera T. J., znakomitego rytownika przeszłego wieku. Można tu także widzieć wiszący na ścianie obraz przedstawiający króla Władysława Jagiełłę w naturalnej wielkości. Największa czystość i staranność w utrzymaniu kościoła, mile wpada w oko i daje poznać, że tu nie najemne ręce obsługują ołtarze Pańskie, że te starania wypływają z serc wyłączne Bogu poświęconych.

W tym to kościele odebrał błogosławionej pamięci ksiądz Karol Antoniewicz kapłańskie święcenie, tu rozpoczął apostolskie swe prace, w których tak widocznie Bóg mu błogosławił, tutaj w tułactwie zwracał z tęsknotą myśli i serce swoje. Te ołtarze, kazalnica, kon-

fesyjonały, świadki niezmordowanej jego gorliwości, tak wymownie i rzewnie do każdego polskiego serca przemawiają, budząc w niém żal i boleść nad stratą, jakąśmy ponieśli w przedwczesnym tój jasnej gwiazdy zachodzie<sup>1)</sup>. Onto w roku 1846 z miłością i boleścią w sercu, z wyrazem niebiańskiego pokoju na pogodném czole, ze słowami pociechy, nauki, nadziei na ustach, z krzyżem zbawienia w ręku, przebiegał okropną klęską nawiedzoną część ziemi polskiej. Gdzie wstąpił, błogosławieństwo nieba z sobą przynosił; gdzie padło słowo jego, tam zaraz wykwitwały kwiaty upamiętania, żalu, pokoju, przebaczenia, ufności i poddania się boskim wyrokom. Z góry nadludzką czerpiąc siłę, nieugięty, niezrażony niczem, wszędzie nauczał, wszędzie dobrze czynił, w cierpliwości, pokorze i pokucie, jedyny środek prześlągania Boga wskazywał. Tu wrywa dusze z przepaści rozpacz, staje jako pośrednik pomiędzy rozgniewanym Ojcem a występniemi dziećmi, wraca im zakłócony pokój sumienia; indziej dźwiga upadających na duchu, balsamem niebiańskiej pociechy otwarte skrapiając rany. Ileż on to miłości, nauki, pociechy rozlał po ziemi naszej, jakże czułą, ojcowską opieką otaczał lud biedny, ile cudów zdziałała natchniona jego wymowa, jakże wzniosły wzór apostołskiej gorliwości zostawił, ile łez wdzięczności, ile zasług uniósł z sobą do nieba! Oprócz ogólnej ezc i szacunku, do jakiego ksiądz Antoniewicz w sercu każdego ma prawo, my Krakowianie szczególną, wyłączną winniśmy mu wdzięczność. Po okropnej klęsce pożaru w r. 1850, która wydzierając nam drogie ubiegłych wieków pamiątki, rzuciła w serca zwątpienie i żal rozpaczliwy, on pierwszy z gruzów świątyń naszych przemówił słowem nie-

<sup>1)</sup> Ksiądz Antoniewicz umarł w Obrze w W. Xięstwie Poznańskim w r. 1852 d. 14 Listopada mając lat 45.



biańskiej pociechy, on w krzyżu wskazał nam sztandar nadziei doczesnej i wiecznej, on przez rok blisko z dawno niesłyszana wymową, z niezrównaną gorliwością głosił po kościołach naszych świętą miłości naukę; on w najwyższych i najniższych klasach pozyskał dla siebie uwielbienie i zaufanie; pociągał wszystkich prostotą i łagodnością anielską, zbliżał nas do nieba, a niebo nam modlitwą swoją przychyłał. Ta święta postać w całym uroku krótkiego niestety, lecz pełnego zasług i poświęceń zawodu, stała mi ciągle przed oczyma, gdyśmy bawili w Sączu, i już nie mogłam się od niej oderwać.

Piękne zabudowania kolegium, po wydaleniu stąd Jezuitów, w r. 1848, obrócono na koszary czy też szpital wojskowy; gwar, hałas, szcęk broni, rozlegał się w tym cichym przybytku nauki, modlitwy, rozmyślenia. W czasie naszej bytności, trzech tylko zakonników mieszkało przy kościele.

Był tu dawniej jeszcze kościół św. Wojciecha w miejscu, gdzie teraz dom pocztowy, tudzież kościół św. Krzyża, teraz zburzony, w którym, według podania, św. Wojciech miał nabożeństwo odprawiać, a ostatni raz według liturgii grecko-słowiańskiej, Izydor kardynał i metropolita kijowski 1440.

Po południu pożegnaliśmy Nowy Sącz, mile krótkiego w nim pobytu unosząc wspomnienie. Przecudna jego okolica teraz dopiero ukazała nam się w całym uroku i wdzięku. Dokola piętrzą się góry i pagórki jakby amfiteatr, którego najwyższym stopniem są wspinałe, w oddali siniejące Tatry. Pomiędzy temi górami mnóstwo dolin i wąwozów w rozmaitych rozgałęzia się kierunkach, a w każdej dolinie, w każdym wąwozie, to na pochyłościach wzgórzów, to na równinie, bieleją wioski oplecione zielonym wieńcem ogrodów i sadów. Wszędzie rozścielają się urodzajne niwy, rozkoszne łąki, śliczne gajki i poważne, po większej części jodłowe lasy.

W takiejto żyznej, ludnej i malowniczej dolinie leży Stary Sącz, odznaczający się bielejącymi zdalea zabudowaniami klasztorными i piękną wieżą kościelną; a dalej nieco na wzgórzu, Nowy Sącz z okazałą kopułą luterskiego kościoła, wysmukłą dzwoniczką Jezuitów i starożytną dawnego zamczyska basztą. Wyborny gościniec wspina się zakrętami na grzbiet góry do 2000 stóp wysokości, prowadząc na *Wysokie* i *Kaninę* do *Limanowój*.

Jeszcze słońce było wysoko, gdy dojechaliśmy do Limanowój, małego, porządnie zabudowanego miasteczka z wielkim drewnianym kościołem, leżącego o trzy mile od Sącza. Nie zatrzymując się tutaj, zajechaliśmy do karczmy ćwierć mili za Limanową, która była kresem dzisiejszej naszej podróży.

Nazajutrz przed wyjazdem byliśmy świadkami zabawnej sceny, dowodzącej, jak w każdym względzie Żydzi korzystają z niewiadomości prostego ludu, a w ogóle każdego, co się im da okpić. Nasz furman z drugim wieśniakiem, zabili nieopodal od karczmy jakieś nieznanne im zwierzę, które wyszło z rowu, zarosłego sitowiem i krzakami. Żyd arendarz, do którego zdobył swoją przynięśli, powiadał im, że to kot. Wieśniacy nie wierzyli temu i śmiali się z Żyda, bo zwierzę nie miało żadnego podobieństwa do kota, a do tego wyszło z wody. Sprawa wytoczyła się przed nas. „Dajcież to tutaj“ rzecze nasz furman, „państwo może poznać, coto za jedno,“ i to mówiąc, wszedł do izby żydowskiej, gdzie był zostawił swą zdobycz. Ale arendarz już schował zwierzę do komina, i trzeba było widzieć jego ruchy, wyraz jego twarzy, na której malowała się obciwość, zabiegliwość, chęć oszukania, słowem całą pocieszoną figurę Żyda, biegnącego za wieśniakiem, który niósł wydrę, co łatwo było poznać na pierwszy rzut oka po kształcie, futrze i łapach, których

palce na podobieństwo pletew błonami połączone były. Żyd poznał naturalnie od razu, co to za zwierzę; ale bezprzestannie utrzymywał, że to kot, chcąc za parę groszy nabyć piękne i dosyć cenione futro. Dwaj strażnicy, którzy przyjechali do karczmy, także z arendarzem trzymali. Jakże on ich prosił, zachęcał, żeby poszli do rowu poszukać więcej tych kotów; jak się krzątał, zabiegał w strachu, żeby wieśniacy nie zabrali zwierzęcia.

Wśród tych zabiegów około wydry, wyruszyliśmy w drogę. Mgła, wznosząca się z wąwozów i parowów, nie bardzo pomyslną była dla nas wróżbą; jakoż wkrótce całe niebo zaciągnęło się chmurami i deszcz lada chwila groził. Okolica wciąż górzysta, ale już nie tak malownicza, jak około Sącza. Wkrótce pożegnaliśmy obwód sandecki, a wjechaliśmy w bocheński. Uderzały nas tu nędzne, niskie, do połowy w ziemię zapadłe lepianki; znikł już ten dobry byt i dostatek, jaki widzieliśmy nietylko na Podhalu, ale i w okolicach Krościenka i Sącza. Tu, gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie smutny obraz nędzy się przedstawia i ziemia nawet tak żyzna w tamtych okolicach, tu jakby przekleństwo na niej ciążyło, skąpe i liche wydaje plony.

Rozweselił nas nieco widok *Królówki*, ślicznie położonej wioseczki, w której urodził się Kazimierz Brodziński. Z wielkim żalem moim, droga przechodziła krajem wioski; nie widzieliśmy ani dworu, stojącego może jeszcze na témsamém miejscu, gdzie stał dom rodziców Kazimierza, gdzie i on na świat przyszedł; nie widzieliśmy i tego kościołka, gdzie z organistą pieśni nabożne śpiewywał, gdzie biedny sierota modlił się tak serdecznie i rzewnie, szukając u Boga opieki i pociechy, której od ludzi tak rzadko doznawał. Z jakimże rozrzewnieniem patrzyłam na te ubogie chatki, w których tulił się biedny chłopczyzna, unikając gniewu i bicia

macochy, w których tyle miłości i współczucia znajdował w sercach poczciwych wieśniaków. Cały wiek dziecinny poety, spędzony w ciągłych strapieniach, smutkach, tęsknocie, rozjaśniony zaledwie kilką weselszemi chwilkami, a opisany przez niego samego z tak rozrzuwającą i pełną wdzięku prostotą, rozwijał się przed oczyma memi w żywych, jasnych obrazach, a te wspomnienia nowego uroku dodawały malowniczej okolicy Królówki. Na prawo w dolinie bieleje miasteczko *Lipnica*, miejsce urodzenia świętego Szymona, gdzie Kazimierz Brodziński z bratem swym uczęszczał do szkoły.

Wkrótce za Królówką ukazał nam się *Wiśnicz*, niegdyś dumnych Kmitów siedziba, dziś miejsce więzień i sądów kryminalnych. Kościół i klasztor niegdyś Karmelitów bosych na górze za miastem z przepysznym naokolo widokiem, wznosił 1635 r. Stanisław Lubomirski wojewoda ruski, na pamiątkę zwycięstwa odniesionego nad Turkami pod Chocimem 1621 r., używszy do roboty zabranych w niewolę Turków. Po zniesieniu zakonu, klasztor 1783 r. na więzienie zamieniono. Nie opodal wznosi się mocny, dość opustoszały zamek Kmitów. Tu przyjmował Piotr Kmita króla Zygmunta Augusta wraz z żoną Barbarą Radziwiłłówną; tu miano jej truciznę zadać. Oba te gmachy nadają Wiśniczowi zdaleka bardzo piękne wejrzenie. Ale przykry zawód czeka każdego za wjazdem do miasta. Jakże opisać te ciasne uliczki, ten rynek zabudowany obtarganemi, walącemi się kłétami, budami, lepiankami, jakie ledwie w najustronniejszych zaułkach na naszym Kazimierzu znaleźć można. Trudno doprawdy dać nawet wyobrażenie o dziwnej architekturze tych domów, jeżeli je domami nazwać można. Wszystkie drewniane, niskie, walące się, zapadłe w ziemię, najdziwaczniej powykrzywiane; jedne wznoszą się na wpół przegniłych palach, inne na jakichś arkadach; okna bez szyb, pozaklejane w części

papierem lub szmatami pozatykane, jedno wyżej, drugie niżej, to na skos, to na poprzek podwracane. Wystawmy sobie teraz niepoliczony roje nędznego, obdartego, obrzydliwego żydostwa — było go w Wiśniczu do 6000 na półtrzecia tysiąca chrześcian — snujące się wśród tych rozwalin, wrzask, krzyk, szwargot, błoto po kostki, a będziemy mieli jaki taki obraz Wiśnicza<sup>1)</sup>.

W tym jednak Wiśniczu musieliśmy zabawić czas jakiś, aby konie wypoczęły. Zajechaliśmy do jednego z owych hotelów w rynku, ma się rozumieć, żydowskiego. Z wielką trudnością dano nam osobną izbę, najbrudniejszą jak tylko wyobrazić sobie można. Zapłaciwszy złotówkę za godzinny pobyt w tym apartamencie, wyjechaliśmy z obrzydliwego Wiśnicza. Na drodze do Bochni, gdzie właśnie był jarmark, spotykaliśmy ciągle wozy napchane żydostwem wracającem stamtąd. Tak więc rozstawszy się z Wiśniczem, długo jeszcze nie mogliśmy się rozłączyć z jego mieszkańcami.

Od Bochni, około której przejeżdżaliśmy, okolica nie zajmującego nie miała, a przywykłym do pięknych górzystych widoków, bardzo jednostajną się wydawała. W Gdowie, małej, lichój mieścinie, pamiętnej rozsypką powstańców w r. 1846, zatrzymaliśmy się godzinę, i stąd już tchem jednym zajechaliśmy do Krakowa, którego piękna okolica roztoczyła się przed nami, gdyśmy dojeżdżali do Wieliczki. Mięto miasteczko; domy schludne, po części murowane, dwa kościoły: farny w samym mieście i OO. Reformatorów za miastem stojący.

Coraz liczniej napotykanne podwoły żołnierskie, ładowne bryki i wozy, hałas, turkot, ruch coraz się zwiększający, zapowiada bliskość Krakowa i przygotowuje nas zwolna do tego gwaru miejskiego, w którym

<sup>1)</sup> Takim był Wiśnicz w r. 1854. Po pożarze który go zniszczył przed kilku laty, odbudował się zapewne porządniej.

niebawem utonąć mamy. Wjeżdżamy nareszcie. Jakże gęste i ciężkie powietrze! jak przesycone dymem i innymi nie zbyt wonuemi wyziewami! Z początku zdaje nam się że niepodobna będzie niém oddychać. A jednak są ludzie którzy żyją wśród miejskich murów i później dochodzą starości, nie wychyliwszy się nawet po za ich obręb. Oni nie pojmują, nie wierzą żeby gdzie mogło być piękniej, zdrowiej jak na miejskim bruku, wśród miejskiego gwaru.

Takato jest moc przywyknienia i to nie tylko w fizycznym, ale i w moralnym względzie. Lecz kto raz zakosztował górskiego powietrza, kto zaprzyjaźnił się z przyrodą i jej tajemniczą zrozumiał mowę, kto nade wszystko myślą, uczuciem, pragnieniem, umie wlecieć wyżej jeszcze, ponad tatrzańskie iglice, dla kogo one stały się niby konduktorami ściągającemi z nieba wzniosłe natchnienia, ten na zawsze zachowa w sercu wspomnienie owych chwil błogich, a może już niepowrotnych — spędzonych wśród gór, z życzliwą pamięcią dla ich mieszkańców.

---

I czemuż gdy ostatnie nakreśliłam słowa i spojrzałam na leżący przedemną rękopism, ogarnął mię smutek i nieokreślone jakieś uczucie goryczy, żalu i niezadowolenia, obudziło się w duszy? Mnie tak błogo było wywoływać w pamięci obrazy minionego szczęścia i swobody jakich przez lat tyle używałam w górach, tak miło dzielić się z drugimi wrażeniami memi, zapoznawać ich z piękną okolicą Podhala i jej mieszkańcami, teraz zaś czuję niesmak i jakby wyrzut sumienia, a usta mimowolnie powtarzają tę skargę wieszczka:

Żal mi zem góry i ten lud pochwalili  
 I sam na siebie prawiebym się zalił,  
 Bo jako biją szkodnicy jastrzębie,  
 Tak uderzycie na stado gołębie.

Zepsute dzieci lubią cacka psować:  
 A żal się, Boże co piękne marnować!  
 Was nie uleczy ten lud swą prostotą,  
 Nie dla was mają polskie Tatry złoto.

Was nie rozjaśni ten świat swym uśmiechem,  
 Ani was natchną góry swym oddechem,  
 Ani was górskie wody nie obmyją,  
 \*Ani w was prawdy ludu nie ożyją!

Bo na to, byście stąd wracali krzepsi  
 Na duszy waszej i ciele wzmocnieni,  
 Potrzeba byście tu przybyli lepsi,  
 A ludzie po was nie byli zgorzzeni.

Do tych słów gorzkich będących wiernym uczuć swoich tłumaczem, jużby podobno nic dodać nie trzeba; rozumieją czytelnicy do czego one zmierzają i dla czego opisawszy Tatry, czuję poniekąd wyrzut sumienia. Przebywając po parę miesięcy w Zakopaném, owym zakątku gdzie pod opieką osiwiiałych olbrzymów żyje lud krzepki na duchu i ciele, pełen wiary i patryarchalnej prostoty, z bólem serca dostrzegałam pomiędzy zwiedzającymi Tatry emisaryjuszów tegoczesnego *postępu*, a raczej obłędu. Oni to starają się zaszczepić pomiędzy górskim ludem szalone i bezbożne idee społecznego przewrotu, a zarazem szerzą wyuzdane zepsucie moralne. Dotąd na twardym i kamienistym gruncie Podhala, nie przyjęło się ziarno *postępu*. Zdrowy zmysł ludu odgadł truciznę podawaną w upajającym nektarze, a

w różnanych splotach mających uwieńczyć tych co się wyłamiają z pod prawa Bożego, sromotnych dopatrzyl więzów. Pogarda, to nagroda jaką u Podhalan znajdują wysłańcy *postępu*.

Ale jakkolwiek ich działanie bezpośrednio żadnego dotąd nie odniosło skutku, wpływ tych przewrotnych czy tylko obalamuconych ludzi, bardzo zgubnym się okazuje. Dotąd w pojęciu górali wyższa oświata, cywilizacyja, była synonimem wyższości moralnej i szlachetności duszy; byli oni przekonani że co ujdzie prostaczkowi, nie uchodzi pomiędzy ludźmi oświeconymi. Stądto pochodziło owo poszanowanie i chęć do nauki, której dla dzieci swoich pragnęli rodzice. Dzisiaj otworzyły im się oczy. Widzą oni że z miasta to przybywają *uczeni* ludzie pomiatający religiją, lekceważący jej najświętsze przepisy, ludzie zepsuci moralnie, bezwstydni gorszyciele niewinności. Nic więc dziwnego że odwracając się z pogardą i wstrętem od podobnych wyrzutków odzianych pozorami cywilizacyi, zrazili się do wszelkiej oświaty. I kiedy dawniej rodzice wyciągali się do ostatka aby dzieci swoje w szkołach utrzymać, dziś już często dają się słyszeć z tém iż wolą żeby pozostały w domu poczciwymi prostakami, niż żeby przy nauce wyjść miały na hezboźników. Oto owoce, oto skutki *postępowej* propagandy. Daj Boże aby się na tém skończyło, aby brudny prąd demoralizacyi, nie zmaćcił przeczystych tatrzańskich potoków.

